

*Jodi Thomas*

*O zachodzie słońca*

# 1

Powietrze tego wietrznego, lipcowego dnia było tak ciężkie od pyłu, że po prostu przytłaczało. Człowiek odnosił wrażenie, że przedziera się przez rzekę piasku. Wolf Hayward czuł, że ma na twarzy istną maskę brudu; pojawiały się na niej szczeliny, gdy mrużył oczy, by zerknąć na słońce.

- Wtorek - wymamrotał, ściągając z konia swojego więźnia ze skutymi rękoma. - Chyba wtorek, Francis, ale nie jestem całkiem pewien.

Więzień otrząsnął się jak kudłaty pies, wzbijając wokół siebie chmurę kurzu.

- Jak mi jeszcze raz powiesz „Francis”, to się, psia-krew, wyrwę na wolność specjalnie po to, żeby cię za-tłuc, kapitanu!\* Nikomu poza moją starą nie pozwoliłem na coś takiego... Jej uszło na sucho, bo matczy-sko co jak co, ale gotować potrafiło. Trudno to powiedzieć o tobie, Hayward!

- Jakoś nie słyszałem, żebyś się uskarżał na żarcie przez ten tydzień. - Wolf sprawdził po raz ostatni kaj-danki, nim skręcili w ulicę, wkracząc do cywilizowa-nego świata. Francis Digger był w tej chwili niemal

\*Francis jest w Ameryce imieniem, które można nadawać zarówno mężczyznom, jak kobietom. Stąd niechęć bandyty do tego „babskiego” imienia. Brat Francis’a, Carrell, ma identyczne kłopoty (przyp. tłum.).

przyjacielski, ale Wolf nieraz już widział, jak w mgnieniu oka zmienia się w krwiożerczą bestię. On i jego brat Carrell grasowali w Teksasie jeszcze przed wojną. Przez wiele lat napadali na podobnych sobie, ale takich, którym się bardziej poszczęściło. Jednak w miarę jak nowy stan się rozrastał, zaczęli napastować Bogu ducha winnych ludzi. Podczas ich ostatniego napadu na dyliżans dwóch pasażerów straciło życie, a woźnica władzę w ręce.

- Może nawet nie było takie złe... - Francis kroczył za kapitanem, kajdanki nie pozwalały mu na większą swobodę ruchów. - Tylko, cholera, w kółko to samo! Fasola i gneciuchy dwa razy dziennie przez okrągły tydzień. Człowiek potrzebuje jakiejś odmiany, nie? Jak czegoś nie dojadłem na kolację, na pewniaka dostawałem to na śniadanie!

- Za to przed egzekucją będziesz mógł sobie podjeść, ile tylko zechcesz.

Wolf rozejrzał się po ulicy. Jeśli brat Francisa zamierzał go uwolnić, zostało mu już tylko kilka minut. Jeszcze zaledwie sto stóp, a zatwardziały morderca znajdzie się pod kluczem. W Austin było pod dostatkiem strażników Teksasu\*. Spokojna głowa, drań się nie wyśliźnie!

Odziany w strój z kozłej skóry bandyta zaklął i uniósł nos jak dzikie zwierzę, wietrzące niebezpieczeństwo.

- Wtorek, powiadasz? Mnie tam wszystko jedno, cholera! Ale ty, kapitanu, powinieneś 'wiedzieć, jakiego dnia przyszło ci zdechnąć!

Wolf roześmiał się.

\*Texas Rangers - konna policja, strzegąca zwłaszcza granic i pogranicznych osiedli (przyp. tłum.).

- Doprowadziłem cię na miejsce, może nie? Jeszcze tylko kilka kroków i trafisz do kicia... a ja sobie strzelę coś mocniejszego po raz pierwszy od miesiąca! Jeśli twój braciszek chciał cię wyciągnąć, powinien był wcześniej się do tego zabrać.

Wolf pociągnął swego więźnia krytym chodnikiem. Sklepowe szyldy wisały tak nisko, że Wolf - chłop na schwał - musiał co chwila schylać głowę, gdy zmierzali w stronę więzienia. Mijali właśnie jakiś nowo otwarty sklep. Austin rozwijało się w takim tempie, że Wolfowi nie mieściło się to w głowie. Tam gdzie pod koniec wojny było szczypało sobie trawkę, teraz jak grzyby po deszczu coraz to wyrastały nowe sklepy.

Mijały ich właśnie jakieś dwie paniusie. Zmierzyły Wolfa zdumionym spojrzeniem, od pokrytej gęstym zarostem twarzy aż po skórzane mokasyne sięgające kolan, zachichotały i pospiesznie ruszyły dalej. Wolf nagle uświadomił sobie, że już nie pasuje do tego miasta. Nie miał jeszcze trzydziestki, ale czuł się niesamowicie stary. Wyglądał bardziej na włóczęgę niż na przedstawiciela prawa. Kiedy cztery lata temu wylądował w Teksasie, poczuł, że jest to miejsce w sam raz dla niego: dzika, surowa kraina. Nie liczyła się tu niczyja przeszłość, tylko krzepa i celne strzały.

Teraz jednak pojawiły się nowe sklepy i szacowne paniusie. W Austin było coraz mniej prowizorki, a solidnie zbudowanych domów nikt by już nie zliczył. W oknie tej drogerii, którą właśnie mijali, wisały nawet firanki!

Wolf zerknął na witrynę: w kręgu najrozmaitszych buteleczek stał dumnie aptekarski móździerz z tłuczkiem. Przez chwilę Wolf przyglądał się, jak promienie słońca odbijają się od tej dekoracji. A potem dostrzegł w szybie coś, co przypominało zjawę z koszmarnego

snu: niewyraźne odbicie Carrella Diggera, brata Francisca. Starszy z dwóch Diggerów przyczał się w cieniu między dwoma domami po przeciwnej stronie ulicy.

Gdy zamglona senna mara uniosła broń, Wolf zareagował błyskawicznie. Chwyciwszy Francisca za skute nadgarstki, pchnął go na oszkloną witrynę, a sam odwrócił się do Carrella z coltem gotowym do akcji.

Powietrzem wstrząsnął huk wystrzałów. Kilka kobiet zaczęło wrzeszczeć, Francis też. Posypały się odłamki szkła, migocząc w słońcu jak kryształowa fontanna. Przycajony bandyta zgiął się wpół; jego drugi pocisk trafił w metalowy łańcuch nad głową Haywarda.

Wolf nie zdążył nawet odetchnąć z ulgą ani przekonać się, czy Francisowi nic się nie stało: spadająca wywieszka sklepowa walnęła go w czoło.

W chwili gdy potężnie zbudowany strażnik osunął się na kolana, trzasnął także drugi łańcuch podtrzymujący wywieszkę. Szyld spadł na chodnik zaledwie o sekundę wcześniej, nim zwałił się tam kapitan.

Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Wolf Hayward, nim ogarnął go mrok, było nazwisko na aptecznej wywieszce: „Molly Donovan”. A pod spodem: „doktor farmacji”.

Molly Donovan... Nazwisko, które przez całą wojnę i wszystkie dalsze lata (dłużyło się toto jak pół życia!) nadaremnie usiłował zapomnieć.

Cienie wspomnień roztańczyły się na czarnym tle jego zamierającej świadomości. Nawet nie usłyszał tępego uderzenia własnej głowy o chodnik.

Najpierw były to tylko cienie, potem coraz wyraźniejsza wizja z przeszłości.

- Proszę wybaczyć, łaskawa pani... - szepnęła do anioła odzianego w błękitne barwy Unii. Ze wszystkich stron

otaczali ich setki ludzi. Znajdowali się na zatłoczonym dworcu kolejowym w Filadelfii. Pełno było rekrutów, rwących się do wojaczki, oraz powracających z pola walki rannych bohaterów. Kochające rodziny albo żegnały swych chłopców ze łzami w oczach, albo witały, popłakując również, ale z radości.

Dziewczyna w błękitnej sukni zwróciła na Haywarda nieśmiało, zielone oczy.

Nie mógł jej powiedzieć, że obserwował ją przez całe rano, jak krzątała się wśród rannych żołnierzy. Nie byłby w stanie wytłumaczyć, czemu, ilekroć dotykała kojącą dłońią któregoś z nich, ogarniająca go namiętność jeszcze się wzmagała. Nie mógł też powiedzieć nieznanym, że sam jej widok rozgrzewał mu serce, że rosła w nim pewność: znalazł swoją dziewczynę! Na nią właśnie czekał przez całe życie.

- Pani mnie nie zna... - potykał się o własne słowa. - Nie mamy czasu, zresztą... pani by mi chyba nie uwierzyła... - Był zachwycony jej spojrzeniem: patrzyła tak otwarcie, prosto w twarz. Zrozumienie, które czytał w jej oczach, wstrząsnęło nim do głębi. Brnął dalej: - Ale... nazywam się Benjamin... i wiem, że czekałem całe życie... właśnie na panią.

Powietrze rozdarł gwizd niecierpliwiejszej się już lokomotywy, wokół nich zakłębił się dym. Młodzieniec poczuł się nagle dziwnie nieswojo w ciemnoniebieskim mundurze Unii z naszywkami porucznika na kołnierzu. Po obu stronach młodej pary płynęły wartkie potoki ludzi.

- Czas na mnie. To mój pociąg. - Uśmiechnął się do dziewczyny, ucząc się na pamięć jej twarzy. - Ale przed odjazdem muszę poznać pani imię. Będę je nosił w sercu do końca wojny. A potem odnajdę panią. Przysię-

gam, że odnajdę! - Czul, że robi z siebie żałosnego głupca, ale było mu wszystko jedno. To nie była dziewczyna, na którą można popatrzeć, a potem zapomnieć.

- Molly... - odparła szeptem, a potem powtórzyła głośno, przekrzykując wrzawę: - Molly Donivan!

Pędzący do pociągu żołnierz potrącił go tak, że znalazł się jeszcze bliżej dziewczyny.

- Molly... - szepnął, dotykając niemal ustami jej policzka. - Czy wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

Młode, niewinne oczy spojrzały mu ufnie w twarz.

- Chyba zaczynam wierzyć... - odparła i jej palce dotknęły lekko jego piersi w miejscu, gdzie biło serce.

Nim zdołał się zastanowić, ucałował ją zuchwale, bez opamiętania, na oczach setek ludzi. Niebo otwarło się przed nim, gdy Molly wtuliła się w jego ramiona i poczuł, że oddaje mu pocałunek.

Była wysoka, wiotka jak trzcina i pasowała idealnie do jego objęć.

Znów rozległ się gwizd lokomotywy, tym razem nagłący. Buchnęły kłęby pary, potężny żelazny zwierz ruszył w drogę. Benjamin nie mógł dłużej zwlekać. Musiał odejść. Ale przez chwilę myślał, że nie starczy mu sił, by się z nią rozstać.

Molly cofnęła się - powoli, w milczeniu. W jej oczach lśniły łzy. Nie mieli czasu na pożegnalne słowa, ale nie były im potrzebne. W tej chwili oboje rozumieli doskonale, jak ważne jest to, co odnaleźli... i co muszą znów utracić.

Pędził jak szalony i zdołał wskoczyć na ostatni stopień odjeżdżającego pociągu.

- Czekaj na mnie, Molly Donivan! - zawołał, przekrzykując hałas. - Będę cię kochał, póki mi serce bije!

Przyłożyła palce do ust; łzy popłynęły jej po policzkach.

Poklepał ścianę pociągu, jakby to był bok konia, który posłusznie czekał na niego, by teraz razem cwałować naprzód. Nim stracił z oczu Molly, dostrzegł, że zbliżył się do niej jakiś generał. Po chwili zastanowienia przypomniał sobie nazwisko starszego pana. Generał Donivan! Ze sztabu medycznego wojsk Unii. Człowiek, o którym kazano mu zebrać informacje. Molly była córką generała!

Poczuł się tak, jakby rozpędzona lokomotywa uderzyła go prosto w serce.

Ona była córką generała Unii, a on... on był szpiegiem armii Południa, przebranym w mundur wroga. Na chwilę i wojna, i powierzona mu misja straciły dla niego wszelki sens.

Wolf zmagął się jeszcze ze wspomnieniem sprzed ośmiu lat, gdy do uszu wdarły mu się jakieś natrętne głosy. Zdołałby jakoś wrócić i odnaleźć Molly, gdyby dzieliły ich tylko przestrzeń i czas. Ale wojna rozdzieliła ich raz na zawsze. Gdy Molly zniknęła mu z oczu, wiedział, że nigdy do niej nie wróci. Do Molly Donivan. Do generalskiej córki.

Krzyki stawały się coraz głośniejsze i wreszcie przywróciły Wolfa do rzeczywistości.

- Odsuńcie go na bok, żebym mogła dostać się do tego w kajdanach! - nalegała jakaś kobieta.

Wolf powoli otworzył oczy, gdy jakaś spódnica musnęła go po policzku. Stała nad nim wysoka dama w czerni i sypała rozkazami na prawo i lewo.

- Więźniem my się zajmujemy, łaskawa pani - zawołał ktoś w odpowiedzi - a pani niech zrobi, co się tylko da, dla naszego kapitana!

Znów poczuł na twarzy muśnięcie spódnicy.



- Ta kupa błota i kudłów to strażnik Teksasu?! - zdumiała się kobieta.

Josh Weston pochylił się ku niej.

- Tak, łaskawa pani. To kapitan Wolf Hayward. Jeden z naszych najlepszych ludzi... Ale niestety nawet po wyszorowaniu nie prezentuje się najlepiej. - Josh roześmiał się i przeszedł przez leżącego Wolfa. - Wątpię, by spadający na głowę sztyld mógł mu zrobić wiele krzywdy... ale może by go pani obejrzała, nim zasięka krwią chodnik i wejście do sklepu?

Wolf nie zdążył się podnieść i przywołać do porządku młodego strażnika, gdy kobieta przyklękła obok niego.

Zielone oczy spojrzały na niego bystro.

- Molly... - szepnął Wolf, któremu wspomnienia pomieszały się z rzeczywistością.

- Ma pan rację - odparła. - Jestem Molly Donovan. *Doktor* Molly Donovan. Proszę się nie ruszać, zajmę się pańską raną.

Poczuł dotyk jej palców na swoim czole. Odgarniała mu włosy, zasłaniające ranę.

Wolf przymknął oczy i zagarnął ją w ramiona, jakby chciał pochwycić wspomnienie sprzed ośmiu lat.

Molly wrzasnęła, przewracając się na niego. Trzymał ją mocno, dopóki mocne uderzenia pięści nie uświadomiły mu, że Molly chyba nie ma ochoty na uściski. Mruknął coś niewyraźnie i puścił ją.

Molly odwróciła się i mocno przysiadła na nim.

- Dość tego! - oświadczyła i unieruchomiła mu rękę na chodniku, obok głowy.

Hayward nie próbował zmienić pozycji.

- Proszę leżeć spokojnie i zachowywać się przyzwoicie, kapitanie, bo oberwie pan znowu sztyldem po głowie. Tym razem z drugiej strony!

Spojrzał w jej gniewne zielone oczy i powstrzymał się od śmiechu. Jego Molly wyrosła na twardą kobietę, pełną ognia i energii!

- Dobra robota! - Josh Weston przykucnął obok nich. Uśmiechnął się od ucha do ucha; na gładko ogolonej twarzy pojawiły się dołeczki. - Zawsze pani siada na pacjentach, pani doktor?

Molly pospiesznie się podniosła.

- Tylko wtedy, gdy przeszkadzają mi w pracy.

Wolf zauważył, że uniosła dumnie brodę. Nie należała do kobiet skłonnych do przeprosin i usprawiedliwień.

Josh z szacunkiem przytknął palce do kapelusza.

- No to radzę się znowu na kapitana, i to czym prędzej! Doktorzy mają z nim zawsze krzyż pański; trudniej go poskromić niż dzikiego mustanga. Pamiętam, jak w zeszłym roku doktorek z El Paso wydłubywał mu kulę z nogi... We czterech musieliśmy go trzymać! - Młody strażnik poklepał Wolfa po ramieniu i rzucił Molly przepraszające spojrzenie. - Spokojnie, kapitanie Hayward! Mamy już obu Diggerów i zaraz wylądują w kiciu. Żaden z nich nie oberwał za wiele. Nie minie ich jutro szubienica!

Wolf skinął głową i wstał. Całkiem zapomniał o chwycie Molly, który miał go rzekomo unieruchomić na chodniku.

Zauważył, że zeszywniała z gniewu.

-Jeśli jest pan w stanie utrzymać się na nogach - powiedziała, starając się odzyskać panowanie nad sobą - to znacznie łatwiej będzie mi opatrzeć pana w moim sklepie. - Mimo tego, co przed chwilą o Wolfie nagał jej Josh, w oczach Molly nie było strachu.

Wolf wstał i wszedł za nią do wnętrza drogerii, podczas gdy reszta strażników ruszyła w kierunku więzie-

nia. Jeśli to naprawdę jego Molly, to się zmieniła, dumiał Wolf. Szczupluka dziewczyna, którą zachował we wspomnieniach, przeistoczyła się w dojrzałą kobietę, nie pozbawioną miłych okragłości. Ale oczy miała te same, a głos stał się tylko odrobinę niższy.

Nie, to nie może być ona! mówił sobie, wchodząc do niewielkiego pomieszczenia. To samo imię, te same włosy, te same oczy... Cóż z tego? Gdyby to była jego Molly, z pewnością by go sobie przypomniała!

Wolf rozejrzał się i zobaczył za kontuarem ścianę pełną lustrzanych półek z butelkami wszelkich rozmiarów. I ujrzał chyba z setkę odbić własnej postaci.

Cholera! pomyślał. Sam bym siebie nie poznał! Smukłemu młodzieńcowi sprzed lat przybyło pięćdziesiąt funtów albo i więcej. Dawniej miał wygoloną twarz i krótko ostrzyżone włosy... Zmienił się też wewnątrz. Rozliczne bitwy, w których brał udział, pozostawiły blizny nie tylko na jego ciele, ale i na duszy. Nic dziwnego, że go nie poznała! Nawet mówił teraz inaczej: wrócił do swego ojczystego, południowego zaciągania. Zapomniał o północnym akcencie, z najwyższym trudem dopracowanym do perfekcji.

Wskazała mu stołek, nim zniknęła za kotarą na zapleczu.

- Przyniosę wody. Niech się pan stąd nie rusza! - zakomenderowała.

Krew spływała Wolfowi po twarzy i skapywała na koszulę. Nie próbował jej tamować: nie miał ani strzępka na tyle czystej szmaty, by można ją było przytknąć do rany.

Kiedy Molly znów się pojawiła, śledził każdy jej ruch. Przelatywały mu przez głowę setki pytań, ale ugryzł się w język. Wojna się skończyła, ale to wcale nie

zmieniało stanu rzeczy. Jeśli nawet Molly pamiętała jeszcze ich spotkanie na dworcu kolejowym, i tak nie chciałyby z nim mieć do czynienia. Doszły do niego wieści, że jej ojciec zginął bohaterską śmiercią. Zmagał się z ludzkim cierpieniem i z przerażająco prymitywnymi warunkami w polowych lazaretach, aż wreszcie zaabiła go jakaś zbłąkana kula z pobliskiego pola bitwy.

Molly zakasała rękawy.

- Proszę się nie ruszać! Muszę zmyć z pana przynajmniej tyle brudu, żeby obejrzeć ranę, zanim ją zacznę opatrywać.

Wolf zmarszczył brwi.

- Naprawdę jest pani doktorem?

Łypnęła na niego z taką miną, jakby miała ochotę wykręcić się jakimś kłamstwem.

- Nie gorszym od innych, którzy praktykują w tym mieście! Słowo daję, że studiowałam w szkole medycznej nie krócej niż każdy lekarz w Austin. Tyle że przede wszystkim interesowałam mnie farmacja. Ku wielkiemu rozczarowaniu mego ojca wolałam zawsze trudzić się przy lekach niż przy pacjentach.

- Więc sprzedaje pani leki własnego wyrobu jak ci szalbierze, co tłuką się wozem od miasta do miasta i zachwalają „prawdziwy jad wężowy” i tak dalej? - Czekał na reakcję Molly. Miał niemal nadzieję, że się rozgniewa: ujrzałby wtedy, jak jej zielone oczy miotały iskry.

Ku jego zdziwieniu spokojnie skinęła głową.

- Właśnie! - Pochyliła się i zaczęła czyścić ranę. - Uczęszczałam do szkoły medycznej przez dwa lata, mój ojciec był doktorem... ale teraz głównie przyrządzam mikstury.

- W Arizonie, za Fortem Mojave, Apacze zabili

swoich sześciu szamanów, bo nie zdołali pokonać gorączki nękającej ich plemię.

- Jestem pewna, kapitanie, że pan wytrzyma moją kurację. Nie boję się o własną głowę.

Stała tak blisko, że czuł bijący od niej zapach. Była to upajająca kompozycja woni rozmaitych leków, perfum i kobiecego ciała. Wolf nie śmiał głębiej odetchnąć z obawy, że całkiem się zatraci w zapachu Molly.

- Jest pani mężatką? - spytał, nim zdążył się opanować.

- Nie - odparła, nie przerywając pracy.

- Wdową? - Zmierzył wzrokiem jej ciemną suknię. Wiele młodych kobiet chodziło teraz w czerni... ale kolorem *jego* Molly był błękit!

Milczała przez chwilę.

- To nie pański interes, kapitanie, ale odpowiem panu. Mężczyzna, którego kochałam, poległ na wojnie.

Wolf sam nie wiedział, czy cieszyć się, czy też martwić wieścią, że Molly pokochała innego. Chyba lepiej, że pogodziła się z życiem i nie usychała z tęsknoty za nim. Ale szkoda, że poznała ból żałoby.

- Zechce pani zjeść ze mną obiad?

Nadal ocierała krew płynącą mu z czoła.

- Nie - odparła bez ogródek.

- Nawet jeśli się wykąpię i włożę czyste ubranie? - spróbował raz jeszcze. Nie był to chyba najlepszy sposób umawiania się z kobietą na randkę... Odniósł jednak wrażenie, że w tym wypadku bezpośredniość i szczerłość dają mu największe szanse.

- Nie, dziękuję - odparła, wcierając maść w ranę.

Wolf wzruszył ramionami.

- Wobec tego i na spacer do ołtarza nie mam co liczyć, pani doktor?

Uśmiech przemknął jej przez usta.

- Teraz będzie bolało, kapitanie. Proszę nie rzucać głową.

Wolf nie oderwał oczu od jej twarzy, gdy rana zapiekła żywym ogniem. Molly pochyliła się i zaczęła na nią leciutko dmuchać.

Z trudem zwalczył pokusę schwycenia jej w ramiona.

- Dziękuję - szepnął. - Ile jestem pani winien? - Wolałby nie myśleć o tym, że Molly leczy go za pieniądze, ale to był w końcu jej zawód!

- Nowe okno. - Zakorkowała buteleczkę z lekiem. - Porad lekarskich udzielam bezpłatnie.

- A więc nowe okno... i obiad. Będę się przy tym opierał! Nie lubię mieć długów wdzięczności.

- No... dobrze. Jeśli zdąży się pan domyć do zachodu słońca, pójdę z panem na obiad. Ale uprzedzam wyraźnie, kapitanie: to nie będzie żadna randka, tylko wspólnie zjedzony posiłek. Jestem za stara i szkoda mi czasu na takie głupstwa jak zalecanki.

Wolf wcisnął na głowę potwornie brudny kapelusz.

- Rozumiem, pani doktor. - Wiedział, że owa starszka nie ma wiele więcej niż dwadzieścia pięć lat. - Jestem ogromnie wdzięczny, że zgodziła się pani zjeść ze mną obiad. A zatem... spotkamy się o zachodzie słońca!

- O zachodzie słońca, kapitanie. - Nie dodała nic więcej; odwróciła się i znikła za kotarą na zapleczu.

Wolf musiał zrobić kilka głębokich wdechów, nim zdołał się ruszyć.

- Spotkamy się o zachodzie słońca, Molly! - szepnął i wyszedł na ulicę.

## 2

Po południu słońce skryło się za szarymi chmurami i Austin wydawało się teraz nędzne i bezbarwne. Molly Donovan przez resztę dnia próbowała skupić się na pracy i nie zawracać sobie głowy unurzonym w pyłe drogi strażnikiem, który zniszczył jej witrynę. Ale myśl o obiedzie, na który przyrzekła z nim pójść, uparcie powracała, choć była dla Molly równie pożądana jak deszczowe chmury.

Od jej przyjazdu do Austin codziennie działo się coś nieoczekiwanego. Czemuż więc zakuty w kajdany więzień nie miał wlecieć do jej sklepu przez okno wystawowe? Molly zdążyła się już zetknąć z kupcami maczającymi palce w podejrzanych interesach i z mieszkańcami Austin, którzy absolutnie nie wierzyli, by niezamężna kobieta mogła prowadzić własną firmę. A oprócz nich były jeszcze typki z ciemnych zaułków, którym nie podobało się, że pani doktor wyraża głośno swoją opinię na temat handlu opium.

Po raz setny Molly zaczęła się zastanawiać, czemu właściwie opuściła bezpieczną przystań w Filadelfii. Czy aż tak zależało jej na tym, by wreszcie być sobą, a nie tylko córką generała Patricka Donivana? A może chodziło o to, że dotychczas wiecznie stała na linii startowej, nie włączając się do morderczego biegu zwanego życiem?

Obie ciotki - siostry ojca, stare panny - zaklinały Mol-

ly, by nie wyjeżdżała... Ale to właśnie one popchnęły ją do tego, tłamsząc ją, usiłując za wszelką cenę urobić na własny obraz i podobieństwo. Nie mogły pojąć, że Molly nie wystarcza życie spędzane na lekturze i ploteczkach przy herbacie. Były pewne, że dziwaczne zainteresowanie farmacją wywietrzeje bratanicy z głowy, a nie zapędzi ją w dzikie pustkowia Teksasu!

Molly omal się nie roześmiała w głos na myśl, jak zareagowałyby cioteczki na poranne wydarzenia.

Sąsiad nazwiskiem Miller, przedsiębiorca pogrzebowy i stolarz w jednej osobie, wetknął łysą głowę przez dziurę, która była do niedawna oknem wystawowym.

- Jak tylko znalazłem wolną chwilkę, przyleciałem na ratunek, panno Donivan. - Był wyraźnie rozczarowany, że odpowiedziała mu tylko skinieniem głowy, nie przerywając pracy. - Jakoś ta witryna nie ma szczęścia! Łaskawa pani gości u nas zaledwie od miesiąca, a szyba poszła już dwa razy!

- Tylko że dziś dobrze wiem, kto to zrobił. Nie jakiś tchórzliwy drań po nocy, ale przedstawiciel prawa. I z pewnością nieumyślnie.

Niepozorny stolarz wymamrotał coś, wnosząc do wnętrza swoją skrzynkę z narzędziami.

Miller zachowywał się całkiem uprzejmie, ale działał Molly na nerwy. Może dlatego, że dziwnie się na nią gapił. Nie miała pojęcia, czy sąsiad robi do niej słodkie oczy, czy fachowym wzrokiem bierze miarę na trumnę. Gdy wypytywał o zdrowie, brzmiało to tak, jakby nie mógł się doczekać „błogosławionego zejścia”, a gładkie zwroty typu „łaskawa pani” wynikały raczej z zawodowego nawyku niż rzeczywistego szacunku dla rozmówczyni.

Molly przyjrzała się własnemu odbiciu w lustrze-



nych półkach. O, nie! powiedziała sobie. Pan Miller z pewnością nie próbuje ze mną flirtować. Nie należę do kobiet, do których robi się słodkie oczy! Dobrze wiedziała, że jest za wysoka, zbyt szczupła i zanadto wygadana.

Tylko raz jej uroda zrobiła piorunujące wrażenie na mężczyźnie. Kiedy nie wrócił z wojny, Molly powiedziała sobie, że skończyła z miłością na zawsze. Zostało jej na pociechę wspomnienie tamtej upojonej chwili i niekończące się marzenia o cudownej przyszłości, która się nie ziściła. Molly nie zamierzała zrezygnować ze swych wymagań i udając słodką idiotkę, wabić do siebie mężczyzn. Dzięki ojcu stała na własnych nogach. Co prawda ciotki uparcie ostrzegały, że tego się właśnie doigra: będzie sterceć samotnie jak kolek, jeśli nie zmieni swego postępowania!

Molly spojrzała raz jeszcze na widoczną w lustrze kobietę w czerni. Ciekawe, czy ów strażnik domyślał się, że był pierwszym od lat zuchwalcem, który ośmielił się zaproponować jej wspólne wyjście? Innym potrafiła zamknąć usta, nim zdążyli wykrztusić propozycję.

Ale kapitan Hayward zmierzał prosto do celu, bez prawienia wstępnych komplementów z przejrzystym podtekstem. W niczym nie przypominał łowców posagowych z Filadelfii. Poza tym nie miał pojęcia o jej stanie majątkowym: widział tylko sklepik, mniejszy niż sypialnia Molly w jej rodzinnym domu.

Rozmyślenia Molly przerwał głos przedsiębiorcy pogrzebowego.

- Szybę mogę dostarczyć za kilka godzin, jeśli znajdzie się tafla odpowiedniej wielkości.

- Doskonale - odparła.

Miller spuścił wzrok aż do jej stóp, potem z wolna

podnosił oczy coraz wyżej, aż wreszcie spojrzął Molly w twarz.

- Mógłbym wpaść tu wieczorkiem i wstawić pani tę szybę.

- Znakomicie - odparła spokojnym, uprzejmym tonem. - Ephraim zaczeka na pana w sklepie.

Przedsiębiorca pogrzebowy spojrzął wilkiem na staro człowieka, zmiatającego odłamki szkła obok drzwi, i w bezsilnej złości otworzył szeroko usta jak ryba. Podobnie jak u ryby nie wydobył się z nich żaden głos. Cóż, znajomość pana Millera z Molly nie była tak bliska, by mógł sobie pozwolić na jakieś pytania. Nie była... i z pewnością nie będzie!

Molly wyraźnie się odprężyła, gdy sąsiad wreszcie wyszedł po wielu subtelnych uwagach na temat tego, o ileż łatwiej żyć kobiecie, gdy może wesprzeć się na męskim ramieniu.

Do południa Ephraim uprzątnął resztę potłuczonego szkła. Zabrał się do tego z charakterystyczną dla niego powolną nieustępliwością, dzięki której był w stanie dokonać wszystkiego. Choć stary i schorowany, promieniał wprost szczęściem, gdy mógł jakoś pomóc Molly.

Odziedziczyła Ephraima po śmierci ojca. Przez dwadzieścia lat pełnił funkcję jego asystenta w filadelfijskim szpitalu. Kiedy wybuchła wojna, Ephraim był już za stary, by się zaciągnąć do służby czynnej, ale jeździł wraz z doktorem Donivanem od jednego wojskowego szpitala do drugiego.

Ephraim zawsze znajdował się w pobliżu, w dyskretnym cieniu. Troszczył się o wszystko. Kiedy zbłąkana kula trafiła generała Donivana w połowym lazarecie, usytuowanym zbyt blisko pola walki, Ephraim

zdażył pochwyć ojca Molly, nim zwałił się na ziemię. Pielęgnował umierającego przez dwa dni, potem zaś przywiózł ciało do Filadelfii, by tam je pochowano.

Teraz Ephraim dobiegał już siedemdziesiątki i nie miał żadnych stałych obowiązków; zawsze jednak gotów był pomóc Molly. Zajmował pokój na zapleczu drogerii; Molly zamieszkała na górze, nad sklepem. Opiekował się nią tak samo jak wówczas, gdy była dzieckiem.

Kiedy Ephraim mijał ją z ostatnią szufelką potłuczonego szkła, Molly podniosła głowę znad lekarstwa, które właśnie przygotowywała.

- To był okropny bałagan! Dzięki, żeś się z nim uporał. Ephraim skinął głową.

- Spróbujesz na kolację mojej zupki, Molly?

- Tym razem nie, dziękuję. Wybieram się na obiad z tym kudłatym olbrzymem, który nam zdemolował sklep. - Uśmiechnęła się mimo woli.

Ephraim spojrział na nią tak, jakby mu oznajmiła, że zamierza wziąć udział w bójce ulicznej.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył? - Wyprostował swe kościste ciało, ale widać było, że jest bardzo zmęczony.

- To chyba nie jest konieczne - odparła najpoważniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć. Myśl o Ephraimie broniącym jej przed niecnymi zakusami Haywarda wydała się Molly niesłychanie komiczna. Kapitan mógłby powalić jej przyjaciela mocniejszym dmuchnięciem. - Po prostu coś przekąsimy w pobliżu. A tobie należy się odpoczynek!

Ephraim przez całe popołudnie nie pisał ani słowa na ten temat; Molly wiedziała jednak, że jest niespokojny jak kwoka, której zawieruszyło się jedyne piśkłę. Przez cztery ostatnie lata, od śmierci jej ojca, Ephraim od rana do nocy czuwał nad Molly. Kiedy

postanowiła wyjechać do Teksasu, nie wyrzekł ani słowa, tylko zabrał się za pakowanie. Z pewnością nigdy by jej nie pozwolił opuścić Filadelfii, gdyby się domyślał, że powodowała nią troska o jego zdrowie, chęć przewiezienia go w cieplejsze strony.

Molly zastanawiała się, jakby tu uspokoić starego przyjaciela. Czuła przez skórę, że kapitan Hayward, bez względu na swój wygląd, jest dżentelmenem, z którym można bezpiecznie pójść na obiad.

Skoncentrowała się na przygotowywanej miksturze: środka na ból zębów. W sklepie robiło się coraz ciemniej. Zapach olejku goździkowego, stojącego na marmurowym blacie, przy którym pracowała, unosił się w powietrzu i mieszał z wonią innych specyfików, wypełniających setki buteleczek i słoiczków w sklepie. Woń lekarstw wydawała się Molly zawsze miła i swojska: były to przecież znane jej od dzieciństwa zapachy z gabinetu ojca.

- Co tak smakowicie pachnie? - Niski głos kapitana Haywarda całkiem zaskoczył Molly.

Podniosła oczy znad mikstury. Wielka postać strażnika wypełniała framugę drzwi, nie dopuszczając do wnętrza ostatnich promieni dziennego światła. Kapitan był wysoki i pełen godności, ale - zgodnie z zapowiedzią Josha - nawet po wyszorowaniu nie prezentował się najlepiej. Ubranie miał czyste, nadal jednak wyglądał jak nieprawdopodobna krzyżówka rewolwerowca z małpoludem. Przyciął włosy o dobrych kilka cali, mimo to sięgały potężnych ramion. Broda również została przystrzyżona; ciągle jednak robiła wrażenie ciemnych, splątanych chaszczki, gotowych w każdej chwili rozprzestrzenić się na ostatniej niezarośniętej części twarzy.

- Bardzo mi przykro, ale to nic do jedzenia. - Scho-

wala naczynko z miksturą do pudełka. - To lekarstwo na ból zębów dla starej pani Hollard. Mogę przygotować każdy lek - czy to w płynie, czy w proszku - i wykurować wszystko, od bólu głowy do wszawicy... ale nie potrafię upichcić nic jadalnego.

Molly oznakowała pudełeczko i popatrzyła na swego rozmówcę, nie doczekawszy się odpowiedzi. Wyglądał tak groźnie, że samą swą obecnością mógł skłonić większość ludzi do przestrzegania prawa: barczysty, dobrze uzbrojony. A jednak - o dziwo! - wydawał się podenerwowany.

Molly zdjęła roboczy kitel.

- Ach, panie kapitanie! Ależ elegancko pan wygląda! - Wypowiadając to wierutne kłamstwo, musiała się uśmiechnąć.

Wolf odetchnął głęboko, jakby dopiero teraz mógł sobie na to pozwolić.

- Bardzo pani dla mnie łaskawa! Wymoczyłem się w trzech wodach; nie chciałem, żeby się pani musiała wstydzić za brudasa.

- A co z bronią? - Molly spojrzała na dwa bliźniacze colty, objające się o potężne uda.

Wolf zrozumiał ją opacznie.

- Większość zostawiłem w moim pokoju w pensjonacie; ale mogę po nią wrócić, jeśli pani obawia się jakichś niespodzianek.

- Skądże znowu! - Molly zdjęła szal z haka i pożałowała nagle, że nie zdążyła się przebrać. - Chyba nic nam nie grozi, udamy się najwyżej na drugą stronę ulicy.

Wolf ruszył ku drzwiom i już miał przez nie wyjść, gdy nagle zatrzymał się i zawrócił. Podeszedł do Molly i podał jej ramię.

- Pani pozwoli? - spytał z lekkim ukłonem.

Po raz pierwszy od lat Molly zebrało się na chichotki. Nie mogła wprost uwierzyć, że wychodzi na miasto z kimś takim jak kapitan Hayward! Ojciec, gdyby jeszcze żył, z pewnością by pomyślał, że straciła rozum. Generał Donivan nie znosił niechlujnego wyglądu. Nawet niewyczyszczone do połysku guziki wyprowadzały go z równowagi. Nie potrafiłby chyba zrozumieć człowieka, który przypominał raczej swego imiennika, wilka, niż przedstawiciela prawa.

Wsparła się na ramieniu Wolfa i minęli razem zakład pogrzebowy. Miller, ujrawszy ich znowu, szeroko rozdziawił gębę. Molly utrzymywała co prawda, że będzie to jedynie wspólny posiłek, ale dobrze wiedziała, że całe miasto wytłumaczy sobie tę eskapadę całkiem inaczej.

- Jeśli pani doktor nie ma nic przeciwko temu, moglibyśmy zjeść coś „U Nomy”. - Idąc ulicą przy boku Molly, Wolf nie spoglądał na swą towarzyszkę; patrzył prosto przed siebie jak na wojskowej paradzie. Mięśnie jego ramienia pod jej dłonią były napięte i twarde jak stal. Biła od niego woń ługowego mydła.

- „U Nomy”? Doskonale! - Molly poczuła ulgę; miała nadzieję, że kapitan również się odpręży. Była rada, że wybrał tę bezpretensjonalną kawiarenkę, a nie luksusową restaurację w jednym z hoteli.

Nie odezwał się ani słowem, póki nie weszli do lokalu. Kelnerka podprowadziła ich do stolika na samym środku zatłoczonej sali, a inna młoda dziewczyna z obsługi pospieszyła do kuchni. Kiedy Molly rozkładała serwetkę, dziewczę postawiło przed Wolfem talerzyk z dwoma kawałkami placka.

- Jużeśmy słyszeli, że pan znowu w mieście, kapitanie. Trzymałam placek w pogotowiu! - Kelnerka skinęła grzecznie głową i oddaliła się, nie czekając na odpowiedź.

Kapitan zerknął na Molly; dałaby głowę, że zaczerwienił się pod bujnym zarostem!

- Od miesiąca jadłem tylko to, co sam upichciłem przy ognisku. - Zmierzył wzrokiem deser. - Noma wie, że lubię placek.

Molly zauważyła, że spojrzął znów na ciasto tęsknym wzrokiem, ale nie sięgnął po widelczyk. Mogła bez trudu odgadnąć jego myśli: miał minę łakomego dziecka.

- Proszę się nie krępować, kapitanie! Niechże pan zacznie od deseru. Czemu z mojego powodu miałby pan zrywać z miłą tradycją?

Wolf mrugnął do niej wesoło i wpakował sobie do ust jedną trzecią grubego plastra.

Kawiarenka Nomy przypominała wiele podobnych lokali na zachodzie. Menu był wypisane na łupkowej tabliczce, przybitej do drzwi. Każdy, kto tu wszedł, otrzymywał to samo, gdy tylko usadowił się na krześle.

Jedli i gawędzili, a Wolf stopniowo się odprężył. Zadawał Molly mnóstwo pytań związanych z jej pracą; wkrótce zaczęła mu opowiadać szczegółowo o swych problemach. Nigdy jeszcze nie mówiła o nich tak szczerze. Łatwo było rozmawiać z Wolfem: wolał słuchać - i to z prawdziwym zainteresowaniem! - niż rozprawiać o sobie. Molly miała ochotę zapytać, czy zawsze był taki skryty, czy też nauczyło go tego życie... ale oczywiście nie zapytała.

Wolf pałaszował wszystko, co przed nim postawiono, z wyjątkiem fasoli. Ilekroć zjadł kawałek placka, przynoszono mu następny. Wybór był duży: ciasto z kremem, z czekoladą, z owocami, z serem... Wolf dzielił każdy kawałek na trzy części i pochłaniał wraz z daniem, które właśnie jadł.

W końcu Molly nie zdołała utrzymać języka za zębami.

- Bardzo przepraszam... Wiem, że nie wypada tego komentować, ale coś mi się zdaje, że zjadł już pan ze dwie brytfanki placka!

Wolf otarł brodę.

- Wiem. Trzecią chowam na deser.

Roześmiała się tak serdecznie, że aż kilka głów odwróciło się w ich stronę.

Od niepamiętnych czasów Molly nie bawiła się równie dobrze. Uznała, że pod masą rozwichrzonych włosów i skórzaną odzieżą krył się prawdziwy dżentelmen i wspaniały kompan. Rozmawiali o Austin, o pogodzie, o świecie, w którym Molly wyrosła. Gdyby oczekiwała, że kapitan zacznie się przechwalać, ilu to złoczyńców pojmał albo zabił, sromotnie by się rozczarowała. Wolf - jak wielu mieszkańców Teksasu - wolał nie rozmawiać na temat swej przeszłości. Przed kilkoma laty Molly pomyślałaby z niechęcią, że ten człowiek walczył zapewne po stronie konfederatów; teraz jednak wyzbyła się wojennych uprzedzeń. Znajdowali się przecież w Teksasie, gdzie dawni żołnierze obu armii próbowali ułożyć sobie życie od nowa.

Kiedy odprowadzał ją do sklepu, Molly opierała się swobodnie na jego ramieniu; siła Wolfa dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

- Dziękuję, że zechciała pani zjeść ze mną obiad - powiedział, nakrywając wielką łapą rączkę spoczywającą na jego rękawie.

- To ja powinnam podziękować - odparła. - Wspaniale się bawiłam!

Wolf zwolnił kroku. Po raz pierwszy tego wieczoru żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć.

W końcu Wolf odchrząknął i popatrzył jej prosto w twarz.



- Nie wiem, jak się do pani zwracać: pani doktor? panno Donivan? Molly?

W jego ustach to imię brzmiało jak najczulsza pieszczota, jak żarliwe zakłęcie, powtarzane tysiące razy. Molly nie zdołała ukryć uśmiechu.

- A jak pan chciałby do mnie mówić, kapitanie?

- Molly... - szepnął - ...jeśli mamy zostać przyjaciółmi. Wyciągnęła do niego rękę.

- Bardzo bym tego chciała. A jak ja mam się do pana zwracać?

Ujął jej rękę, lecz nie potrząsnął nią.

- Nazywano mnie Wolfem tak długo, że na inne imię już bym chyba nie zareagował.

Przesunął powoli kciukiem po wnętrzu jej dłoni. Molly poczuła nagłe gorąco w całym ciele, aż po kończuszki stóp. A "więc pod tą szorstką powłoką ukrywał się mężczyzna, który wiedział, jak sprawić przyjemność kobiecie... A jednak była w nim jakaś rezerwa... jakby rzadko stykał się z kobietami i nie starał się ich poznać.

- Zostanę w Austin jeszcze trzy dni. - Jego ciemne oczy spoglądały serdecznie na Molly. - Potem będę znów zdany na własną kuchnię. Czy zgodzisz się zjeść ze mną obiad, Molly, jeszcze zanim wyjadę?

- Nie zapomnisz, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, kapitanie? Nie życzę sobie niczego więcej.

- Będziemy przyjaciółmi, jeśli tego właśnie pragniesz, Molly - odparł.

Próbowała jakoś uporządkować swoje wrażenia. Dziwne! Nie należał do mężczyzn, z którymi chciała by utrzymywać bliższe kontakty, a zwłaszcza chodzić na obiady... Od dawna nauczyła się liczyć na siebie i nikogo więcej. W towarzystwie kobiet zawsze czuła się

niezręcznie. Nie miała przecież matki, która podpowiedziałyby jej, jak należy się zachować.

Ephraim i ojciec wychowali ją starannie, nauczyli wiele, ale nie orientowali się w wielu sprawach. Kiedy Molly była dzieckiem, mężczyźni uważali, że to bardzo zabawne, iż ta mała tyle wie o medycynie! Kiedy była młodziutką dziewczyną, flirtowali z nią i przekomarzali się, traktując jej zainteresowania nauką jak dobry żart. Kiedy całkiem dorosła, dostrzegli w niej zagrożenie dla męskiej dominacji, niebezpieczny wybryk natury.

Ten strażnik różnił się od wszystkich mężczyzn, których znała. Wyglądało na to, że uważa Molly po prostu za człowieka.

- Nie opowiedziałeś mi nic o sobie, kapitanie. - Twarz Wolfa była ukryta w cieniu, Molly czuła jednak, że znów jest spięty.

- Wszystko, co mógłbym ci powiedzieć, jest bez znaczenia.

Podobał się jej ten niski, jakby leniwy głos. Odnosiła wrażenie, że słyszy w nim szum wolno płynącej Missisipi.

Wyczuwała również w swym towarzyszku siłę, która nie miała nic wspólnego z rozmiarami jego ciała czy jego potężnymi muskularni. Charakter tego człowieka kształtował się chyba w ogniu mąk piekielnych.

Idąc obok Wolfa Haywarda, Molly uznała, że pragnie się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Nie uwierzyła zapewnieniom, że cała jego przeszłość jest „bez znaczenia”.

Gdy znaleźli się już blisko jej sklepu, Molly dostrzegła jakiś ruch za nowo wprawioną szybą wystawową i jej palce zacisnęły się lekko na ramieniu Wolfa.

- Co się stało? - szepnął, czując, że *coś* jest nie w porządku.

- Ktoś chodzi po moim sklepie! - Dostrzegła kilka ciemnych postaci, krążących po ciasnym pomieszczeniu.

Wolf bez pośpiechu puścił jej dłoń i rozchylił kurtkę, by łatwiej mu było w razie potrzeby sięgnąć po colta.

- Może to ten staruszek, którego widziałem razem z tobą?

- Ephraim? Ledwie się ściemni, gasi lampę i kładzie się do łóżka. O tej porze zawsze już śpi.

Wolf spojrzął jej w oczy w świetle latarni.

- Mogę cię prosić, żebyś tu zaczekała... czy tylko strzępiłbym sobie gębę na próżno?

- Całkiem na próżno. - Molly potrafiła docenić to, że nie komenderował, tylko pytał.

- No to stań przynajmniej za mną... dobrze, Molly? Pewnie to nic strasznego, ale tak na wszelki wypadek. Możesz mi obiecać?

Molly miała ochotę zaprotestować, ale się rozmyśliła.

- Jest kilku takich kupców... Przysięgali, że nie wytrzymam tu nawet miesiąca. Może chcą znów mnie namawiać do wyjazdu? Wpadali do mnie od czasu do czasu, tłumacząc, że mój lokal się marnuje: przydałby się dla jakiejś ważniejszej firmy.

Wolf wyjął rewolwer z futerału.

- To nie jest pora na rozmowy o interesach.

Molly przytaknęła; wiedziała, że Wolf ma rację. Nawet Ephraimowi nie wspomniała o pewnych zawołowanych pogroźkach. Spotkała się też z jawną wrogością, gdy biorąc po raz pierwszy udział w zgromadzeniu mieszkańców Austin, oświadczyła kategorycznie, że trzeba oczyścić miasto z palarni opium.

Wolf przeszedł na drugą stronę ulicy, kryjąc się w cieniu. Rzucił tylko okiem i całe napięcie z niego opadło.

- Wszystko w porządku - powiedziała, chowając colta do futerału. - To strażnicy!

Molly powoli przeszła obok niego i otworzyła drzwi drogerii. Strażnicy tłoczyli się przy ladach.

- Co się tu dzieje? - spytał Wolf, który wszedł za Molly do sklepu.

- Ciiicho - ostrzegł go opryskliwym tonem Josh Weston. - Ledwieśmy ją zdołali uśpić!

Gdy Molly podkręciła płomyk lampy, rozległ się chór zbolałych jęków. Oczy wszystkich skierowały się na jeden z kontuarów. Leżący na nim tłumoczek zaczął podrygiwać.

- Cóż to znowu?! - Wolf podszedł bliżej.

- Coś dla ciebie, kapitanie. Sędzia tak postanowił.

Nim Wolf zdążył zadać następne pytanie, tłumoczek zaczął popiskiwać. Mała dziewczuszka ze złotymi loczkami usiadła na ladzie, przecierając oczy. Miała na sobie bardzo elegancki płaszczyk z granatowej wełny i pończoszki w tym samym kolorze. Była taka malutka, że przypominała raczej lalkę niż ludzką istotę.

- To nie moje! - Wolf cofnął się o krok.

Josh wzruszył ramionami jakby ze współczuciem.

- Sędzia powiedział: pozbawił dziecko naturalnych opiekunów, więc niech się nim zajmie.

- Naturalnych opiekunów? - wymamrotał Wolf, gdy młody strażnik pomógł dziewczynce zejść na podłogę. Była taka malutka... Hayward zdumiał się, że potrafi sama stać!

- Francis i Carrell Digger to jej stryjowie - odparł Josh. - Zdaje się, że cała rodzina tej małej w Savannah powymierała i zostali jej tylko ci dwaj dranie. Imiona mają takie, że pewnie ktoś pomyślał, że albo jeden, albo drugi to baba... inaczej by chyba nie wysyłali małej

taki szmat drogi. Kupili jej bilet tylko w jedną stronę. Widać nie ma tam do kogo wracać.

- Właśnie, kapitanie! - wtrącił się inny strażnik. - A ponieważ stryjasków jutro powieszają, dzieciak jest twój, i kwita!

Wolf zrobił taką minę, jakby to jemu wręczyli wyrok śmierci.

- Co ja mam Z nią począć?!

Mała elegantka ruszyła prosto na zwalistego kapitana i kopnęła go Z całej siły w goleń.

- Masz mi dać jeść! - wrzasnęła i zamachnęła się do następnego kopniaka. - Jeść! I to już!

Molly odciągnęła Wolfa poza pole rażenia.

- Chyba lepiej będzie, jak staniesz za mną, kapitanie!

### 3

Ben wpatrywał się w kruszynkę, hasającą po siedzibie strażników Teksasu, i marszczył brwi. Wcale nie tak wyobrażał sobie zakończenie pierwszego wieczoru spędzonego z Molly!

Gdyby to w ogóle było możliwe, powiedziałyby, że spotkana po latach Molly Donovan okazała się jeszcze piękniejsza od tej, jaką zachował w pamięci. Teraz jednak dostrzegł w niej jakąś niedostępność; tę prześliczną kobietę otaczał lodowy pancerz. Niewidzialny mur odstraszał śmiałków, nie pozwalał zbliżyć się do niej.

Za to inteligencja Molly wprost go oczarowała. Wolf po raz pierwszy uwierzył, że można pogadać z damą rozsądnie i normalnie - nawet podczas pierwszej rozmowy.

wy! W towarzystwie Molly czuł się całkiem swobodnie.

Tak bardzo pragnął poznać bliżej dziewczynę, której przez osiem lat nie zdołał wyrzucić z pamięci. Pomyśleć jej zaufanie, może nawet szacunek... a potem wyjawiać jej, kim naprawdę jest. Może zapyta ją, czy zapamiętała ich spotkanie i pocałunek? Może poprosi, by dała mu jeszcze jedną szansę? Nie będzie zagłębiał się w niepotrzebne szczegóły, wtedy Molly prędzej powie mu „tak”... A może lepiej zrezygnować z kłamstw czy zatajania prawdy? Przez cały dzień Wolf powtarzał sobie, że coś wymyśli, zanim ich wspólny wieczór dobiegnie końca.

Ale nim ich spotkanie się zakończyło, Wolfowi doręczono przesyłkę, która teraz skakała mu przed nosem.

- Jak ci na imię? - spytał dziecko burkliwym tonem.

- Callie Ann Digger - odparła. Zabrzmiało to melodyjnie, jak refren jakiejś piosenki. - Ale możesz do mnie mówić „księżniczko”.

Dzieciak był widać za mały lub zanadto pomyślony, żeby się go bać. Po kilku mniej lub więcej celnych kopniakach, które wymierzyła mu w drogerii, dziewczynka doszła do wniosku, że olbrzym jest nieszkodliwy. I kiedy Molly zaproponowała, że zatrzyma dziecko na noc, Callie Ann zaczęła miotać się jak dzikie zwierzątko i wrzeszczeć, że koniecznie chce iść z Wolfem.

Raczej nie mógł zabrać małej do Babki Papki, u której zwykle się zatrzymywał. W jej pensjonacie mieszkali sami mężczyźni i choć w opłatę za wynajęcie pokoju wliczane były trzy posiłki, większość lokatorów ograniczała się do jednego. Babka Papka zasłużyła na swoje przezwisko, podając konsekwentnie na śniadanie kleistą papkę z lekkim zapaszkim kiełbasy, na lunch taką samą, tylko udającą kurczaka, a na kolację

to, co zostało. Babka Papka bardzo chętnie przyjmowała na kwatery strażników, bo prawie nigdy nie było ich w domu; w dodatku, zgodnie z regulaminem pensjonatu, w przypadku trzymiesięcznej nieobecności lokatora wszystkie pozostawione przez niego manatki przechodziły na własność gospodyni.

- Nie znoszę bachorów! - powarkował Wolf, gło-  
wiąc się, gdzie mógłby umieścić swą podopieczną. Nie  
mógł wymyślić nic poza posterunkiem, na którym się  
znajdowali. - A małe dziewczynki to najobrzydliwsze  
stwory pod słońcem!

Callie Ann przestała wywijać piruety i popatrzyła na  
niego z taką miną, jakby nie rozumiała ani słowa po  
angielsku, choć mówić w tym języku jakoś potrafiła!

- Mogę dostać jeszcze jedno ciasteczko?

Wolf burknął coś pod nosem i otworzył puszkę  
z wybornymi ciastkami, które Noma upiekła specjal-  
nie dla niego. Od godziny pał nimi księżniczkę. Nie  
wydawała się jednak bardziej senna i skłonna do od-  
poczynku niż w chwili, gdy po wyjściu z drogerii za-  
żądała, by niósł ją na rękę.

- A pójdziesz spać?

- Jak tylko zjem. - Uśmiechnęła się anielsko, ale ro-  
biła to za każdym razem. Wolf wiedział, że mała łąze;  
mimo to podsunął jej puszkę.

Tym razem wzięła dwa ciastka.

- Naprawdę strzelałeś do moich stryjków?

- Tylko do jednego.

Wolf obawiał się, że ta wiadomość ją zmartwi, ale  
dziewczynka wzruszyła tylko drobnymi ramionkami.

- Tłumaczyłam naszemu szeryfowi, że babcia za-  
wsze powtarzała: „Oni są nic nie warci!” Ale on i tak  
mnie tu przysłał. Mówił, że „krew nie woda” i że nie-

ważne, czy są coś warcy, czy nie. I że jak się dało chłopakom babskie imiona, to trudno się dziwić, że mają pretensję do świata.

- Czy ty się mnie wcale nie boisz? - Wolf zaczynał podejrzewać, że mała istotka nie jest dzieckiem, tylko jednym z chochlików, które podobno grasują po lasach. Wyglądała najwyżej na trzy lata, ale pochwaliła się Molly, że ma już prawie sześć.

- Może bym się trochę bała... Takiego wielkoluda jeszcze nie widziałam - odparła. - Ale stryjek Orson powiedział, że nie ma się czego bać.

Wolf wydał westchnienie ulgi i uśmiechnął się.

- No, wreszcie do czegoś dochodzimy! Więc masz jeszcze jednego stryjka?

- Niby mam... - Wdrapała mu się na kolana i szepnęła: - Ale on nie jest taki jak tamci...

Wolf pomógł jej usadowić się w zagięciu swego ramienia.

- Naprawdę? Czym się od nich różni? - Im mniej przypominał znanych mu Diggerów, tym lepiej!

Dziewczynka przytuliła kędzierzawą główkę do jego piersi i ziewnęła.

- Bo ja wiem? Sam go zapytaj!

Wolf całkiem się odprężył. Sytuacja wcale nie była taka beznadziejna, jak mu się zdawało! Wystarczy skontaktować się z tym stryjkiem i odesłać małą pod właściwy adres! Może ten Orson wcale nie jest bandytą? Może nawet ma żonę i dzieci i chętnie przyjmie pod swój dach jeszcze jedno?

- Powiedz mi, dziecko, gdzie mieszka twój stryjek Orson?

- Ze mną! - odparła mała, której oczka się już kleiły. - Czasami tylko sypiał w stajni, kiedy babcia była



zła i krzyczała, że nie chce więcej słyszeć o żadnym stryjkę Orsonie! Ale nie było mu tam dobrze. Mówił, że nie przepada za sąsiedztwem była.

- A gdzie on jest teraz? - Wolf chciał koniecznie wydobyc z Callie Ann tę ważną informację, nim mała zaśnie. Mógłby wysłać telegram już o świcie.

- O, tam! Siedzi przy drzwiach. Nie ruszył się stamtąd, odkąd tu weszliśmy. Powiedział, że nie zrobi ani kroku dalej. - Dziewczynka tarła piąstką oczy. - Ale teraz jest za- nadto śpiący, żeby rozmawiać, więc go już nie wypytuj...

Wolf zagapił się na puste krzesło przy drzwiach, za- nim odrzekł:

- Przecież... - Urwał, bo nie było sensu mówić da- lej: dziecko już spało.

Ostrożnie przeniósł dziewczynkę na szeroką ławę pod oknem i przykrył swoją ciepłą kurtką.

- Dowiem się jutro - powiedział sobie i otulił dziec- ko. - Dobrej nocy, księżniczko!

Właśnie zaświtał nowy dzień. Wolf przekręcił się w fotelu, nogi spadły mu z biurka, a on sam poleciał do przodu. Łoskot własnych nóg uderzających w twar- de deski podłogi rozbudził go na dobre.

Przez chwilę wydawało mu się, że wczorajsze pery- petie z dzieckiem były także częścią snu. Kiedy jed- nak zawiniątko na ławie pod oknem zaczęło się krę- cić, zrozumiał, że to jednak jawa.

Przemknęła mu przez głowę myśl, że można by wy- ciągnąć Diggerów z więzienia i przerzucić na nich ten kłopot. Ale choć jako mordercy działali bardzo sprawn- ie i wydajnie, talentów pedagogicznych raczej im bra- kowało. Jak nie rabowali, to chlali. Carrell przechwa- lał się, że zabił kiedyś dziwkę za to, że wyciągnęła od

niego więcej forsy, niż była warta. A Francis dodawał, że odbili to sobie, sprzedając bękartą tej starej szmaty do Meksyku. Wolf pomyślał, że mogliby równie dobrze sprzedać za kilka dolarów Callie Ann.

Potrząsnął głową. Nie pozwoli, żeby do tych bydłaków dotarła nawet pogłoska o krewniaczce, która zjawiała się w Austin! Wykorzystaliby z pewnością taką informację do własnych brudnych celów.

Spojrzał na zegar. Za pół godziny te dranie powinny wisieć.

Spod kurtki wynurzyła się kędzierzawa, jasna główka. Okrągłe niebieskie oczy mrugały jeszcze sennie.

- Dzień dobry! - powiedział Wolf i pomyślał: Jaka ona śliczna. Ale ten, kto ją nauczył mówić, stanowczo przedobrzył sprawę. - Jesteś głodna?

Skinęła główką i zsunęła się z ławy.

- Ale najpierw muszę zrobić siusiu i umyć się, i uczesać włoski.

- Poradzisz sobie z tym wszystkim sama?

Potrząsnęła głową.

- A kto ci zawsze pomaga?

- Babcia. - Callie Ann skrzywiła buzię, jakby zaraz miała się rozpłakać. - Ale babcię włożyli do pudła i zakopali w ziemi... I następnego dnia rano szeryf namówił jednych państwa, żeby zabrali mnie z sobą do takiego dużego miasta... bo jechali tam pociągiem. Nie pamiętam, jak oni się nazywali.

Wolf podszedł do dziewczynki i wyprowadził ją na dwór.

- I co było dalej? - spytał, gdy szli już po ulicy.

Callie Ann zastanowiła się przez chwilę.

- I... jak dojechaliśmy do tego miasta, to mnie zaprowadzili na stację dylizansów... I poprosili inną panią,

nazywała się Murphy, żeby mogła przy niej usiąść w drodze do Austin, bo ona też tu jechała. I pani Murphy się zgodziła. A jak powiedziałam, że jestem głodna, to mi dała i jabłko, i chlebek z masłem i miodem.

Dziewczynce tak się spieszyło, że biegła przed Wolfem.

- Ale nie rozmawiałam z nią dużo. Stryjek Orson powiedział, żeby się nie zadawała z tą obłudną świętoszką.

- Stryjek Orson? - Wolf usiłował zebrać do kupy informacje zdobyte ubiegłej nocy na temat tego osobnika. - Jak powiedziałaś... gdzie on teraz jest?

- Nic nie mówiłam! - Obejrzała się do tyłu, za Wolfa. - Idzie za nami. Nie zobaczysz go, bo chowa się w cieniu. Nie lubi chodzić po słońcu.

Dotarli do drzwi sklepu Molly. Wolf poruszył klamką, a gdy to nic nie dało, zaczął się dobijać. Callie Ann przestępowała rozpaczliwie z nogi na nogę, wreszcie Molly otworzyła.

Przez sekundę spoglądała na Wolfa, potem popatrzyła na dziecko.

- Ja... My... - Wolf nie wiedział, jak prosić o pomoc w tej kłopotliwej sprawie. Ale do kogo innego mógłby się zwrócić?

Molly wzięła Callie Ann za rękę i uśmiechnęła się do niej.

- Rozumiem. Chodź ze mną, dziecinko.

Nim zniknęły na górze, Molly obejrzała się i mrugnęła porozumiewawczo do Wolfa.

Odpowiedział ponurym pomrukiem, jakby opieka nad dzieckiem ciążyła mu nieznośnie, ale gdy tylko Molly znikła, uśmiechnął się od ucha do ucha. Nieprawdopodobne: ta kobieta wstaje razem ze słońcem i całkiem je zaćmiewa! Jaka piękna! Tłumy adoratorów powinny koczować na progu Molly, by podziwiać ją o brzasku!

Do Wolfa doleciał z kuchni zapach kawy, zapuścił się więc za kotarę. Kościsty stary człowiek, którego Molly nazwała Ephraimem, siedział przy stole nakrytym dla dwóch osób. Był taki chudy, że ubranie wisiało na nim jak na kiju. Obejmował głowę cienkimi, pajęczymi rękami, na których odznaczały się sine, rozdęte żyły.

- Dzień dobry! - Starzec nie wydawał się zaskoczony wtargnięciem Wolfa; może nic nie mogło go już zdziwić?

- Proszę siadać. Kawy? - Ephraim podniósł się powoli, uruchamiając każdy staw oddzielnie.

- Dziękuję, chętnie! - Wolf spojrział na kuchenne krzesło; wątpliwe, by utrzymało jego ciężar. - Przepraszam, że zwałem się o tej porze.

- Spędziłem całe życie w służbie u Donivanów. Goście zawsze są u nich mile widziani. A raczej byli... do niedawna. Ostatnio mieliśmy wieczorową porą kilku takich, którym chętnie przyłożyłbym kijem!

Strażnik nie odzywał się. Czekał. Wiedział, że stary człowiek ma mu coś ważnego do powiedzenia. Ephraim szukał widać właściwych słów.

Drżącą ręką nalał gościowi kawy. Gdy wrócił na swoje krzesło, spojrział na Wolfa oczyma jasnymi jak źródłana woda.

- Molly nie powiadomi o tym ani was, ani nikogo innego, ale znalazła się w opałach... i to paskudnych. Nie mam pojęcia, z której strony może jej coś spaść na głowę.

Wolf objął kubek rękami. Ten stary nie wyglądał na takiego, co gada, byle gadać. Nie zaczęłby z nim tej rozmowy, gdyby nie uznał tego za konieczne.

- Dowiedziałem się o panu tego i owego, kapitanie. - Ephraim zniżył głos. - Szanują pana w tym mieście. Jest pan dla nich bohaterem; wiele się tu zmieniło na lepsze, odkąd pan przybył do Teksasu.

Wolf łyknął kawy.

- No więc co z tymi paskudnymi kłopotami?

Ephraim skinął głową z pełnym zrozumieniem dla skromności Wolfa. Za każdym mężczyzną, który brał udział w wojnie, wlokły się gorzkie wspomnienia i poczucie winy, nie pozwalając mu wbić się zbyt w pychę.

- Molly jest bojowa, zupełnie jak jej ojciec. Jak się źle dzieje, to jeden odwróci głowę i pójdzie dalej, a drugi zaraz musi pomagać. Ona właśnie taka jest: ciągle by tylko naprawiała świat, jakby to był jej obowiązek! Zupełnie jak jej ojciec! Nie zapomnę, jak po pierwszej bitwie w tej cholernej wojnie zobaczył rannych, którzy wlekli się albo pełzali z powrotem do Waszyngtonu. Nikt się o nich nie zatroszczył. Wszystkie ambulanse, wynajęte przez wojsko, zwiały po pierwszych strzałach. Ależ się wtedy generał wściekł! Wyglądał jak... jak anioł pomsty! Od razu oddał dla rannych swój powozik i zmusił wszystkich, którzy mieli zdrowe nogi, żeby zrobili to samo. - Ephraim roześmiał się. - Poobrażał wtedy sporo grubych ryb, ale uratował życie wielu ludziom!

Wolf pohamował ogarniające go zniecierpliwienie. On również brał udział w tamtej bitwie, tylko walczył po drugiej stronie. Południowcy utrzymywali, że to oni odnieśli zwycięstwo... Ale kiedy bój się skończył i jeden lekarz musiał wystarczyć na tysiąc żołnierzy, trudno było zachłystywać się takim zwycięstwem... Potem dowiedział się, że i armia Północy nie była lepiej przygotowana. Ranni błakali się po ulicach Waszyngtonu; zabrakło dla nich miejsca w szpitalach.

Tak, ale to już przeszłość. Jeśli Molly jest w opałach, powinien czym prędzej dowiedzieć się o wszystkim!

- Jak wpakowała się w te kłopoty?

Ephraim przełknął kawę z taką trudnością, jakby to były sanie fusy.

- Byliśmy tu ledwie od tygodnia, kiedy Molly zaczęła krucjatę przeciw typkom, które w ciemnych zaułkach handlują opium. Tłumaczyłem jej, że nic się nie da zrobić. Każdy ma prawo truć się czym tylko chce. Nikt nie ściga ani narkomanów, ani pijaków. A połowa tych, co wrócili z wojny, próbuje tak czy inaczej utopić złe wspomnienia.

- Powinna trzymać się z daleka od ciemnych zaułków. - Wolf aż się wzdrygnął na myśl o Molly przechodzącej obok melin, w których handlowano opium.

- Też jej to mówiłem! Ale...

Na schodach rozległy się kroki i rozmowa się urwała. Wolf zdążył wrócić do sklepu, nim Molly i Callie Ann zeszyły na parter. Dziecko puściło rękę Molly i podbiegło do drzwi. Otworzyło je i zamknęło z powrotem.

Kiedy dziewczynka odwróciła się do Wolfa, zobaczył, że ma czystą buzię i wściekłą minę. Wzięła się pod boki.

- Zostawiłeś go na ulicy! - wrzasnęła do kapitana. - Żeby mi się to nie powtórzyło!

Strażnik zmarszczył brwi i obejrzał się na Molly. Wzruszyła ramionami.

- Kogo zostawiłem na ulicy, księżniczko? - spytał rozwścieczone dziecko możliwie najspokojniejszym tonem.

- Stryjka Orsona! On nie lubi, żeby mu zamykać drzwi przed nosem!

Wolf uniósł krzaczastą brew. Nie zamierzał rozglądać się po pokoju za niewidzialnym stryjkiem.

Molly mrugnęła do niego porozumiewawczo.

- Kapitanowi jest bardzo przykro - zapewniła dziewczynkę. - Możemy zawrzeć znajomość z twoim stryjkiem?

- Nie! O tej porze on nie rozmawia z obcymi! - Callie

Ann była wyraźnie oburzona propozycją. - Chciałby usiąść, a nie ma krzesła!

Molly popatrzyła na Wolfa.

- No, kapitanie! Proszę się postarać o krzesło dla stryjka Orsona!

Wolf już otwierał usta, by zaprotestować. Nie będzie, do cholery, nosił krzesel dla niewidzialnych stryjków! Oczy Molly powiedziały mu jednak, by potraktował dziewczynkę poważnie.

- W kuchni jedno krzesło jest wolne - wymamrotał. - Niech tam siądzie i pogada sobie z Ephraimem.

Callie Ann rozsunęła kotarę i po chwili zniknęła za nią. Wolf spojrzął na Molly.

- Nie tylko spadła mi na łeb smarkula, która każe się tytułować księżniczką, ale jeszcze dorobiłem się niewidzialnego stryjka! - oznajmił gromkim szeptem.

Molly przykryła sobie usta obiema rękami. Ruchem głowy wskazała drzwi.

Wolf otworzył je przed nią i uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy wybiegła z drogerii, nie mogąc już powstrzymać wesołości. W ciszy poranka rozległ się wybuch śmiechu.

Wolf nie odrywał oczu od trzymającej się za boki Molly. Była jeszcze piękniejsza niż wczoraj. Ze splecionego na noc warkocza, sięgającego jej do pasa, wymykały się niesforne kędziorki i otaczały twarz Molly aureolą o barwie ciemnego miodu. W rozchyleniu szlafroka lśniła białą zapięta pod szyję nocna koszula. Wolf patrzył i patrzył... Oczy Molly iskrzyły się wesołością.

- Przepraszam! - powiedziała bez zbytnej skruchy. - Nie powinnam się śmiać z twojej niedoli, kapitanie. Ale musisz zrozumieć: to dziecko jest samo na świecie. Bardzo potrzebuje swego niewidzialnego stryjka.

Wolf potrząsnął głową.

- Nie uważam, żeby zachęcanie do dzikich fantazji dobrze małej zrobiło!

- Z pewnością jej nie zaszkodzi. Och, kapitanie! Proszę jej pozwolić na te fantazje... przynajmniej na razie, póki dziecko nie poczuje się znów bezpiecznie.

Wolf spojrzął na Molly. Nie należał do ludzi, którym wszystko można wmówić. Czarne to czarne, białe to białe! W realnym świecie nie ma miejsca na fantazje!

Teraz jednak, gdy patrzył na Molly, zrozumiał, że niczego jej nie potrafi odmówić.

- Jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej - powiedział unosząc brew - to niech stryjek Orson dalej się przy nas płacze.

- Mrugnął porozumiewawczo. - Byle nie gadał za dużo!

Jeszcze tego samego ranka, kiedy księżniczka pomagała Ephraimowi w gotowaniu, Wolf w wolnym pokoiku na górcie zbijał dla niej piętrowe łóżko. Wyżej miała spać Callie Ann, niżej - oczywiście! - stryjek Orson. Molly zgodziła się zatrzymać dziecko u siebie, póki Wolf nie skontaktuje się telegraficznie z szeryfem z Savannah w sprawie innego opiekuna, do którego będzie można odesłać małą. Kapitan zapewnił Molly, że nie potrwa to dłużej niż tydzień.

Odebrał także kufer z rzeczami Callie Ann, pozostawiony na stacji dyliżansów. I wówczas przekonali się, że nie tylko wszystkie ubranka są w najlepszym gatunku, ale na każdej części garderoby wyhaftowano starannie imię dziewczynki.

- A więc nie jest nikomu niepotrzebnym podrzutkiem! - szepnęła Molly, układając z powrotem dziecięce ubranka w kufrze. - Była otoczona czułą opieką... i to przez kogoś, komu nie brakowało pieniędzy.

Wolf wziął do ręki jedną z lalek, zapakowanych razem z ubrankami.



- No to dlaczego przysłano ją tu bez grosza i bez żadnego listu?! Wiem od innych strażników, że ta cała pani Murphy nie miała o niczym pojęcia. Powiedziało jej, że zgłosi się po małą Francis Digger; myślała podobno, że to będzie kobieta.

- Jestem pewna, że to jakieś nieporozumienie i że za kilka dni wszystko się wyjaśni. - Molly złożyła jeszcze jedno ubranko. - A do tego czasu z przyjemnością zatrzymam Callie Ann u siebie.

Wolf nie sądził, by problem dał się tak łatwo rozwiązać, ale wcale mu się nie spieszyło. Dziecko stanowiło doskonały pretekst do częstych spotkań z Molly. Kapitan wmawiał sobie, że chce mieć na nią oko ze względu na grożące jej niebezpieczeństwo, o którym ostrzegał Ephraim, ale, prawdę mówiąc, chciał się po prostu cieszyć towarzystwem kobiety, która przez tak długi czas była dla niego jedynie cudownym snem.

- Serdeczne dzięki za pomoc - powiedział, zastanawiając się, czy nie powinien zaproponować zapłaty za utrzymanie dziecka. Sądząc po wyglądzie mieszkania, Molly Donovan przydałoby się trochę pieniędzy. - Czy mógłbym się w jakiś sposób odwdziaczyć?

Molly oderwała się od odkurzania pokoju, przeznaczanego na tymczasową kwatery Callie Ann. Nerwowo przekładała ściereczkę z ręki do ręki. Podeszła bliżej do Wolfa, by jej słowa miały jak najkrótszą drogę do jego uszu.

- Owszem. Bardzo by mi się przydał prawdziwy przyjaciel - szepnęła. - Taki, na którego mogłabym liczyć w razie jakichś kłopotów. Pewnie proszę o zbyt wiele... znamy się przecież od niedawna. Jeśli mi odmówisz, kapitanie, nie będę miała pretensji. A dziecko zatrzymam, tak czy owak.

Wolf poczuł, że od dawna uśpione serce wyrывa mu

się z piersi. Zacisnął z całej siły ręce na ramie łóżka, inaczej porwałby Molly w objęcia.

- Tak, prawdziwa przyjaźń to naprawdę wielka odpowiedzialność.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pewnie wolałbyś się nią nie obarczać?

Dostrzegł w jej oczach niepokój, może nawet błysk paniki. Pragnął powiedzieć Molly, że całe jego życie należy do niej, ale takie nieoczekiwane wyznanie mogłoby ją przestraszyć.

- Będę zawsze twoim przyjacielem, Molly Donivan. W każdej potrzebie możesz na mnie liczyć.

- Nie wiesz nawet, kapitanie, w jakie kłopoty...

- Nieważne - odparł. - Umowa stoi.

Zmierzch zawsze budził w Molly obawę. Nie nocny mrok, w którym poruszały się niewidoczne kształty, nie jasny dzień, gdy niebezpieczeństwo objawiało się w całej swej grozie. Właśnie zmierzch, mglisty zmierzch, zacierający granice dobra i zła.

Molly stała w oknie drogerii i patrzyła, jak gaśnie dzień. Miała wrażenie, że tych kilka chwil pomiędzy dniem a nocą jest symbolem jej życia. Nie była już młodzieńcem dziewczęciem, które nie wiedziało jeszcze, co to miłość, ani też kobietą, która zaznała jej w pełni. Żyła jakby w zawieszeniu, pomiędzy jednym i drugim.

Molly przymknęła oczy i objęła dłońmi ramiona. Czy nie jest przypadkiem skończoną idiotką?

Przemknęły jej przez głowę wspomnienia z pierwszych dni wojny. Była wtedy taka młodziutka - miała zaledwie siedemnaście lat! Życie wirowało wokół niej w szaleńczym tempie; nie przypuszczała nawet, że ta zwariowana karuzela kiedyś się zatrzyma. Ojcu powierzono ważną funkcję w sztabie medycznym wojsk Unii. Molly przerwała na jeden semestr studia medyczne, by towarzyszyć mu w podróży i pracować u jego boku. Dała się ponieść ogólnemu podnieceniu, wpadła w wir Wielkiej Przygody.

A potem pewnego dnia na dworcu kolejowym, wśród setek wyruszających na front żołnierzy i powracających stamtąd rannych, znalazła jedyny punkt oparcia w tym burzliwym świecie. Powiedział, że ma na imię Benjamin, i pocałunkiem złączył ją ze sobą na całą wieczność.

Tak zrodził się sekretny świat Molly - pełen ufności i oczekiwań i marzeń o tym, co z pewnością się zdarzy. Mijał rok za rokiem. Każda strona jej dzienniczka była listem do ukochanego; zwierzała się Benjaminowi ze wszystkiego. Żyła marzeniami o człowieku, który pocałował ją jeden jedyny raz i szepnął jej tylko swoje imię.

Molly z trudem oderwała się od wspomnień. Wierzyła od tak dawna w miłość Benjamin, że chyba straciłaby rozum, gdyby musiała stawić czoło okrutnej prawdzie. Powiedział, że ją odnajdzie. Te słowa nadal dźwięczały jej w uszach. Z pewnością by ją odnalazł, gdyby żył!

- Molly? - głos Ephraima wyrwał ją ze snu na jawie. - Masz ochotę na kolację? Zrobiłem zapiekanek Z tego czegoś, co przekupka wtryniła mi jako kurczaka... choć z rozmiarów przypomina to raczej wróbla.

- Przyjdę za chwilę - odpowiedziała, zaciągając firanczkę w drzwiach sklepu. Pomyślała o zamknięciu ich na klucz, ale doszła do wniosku, że nie warto. Mieszkań-

cy miasta i tak sądzili, że są zamknięte na cztery spusty. Tak przynajmniej można było wnioskować z liczby pojawiających się w sklepie klientów. Jak dotąd, większość zamówień pochodziła ze szkoły dla niewidomych oraz stanowego zakładu dla obłąkanych. Obie instytucje chętnie składały u Molly zamówienia na mikstury i maści, gdyż innym właścicielom drogerii i aptek nie chciało się odbywać dwa razy w tygodniu uciążliwej podróży i łudzić nadzieją, że kiedyś otrzymają zapłatę.

- Nie zaczekamy na kapitana Haywarda? - odchrząknął Ephraim, jakby chciał stłumić atak kaszlu. - Obiecał, że wróci za kilka godzin. Pomyślałem, że zjawi się akurat na kolację. Mężczyzna tej postury chyba nieczęsto zapomina o posiłkach.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli na niego czekać. Nie zamknę drzwi na klucz... na wypadek, gdyby się zjawił. Sądzę jednak, że kapitan ma zbyt wiele spraw na głowie, by pamiętać o nas. - Molly uniosła nieco brodę. - Zabierzcie się już z Callie Ann do kolacji. Ja powinnam jeszcze to i owo zrobić; niebawem się do was przyłączę.

Podeszła do lady, przy której pracowała, i zaczęła sprzątać, ustawiając we właściwym porządku buteleczki i pudełka z proszkami. Zza kotary dolatywały do niej głosy Ephraima i Callie Ann. Uśmiechnęła się, stwierdziwszy, że Ephraim nie ma żadnych trudności w nawiązaniu kontaktów z niewidzialnym stryjkiem. Gawędzili z Orsonem jak starzy przyjaciele.

Molly przysunęła sobie moździerz i tłuczek i zaczęła ucierać kryształki antymonu i winianu potasu, by zrobić z nich środek wymiotny. Wiedziała, że każdy przechodzący koło jej sklepu doktor z chęcią zaopatrzy się w kilka porcji tego specyfiku, by mieć je w podręcznej torbie.

Jak dotąd, lekarze wpadający do jej drogerii zlecali Molly przygotowanie najprostszych leków. Przyjmowała ich zamówienia, bolejąc w duchu nad tym, że nie mają do niej więcej zaufania. Stykała się przecież z problemami medycznymi od dziecka i miała za sobą dwuletnie studia w tej dziedzinie. Ucierając kryształki, Molly mówiła sobie, że z pewnością lepiej się zna na medycynie niż wielu doktorów, którzy traktowali ją pogardliwie.

Od czasu wojny szkoły dla lekarzy wyrastały jak grzyby po deszczu. Niektóre z nich robiły złote interesy na pospiesznym fabrykowaniu niedouczonych medyków. Miały do zaoferowania studentom tylko cztery miesiące fachowego szkolenia; na pierwszym i na drugim roku studiów program wykładów był taki sam. A potem rozdawano dyplomy absolwentom, którzy nigdy w życiu nie badali pacjenta.

- Dobry wieczór!

Molly podniosła wzrok i zdumiała się, ujrawszy stojącego w niewielkiej odległości Wolfa. Nie słyszała otwierających się i zamykanych drzwi. Kapitan zjawił się bezszelestnie jak powiew ciepłego wiatru.

- Widzę, że odniosłaś walne zwycięstwo, Molly: udało ci się zetrzeć skałę na proch! - Wolf uśmiechnął się, a jego broda zafalowała. Oparł się o ladę tak blisko Molly, że prawie dotykał jej ramienia.

Odłożyła tłuczek i oparła dłonie o marmurowy blat, starając się zachować spokój.

- To ostatnie zamówienie, które miałam wykonać. - Nie przyznała się jednak, że podczas pracy błądziła myślami gdzie indziej, a teraz bliskość Wolfa wytrąca ją z równowagi.

Zwalisty kapitan skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie przeszkadzaj sobie. Mogę zaczekać. ,

Molly odgarnęła nieposłuszny kosmyk włosów za ucho.

- Nie, nie! Na dziś już koniec. - Polubiła kapitana, ale dziwnie ją niepokoił. Nie dlatego, że był uzbrojony po zęby; nie z powodu brody i długich włosów. Nawet jego ogromna postać nie budziła w niej strachu, wręcz przeciwnie: dawała poczucie bezpieczeństwa. Niepokoił Molly wyłącznie sposób, w jaki ten człowiek na nią patrzył. Gapił się tak, jakby była pierwszą kobietą, jaką widział w życiu. - Wpadłeś pewnie zobaczyć Callie Ann, kapitanie? - Starła się mówić obojętnym tonem.

- I ciebie - odpowiedział ze szczerością, która zaskoczyła ich oboje.

Molly przymknęła oczy; z przykrością pomyślała o słowach, które będzie musiała zaraz wypowiedzieć. Ileż to razy zniechęcała nimi innych mężczyzn... tych, którzy chcieli się z nią ożenić, i tych, którzy mieli ochotę na jedną upojną noc. Zawsze ich powstrzymywała, zanim się zagalopowali. Nie chciała mieć do czynienia z mężczyznami. Ani z tamtymi, ani z tym krzepkim strażnikiem. Oddała swe serce dawno temu, na kolejowym peronie. Teraz nie miała już nic do zaoferowania.

- Czekająś na mnie z obiadem?

Wolf zaskoczył ją tym pytaniem. Kiedy podszedł do niej, myślała, że chodzi mu o coś więcej niż o obiad.

Uśmiechnęła się, ubawiona własną naiwnością. Oczywiście, kapitan chciał sprawdzić, jak się miewa Callie Ann, a potem zjeść obiad z Molly, jak obiecał. Nie miał nic innego na myśli! Nic dziwnego: nie była przecież żadną pięknotką, obleganą przez tłumy wielbicieli, tylko zwykłą starą panną! Jeśli ktoś jadł obiad w jej towarzystwie, z pewnością myślał więcej o obiedzie niż o niej.

- Może zabierzemy Callie Ann... i Ephraima, jeśli

będzie miał ochotę, i wybierzmy się całą paczką do Nomy? - zaproponował Wolf.

Usłyszawszy własne imię, Ephraim wysunął się zza kotary, zasłaniającej pomieszczenia na zapleczu. Był taki chudy, że zasłona prawie nie drgnęła.

- Dziękuję za zaproszenie, kapitanie, ale jestem zbyt zmęczony na wypad do miasta. Chyba się wcześniej położę. A Callie Ann zasnęła przy stole. Nasza księżniczka miała dziś długi dzień!

Wolf spojrzął na Molly.

- Zaniosę ją na górę, położę do łóżka i zmykam. Bardzo mi przykro, że przyszedłem zbyt późno. Mieliśmy dziś po południu różne kłopoty.

- Wcale pan nie przyszedł zbyt późno, kapitanie! - odezwał się nieproszony Ephraim, nie zważając na to, że Molly marszczy brwi. - Molly jeszcze nie jadła kolacji, a obawiam się, że z mojej zapiekanki niewiele zostało. Sami rozumiecie, przybył nam dodatkowy stółownik, stryjek Orson.

- Nie mogę przecież zostawić... - zaczęła Molly.

Ephraim przerwał jej:

- Nie wykręcaj się! Dobrze ci zrobi, jak wyjdiesz na godzinkę ze sklepu. Jeśli mała się zbudzi, na pewno ją usłyszę!

Nim Molly uświadomiła sobie, jak do tego doszło, szła już ulicą wsparta na ramieniu Wolfa. Obiad z kapitanem nie był niczym szczególnym, ale Molly zaszokowała łatwość, z jaką Ephraim przeszedł do nieprzyjacielskiego obozu. Zrobił dosłownie wszystko z wyjątkiem przyczepienia jej tabliczki z napisem: „Samotna panna do wynajęcia"! Kapitan Hayward pomyślał z pewnością, że jego towarzyska musi być przypadkiem beznadziejnym, jeśli jej najstarszy przyjaciel, z subtelnością „szcze-

kacza" zachwalającego atrakcje przed cyrkową budą, namawiał ich oboje do wspólnego wyjścia! Czy nie prościej byłoby, gdyby stanął na środku Congress Avenue i wrzasnął: „Panna do sprzedania! Trochę przechodzona, za to nie przebierna!”

- Bardzo przepraszam za wyskok Ephraima - zaczęła. - Może wolałbyś zjeść obiad sam, kapitanie?

Wolf zwolnił kroku; po chwili odrzekł:

- Wolałbym z tobą, Molly... jeśli ci to odpowiada.

Rada była z ciemności, bo poczuła, że oblewa się rumieńcem.

- Bardzo mi to odpowiada. Tylko pozwól, że tym razem ja zapłacę: tak będzie sprawiedliwie.

Zatrzymał się tak raptownie, że o mało się nie przewróciła. Stanął przed nią w rozkroku, jakby się szykował do walki.

- Zaprosiłem cię na obiad, Molly Donivan, i ja będę płacił! Wyświadczyłaś mi dziś ogromną przysługę, zajmując się księżniczką. Nie znaczy to jednak, że chcę się za to zrewanżować obiadem! - Olbrzym spojrzął z niepokojem na kilku przechodniów, którzy zaczęli się na nich gapić. Ściszył głos i zdał sobie sprawę, że odezwał się do Molly stanowczo za ostro. - To dla mnie wielki zaszczyt, że zgodziłaś się pójść ze mną na obiad.

Odchrząknął. Molly wcale by się nie zdziwiła, gdyby oznajmił: „Wniosek odrzucony!”

Taka gwałtowna reakcja mogłaby odstraszyć niejedną kobietę, ale Molly poczuła się od razu swobodniej. Wsunęła Wolfowi rękę pod ramię.

- Dziękuję, kapitanie. Proszę mi wybaczyć nietakt i uwierzyć, że to dla mnie również zaszczyt mieć takiego przyjaciela!

- No to załatwione. Ja płacę.



Muskuły miał tak twarde, że wprost trudno było uwierzyć, iż to żywe ciało. A jednak Molly była pewna, że Wolf nigdy nie wyrządziłby jej krzywdy.

- Jeszcze tego pożałujesz, kapitanie! Jestem głodna jak wilk!

Roześmiał się i żwawym krokiem ruszyli do kawiarni. Śmiech Wolfa - podobnie jak on sam - był szczery, ciepły i przyjazny. Tym razem mniej osób niż wczoraj przestało jeść i zaczęło się na nich gapić. Kelnerka posadziła ich nie pośrodku sali, lecz z boku, przy oknie. Molly nie czuła się już jak na scenie i odprężyła się. Kogo to w końcu obchodziło, że przez dwa wieczory pod rząd jadła obiad w towarzystwie strażnika?! Jako córka generała Molly przeważnie była obserwowana i obgadywana. Odczuła ulgę, że mogła wtopić się w tłum.

Nagle okazało się, że oboje z Wolfem mają sobie mnóstwo do powiedzenia. Molly sypała anegdotkami o Callie Ann. Wolf opowiadał o kłopotach zawodowych. Diggerowie wymigali się od szubienicy: zjawił się nowy świadek, który przysiągł, że obaj bracia znajdowali się w jego towarzystwie w czasie, gdy dokonywano napadu na dylizans. Nikt (prócz Diggerów) nie chciał mu wierzyć, ale sędzia orzekł, że warto sprawdzić tę wersję.

Były również doniesienia o zamieszkach na granicy. Kilku młodych strażników aż się rwało do wzięcia udziału w tej awanturze. Wolf wiedział, że jeśli się tam wybiorą, będzie musiał pojechać i on, by uważać na tych młokosów. Teraz, cztery lata po wojnie, gwiazdzistą odznaką strażnika otrzymywali ludzie, którzy nigdy nie brali udziału w bitwie. Byli to wspaniali młodzi Teksańczycy, karmieni od dzieciństwa opowieściami o bohaterach wojny secesyjnej, wychowani w ciężkich warunkach, obeznani od małego z bronią. Musieli jednak

niejednego się nauczyć, jeśli chcieli zostać przy życiu.

- ...A jakby tego wszystkiego było za mało - powiedział Wolf, uporawszy się z szóstym kawałkiem placka - sędzia oświadczył mi, że ponieważ Diggerowie nadal żyją, trzeba ich powiadomić o przyjeździe bratanicy. Dał mi kilka dni na odnalezienie innego krewniaka malej. Ale jeśli nikt się nie znajdzie, a Diggerowie nadal będą wśród żywych, to oni mają decydować o losie Callie Ann.

Nie dbając o to, czy ktoś na nich patrzy, Molly nakryła dłonią rękę Wolfa.

- Nie możemy na to pozwolić! Trzeba coś koniecznie zrobić! To dziecko było zawsze zadbane, kochane... nawet rozpieszczane. Nie może teraz wpaść w łapy dwóch opryszków!

Wolf wpatrywał się w ciepłe paluszki, obejmujące serdecznie jego rękę. Bał się poruszyć, a nawet odetchnąć.

- Na pewno coś wymyślimy! - powiedziała Molly. Miała wrażenie, że pod jej dotknięciem ręka Wolfa zmieniła się w kamień.

Wyprostowała się, zażenowana swym impulsywnym gestem. Nie miała przecież zwyczaju czynić mężczyznom awansów! Nie czuła żadnego pociągu do kapitana Haywarda! Zawsze zachowywał się nienagannie i nie proponował jej nic poza przyjaźnią... a ona postawiła go w głupiej sytuacji! Złożyła ręce na kolanach i wbiła w nie wzrok.

- Molly? - spytał kapitan. - Co się stało?

- Ależ nic. - Wstydziła się spojrzeć mu w oczy. Była przecież za stara na to, by trzymać się za rączkę w publicznym miejscu z mężczyzną, którego dopiero co poznała! Ojciec wymagał od niej zawsze nienagannego zachowania... a ona sprzeniewierzyła się tym zasadom.

Wolf siedział bez ruchu, jakby przysiągł sobie, że

nie wyjdzie stąd, póki nie otrzyma wyjaśnienia. Molly czuła na sobie jego wzrok, ale duma nie pozwoliła jej powiedzieć nic więcej. Przystanąła koło nich kelnerka i spytała, czy chcą jeszcze placka. Uniosła brwi, gdy Wolf odmówił dokładki.

Molly złożyła serwetkę.

- Powinnam już wrócić do domu. - Wstała.

Wolf zerwał się również. Zapłacił, podał Molly ramię i wyszli z lokalu. Molly wsparła się na jego ramieniu, ale nie szła tak blisko jak ubiegłej nocy. Była też wyraźnie spięta.

- Co się stało? - spytał ją znowu, gdy byli już sami. - Tylko mi nie mów, że nic! Rozmawialiśmy ze sobą... Wspaniale nam się rozmawiało, nigdy w życiu nie rozumiałem się tak z żadną kobietą... i nagle nie chcesz na mnie nawet spojrzeć!

W jego głosie było tyle bezradnej rozpaczyny... Pod tą górą mięśni i szopą włosów ukrywał się mały, nieszczęśliwy chłopczyk. I on właśnie poruszył Molly tak, jak żaden mężczyzna nie mógłby tego zrobić.

- To wyłącznie moja wina! Jeszcze nigdy nie zachowałam się tak wyzywająco... Mam nadzieję, że nie zrozumiałeś opacznie moich intencji.

Wolf przeszedł kilka kroków w całkowitym milczeniu. Molly słyszała stuk swoich obcasów, ale on poruszał się bezszelestnie w mokasynach.

Nagle skręcił w bok i pociągnął Molly w absolutną ciemność między dwoma budynkami. Wydała cichy okrzyk, gdy jej plecy zetknęły się z drewnianą ścianą jakiegoś sklepu. Czuła ciepło bijące od Wolfa; stał tuż przed nią, w odległości zaledwie jednego cala.

Serce jej podeszło do gardła, ale nie poruszyła się. Zaskoczyło ją to, że nie obawia się Wolfa. Jego blis-

kość nie była groźna, lecz opiekuńcza. Molly zorientowała się, że chce jej coś powiedzieć i nie może znaleźć słów. Czekwała cierpliwie, pojmując, że Wolf czuje się znacznie pewniej pod osłoną ciemności.

- Potrafię odczytać trop sprzed tygodnia, nawet po deszczu...

Gdy mówił, czuła jego oddech na policzku.

- Poznam od razu z twarzy, jak mi ktoś łże, a po oczach, że zaraz wyciągnie gnata...

Nawet wytężając wzrok nie mogła dostrzec konturów jego postaci, czuła jednak ciepło jego ciała i była w pełni świadoma jego bliskości.

- Nie miałem w życiu wiele do czynienia z kobietami... ale przysięgam ci, Molly, że nigdy nie zrozumieję opacznie tego, co powiesz albo zrobisz.

- Ale nie chcę, żebyś myślał...

- Czego mianowicie? Ze zachowałaś się wyzywająco? Dotknęłaś tylko mojej ręki, Molly. Chyba to normalne między przyjaciółmi?

Odetchnęła głęboko i odprężyła się.

- Ależ tak! Masz rację, kapitanie! - A zatem znowu (jak mawiał jej ojciec) zrobiła z igły widły. - Pewnie myślisz, że jestem bardzo głupia?

Wolf nagle się roześmiał.

- Nie, wcale nie myślę, że jesteś głupia! Chciałbym tylko, żebyś się trochę odprężyła, bo i mnie by ulżyło. Myślisz pewnie, że jestem obyty w świecie... ale jeśli chodzi o kobiety, to niewiele o nich wiem.

Molly nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Nigdy, ani przez chwilę, nie uważała Wolfa za „obytego w świecie"! Był z natury wilkiem-samotnikiem, tak jak ona była stworzona na starą pannę... podobnie jak jej obie ciotki z Filadelfii. Miała wrażenie, że spotkało się

dwoje ludzi, którzy nigdy nie mogli *znaleźć* sobie partnera do tańca... i oto mają całą salę balową dla siebie!

- Zatańczymy, kapitanie? - zachichotała Molly i wyciągawszy ręce, oparła dłonie na jego ramionach.

Jeśli Wolf pomyślał, że zwariowała, nie dał tego po sobie poznać. Objął ją w pasie, uniósł nad ziemią i zaczął z nią wirować w ciemności. Nawet jeśli brakowało mu gracji, nadrabiał to energią.

Po raz pierwszy od śmierci ojca Molly poczuła się młoda. Parsknęła śmiechem w otaczający ją nocny mrok.

Potem, śmiejąc się nadal i zataczając jak pijani, dotarli do sklepu Molly.

Wolf wyciągnął już rękę, by otworzyć drzwi, ale Molly powstrzymała go ruchem dłoni, nim dotknął klamki. Spojrzał na nią zbity z tropu.

Wskazała mu oczyma, o co chodzi: zapatrzyli się w czerwoną kroplę, spływającą z górnej części drzwi.

Kapitan wyciągnął znów rękę, dotknął kropli, a potem podniósł palec do nosa.

- To farba! - szepnął.

Oczy Molly powoli oswajały się z ciemnością. Nadal wpatrywała się w drzwi, na których wielkimi literami wypisano: *Wynocha albo zdychaj!*

## 5

Molly przyglądała się, jak Wolf ostrożnie otwiera pomazane farbą drzwi i z coltem w garści wślizguje się do wnętrza. Ruszyła za nim, wstrzymując dech.

Powitała ich grobowa cisza. W sklepie nie było ni-

kogo. Od barwnych buteleczek na ściennych półkach odbijało się światło z ulicy i na ciemnym tle rozbłyskiwały maleńkie tęcze. Z półmroku wypełzły na spotkanie Molly wonie, znane jej od dzieciństwa.

Wolf schował rewolwer równie bezszelestnie jak go wydobył. Wskazał ręką pięterko. Molly zrozumiała, o co mu chodzi. Chciał, by sprawdziła, czy z Callie Ann wszystko w porządku.

Gdy wróciła na dół, Wolf stał u podnóża schodów, plecami do niej. Nie poruszył się, ale Molly była pewna, że zdaje sobie sprawę z jej obecności.

- Śpi spokojnie - szepnęła.

- Ephraim też. Chrapie jak najęty! - odparł Wolf nieco cichszym głosem, który prawdopodobnie uważał za szept.

Sądziła, że jako policjant zacznie jej zadawać pytania, by wyjaśnić sprawę. Musiałby być ślepy, żeby nie dostrzec, że wpadła w jakieś tarapaty.

Powiedział jednak po prostu:

- Jak mam ci pomóc?

Molly przysiadła na drugim schodku od dołu i oparła brodę na rękach.

- Sama nie wiem... Ktoś chce mnie stąd wykurzyć. Może dlatego, że jestem Jankeską... Może dlatego, że jestem kobietą... A może psuję komuś interesy? Wiem tylko, że ktoś chce się mnie pozbyć od samego początku.

- Naprawdę nie wiesz, kto to taki? - Wolf usiadł na trzecim schodku, tuż nad nią. Dotknął kolanem jej ramienia, ale oboje udali, że tego nie dostrzegają.

- Co najmniej połowa osób, z którymi zetknęłam się w Austin! Już pierwszego dnia, kiedyśmy się tu wprowadzili, zaczęły się zawołowane aluzje i różne przytyki. Ale przecież nie chodzi tylko o słowa! Czu-

ję się tu obca, niepożądana. Ktoś nawet napomknął, że kaszel Ephraima może być zaraźliwy! Wyprowadziłam ich z błędu. Mija już miesiąc, a zamiast tabliczki z napisem „Otwarte” mógłby widnieć na moim sklepie napis: „Uwaga, dżuma!”. Odkąd zapowiedziałam otwarcie, że będę walczyć z handlem opium w Austin, zaczęły się wyraźne pogróżki. Musiałam już nieraz wstawiać szyby i zmywać farbę z chodnika przed domem i z tylnych drzwi. Ale jeśli sądzą, że takimi szykanami zmuszą mnie do wyjazdu, to się grubo mylą!

Wolf położył jej leciutko rękę na ramieniu.

- Miałem nadzieję, że coś takiego zdarzyło się dziś po raz pierwszy... Że ktoś chciał idiotycznym żartem zwrócić na siebie uwagę.

Molly potrząsnęła głową.

- Wiem tylko tyle, że ktoś próbuje mnie wysadzić z siodła. Może zresztą chodzi o coś więcej? Pogróżki nie dotyczyły Ephraima... ani nawet sklepu.

Wolf oparł się o wyższe stopnie i spytał urzędowym tonem:

- Czy ma pani jakichś wrogów, panno Donivan?

Molly roześmiała się.

- Więcej niż pan przypuszcza, kapitanie Hayward! Nawet moje dwie podstarzałe ciotki odgrażały mi się przed kilkoma miesiącami, gdy oznajmiłam o moim wyjeździe do Teksasu.

Kiedy Wolf nie odpowiedział uśmiechem, Molly dookończyła:

- Zagroziły, że przyjadą z wizytą!

Odprężył się nieco.

- Ale pomówmy serio - ciągnęła Molly. - Mój ojciec nieustannie walczył w imię jakiejś idei, nawet przed wojną. Stawałam zawsze po jego stronie. Po jego śmier-

ci sporo dżentelmenów z Filadelfii chciało się ze mną ożenić, żeby zarządzać moimi interesami. Kiedy im odmówiłam, kilku z nich przepowiadało grobowym głosem, że nigdy sobie sama nie poradzę. - Potrząsnęła głową. - Wątpię jednak, żeby któryś z nich chciał tłuc się za mną aż do Teksasu, by się na mnie zemścić.

- Ojciec zostawi ci w spadku duży majątek? - spytał Wolf.

Molly przymknęła oczy. Czuła, że jej odpowiedź zawąży na ich przyjaźni. Mężczyźni zawsze deklarowali, że nie ma dla nich najmniejszego znaczenia, czy kobieta jest zamożna, czy nie. Molly jednak przekonała się na własnej skórze, że to wierutne kłamstwo.

- Mój ojciec nigdy nie dorobił się majątku. Wystarczył mu żołnierski żołd. Zostawił mi w spadku kilkadziesiąt dolarów, które wydałam na podróż do Teksasu - odparła. Usiłowała przekonać samą siebie, że mówi szczerą prawdę. W końcu Wolf nie pytał, ile pieniędzy odziedziczyła po matce!

- Nie wiesz, dlaczego chcą cię stąd koniecznie usunąć? Może wcale nie idzie o ciebie, tylko o tę posesję?

- Wobec tego musiałyby to być pan Miller! Zaproponował, że odkupi ode mnie sklep, bo chce rozbudować swój zakład. Zdaje się, że zapotrzebowanie na trumny w Austin ciągle rośnie!

Wolf pochylił się ku niej i przesunął lekko dłonią po jej ramieniu. Ciepło jego ręki przeniknęło przez suknię i Molly poczuła je na skórze.

- Nie martw się - pocieszył ją. - Na pewno się z tym uporasz. Może to tylko głupie żarty i na tym się skończy.

Molly oparła się o jego nogę tak swobodnie, jakby robiła to od lat.

. - Jak to dobrze, że mogę z kimś o tym pogadać!



W rozmowach z Ephraimem zawsze starałam się bagatelizować te pogrożki. Nie jest zdrowy i zdenerwowanie mogłoby mu jeszcze zaszkodzić.

- Zauważyłem, jak bardzo jest chory. - Wolf dotknął karku Molly, jego palce sunęły bez pośpiechu po jej odsłoniętej szyi między kołnierzem a upiętymi w kok włosami. - Dziś rano, kiedy się rozkasłał, widziałem krew na jego chustce. Starał się ją ukryć przed tobą i przed dzieckiem.

Molly oparła się brodą o jego kolano.

- Nie miałam pojęcia, że znów pluje krwią... Mówił, że czuje się lepiej i że krwotoki ustały - szepnęła raczej do siebie niż do Wolfa. - Poza Ephraimem nie mam nikogo na świecie. Ciotki oświadczyły, że umywają ode mnie ręce, jeśli wyjadę bez ich pozwolenia. Czuję się taka samotna... Ephraim nie ma już siły, by walczyć przy mym boku.

Płacz ścisnął ją nagle za gardło i łzy polały się z oczu.

- Może nie powinnam była upierać się przy tym wyjeździe na zachód - mamrotała z płaczem. - Myślałam, że zmiana klimatu przedłuży mu życie... Choćby o kilka tygodni, kilka dni! Nie myślałam, że znajdziemy się w takich opałach...

Na Wolfa runęła lawina splątanych uczuć. Zmagał się ze sobą, by nie chwycić Molly w ramiona. Myślał o niej zawsze, a teraz miał ją tak blisko... Nie musiała mówić, że jej najdroższy przyjaciel umiera, Wolf sam to wyraźnie widział.

Przytuliła się twarzą do jego nogi. Jej milcząca rozpacz wstrząsnęła nim.

- Nie mogę wrócić do dawnego życia w Filadelfii - szeptała - a tutaj też nie ma dla mnie miejsca...

Smutek w głosie Molly uprzytomnił Wolfowi jego

własną samotność. Nie był w stanie dłużej trzymać się od niej na dystans!

Gwałtownie chwycił ją w objęcia i mocno przygar-  
nął. Gotów był dla tej dziewczyny na wszystko, a te-  
raz nie wiedział, jak jej pomóc...

Przyłgnęła twarzą do jego piersi i łkała cichutko; tak  
rozpaczliwie nie płakała od śmierci ojca. Wszystkie jej  
marzenia - o zamieszkaniu w Teksasie, wyleczeniu Eph-  
raima, rozpoczęciu nowego życia - waliły się w gruzy.

Wolf tulił ją w ramionach. Wiedział, że wspomnienie  
tej chwili i bliskości Molly wyryje się na zawsze w jego  
pamięci. Mówił sobie, że nie wolno mu jej tknąć. Musi  
pozostać wyłącznie jej przyjacielem. Tak będzie naj-  
lepiej! W życiu Molly nie było dla niego miejsca. Gdyby  
dowiedziała się, kim jest, pewnie by go znieawdziła...

Ale w tym momencie Molly potrzebowała go. Był jej  
niezbędny tak jak jeszcze nigdy i nikomu. Potrzebowała  
jego bliskości - nie jako kochanka, lecz jako przyjaciela.

Czy zdoła spełnić jej oczekiwania? Być przyjacie-  
lem... i niczym więcej?

Może to kara boska za to, że nie wrócił do niej po  
wojnie? Mówił sobie wówczas, że to przecież niemoż-  
liwe... ale może należało iść za głosem serca, nie dumy?  
Gdyby po zakończeniu wojny odnalazł Molly, może  
zdołałaby go zrozumieć? Może nawet uwierzyłaby, że  
postępował zgodnie ze swym sumieniem, walcząc po  
stronie Południa, szpiegując, kłamiąc?

Przytknął dłoń do policzka Molly. Jej gorące łzy  
spływały mu po palcach.

- Jestem przy tobie, Molly. Jestem przy tobie.

Chyba go nie słyszała.

Kołysał ją delikatnie w ramionach i uśmiechał się.  
Za kilka minut będzie znowu sztywna i poprawna;

pewnie zacznie się usprawiedliwiać, że dała się ponieść emocjom. A on spróbuje ją przekonać, że to nie ma znaczenia. Że on i tak zawsze będzie przy niej.

Rozpaczliwy płacz przeszedł w pochlipywanie, ale Molly nie odsunęła się od niego. Wręcz przeciwnie: usadowiła się wygodnie w jego objęciach. Wolf chciał się odezwać, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć. Doszedł do wniosku, że lepiej siedzieć cicho, niż chlapanąć jakieś głupstwo. Nie musiał tłumaczyć Molly, że wszyscy umierają. Wiedziała o tym aż za dobrze, tak samo jak on. Przypominanie o tym, że Ephraim jest stary, wydawało mu się niedelikatne, a wszelkie wzmianki o niebie przedwczesne, zważywszy, że jej przyjaciel chrapał w najlepsze w pokoju obok.

Obejmował więc Molly delikatnie, gotów ją wypuścić z objęć, kiedy tylko tego zapagnie. Ona zaś mościła się na jego piersi jak kotek w koszyku. Wyższy stopień wżynał się Wolfowi w plecy, ale prawie tego nie zauważał.

W końcu Molly wyprostowała się i wygładziła mu palcami koszulę, mokrą od jej łez.

- Coś mi się zdaje, że to nie było już tylko trzymanie się za rączkę, kapitanie!

Wolf zdjął dziewczynę ze swych kolan i posadził ją na schodku obok siebie.

- Mam nadzieję, że nie zrozumiałaś opacznie moich intencji.

Molly uśmiechnęła się.

- Nie potrafię odczytać nawet całkiem świeżego tropu i z pewnością nie poznam po oczach, że ktoś kłamie... Ale możesz mi wierzyć, kapitanie: nigdy nie będę wątpić w twoje dobre intencje!

Położyła rękę na jego dłoni tak samo jak „U Nomy”.

- Dziękuję!

- Bardzo proszę - odparł Wolf.

Przyzwyczajamy się do siebie, pomyślał. Nie tylko do rozmów i wymiany myśli, ale do fizycznej bliskości. Obserwował nieraz zakochane pary. Były jak zgrany zaprzęg: poruszały się w jednym rytmie, szły jednym krokiem...

On sam nigdy nie zaznał takiej harmonii z kobietą.. aż do tej chwili.

Za oknami drogerii, wychodzącymi na ulicę, mignęła ręczna latarnia, potem jeszcze jedna, i jeszcze... aż wreszcie powstał świetlisty łańcuch. Ulicą sunęło coś w rodzaju wielkiej, jaśniejącej stonogi.

Wolf zmusił się do tego, by wstać.

- Wygląda na to, że będziemy mieli gości.

Molly powstrzymała go delikatnym gestem.

- Pozwól, że sama się tym zajmę - szepnęła. - Zostań tam, gdzie jesteś, póki nie będę potrzebowała twojej pomocy.

Nie wypowiedziane słowa utknęły mu w gardle. Molly nie miała pojęcia, jak brutalni bywają ludzie w tych stronach. Jedna kobieta chciała stawić czoło tuzinowi mężczyznom, atakujących jej dom? Pragnął ją osłonić, ale skinał tylko głową, nie dowierzając własnemu głosowi.

Stał niewidoczny w cieniu schodów, gdy Miller, przedsiębiorca pogrzebowy, otworzył drzwi. Niepozorny człeczyna wpuścił do sklepu pozostałych mężczyzn z tak oficjalną miną, jakby z ramienia rady miejskiej witał ich na zgromadzeniu obywateli Austin.

Wolf cofnął się jeszcze głębiej w mrok, skąd mógł wszystko obserwować i wynurzyć się w każdej chwili, gdyby Molly go potrzebowała.

Ujrawszy właścicielkę sklepu, Miller skinał głową jej, a następnie swym kompanom, jakby mówił: „Otóż i ona!”

- Jest pani tutaj? Doskonale!

Wolf nie mógł wyjść z podziwu: Molly z takim spokojem stawiała czoło tej zgrai! Była nieodrodną córką swego ojca.

- Sklep jest zamknięty - zaczęła Molly. - Przykro mi, dżentelmeni, ale muszę was wyprosić.

Jest w błędzie, pomyślał Wolf. Nie ma wśród nich ani jednego dżentelmena!

- Nie zjawiamy się tu jako klienci, panno Molly, tylko w całkiem innej sprawie - powiedział przedsiębiorca pogrzebowy, a w jego głosie dało się wyczuć lekkie zdenerwowanie.

- Gadaj od razu, o co chodzi - rzucił nieznajomy mężczyzna, ubrany na czarno. Pod jego płaszczem rysował się wyraźnie kształt strzelby, na butach pobrękiwały ostrogi.

Miller wysunął brodę do przodu.

- No, tak... - Zrobił krok w stronę Molly. - Przyszliśmy tu prosić, żeby pani wyjechała z Austin.

- Ależ ja nie... - zaczęła Molly.

Mały człowieczek wpadł jej w słowo.

- Zebraliśmy dość pieniędzy, by odkupić od pani sklep po godziwej cenie.

- Czy to wy zapaskudziliście mi farbą drzwi? - Molly zmierzyła wzrokiem nieproszonych gości.

Miller zaprzeczył nieco zbyt gwałtownie.

- Ależ skąd! Ma jednak pani najlepszy dowód, że nie tylko my pragniemy pani wyjazdu.

- Kobieta nie powinna sama brać się do interesów. - Czarno ubrany mężczyzna wysunął się do przodu. - Nie potrzebujemy w naszym mieście obcych bab, które próbują zmieniać tutejsze prawa. Każdy widzi, że jeśli pani tu zostanie, będą same kłopoty. Wracaj na północ, skądś przyszła, Jankesko!

- Wam nie chodzi o to, że jestem kobietą albo że pochodzę z północy. - Po wyrazie twarzy Millera Molly poznała, że trafiła w sedno. Jednak żaden z mężczyzn nie odezwał się.

- Proszę przyjąć naszą ofertę! - błagał niemal Miller. - Nie ma pani nikogo, kto by jej bronił... a wpadnie pani z pewnością w tarapaty, jak będzie za dużo gadać, i to nie o swoich sprawach! Kobieta, która chce rządzić mężczyznami, to wybryk natury... To jakby kwoka zaczęła piać!

Kilku mężczyzn wybuchnęło śmiechem.

- Nie przyjmę waszej oferty i nie będę siedzieć cicho, kiedy w ciemnych uliczkach handluje się trucizną! - odparła zimno Molly. - Zostaję w Austin, a wy musicie się z tym pogodzić.

Wolfa korciło, by podejść i poprzeć ją, ale Molly dała mu wyraźnie do zrozumienia, że woli sama wygrać własne bitwy.

Stała nieruchomo jak posąg, gdy mężczyźni wychodzili jeden po drugim. Miller wymamrotał, że wpadnie jutro i jeszcze raz spróbuje ją przekonać, ale inni milczeli. Czarny mężczyzna stapał ciężko w swych butach z ostrogami, a echo jego kroków nie zamilkło od razu.

Molly stała nadal wpatrzona w światła coraz dalszych latarni. Wolf podszedł do niej od tyłu, bardzo blisko, ale nie ośmielił się jej dotknąć.

- Wrócą tu - powiedział z ustami tuż przy uchu Molly. - Miałaś słuszość. Chcą się ciebie pozbyć za wszelką cenę, diabli wiedzą czemu! Niejedna kobieta prowadzi w Austin interesy. I Bóg raczy wiedzieć, ilu Jankesów spaceruje tu po ulicach!

- Nie podali prawdziwej przyczyny... Ale czuję przez skórę, że to coś bardzo ważnego.

Wolf dotknął swą wielką, rozpostartą dłonią talii Molly - tak leciutko, że był prawie pewien, iż tego nie poczuła.

Molly odchyliła się do tyłu, wspierając się na jego ciepłej ręce.

- Trudno walczyć, kiedy się nie wie, skąd wyskoczy nieprzyjaciel.

Wolf przymknął oczy i wdychał głęboko zapach jej włosów. Molly pachniała lawendą i wodą różaną. *Zmagł* się ze sobą, by jej nie chwycić w ramiona. Była to o wiele trudniejsza walka niż konflikt między Molly a mieszkańcami Austin.

To przecież nie obca kobieta, którą dopiero co poznał. To jego Molly - dziewczyna, którą kochał od lat. Jedyna, której pocałunek czuł dotąd na swych wargach. Osiem lat temu na dworcu kolejowym oddał jej swoje serce... jak mógłby je odebrać tylko dlatego, że należeli do odmiennych, skłóconych ze sobą światów?

Wolf starał się nie myśleć o bliskości Molly i nie zastanawiać się, jak by zareagowała, gdyby jej wyjawiał, kim jest. Może by go znienawidziła za to, że ją oszukał? A może dowiedziałyby się czegoś jeszcze gorszego: że zapomniała o tamtym dniu, który tyle dla niego znaczył?

- Nie myślałaś nigdy o małżeństwie? - wymknęło mu się, zanim zdołał się powstrzymać.

Molly cofnęła się.

- Czy to zwykła ciekawość, kapitanie, czy też oświadczyń?

Wolf odkaslnął.

- Po prostu przyszło mi na myśl, że gdybyś miała męża, ci ludzie pewnie daliby za wygraną. Co innego straszyć samotną kobietę, a całkiem co innego zdrześć z mężczyzną... zwłaszcza dla takich typków!

- Masz słuszość. Miller traci odwagę nawet w obecności Ephraima. - Wyprostowała się. - A co do twojego pytania, to odpowiedź brzmi: nie. Nie zamierzam nigdy wychodzić za mąż.

Wolf odwrócił się do okna. Chyba nie byli na dość zażyłej stopie, by mógł ją spytać o przyczynę takiej decyzji.

- Ja również nie zamierzam się żenić - powiedział. - Wydaje mi się, że nie wszyscy są stworzeni do małżeństwa. Ja zresztą nigdzie nie zagrzeję miejsca... Jakże mógłbym ofiarować kobiecie tylko moje nazwisko... i nic więcej?

Molly nie odpowiedziała, zatopiona we własnych myślach. Wolf wymamrotał „dobranoc” i wyszedł. Zaczekał za drzwiami, póki się nie przekonał, że porządnie je zamknęła.

- Śpij spokojnie, Molly - szepnął na odchodnym. - Będę zawsze w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała.

## 6

Ledwie wstał świt, Wolf nalał sobie pierwszy kubek kawy. To była długa noc! Policja miejska w Austin była nieliczna, toteż nieraz wzywano na pomoc strażników. Właśnie ubiegłej nocy tak się zdarzyło. Mieszkańcy Teksasu zdecydowali w ogólnostanowych wyborach, że ich stolicą ma być Austin, nie Houston. Sam Houston walczył niegdyś żarliwie o przeniesienie władz stanowych do miasta, które nazwano jego mia-



niem\*. Teraz z pierwszych sondaży wynikało, że Houston przegrało sromotnie w wyborach. Mieszkańcy Austin przez całą noc oblewali swój triumf. Wolf mógłby się założyć (gdyby miał to w zwyczaju), że połowa obywateli Austin była w tej chwili kompletnie zalana.

Nagle rozbrzmiał w ciszy odgłos strzałów; dochodziły z tej strony, gdzie mieszkała Molly, i następowały po sobie w błyskawicznym tempie. Tak strzelają tylko rewolwerowcy! Wolf wypadł na ulicę i pędził w kierunku drogerii, zanim reszta strażników zdążyła ściągnąć colty z kołków przy drzwiach.

Z hukiem i impetem stada gnających do kanionu bawołów, zastęp strażników z Wolfem na czele pędził jak burza ulicami Austin.

Pijaniusieńki rewolwerowiec pod sklepem Molly nawet nie zdążył ich dostrzec. Wolf runął na strzelca niczym pociąg pod pełną parą i bez hamulców. W niebo poszła jeszcze jedna seria strzałów i obaj mężczyźni zwalili się na ziemię. Podniósł się tylko jeden. Wolf.

Josh Weston był o kilka kroków za Wolfem i ledwie zdążył wyhamować. Popatrzył na rewolwerowca, potem na kapitana.

- Co to było?

- Zabierz tego drania. - Wolf czubkiem buta trącił pijacynę w bok. - A jak się ocknie, przymknij go za kłócanie spokoju. Ja sprawdzę, co z Molly i Callie Ann.

"Sam (Samuel) Houston, amerykański wódz i mąż stanu (1793-1863), prezydent Teksasu w czasach, gdy był on wolną republiką, a potem senator i gubernator utworzonego w 1845 r. nowego stanu USA. Usunięty ze stanowiska gubernatora, gdy w 1861 r. nie poparł secesji stanów południowych (przyp. tłum.).

Josh skinął głową, chwycił winowajcę za ramię i zarzucił go sobie na plecy. Pora była stanowczo zbyt wczesna na dyskusje z kapitanem, mimo to spróbował przemówić mu do rozsądku.

- Pod takim zarzutem posiedzi najwyżej do południa. Gdybyśmy zamykali każdego, kto strzela z broni palnej w obrębie miasta, to by w kiciu zabrakło miejsca dla kryminalistów!

Do Wolfa, który otrzepywał się z kurzu, najwyraźniej nic nie docierało.

Josh spróbował raz jeszcze.

- A picie na umór też jest w Austin na porządku dziennym. Nie bez powodu w tysiąc osiemset pięćdziesiątym oficjalnie zabroniono policji chlać na służbie!

Wolf ani się obejrzał, ani zatrzymał. Był już przy drzwiach frontowych drogerii.

- Molly! - wrzasnął takim głosem, że choćby ktoś prześpał całą strzelaninę, teraz by się z pewnością obudził.

Kiedy Molly nie odpowiedziała, Wolf szarpnął drzwiami z całej siły. Callie Ann rzuciła się kapitanowi na szyję i usadowiła na ramieniu jak małpka kataryniarza.

- On do nas strzelał! - popłakiwała. - Chciał nas zabić!

Wolf objął ją mocno. W bawełnianej koszulce dziewczynka wydawała się jeszcze mniejsza niż wczoraj.

- Już wszystko w porządku, księżniczko!

Molly stała u podnóża schodów. Włosy miała splecione w długi warkocz, a na sobie tylko nocną koszulę. Była jednak opanowana i pełna godności jak królowa.

- Przypuszczam, że chciał sobie postrzelać do butelek - powiedziała spokojnie i opuściła rękę z wojskowym pistoletem. - Nie miał zamiaru zrobić nam krzywdy.

Wolf popatrzył na zalegające podłogę odłamki roz-

bitego szkła. Zaniósł Callie Ann na schody i postawił na trzecim stopniu.

- Biegnij na górę i włóż jakieś buty - polecił dziecku. - Już po wszystkim!

Callie Ann zaczęła wchodzić po schodach, kicając ze stopnia na stopień jak króliczek.

- Umyję się i uczeszę włoski, jak wypada przed śniadaniem!

Dotarła do górnego podestu i zniknęła. Wolf zwrócił się do Molly.

- Tobie też przydałyby się jakieś buty! - powiedział żartobliwie.

Kiedy jednak Molly popatrzyła na niego, śmiech zamarł mu na ustach. Jakaś nagła trwoga przykuła ją do miejsca.

- O co chodzi? - spytał z pośpiechem.

Rzuciła się pędem przez zasłaną szkłem podłogę.

- Muszę zajrzeć do Ephraima! Coś się musiało stać! W razie kłopotów zawsze stawał przy mnie z bronią w ręku!

Nie musiała tłumaczyć Wolfowi, jak zdumiewająca jest nieobecność Ephraima. Kapitan był pewny, że stary wojak nie opuściłby jej w trudnej sytuacji. Sam fakt, że się nie zjawił, mroził krew w żyłach.

- Ephraimie! - zawołała Molly, dobiegając do zastłony. - Ephraimie, nic ci się nie stało?

Wolf rozsunał kotarę i rozejrzał się po małej kuchence. Było pusto, ogień się nie palił.

- Zawsze parzy kawę o świcie - szepnęła Molly, przebiegając przez kuchnię do izdebki, w której sypiał jej przyjaciel. - A wstaje i ubiera się, gdy tylko się rozjaśni!

Zaczerpnęła głęboko powietrza, nim otworzyła drzwi, jakby obawiała się tego, co za nimi ujrzy.

Wolf stał tuż za nią, gotów jej pomagać, cokolwiek by się wydarzyło.

Kiedy otworzyła drzwi na oścież, przez chwilę nie mógł niczego dojrzeć. Tylko drobinki kurzu tańczyły w smudze bladego światła, wpadającego przez okno. Powoli obraz stawał się coraz wyraźniejszy; pokój wynurzał się z mroku jak z morskiej otchłani.

Ephraim leżał na boku. Na prześcieradle przy jego ustach widniała wielka krwawa plama. Chude ręce ścisnęły kurczowo kołdrę w ostatniej, rozpaczliwej walce o życie.

Molly uknęła obok niego, wołając go cicho po imieniu. Odgarnęła rzadkie, siwe włosy, które opadły mu na twarz.

- Ephraimie! - szeptała - Och, Ephraimie!

- Nie stawiłem się... na poranny apel, generale... - wymamrotał. - Coś ze mną nie tak...

- Ephraimie... - Otarła mu usta czystym rogiem prześcieradła. - Czemuś mi nie powiedział? Zaraz ci dam lekarstwo. Coś na bóle.

Stary człowiek przewrócił się na wznak. Jego oczy stały się trochę przytomniejsze. Popatrzył na Molly. Zdawał się o coś pytać - kim ona jest albo gdzie się znajdują.

Atak kaszlu wstrząsnął całym jego ciałem. Kiedy Ephraim wreszcie przemówił, głos miał chrapliwy i słaby.

- Całe życie bratałem się z chorobą i śmiercią. Wiem, że na mnie już czas. Lekarstwo zmniejszy ból, ale odbierze mi rozum. Chcę być przytomny, kiedy zamelduję się memu Stwórcy.

Molly potrząsnęła gwałtownie głową, jakby chciała odpędzić myśl o jego śmierci.

- Przepraszam... - wymamrotał Ephraim. - Obiecałem generałowi, że będę nad tobą czuwał... - Uniósł

dłoń do jej policzka. - Dzielna mała Molly, starałaś się zawsze być silna jak twój tatuś... Wracaj do domu., Ten dziki kraj nie dla ciebie.

- Wrócimy razem, Ephraimie. - Łzy spływały nieprzerwanie po twarzy Molly. - Wrócimy. Zamieszkamy z ciotkami w Allen Farm. Będziemy znów łowić ryby na śniadanie jak wtedy, gdy byłam małą.

Ephraim potrząsnął głową.

- Już nie zdążę, Molly... - wyszeptał. - Moja warta dobiegła końca.

Znowu się rozkaślał. Krew ciekła mu z kąćków ust.

- Nie bądź sama przez całe życie. Obiecuj mi, Molly.

Chwytał ją taki płacz, że nie mogła mówić; usiłowała przemóc łkanie.

Ephraim wysunął ku niej pomarszczoną rękę. Wodniste niebieskie oczy zamknęły się. Charczący oddech ustał. Przez chwilę Molly i Wolf nadsłuchiwali w milczeniu: a nuż znowu się odezwie? Cichutki odgłos czerwonej kropli, spadającej z ust Ephraima na prześcieradło, zabrzmiał w ich uszach głośniejszy niż niedawne strzały.

Cisza zawisła ciężko w powietrzu. Ręka starca osunęła się bezwładnie z ramienia Molly na łóżko.

Wolf wpatrywał się w Molly przez długą chwilę. Pragnął ją objąć, przytulić, ale nie wiedział, czy byłaby rada, gdyby się wtrącił w jej tak bolesne, osobiste sprawy.

Powoli, z trudem Molly zdołała się opanować. Wyprostowała się, uniosła dumnie głowę. Nie, nie zamierzała dzielić z nikim swojego bólu... podobnie jak swego życia.

Podniosła się z kłeczek i otuliła Ephraima kołdrą, jakby zwyczajnie spał.

- Czy mógłbyś powiadomić Millera, że ma nową robotę, kapitanie? Muszę się ubrać. A potem zechcesz może popilnować Callie Ann, gdy zajmę się przygoto-

waniami do pogrzebu. Nie ma potrzeby wystawiać ciała Ephraima; nikt go tu nie znał. Pochowamy go, jak tylko znajdem pastora i grabarza, żeby wykopał grób.

Większość ludzi byłaby zgorzozona jej chłodnym, rzeczowym tonem, ale Wolf znów ujrzał przed sobą nieodrodną córkę generała. Ileż to razy w czasie wojny Molly widziała ojca, który dla dobra służby musiał głęboko skrywać swe uczucia? Ileż razy ona sama, nie myśląc o własnych potrzebach, wypełniała swe powinności? Molly dojrzywała w polowych lazaretach, stykała się ze śmiercią na co dzień.

Odwróciła się, by wyjść z pokoju. Nagle wzdygnęła się z bólu, ale nawet nie pisnęła.

Wolf chwycił ją na ręce i zaniósł do kuchni.

- Zraniłaś się w stopę - powiedział, sadzając ją na stole pod ścianą. - Czemu nic nie powiedziałaś?

Patrzyła obojętnie na spływającą z nogi krew.

Wolf skorzystał z kuchennej pompy, zmoczył ręcznik i owinał nim zranioną stopę Molly. Potem wszedł do sklepu i zabrał stamtąd wszystko, co było mu potrzebne do opatrunku. Gdy wrócił do kuchni, Molly nadal siedziała na stole.

Najostrożniej jak mógł obmacał jej stopę, by sprawdzić, czy jakiś odłamek szkła nie pozostał w ranie. Oczyszczył wprawnie skaleczenie i starannie obandażował nogę suchym kawałkiem płótna.

Callie Ann poszła za nim do sklepu, a potem usiadła w kuchni i przyglądała się, jak opatrywał stopę Molly.

- Mężczyzna nie powinien oglądać nóg damy, zanim się z nią nie ożeni - orzekła stanowczo.

Wolf uniósł brew.

- Doprawdy?

- Doprawdy. Wiem od babci. To takie prawo.

- Całkiem słuszne - odparł Wolf. - W końcu, jakby dama zaczęła pokazywać mężczyźnie swoje stopy, do czego by doszło?! Zanim by się ten biedak spostrzegł, obejrzałby jej łydki... a może nawet kolana?

Skończył bandażowanie i spojrzał na Callie Ann.

- Zaczekaj tu! Przenieś Molly na schody, a potem mi pomożesz uprzątać szkło w sklepie.

Callie skinęła główką, a Wolf wziął Molly na ręce. Stał bardzo ostrożnie po podłodze. Kiedy posadził dziewczynę na pierwszym stopniu, szepnął jej:

- Nie martw się dzieckiem ani sklepem! Postaram się, żeby księżniczka miała pełne ręce roboty, i przeproszę każdego klienta, który zabłądzi do drogerii!

Molly uśmiechnęła się do niego.

- Dzięki! - szepnęła na odchodnym. - Postaram się wrócić jak najszybciej. Muszę jeszcze umyć i ogolić Ephraima. Z pewnością chciałby wyglądać porządnie, kiedy się zamelduje Panu Bogu.

- Pomogę ci, jeśli chcesz.

Molly potrząsnęła głową.

Było już popołudnie, gdy Callie Ann wkroczyła w towarzystwie Wolfa i Molly na cmentarz, położony na samym końcu Congress Avenue. Kiedy pastor odczytywał fragment Pisma Świętego, wielkie krople deszczu zaczęły stukać o trumnę, skleconą nieporadnie i niedbale. Molly ubrała starego wojaka w ciemnoniebieski mundur Unii i umieściła pod ramieniem zmarłego zwinęty gwiazdzisty sztandar, zanim Miller zabił wieko.

W pogrzebie wzięło udział tylko troje żałobników, pastor i przedsiębiorca pogrzebowy. Molly nie zamierzała zamieszczać w lokalnej gazecie o nazwie *Statesman* zawiadomienia o śmierci Ephraima. Stary żołnierz zmarł tak jak żył - na obcej, wrogiej ziemi.

Kiedy odmówiono już modlitwy nad grobem, Wolf posadził sobie Callie Ann na ramieniu i zawrócili we trójkę do miasta. Jeśli nawet Molly zauważyła, że pada deszcz, nie wspomniała o tym ani słowem, kompletnie zatopiona w myślach. Wolf okrył dziecko swoją skórzaną kurtką i dostosował krok do kroku Molly. Chmury wisiały nisko nad ziemią; wczesny zmierzch i siąpiący deszcz zatrzymał w domu mieszkańców miasta. Austin było jak wymarłe.

Wolf pragnął spytać Molly, co zamierza teraz robić. Wiedział, że przybyła na zachód ze względu na stan zdrowia Ephraima. Tak mu przynajmniej mówiła. Zastanawiał się, czy nie skłoniły jej do tego także i inne motywy. A co teraz? Czy Molly wróci do domu? Czy zostanie tutaj? A on? Czy pozwoli jej tak odejść, nie wyjaśnwszy niczego?

Zatrzymali się „U Nomy” na obiad i zjedli go w milczeniu. Tylko Callie Ann rozmawiała ze stryjkiem Orsonem na temat śmierci i umierania. W ciągu ostatnich dwóch tygodni brała udział w dwóch pogrzebach, więc uważała się za eksperta w tej dziedzinie.

Kelnerka najwidoczniej uznała paplaninę Callie za rodzaj nowej zabawy, w której wszyscy powinni brać udział. Przyniosła dodatkowe nakrycie dla niewidzialnego klienta i spytała go, co zje na deser.

Wolf miał stanowczo dość stryjka Orsona i postanowił położyć kres tej hecy, ale uznał, że dziś się jeszcze z tym wstrzyma. Jeśli Molly nadal będzie mówiła tyle co dotąd, kto wie? Może on sam zacznie gawędzić z niewidzialnym stryjkiem!

Dwukrotnie podczas obiadu Molly brała go za rękę, jakby była spragniona kontaktu z żywą istotą. Wolf rozumiał tę potrzebę i sam dotykał jej co jakiś



czas. Robił to bardzo dyskretnie, by nie zwracać uwagi pozostałych klientów.

Zapłacili wreszcie rachunek i mieli już wyjść, gdy Josh wpadł jak burza do kawiarni.

- Jesteś tu, kapitanie! - wrzasnął z alją. - Szukaliśmy cię po całym mieście!

- O co chodzi? - Wolf całkiem już automatycznie posadził sobie małą na ramieniu.

- Lepiej sam się przekonaj, kapitanie! - Josh zauważył, że wszyscy się nań gapią, i z krzyku przeszedł do szeptu.

Wolf ruszył za Joshem do sklepu Molly- Ujrawszy stojące otworem drzwi, Molly wyminęła ich pospiesznie i wbiegła do wnętrza.

Wszędzie poniewierały się proszki i mikstury, maści i substancje krystaliczne. Wszystkie półki były puste, ich zawartość zwalono na podłogę w barwny, bezładny stos. Zbiór wypisanych starannie recept został pocięty na cieniutkie paski, które zmięto i polano lekarswami.

- Musieli to zrobić podczas pogrzebu - uznał Josh. - Miller zeznał, że w drodze powrotnej zauważył jakichś ludzi, kręcących się po drogerii, ale nim tam dotarł, zwiali tylnymi drzwiami. Kto to mógł zrobić, kapitanie? I to jeszcze w takim dniu!

Można było oczekiwać, że Molly wybuchnie płaczem, ale tak się nie stało. Podniosła z podłogi strzępek recepty i zacisnęła go w dłoni.

- Mam tego dość! - zawołała z pasją.

- Wracasz do domu? - Nie zdziwiłby się, gdyby tak postąpiła.

Molly spojrzała na niego niemal z uśmiechem.

- Nie, kapitanie! Będę walczyć do upadłego!

Jeśli do tej pory mu się zdawało, że kocha tę kobietę, był w błędzie. W porównaniu z ogromem miłości,

jaka ogarnęła go w tej chwili, poprzednie uczucie było najwyżej przelotnym zauroczeniem.

Rzuciła znów na podłogę smutną resztkę swej książki recept i spytała spokojnym tonem:

- Kapitanie Hayward, czy moglibyśmy zamienić kilka słów na osobności?

Wolf przekazał Callie Ann Joshowi, który niepewnie wziął dziewczynkę na ręce.

Molly wyszła na ganek. Deszcz odgradził ich od reszty świata i Wolf miał wrażenie, że znajdują się na bezludnej wyspie, a nie w centrum miasta.

- Powiedziałaś, że chcesz mi pomóc, kapitanie. Mówiłeś poważnie?

- Jak najbardziej. - Ciekawe, ilu ludzi będzie musiał dla niej zabić?

- Jesteśmy przyjaciółmi i musimy nimi pozostać... Bez względu na to, o co cię poproszę, i bez względu na to, jak mi odpowiesz.

- Zgoda. - Obserwował ją uważnie. Widział niemal, jak powstają w jej głowie poszczególne myśli.

- Powiedziałaś dziś rano, że nigdy się nie ożenisz, bo nie mógłbyś ofiarować kobiecie nic prócz swego nazwiska. No cóż, kapitanie... mnie właśnie potrzebne jest twoje nazwisko. Nie mam nikogo, kto by mnie bronił, póki nie odrobuję strat. Pozycja żony strażnika byłaby dla mnie dostateczną ochroną, nim stanę znów o własnych siłach. Proszę cię tylko o użyczenie swego nazwiska... na jakiś czas.

Wolf zrozumiał, że źle ją ocenił: Molly nie przypominała swego ojca. Była dziesięć razy twardsza od generała Donivana! Każda inna kobieta uciekłaby stąd z płaczem, ale nie Molly! Ona wycofywała się tylko na bezpieczne pozycje, by przegrupować swe siły. Nie rezy-

gnowała z walki; szykowała się już do następnej bitwy!

Wolf podetknął głowę pod strugi deszczu ściekającego z dachu. Kiedy się w końcu cofnął, włosy miał mokrzuteńkie, ale w mózgu nadal mu się kotłowało.

- Jesteś pewna, Molly Donivan, że chcesz za mnie wyjść?

- Jestem pewna! - oświadczyła takim tonem, jakby zeznawała w sądzie pod przysięgą. - Nie mogę ci zaofiarować zbyt wiele w zamian za twoje nazwisko. Wyruszając na kolejną wyprawę, możesz oczywiście zostawić wszystkie swoje rzeczy u mnie w domu. A kiedy wrócisz na dzień czy dwa do Austin, będziemy wspólnie je dli obiady. Uporządkuję i umebluję na nowo pokój Ephraima; każę tam wstawić łóżko, które się pod tobą nie załamie, żebyś miał wygodne miejsce do spania.

Wolf przyglądał się krążącej po ganku dziewczynie. Mówiła raczej do siebie niż do niego.

- Nigdy ci nie przyniosę wstydu, kapitanie. A gdybyś zginął na służbie, zadbam o to, żebyś miał godny pogrzeb.

Wolf otarł twarz suchym rękawem koszuli.

- A jak długo masz zamiar korzystać z mego nazwiska, panno Donivan?

- Kilka miesięcy... najwyżej pół roku. Ale jeśli wyrazisz zgodę na to małżeństwo, będziesz mógł sam ustalić termin.

- W porządku. Zgadzam się na małżeństwo na takich warunkach. Sam zadecyduję, do kiedy będzie obowiązywało.

Po raz pierwszy w głosie Molly zabrzmiała nutka niepewności.

- Jeśli możesz, sprowadź pastora. Chciałabym się przebrać. Nie wezmę ślubu w czarnej sukni, nawet jeśli to będzie małżeństwo tylko z nazwy!

Wolf uśmiechnął się.

- Lepiej się z tym pospieszyć! Nie zapominaj, że oglądałem już twoje nogi!

Molly nie zareagowała na żart, odwróciła się tylko i weszła do sklepu.

Nie zważając na deszcz, Wolf wyskoczył na błotnistą ulicę i pognął do kościoła. Jakkolwiek było, żenił się z Molly... i to na tak długo, jak sam zechce! Ni stąd, ni zowąd sama mu to zaproponowała. Nie miał zamiaru czekać, aż zmieni zdanie!

## 7

Wolf miał wrażenie, że płynie pod prąd rwącej rzeki, gdy zmagął się z deszczem i wicherą w drodze powrotnej do domu Molly. Musiał obudzić trzech pastorów, nim znalazł jednego, który był gotów zmierzyć się z żywiołem, by udzielić ślubu. Wielebny Ford był baptystą, a więc ma największe doświadczenie z odprawianiem modłów pod wodą, pomyślał Wolf.

- Wszystko w porządku, pastarze? - wrzasnął do szczupłego mężczyzny kroczącego u jego boku. Płaszcz pastora trzepotał niczym żagiel na wietrze.

- Naprzód, bracie Hayward! Naprzód w imię Boże! - Ford nie wyglądał na człowieka, któremu takie głupstwo jak nawałnica mogło przeszkodzić w służbie dla Pana. I w zarobieniu dziesięciu dolarów, których zażądał za udzielenie nie zapowiedzianego z góry ślubu, i to po zapadnięciu zmroku.

Wolf uśmiechnął się. Miał słabość do pastorów. Za swą najbliższą rodzinę uważał McLainów, do których

„wżeniła się” po wojnie jego siostra Nichole. Jeden z McLainów, Daniel, był pastorem. Najlepszy człowiek pod słońcem! Kto wie, może Molly zgodzi się kiedyś odwiedzić wraz z nim Daniela i jego rodzinę? Daniel był wykładowcą w college'u, nie tak znów daleko od Austin: tylko o dzień drogi, co prawda ciężkiej. Żona Daniela, Karlee, wydała właśnie na świat drugą parę bliźniąt w rodzinie McLainów.

Wolf uważał niegdyś, że ma na świecie jedną tylko krewną - Nichole. Ale to było przed poznaniem McLainów. Bracia Adam, Wes i Daniel przyjęli go do swej rodziny i Wolf wiedział, że kochali go jak brata.

Kiedy tylko znajdzie trochę czasu, musi opowiedzieć o nich Molly. Z pewnością doskonale by się dogadała z Adamem - uzdrowicielem o niezawodnych rękach. A Wes na pewno oczaruje Molly, skoro tylko oswoi się z bliźną na jego twarzy. Powinna też polubić kobiety McLainów. Wszystkie odznaczały się silnym charakterem, tak samo jak ona. Nichole nieraz przypasywała broń i stawała u boku męża do walki.

Wolf znowu się uśmiechnął, tym razem na myśl o dzieciach McLainów, po części adoptowanych, po części własnych. To właśnie dzięki dzieciakom ich rodzinne spotkania tak rozbrzmiewały śmiechem.

Na myśl o tym, że oni z Molly nigdy nie doczekają się dzieci, Wolf całkiem zapomniał o deszczu. Nieważne, że zaproponowała mu małżeństwo. Powiedziała przecież wprost, że zależy jej wyłącznie na jego nazwisku. Nie zamierzała dzielić z nim ani łóżka, ani życia. To miało być jedynie tymczasowe rozwiązanie trudnego problemu.

Pewnie nie zostanie z nim nawet na tak długo, by zawrzeć znajomość z jego przyjaciółmi, których uważał za swą rodzinę. Małżeństwo na kilka tygodni, bez

nadziei na dzieci czy wspólne chwile wypoczynku...

Wolf powiedział sobie, że to nie ma znaczenia. Weźmie Molly na każdych warunkach. Liczy się wyłącznie jej bezpieczeństwo. Nikt nie ośmielił się napastować Molly, gdy będzie nosiła jego obrączkę!

Jego obrączkę?! Psiakrew, nie miał żadnej obrączki!

- Nie zwolniłbyś trochę, bracie? - wrzasnął wielbny Ford. - Jeszcze nigdy nie widziałem mężczyzny, któremu by się tak paliło do ślubu!

Wolf zatrzymał się tak raptownie, że wpadli na siebie.

- Zapomniałem o obrączce! - ryknął, przekrzykując zawieruchę.

Nim duchowny zdążył go powstrzymać, kapitan, po kolana w błocku, brnął już na drugą stronę ulicy.

- Zaraz wracam! - krzyknął, odwracając się do pastora, który skulił się pod blaszanym daszkiem posterunku policji. Lało jak z cebra, ale nie było zimno. Tym gorzej! doszedł do wniosku Wolf. Każdy kryminalista miał dość rozumu, by nie wyściubiać nosa z domu, gdy było i mokro, i zimno. Ale sama plucha jakoś ich nie odstraszała.

Wolf minął trzy domy i znalazł sklep, w którym można było dostać wszystko: od żarcia po okulary. Uparcie dobijał się do drzwi i wreszcie sklepikarz mu otworzył. Dziesięć minut później Wolf wrócił do pastora z obrączką w kieszeni i ze spodniami unurzanymi w błocie.

Szli dalej w milczeniu, aż dotarli do domu Molly.

Kiedy Wolf wtargnął do drogerii, siejąc wokół kropkami jak działająca na pełnych obrotach fontanna, Molly nie odezwała się ani słowem. Stała u stóp schodów w paradnym stroju. Dopasowany czerwony żakiet i rękawiczki tej samej barwy robiły wrażenie munduru. W jej ubiorze nie było nic kobiecego: ani koroneczki, ani falbanki... Na głowie miała kapelusz, który Wolfo-

wi od razu skojarzył się z Napoleonem. Molly od stóp do głów wyglądała na generalską córkę. Nie bardzo było wiadomo, czy wybiera się do ołtarza, czy na wojnę.

W porównaniu z oblubienicą Wolf prezentował się raczej żałośnie. Skórzana kurtka pociemniała od deszczu i zaczęła zalatywać pierwotnym czworonożnym właścicielem skóry. Nawet suche włosy i broda Wolfa były bujne i kędzierzawe, ale mokre zmieniły się w splątany kołtun. A w dodatku Wolf cały był oblepiony błotem.

Zerknął na Molly, która przyglądała mu się w milczeniu. Zastanawiała się pewnie, czy zamiast brać ślub z tym wodno-lądowym stworem, nie lepiej by go wsadzić do akwarium?

Wolf wyciągnął chustkę i otarł twarz, po czym zaznajomił swą przyszłą żonę z pastorem.

Nerwowo uściśnęła rękę wielebnego Forda, po czym zwróciła się do swego oblubieńca:

- Ogolisz się przed ślubem?

Wolf przyjrzał się jej badawczo. Dostrzegł w oczach Molly niepokój połączony z determinacją. Zdecydowała się na ten ślub, bo nie widziała innego wyjścia. Po co się okłamywać? Nie kierowała się żadnymi innymi intencjami!

- Nie - odparł. - Czy wobec tego zrezygnujesz ze ślubu?

- Nie. - Uniosła dumnie głowę. - Tylko nie ma mowy o pocałunku po zakończeniu ceremonii. Nie będę całować mężczyzny, który nie jest przyzwoicie ogolony!

- W porządku - odparł. W tej chwili zależało mu tylko na tym, by ożenić się z Molly i zapewnić jej bezpieczeństwo. Gdyby ogolił się przed ślubem, mogłaby się rozmyślić... ze znacznie ważniejszych powodów. - Obejdę się bez pocałunku.

Pastor wyjął Biblię z ukrytej pod płaszczem skórzaną torby i odkasznął.

- Nim zaczniemy, trzeba się postarać o dwóch świadków.

Z kuchni wyszedł Josh, któremu dreptała po piętach Callie Ann.

- Ja będę świadkiem - zaofiarował się, dojadając biskopota.

Pastor Ford skinął głową.

- Musimy znaleźć jeszcze jednego.

- Ja też będę świadkiem! - oświadczyła Callie Ann, ocierając buzię grzbietem ręki. - Jak pan Josh może być świadkiem, to i ja też!

- Jesteś za mała, moje dziecko - stwierdził stanowczo pastor.

- No to stryjek Orson będzie świadkiem! - odparła. - On jest stary jak świat!

Molly usiłowała wytłumaczyć Callie Ann, dlaczego stryjek Orson nie może być świadkiem. Księżniczka najwyraźniej zamierzała wymusić płaczem spełnienie jej zachcianki. Pastor wymamrotał coś, co brzmiało jak cytata z Pisma Świętego na temat dzieci, nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. Wolf wymknął się z pokoju.

Tylnymi drzwiami wyszedł na niewielki, osłonięty ganek. Popatrzył na zalaną deszczem ulicę i uśmiechnął się szeroko. Tak jak przypuszczał, pośród drewna w szopie Millera kulił się Charlie Filmore. Dziurawe buty biedaczyny wystawały zza stosu desek.

- Charlie! Charlie Filmore! - wrzasnął Wolf. - Chodź no tu na chwilę!

Liczący sobie niespełna pięć stóp człowieczek wyszedł chwiejnym krokiem zza desek, starając się strzepnąć trociny z rozkudłanych włosów.



- Nic nie przeskrobałem, kapitanie! Słowo honoru!  
- Wcale nie mówię, że przeskrobałeś. - Wolf przywołał go ruchem ręki. - Potrzeba nam świadka na ślubie.

Charlie zapatrzył się w przestrzeń, oddzielającą jego przytulną kryjówkę od tylnego ganku Molly.

- A opłaci mi się świadkować?

- Postawię ci dwa drinki! - ryknął Wolf.

- Całą butelkę.

- Trzy drinki! - Wolf zaklął pod nosem. Należał do tych nielicznych mieszkańców Austin, którzy nie stawiali Charliemu drinków. Zrozumiał jednak, że niczym innym go nie skusi. Większość bywalców knajp stawiała Charliemu jednego, przede wszystkim po to, by nie plątał im się pod nogami.

- Butelkę. - Charlie najwyraźniej się zorientował, że może stawiać twarde warunki.

- Niech będzie. Chodź no tutaj!

Pijaczyna owinął się swoim jedynym kocem i pokuścił do tylnych drzwi drogerii.

Wszedłszy do domu, powiesił koc na kołku, przeznaczonym na płaszcze.

Wolf starał się ukryć swoją reakcję na widok twarzy Charliego. Przeorały ją trzy kule i pierwsze wrażenie, szczególnie z bliska, było piorunujące.

Charlie rozповідаł na prawo i lewo, że jest największym szczęściarzem w świecie. Podczas wojny brał udział w czterech bitwach; trzykrotnie został ranny i uznany za zmarłego. Za każdym razem, nim zdołał udowodnić, że jednak żyje, wypisano świadectwo jego zgonu. Gdy po raz czwarty wziął udział w bitwie, nie został nawet draśnięty. Żeby to uczcić, schlał się do nieprzytomności. Godzinę później ciężki wóz, pełen rannych, przejechał mu po nogach, łamiąc kości

w tak wielu miejscach, że nigdy nie zaleczyły się do końca. Po tym wydarzeniu zakończyła się dla Charliego kariera wojskowa, a rozpoczęła mniej chlubna kariera nałogowego pijaka.

- Gdzie ta butelka? - Kiedy Charlie się uśmiechał, jego twarz wyglądała jeszcze bardziej przerażająco. Niezszczęśnik był żywym symbolem okropności wojny.

- Dostaniesz po ceremonii. Potrafisz się chyba podpisać na świadectwie ślubu, prawda?

Charlie poczuł się urażony.

- Skończyłem cztery klasy! I nie odstrzelili mi całego rozumu! Mogę się podpisać nie raz, ale sto razy. - Uniósł dumnie głowę. - A na świadectwach znam się jak mało kto! Wypisali mi aż trzy świadectwa zgonu. Chyba był ze mnie w tej wojnie najumieralniejszy żołnierz!

- Całkiem wystarczy, jak się raz podpisiesz. No, idziemy!

Z niezbyt pewną miną wprowadził Charliego do sklepu. Powinien był poszukać kogoś przyzwoitszego, jakąś osobę, która kapała się co najmniej raz do roku... bał się jednak, że w razie dłuższej zwłoki Molly może się rozmyślić. Miał nadzieję, że na widok takiego świadka jego oblubienica nie dostanie spazmów. Charlie przyprawił już o zemdlenie niejedną z mieszkańek miasta, gdy pojawiał się na ulicy w biały dzień.

Na szczęście Molly okazała hart ducha i zamrugwała tylko, gdy Charlie wysunął się zza pleców Wolfa.

Za to pastor, rzuciwszy raz okiem na Charliego, omal nie rozpoczął głośnych modłów za dusze potępionych. Trząsł się na całym ciele i wzięłby pewnie nogi za pas, gdyby nie Callie Ann. Dziewczynka podbiegła do Charliego i uściśnęła mu rękę.

- Dobry wieczór, panie Charlie! Bardzo się cieszę,

że pan do nas przyszedł. Stryjek Orson martwił się, że pan moknie na deszczu!

Charlie pogłaskał małą po główce.

- Nie zmokłem aż tak! Ale ładnie ze strony tego Orsona, że się o mnie troszczy.

.- Będzie pan świadkiem?

Charlie wyprężył się.

- Chyba tak.

- A mnie nie pozwolili! My ze stryjkiem Orsonem jesteśmy obserwatorami. Obserwatorzy są bardzo potrzebni na ślubie. Ale świadkowie jeszcze ważniejsi.

Charlie uśmiechnął się szeroko. Jedna połowa jego twarzy pofałdowała się w tysiące bruzd.

- Może jak będziesz dobrym obserwatorem, to ci dadzą awans na świadka!

- Może. - Callie Ann podeszła do kontuaru, przy którym zawsze pracowała Molly, i wdrapała się na wysoki stołek. - Jestem gotowa! - powiedziała takim tonem, jakby wszyscy czekali ze ślubem tylko na nią.

Pastor znowu odkaslnął i ustawił się tak, by podczas ceremonii nie mieć przed oczyma Charliego.

- Zaczynamy? Kapitanie Hayward, panno Donovan... jesteście państwo gotowi?

Charlie aż sapnął z wrażenia.

- To *pan* się żeni, kapitanie?!

Wolf posłał mu mordercze spojrzenie.

- A jakże! I przypominam ci, Charlie, że poproszono cię tu na świadka, a nie do udziału w jakiejś rozróbie!

Charlie skinął głową. Starał się trzymać prosto i wyglądać na trzeźwego.

- Jesteśmy gotowi - odparła na pytanie pastora Molly, kładąc dłoń w czerwonej rękawiczce na ramieniu Wolfa.

Wolf prawie nie słyszał słów duchownego. Powta-

rzał sobie w duchu: „Żenię się z Molly! Z moją Molly!” Jego wygląd ani strój nie miały znaczenia. Ważne było tylko to, że Molly stoi u jego boku.

Pastor spytał o imiona, jakie nadano młodemu na chrzcie; Wolf oświadczył, że jeśli o niego chodzi, to wystarczy „Wolf”. Wielebny Ford nie protestował; powiedział, że trzeba tylko podpisać się pełnym nazwiskiem na świadectwie ślubu.

Kiedy przyszło do wkładania obrączki, Wolfowi po raz pierwszy w życiu trzęsły się ręce. Skromne złote kółko pasowało idealnie do smukłego palca Molly. Uśmiechnęła się zadowolona, że nie zapomniał o tym drobiazgu.

- Prześliczna! - szepnęła. - Zwróć ci ją, kiedy tylko zechcesz.

- Obiecuj, że będziesz ją nosić do tej pory - odpowiedział Wolf, nie zważając na zgorszona minę pastora, słuchającego ich dialogu.

- Obiecuję.

Pastor Ford zbierał podpisy Charliego i Josha; Wolf i Molly spoglądali na siebie. Kapitan nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Molly wyraźnie zapowiedziała, że o pocałunku nie ma mowy, a czuł przez skórę, że ona zawsze mówi to, co myśli. Uważał jednak, że niezbędny jest jakiś gest... podanie ręki to chyba trochę za mało jak na dwoje ludzi, którzy właśnie przysięgli sobie miłość, wierność i posłuszeństwo.

- Pani Hayward... - szepnął jej do ucha. - Co byś powiedziała, gdybym cię uściskał?

Popatrzyła mu w oczy.

- Dobrze. - I oparła ręce na jego barkach.

Wolf schwycił ją w ramiona tak, że nie dotykała stopami ziemi. Molly roześmiała się, a on przycisnął ją do siebie i okręcił nią jak piórkiem.

Tak samo jak przed laty Molly idealnie pasowała do jego objęć.

## 8

Molly ubrała Callie Ann w nocną koszulkę i długo siedziała przy jej łóżeczku, choć dziecko dawno zasnęło. Mała księżniczka weszła w jej życie zaledwie kilka dni temu, a jednak stanowiła już jego nieodłączną część. Molly wiedziała, że będzie jej smutno, gdy Wolf wsadzi dziewczynkę wraz z jej niewidzialnym strykiem do kolejnego dylizansu i odeśle do następnego krewniaka.

Światło księżyca przesączało się przez koronkowe firanki, ściany pokoju zaroily się od srebrzystych cieni i zwiewnych kształtów. Molly wydawało się, że w tym balecie cieni dostrzega odbicie wydarzeń minionego dnia.

- Co ja zrobiłam? - szepnęła zwracając się do pustego posłania pod łóżeczkiem Callie Ann.

Stryjek Orson okazał się równie niechętny do udzielania rad, jak do materializacji.

Molly oparła się o ścianę i przymknęła oczy. Była rozsądną niewiastą, nigdy nie miała skłonności do nieobliczalnych wybryków. Lubiła, żeby wszystko było zaplanowane i dobrze zorganizowane. Nawet podczas wojny, gdy towarzyszyła ojcu w podróżach, działali według ustalonych zasad, wykonując rutynowe czynności. Molly zawsze wiedziała, co należy zrobić i czego od niej oczekują.

Jednak w ciągu ostatnich kilku dni w jej świecie nastąpiły znaczące zmiany... i nie chodziło tu o pogróż-

ki pod adresem jej samej i jej sklepu ani nawet o to, że po raz pierwszy została całkiem sama.

Mężczyzna imieniem Wolf wszedł, a raczej wtargnął, w jej życie. Nie był wytwornym dżentelmenem. Nie przypominał elegantów, z którymi flirtowała w Filadelfii. Była w nim jednak jakaś delikatność, która zrobiła na niej większe wrażenie niż zalety tamtych wielbicieli. Nie mógł nigdy stać się jej ukochanym... Ale mógł pozostać na zawsze jej przyjacielem, a to przecież powinno jej wystarczyć! Nie był zbyt przystojny, ale również nie musiała się wstydzić jego wyglądu.

Molly mocno zacisnęła powieki. Może wyszła za niego, bo dawał jej poczucie bezpieczeństwa? A może dlatego, że nie chciała być przez całe życie starą panną jak jej dwie ciotki, które dawały upust swym uczuciom macierzyńskim, rozpieszczając kotki i pieski? A może po raz pierwszy zrobiła coś, co wydawało jej się słuszne, bez wgłębiania się w przyczyny? Tak, wychodząc za Wolfa, czuła, że postępuje słusznie.

W ten sposób mogła korzystać z dobrodziejstw obu światów: marzeń i rzeczywistości. Mogła nadal śnić o Benjaminie i idealnej miłości, której był symbolem, a równocześnie mieć w świecie realnym oparcie w Wolfe, swoim przyjacielem. Mogła mu ufać. Mężczyzna, któremu w dniu ślubu wystarcza serdeczny uścisk, z pewnością nie interesuje się nią jako kobietą! On miał swoje życie, ona swoje. Dzięki małżeństwu ich światy stykały się ze sobą bez tarć i komplikacji. On swoim nazwiskiem zapewniał jej bezpieczeństwo, a jej dom stawał się dla niego przystanią, do której mógł wracać.

Molly wykonała jakiś niezborny ruch i uświadomiła sobie nagle, że zasnęła na krześle. Nie bardzo wiedziała, ile czasu upłynęło, ale plecy ją bolały, a opar-

te o ścianę ramię ścierpło w niewygodnej pozycji.

Przeciągnęła się, po cichutku opuściła pokoić Callie Ann i zeszła po schodach na dół. Wolfa znalazła w kuchni. Na stole stał pusty kubek po kawie i leżało mnóstwo papierzyków.

- Myślałem, że już się położyłaś - powiedział, trąc oczy.

- Chciałam ci powiedzieć dobranoc i upewnić się, że będzie ci tu wygodnie. - Spojrzała na nieliczne bagaże, ustawione w kącie. Chciała zapytać, czy to wszystko, co Wolf posiada... Domyśliła się jednak, że tak właśnie było. - Czy twój gospodarz nie był zdziwiony, że ni stąd, ni zowąd zabierasz swoje manatki?

- Babka Papka? - roześmiał się Wolf. - Najpierw mnie uściskała, a potem zwymyślała, że nigdy nie przyprowadziłem cię do niej na kolację. Widać uważa, że powinienem był przedstawić jej swoją przyszłą, zanim się ożenię!

- Byliście w wielkiej przyjaźni?

Wolf mrugnął wesoło.

- Czyżby już pierwsza scena zazdrości?

- Ależ skąd! - Molly zaczerwieniła się jak burak, nim się zorientowała, że mąż żartuje. - Jestem po prostu ciekawa.

- Trzymałem u niej wszystkie moje manatki od dwóch lat, ale sam spędziłem najwyżej dwa tygodnie pod jej dachem. Z pewnością będzie jej brakować nie tyle mego towarzystwa, co regularnie wpłacanych pieśniaków. To Wścibska starucha... ale gdzieś tam, w głębi, bije chyba nie najgorsze serce. Myślę, że przyszła-by ci z pomocą, gdybyś jej potrzebowała.

Znowu sobie nalał kawy i zmienił temat.

- Prześpię się dziś na podłodze w pokoju od frontu. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał nam złożyć nocną wizytę. - Wskazał swój skórzany śpiwór. - Jutro pomogę ci

posprzątać w pokoju Ephraima, ale nie wiem, jak długo zabawię w mieście. Kilku młodych strażników wyruszyło już nad granicę, żeby stłumić tamtejsze zamieszki.

Molly nalała sobie pół kubka kawy i dopełniła mlekiem. Bez słowa usiadła na drugim krześle. Niewielka kuchenska wydawała się jeszcze mniejsza, kiedy zasiadł w niej Wolf. Molly wyciągnęła swój dziennik, wetknięty między pojemnik z mąką a solniczkę. Od dzieciństwa każdego wieczoru bez wyjątku pisywała w tym dzienniczku.

Teraz jednak, nim zaczęła pisać, Wolf podał jej przez stół jakiś papier.

- Tu są nazwiska moich bliskich. Nie jest ich zbyt wiele. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś dała im znać, jakby mi się przytrafiło coś złego. Widzisz... w obliczu prawa jesteś teraz moją najbliższą krewną.

Wolf przeglądał następne papiery.

- To są oświadczenia o stanie moich oszczędności w kilku bankach. W ciągu ostatnich paru lat założyłem tu i ówdzie niewielkie konta, żebym mógł podczas podróży podjąć pieniądze, jeśli mi będą potrzebne. Napisałem już listy do wszystkich tych banków, powiadamiając, że na każde twoje żądanie mają ci wypłacić to, co jest na koncie.

Molly spojrzała na niego, nie wierząc własnym uszom.

- Ależ, kapitanie! Nie musisz wcale tego robić! - Zawierając z Wolfem małżeństwo, liczyła wyłącznie na jego nazwisko, niczego więcej nie oczekiwała. - Wcale się nie spodziewam, że będziesz mnie utrzymywał! Poradzę sobie sama.

- Czułem, że to powiesz, ale te pieniądze są do twojej dyspozycji. Chcę załatwić tę sprawę jeszcze dziś. W moim fachu człowiek nigdy nie wie, jak długo pociągnie. Nie zostawię mojej żony bez grosza



na pogrzeb... nawet jeśli to żona wyłącznie z nazwy.

- Przecież z pewnością masz kogoś bliższego ode mnie!

Wolf potrząsnął głową.

- Nikogo. Moja siostra mieszka w Fort Worth i ma pełne ręce roboty ze swoimi dwoma maluchami. Moi przyjaciele, McLainowie, z pewnością w razie potrzeby zajęliby się wszystkim. Nawet jak mnie zabraknie, staną u twego boku, jeśli znajdziesz się w opałach. Ale "widzisz... bardzo bym chciał, żebyś to ty zajęła się moim pogrzebem, gdyby mi się coś przytrafiło.

Powiedział to tak po prostu, bez emocji. Molly wyczuła w tych słowach Wolfa jego ogromną samotność. Niektórzy mieliby mu za złe, że w noc poślubną zajmuje się takimi sprawami, ale Molly zrozumiała go właściwie. Wolf starał się jak mógł. Wiedział, że lubiła ład. Chciał więc doprowadzić wszystkie swoje sprawy do porządku. Sądząc jednak z wyglądu poplamionych i pomiętych dokumentów, nie był zbyt porządnym ani systematycznym.

- Może ci pomóc? - spytała, uświadomiwszy sobie, że Wolf robi to wyłącznie dla niej, na wypadek gdyby coś mu się stało.

Kilka minut później siedzieli obok siebie, dodając kolumny cyfr i ustalając dokładną lokalizację miasteczek, w których Wolf pozostawił część swych pieniędzy. W porównaniu z jej znajomymi z Filadelfii posiadał ich bardzo niewiele, ale był uosobieniem solidności. Z pieniędzmi, którymi dysponował, mógł sobie poradzić w każdej sytuacji życiowej.

Wielkoduszność, z jaką składał w jej ręce dorobek ostatnich czterech lat, zawstydziła Molly. Sama mogłaby mu wypisać czek do banku w Filadelfii, opiewający na dziesięciokrotnie wyższą sumę, ale taki dar był-

by niczym w porównaniu z jego szczodrobliwością.

Kiedy dokonywała ostatecznego podsumowania jego aktywów, Wolf pochylił się ku niej i położył rękę na oparciu jej krzesła. Był to instynktowny ruch, jeden z tych, których większość małżeńskich par nawet nie dostrzega. Molly jednak czuła ciepło jego ramienia i musiała dwukrotnie sprawdzać kolumny cyfr, gdyż w mózgu jej uparcie krążyła myśl: czemu mnie nie obejmie, nie przytuli do siebie?

Molly była zawsze taka poprawna, tak się trzymała na dystans, że żaden mężczyzna nie poważył się mocno jej przygarnąć. Nawet ojciec obejmował ją delikatnie, jakby była z kruchej porcelany. Ostrożne uściski ojca i niby-pocałunki ciotek, które nie całowały jej w policzek, tylko cmokały w powietrzu, były jedynymi pieszczotami, jakich zaznała dorastająca Molly. Teraz jednak zdążyła się zorientować, że mężczyzna, którego poślubiła, potrafi uściskać ją z całego serca.

Ale oczywiście nie będzie żadnych uścisków. Postawiła przecież sprawę jasno: ich małżeństwo ma być małżeństwem wyłączone z nazwy.

Jednak sama bliskość Wolfa dawała jej poczucie bezpieczeństwa, rozpraszała dawne niepokoje. Kiedy wreszcie ułożył porządnie - wszystkie papiery (ze świadectwem ślubu na wierzchu) w blaszanym pudełku, które następnie zamknął na kluczyk, oboje odetchnęli: wszystko było w najlepszym porządku!

Wolf podał żonie klucz.

- Włóż go w jakieś bezpieczne miejsce, Molly! Schowam pudełko pod moim łóżkiem, kiedy już będzie gotowe.

Kiedy chowała kluczyk do małej szufladki w kuchennym kredensie, Wolf wstał z krzesła, omal go nie przewracając.

- No to dobrej nocy! - Postawił krzesło prosto, ale nie spojrzął na Molly.

Zwróciła się twarzą ku niemu. Teraz, gdy nie miała na sobie kurtki ani kamizelki, mogła się przekonać, że jej mąż ma budowę równie solidną jak konta bankowe. Z pewnością nie dbał o swój wygląd i nikomu nie chciał zaimponować elegancją. A jednak jego ubiór pasował zarówno do niego, jak do życia, które prowadził. Mimo woli zadała sobie pytanie, jak by wyglądał w wytwornym ubraniu, ogolony, z ostrzyżonymi włosami.

- Dziękuję ci - szepnęła - że uratowałeś mnie z opresji. Mam nadzieję, że bez względu na wszystko, czy będziemy małżeństwem, czy nie, zostaniemy zawsze przyjaciółmi.

- Ale nigdy kochankami. - Wymawiając szeptem te słowa, zahaczył nogą o kant stołu i omal się nie przewrócić.

Powiedział to z kamienną twarzą, nie szukając wzrokiem jej oczu. A jednak te słowa zdumiały Molly, zbiły ją z tropu. Jej samej nie przyszło to do głowy i była zaszokowana, że Wolf o tym pomyślał.

- Nie. - Starła się mówić równie obojętnym głosem, z równie kamienną twarzą. - Nigdy nie będziemy kochankami. Raz oddałam komuś moje serce. Więcej tego nie zrobię.

- Czy aż tak cię skrzywdził? - Wolf pochylił nisko głowę, jakby wiedział, że jest wścibski. Nie mógł się jednak powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- Nie - odparła, zмирzając w kierunku schodów. Tym razem ona obawiała się spojrzeć mu w oczy. - Nigdy nie wrócił, choć mi to obiecał. Ale ciągle należy do niego cząstka mojego serca... I nie ma w nim miejsca dla nikogo innego. W pewnym sensie będę zawsze należeć do Benjamina.

Wbiegła na schody, by nie zobaczył jej łez. Przez wszystkie te lata nie wypowiedziała głośno imienia ukochanego. Myślała, że z czasem jej ból zelżeje, ale przeszył jej serce jak nóż. Gdyby próbowała wytłumaczyć wszystko Wolfowi, uznałby ją za idiotkę. Pokochać człowieka, którego widziała tylko raz w życiu? Oddać całe swe życie w zamian za niespełnioną obietnicę i jeden pocałunek? Uwierzyć nieznajomemu?

Molly rozebrała się pospiesznie, wślizgnęła się do łóżka i otuliła szczelnie kołdrą - nie dla ciepła, ale po to, żeby czuć się bezpieczniej i mniej samotnie. Umościła sobie w pościeli gniazdko, w którym mogła się ukryć, które chroniło ją przed światem. Tym światem, który w ciągu jednego dnia rozpadł się w gruzy. Tym światem, w którym miała tylko jednego przyjaciela... a on pewnie w tej chwili tam, na dole, rozmyślał o tym, że ożenił się z największą wariatką na zachód od Missisipi!

Wolf stał jak wryty, wsłuchując się w dochodzące z góry kroki Molly. Zacisnął ogromne dłonie tak mocno, że aż kłykcie mu zbieleły, nie ruszył się jednak z miejsca. Wszystko w nim krzyczało: Biegnij za nią, powiedz Molly, kim naprawdę jesteś! Stał jednak bez ruchu, wsłuchując się w łomot własnego serca i wymyślając sobie od ostatnich idiotów.

Jego dopiero co poślubiona żona oznajmiła mu, że nadal kocha swą pierwszą miłość. Miał więc rywala - w samym sobie.

## 9

Wolf nawet nie próbował zasnąć tej nocy. Molly, jego Molly, była w pokoju nad nim. Ale równie dobrze mogła być z powrotem w Filadelfii. Ożenił się z nią, lecz dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nigdy nie będzie trzymał jej w ramionach. Nigdy nie zaśnie przy jej boku. Nigdy nie będzie się z nią kochał.

Wolf przyglądał się, jak wschodzące słońce rozświetla Congress Avenue i otaczające ją uliczki i dumął, jak zdoła przeżyć następny dzień, nie dotykając Molly. I następną noc - nie tuląc jej w objęciach... Nigdy nie pragnął żadnej kobiety prócz Molly. Ona była treścią wszystkich jego marzeń, z nią wiązał przez te wszystkie lata swe (jakże nieliczne!) nadzieje. Nawet podczas wojny, kiedy był młodszy i krew w nim kipiała, wołał sny o Molly od konkretnej bliskości jakiejś obcej kobiety.

Teraz Molly była blisko, aż nazbyt blisko... ale równie dobrze mogła być nadal sennym marzeniem, bo nigdy nie poczuje jej w swych ramionach.

Zanim usłyszał, że Molly schodzi na dół, zdążył zwinąć śpiwór i przenieść się do kuchni. Marzył o kawie.

Gdy weszła do niewielkiego pomieszczenia, powitał ją skinieniem głowy i starał się ukryć wrażenie, jakie robiła na nim jej bliskość. Była znów w czerni, schludna i poprawna. Policzki miała zaróżowione, jakby wróciła właśnie z konnej przejażdżki w porannej mgłę.

W przeciwieństwie do niej on wyglądał pewnie jak za-  
jeżdżony na amen koń pociagowy.

Molly wspomniała coś o przygotowaniu śniadania. Wolf wyminął ją i poszedł się umyć. Zaproponowała, by zrobił to w jej pokoju, ale odparł, że woli skorzystać z umywalki, którą Ephraim zainstalował na ganku.

Prawdę mówiąc, Wolf nie wyobrażał sobie, jak mógłby wytrzymać w pokoju Molly, wśród jej osobistych rzeczy. Z pewnością w powietrzu unosił się zapach różanego mydła, którego używała. Nie zdołałby się oprzeć pokusie dotknięcia jej ubrań, które zawsze wyglądały jak świeżo wykrochmalone i wybielone na słońcu. Nie powstrzymałby się też od pogładzenia poduszki, na której spała. I całkiem by zwariował!

- Pójdę do tej umywalki na tyłach domu - wymamrotał znowu, jakby sam siebie nie usłyszał poprzednim razem.

Uliczka na tyłach domu była pusta, a dzień już upalny. Ganek do połowy był zastawiony skrzyniami, ale umywalka porządna i zaopatrzona we wszystko, co trzeba.

Wolf rozebrał się do pasa i wymył w zimnej wodzie. Uczesał się również, choć wiedział doskonale, że w ciągu paru minut kędzierzawe, niesforne włosy ułożą się po swojemu. Znalazł nożyce w skórzanym futerale i przystrzygł sobie brodę jeszcze o cal. Nie była już długa, ale pokrywała szczęki ciemnym gąszczem.

Kiedy Wolf mył zęby, w odległości jakichś dwudziestu stóp ukazał się Charlie Filmore. Wychynął zza nieporządnego stosu desek w szopie Millera i pokuśtykał w stronę ganku. Dzięki Wolfowi mógł zeszłej nocy wytrąbić całą butelczynę.

- Cześć, kapitanie - wymamrotał, gapiąc się na swego dobroczyncę.

- Cześć. - Wolf obserwował gościa w lusterku do golenia. A smród buchał od niego na dobre trzy stopy. Jak od nigdy niemytej podłogi w podłej knajpie.

Charlie splunął w garść i przetarł ręką twarz. Wyglądało to jak poranna toaleta bezpieczeństwa kocura.

- No i jak się czujesz w małżeńskim jarzmie, kapitanie?

- Nieźle - burknął Wolf. Za dnia Charlie był jeszcze paskudniejszy niż wieczorem. Wszystkie bruzdy jego zrytej kulami twarzy uzupełniał brud. Rozmazał go tylko, próbując się „umyć”. Hayward uznał, że w porównaniu z nim sam się prezentuje nie najgorzej. Podrapał się po brodzie, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądał, gdy się jeszcze golił.

- Chcesz zarobić parę groszy? - spytał Charliego.

- Czemu nie, jeśli nie musiałbym się zanadto namać. - Charlie uniósł brew, a jego twarz pofałdowała się jeszcze dziwniej. - Jeśli chcesz coś kupić, kapitanie, mogę ci to załatwić, daj mi tylko forszę. Wiem na pamięć, co jest w każdym sklepie.

Wolf rzucił mu pół dolara.

- To, o co cię poproszę, i tak byś zrobił z własnej chęci. Każdemu, kogo spotkasz, masz powiedzieć, że się wczoraj ożeniłem. I z kim.

Charlie uśmiechnął się szeroko.

- Pewnie, że powiem! Ale mogłeś sobie zaoszczędzić tej forsy, kapitanie! Pastor Ford zdążył to już pewnie rozgadać po mieście. - Mrugnął porozumiewawczo. - Teraz ci żoneczka szykuje śniadanie, co?

Wolf skinął głową; miał nadzieję, że Charlie się na nie nie wprosi. Chciał spędzić tę resztę czasu, jaka mu jeszcze pozostała przed wyjazdem, wpatrując się w Molly, a nie odwracając wzrok od Charliego Filmore'a.

- No to lepiej sobie pójdę. Jej przyjaciel, Ephraim, go-

tował jak stary sierżant u nas w wojsku. Wodę potrafił przypalić, cukier mu się kwasił, cholera! Po każdym posiłku co najmniej jeden z nas miał bóle brzucha. Jak ustawialiśmy się w kolejce po żarcie, to każdy pędził, bo kto zjawił się ostatni, musiał pierwszy tego spróbować. Jak zaczynał zielenieć, chłopaki traciły jakoś apetyt.

- Nie ma już Ephraima, Charlie. Zmarło mu się i nie musisz się przejmować jego kucharzeniem.

Charlie potrząsnął głową.

- Wiem! Pomagałem Millerowi zbijać trumnę. Nie mógł sobie poradzić beze mnie! - Przechwalając się, wyprostował się dumnie. - Ale chcę cię ostrzec, kapitanie, że po mojemu Ephraim był *dobrym* kucharzem w porównaniu z twoją żoneczką!

Kiedy Wolf nic nie odpowiedział, Charlie pochylił się ku niemu i szepnął:

- Jankesi nie mają pojęcia o gotowaniu! Nikt ich tego nie nauczył. Podobno tam, na północy, wyrzuca się dla świń hibiskus, a nawet ciemny groszek! Słyszane rzeczy?! I żaden z nich nie potrafi zbić befsztyka jak należy ani go usmażyć! - Potrząsnął głową. - Nie rozumiem, jak oni wygrali wojnę!

Wolf roześmiał się i zapytał:

- Chcesz powiedzieć, że moja żona nie ma talentu do gotowania?

- Żeby tylko tyle! Nie potrwa długo, a otruje cię na amen, kapitanie! Na twoją trumnę trzeba będzie niemało desek... A Miller będzie mnie znowu błagał o pomoc.

Wolf udał zatroskanego.

- Dzięki za ostrzeżenie! Widzisz, chłopaki z mojej rodziny... no, prawie z rodziny... McLainowie są dla mnie jak bracia. Jest ich trzech i żaden nie ożenił się z dobrą kucharką. Karlee stara się jak może, ale niewie-



le z tego wychodzi. Allie przypala wszystko, jak leci. A moja siostra Nichole nawet nie próbuje: sprowadziła do domu kucharkę. Ale wszystkie kochają swoich mężów. I pewnie dlatego nigdy nie słyszałem, żeby któryś z McLainów narzekał.

Charlie znowu potrząsnął swoim kołtunem.

- Nic nie rozumiesz, kapitanie! Nie chodzi o to, że ona nie umie gotować! Jej gotowanie to plaga, ona dybie na nasze życie! Karaluchy zwiewają aż się kurzy, jak wyrzuci resztki! Widziałem na własne oczy! A odkąd się tu wprowadziła, ani razu w sąsiedztwie nie pokazał się zbłąkany kot ani kundel!

Wolf zmarszczył brwi. Czy starczy mu odwagi, by zjeść to, co Molly przed nim postawi?

- Dzięki za ostrzeżenie, Charlie, ale z pewnością nic mi nie będzie.

Charlie toczył jakiś wewnętrzny bój. Wyraźnie miał mu jeszcze coś do oznajmienia.

- Chyba lepiej wspomnę jeszcze o jednym, kapitanie; w końcu to twoja żona.

Wolf wcale nie był pewien, czy chce go dalej słuchać. Gdyby Charlie powiedział coś złego o Molly, i tak by przecież nie uwierzył, a przykro by mu było dać po mordzie takiemu nieszczęśnikowi.

- Wpakowała się w kabałę - wymamrotał Charlie. - Ktoś chce ją stąd wykurzyć za wszelką cenę. Powiada ją, że chętnie zapłaci, gdyby się jej coś stało, a jakby przepadła bez śladu, to też by mu pasowało.

Zainteresowanie Wolfa wzrosło.

- Komu?

- A bo ja wiem? - Charlie podrapał się po głowie. - Słyszałem tylko to i owo. Może nie ma w tym za grosz prawdy... Zresztą teraz nie znajdzie się taki głupi, który by cze-

goś próbował. Wiadomo przecież, że to twoja kobieta.

- Może i tak. Ale gdyby doszły cię jakieś słuchy, to mi powtórz. I zapowiedz, komu trzeba, że rozprawię się z każdym, kto by tknął Molly!

- Zrobi się, kapitanie. - Charlie wyprężył się. - Coś mi się zdaje, że zaciągnąłem się do strażników Teksasu!

Wolf skinął głową.

- Właśnie. Zostałeś tajnym strażnikiem. Do tego stopnia tajnym, że nawet cię nie będzie na liście płac. Ale nie martw się: jeśli coś wyniuchasz, sam dopilnuję, żeby ci się to opłaciło.

Charlie zasalutował.

- Tak jest, kapitanie! Możesz na mnie liczyć. Będę nadstawiał uszu i miał szeroko otwarte oczy... znaczy się, to zdrowsze oko.

Wolf odsalutował i wszedł do domu, zapinając po drodze czystą koszulę. Jak najszybciej uda się na posterunek i zapowie wszystkim, że przez kilka dni nie ruszy się z Austin, ani nad granicę, ani nigdzie indziej. Będzie czuwał nad Molly i nic, nawet trzęsienie ziemi, stąd go nie wykurzy! Charlie pewnie tylko powtarzał plotki, ale zawsze lepiej się upewnić.

Jeśli ktoś spróbuje niepokoić Molly, będzie miał teraz z nim do czynienia!

Kiedy dotarł do kuchni, Molly nalewała właśnie kawę. Niewielki stół zastawiony do śniadania wyglądał jak z obrazka.

- W samą porę! - uśmiechnęła się Molly. - Już się bałam, że ci wystygnie.

Wolf zmierzył wzrokiem chudą szynkę i dobrze okraszoną jajecznicę na obu talerzach. Między ich nakryciami piętrzył się stos świeżutkich biszkoptów; obok stało masło i dżem.

- Wygląda wspaniale! - powiedział całkiem szczerze i nie zajął miejsca, póki Molly nie usiadła.

Kiedy to zrobiła, pospiesznie przysunął sobie krzesło. Uśmiechnął się, czując zapach świeżego chleba. Ależ z tego Charliego łgarz!

Jedli w milczeniu. Wolf nie mógł się nadziwić, jak wspaniale wszystko smakowało. Kiedy Molly wyciągnęła z zimnego piekarnika dwie cynamonowe bułki wielkości pięści, był zdumiony. Nawet u Nomy nie podawali lepszych! Prawdę mówiąc, smakowały zupełnie jak te, które jadł tam wczoraj.

- To było pyszne śniadanie, Molly! - powiedział, dając jej okazję przyznania się do winy, o ile miała się do czego przyznawać.

- Dziękuję. - Sprzątała spokojnie ze stołu, ale unikała jakoś jego oczu. - Odłożyłam porcję dla Callie Ann. Powinna zaraz się zjawić.

Wolf nie wiedział, co począć. Nie oskarży przecież Molly o jawne oszustwo! Może zresztą jego podejrzenia są niesłuszne? Może jest jakiś sposób na przygotowanie śniadania bez palenia pod kuchnią? Może przyszykowała wszystko w nocy, po cichutku, żeby go nie obudzić? A może jest wróżką i wyczarowała to żarcie? Ostatecznie, nic go to nie obchodziło. Molly przygotowała dla niego śniadanie i tylko to się liczyło!

Brzęk dzwonka u drzwi frontowych przerwał mu te rozmyślania. Zjawił się jeden z młodych strażników. Wolf przywołał go do kuchni.

Chłopak powitał Molly skinieniem głowy i pospiesznie wręczył kapitanowi list. Robił wrażenie, jakby chciał stąd czym prędzej odejść, ale karnie czekał na rozkazy.

- Co się stało? - spytała Molly, siadając naprzeciw męża.

- Nic dobrego - odparł Wolf, który nie otworzył jeszcze listu. Nikt by mu nie zawracał głowy, gdyby nie szło o coś ważnego. - Dobre nowiny przekazuje się na gębę. Nie trzeba się fatygować z pisaniem. - Miał ochotę podrzeć list i bez czytania wrzucić do pieca. Tylko że w piecu się nie paliło... Przysiągł sobie w duchu, że zostanie z Molly, choćby nie wiem co.

Bez pośpiechu otworzył list. Zdeterminowany, gotów był walczyć o swoje racje. Ale słowa listu wołały wielkim głosem, zmuszały do zmiany postanowienia. Zmarszczył czoło i podjął jedyną możliwą decyzję.

Molly dotknęła jego ramienia.

- Co się stało?

Wyczuł w jej głosie strach.

- Muszę jechać - odparł, podnosząc oczy znad listu. Z trudem wydarł z siebie te słowa.

Przez chwilę wpatrywał się w Molly, którą miał znowu opuścić, nie zdradzając jej, kim jest. Nie było czasu na wyjawienie wszystkiego, co nosił w sercu. Jeśli choć cząstka jej miłości do Benjamina przetrwała, istniała szansa, że Molly go pokocha. Opierając się na wspólnym wczoraj, postanowił stworzyć dla nich wspólne jutro.

- Dbaj o Callie Ann...

- Oczywiście!

- ...i o siebie.

Molly skinęła bez pośpiechu głową jak żołnierz odbierający rozkaz.

Dobrze ją wymusztrowali! pomyślał. Tak dobrze, że wyrzekła się wszelkich marzeń czy planów o zbudowaniu przyszłości z kimkolwiek. Rozstania były integralną częścią jej życia.

- Osiodłaj mego konia, Philipie, i zapakuj żelazną

rację - polecił Wolf młodemu strażnikowi. - Będę gotów za dziesięć minut.

Philip, który czekał niecierpliwie na rozkaz, pospieszył go wykonać.

Wolf podniósł się powoli. Palce Molly ześlizgnęły się z jego ramienia. Czy kiedykolwiek tak przywyknie do niej, że nie będzie nawet zauważał jej dotknięcia?

Ruszył do swoich juków. Sprawdzając ich zawartość, powiedział:

- Wiesz chyba, że nigdy bym nie odjechał, gdyby to ode mnie zależało. To był list od mojej siostry, Nichole McLain. Zawiadamia, że Johnowi Catlinowi grozi poważne niebezpieczeństwo. John należy do rodziny... jedynej rodziny, jaką posiadałem, póki nie ożeniłem się z tobą. To dziki, zwariowany chłopak, wiecznie są z nim kłopoty.

Sprawdzając magazynek swego colta, zastanawiał się, jakby tu w kilku słowach opowiedzieć Molly o wszystkim, co się wydarzyło. Wyjaśnić jej, dlaczego musi uratować Johnowi życie - nie tylko dlatego, że jest młodym chłopcem, ale przede wszystkim z powodu Allie McLain, żony Wesa. John był jedyną osobą, która ocalała z jej rodziny. Wszyscy inni zginęli przed laty podczas napadu Indian na osadników. Allie została porwana i żyła w udręce przez kilka lat. Była niemal dzikuską, kiedy ją Wes ocalił i przywiózł do domu. Nie wiedziała, że przeżył jeszcze ktoś oprócz niej. Potem jednak odnaleziono jej brata, Johna. Nie pamiętał zupełnie swego dzieciństwa w osadzie białych ani swej siostry. Uważał się za Komancza. A jednak to był ten sam mały, szczęśliwy chłopczyk, który kochał cały świat aż do dnia, gdy musiał patrzeć na śmierć swoich rodziców. Na dnie jego serca kryła się z pewnością dawna dobroć - i dlatego właśnie John zasługiwał na jeszcze jedną szansę.

Wolf próbował wytłumaczyć sprawę Molly.

- Moja siostra, która mieszka w Fort Worth, otrzymała wczoraj depeszę od znajomego szeryfa z okolic Waco. Widział, jak aresztowali Johna; nie próbował się wtrącać, ale od razu zawiadomił Nichole. Ona z kolei przesłała wiadomość Danielowi do College Station, Wesowi do Denton i mnie tutaj. Napisała, że Adam, jej mąż, przyjedzie najbliższym pociągiem. Jeden z nas musi dotrzeć do Waco, zanim chłopca powieszą. John to zabijaka, ale nie morderca!

Molly skinęła głową, ale po wyrazie jej oczu poznał, że nie wszystko jest dla niej jasne.

- Jak mogłabym ci pomóc? - spytała, gdy zbierał rzeczy.

Wolf zacisnął rzemyki juków i popatrzył Molly prosto w twarz. Niewypowiedziane słowa wznosiły się pomiędzy nimi jak Góry Skaliste. Nie wiedział, od czego zacząć.

- Proszę cię, bądź ostrożna, póki mnie nie będzie. Zamykaj dobrze drzwi na noc. Śpij z coltem pod poduszką.

Ukląkł koło bagażu i dokończył pakowania. Obawiał się, że jeśli spojrzy znów na Molly, nie zdoła się z nią rozstać.

- Wiem, co robić - odparła spokojnie; musiała powtarzać te słowa już setki razy.

Zerknął na nią i zobaczył, że przypatruje mu się ze zmarszczonym czołem. Była dorosłą kobietą, córką generała. Przywykła sama troszczyć się o siebie. Przez całe lata obracała się wśród niebezpieczeństw.

- Wrócę jak tylko będę mógł - powiedział Wolf. Miał ochotę siarczyście kląć. Marzył tylko o jednym: zostać z Molly i przekonać ją, że w głębi serca pozostał tym samym młodym Benjaminem, który pocałował ją przed laty. Ale obowiązek wzywał, a honor domagał się, by spełnił swą powinność.

Zapiął pas, na którym nosił rewolwery. Podniósł juki.

- Odprowadzisz mnie i pożegnasz się ze mną, Molly? - spytał, idąc do drzwi.

- Oczywiście - odparła niemal uroczystym tonem, zawijając mu trochę jedzenia w koronkową serwetkę.

Na ulicy stała już spora grupka ludzi. Widać wieści już się rozeszły, pomyślał Wolf. Przyszło się z nim pożegnać trzech strażników. Choć Austin stanowiło ich główną bazę wypadową, do której wszyscy wracali od czasu do czasu, rzadko widywano na ulicy kilku strażników naraz. Nie nosili żadnych mundurów, a gwiazdzistą odznakę większość z nich przypinała do wewnętrznej strony kurtki. A jednak mieszkańcy Teksasu rozpoznawali strażnika na pierwszy rzut oka. Może po charakterystycznym chodzie: długie kroki, proste plecy? Albo po bliźniaczych coltach, które zdawały się do nich przyrośnięte? Wolf dostrzegał to na każdym kroku: kiedy na ulicy pojawił się strażnik, ludzie przystawali i zaczęli się na niego gapić. Tak było i tego ranka.

Wolf przytroczył juki do siodła i wskoczył na konia o maści czerwonej jak krew. Jęknął w duchu. Miał nadzieję, że tym razem zabawi dłużej w mieście. Gdzie tam! Nie zdążył nawet rozprostować nóg. Były nadal wygięte w łuk i gotowe do dalszej jazdy.

O pozostaniu nie było mowy. Musi uratować Johna Catlina, jeśli zdoła. Nie tylko dla dobra tego młodego człowieka, ale ze względu na Allie. Jak mógłby powiedzieć Allie McLain, że jej brat nie żyje? Wycierpiała już tyle w swoim życiu...

Ulica zaroїła się od ludzi. Część z nich spieszyła do pracy; niejednen kupiec zamiatał chodnik pod swoim sklepem. Wolf prawie ich nie widział. Dla niego istniała tylko wysoka kobieta w czerni; szła wyprostowana,

z dumnie uniesioną głową. Nie pojmował, czemu wszyscy nie zachwycają się jej pięknnością. Czyżby nie dostrzegali miękkości jej miodowych włosów ani blasku zielonych oczu, pełnych łez, które nie odważyły się ściekać? Przesuwała się niepostrzeżenie wśród tłumu... ale jemu zapierała dech w piersi!

- Molly! - zawołał tak głośno, jakby nie znajdowała się pięć stóp od niego.

Zawahała się. Przez chwilę obawiał się, że do niego nie podejdzie.

Kiedy się w końcu zbliżyła, pochylił się ku niej, by szepnąć jej coś do ucha.

Stanęła na palcach.

- Obejmij mnie za szyję! - polecił szeptem.

- Co takiego?

- Chcesz, żeby całe miasto wiedziało, że jesteś moją żoną, prawda? No to obejmij mnie za szyję, kochanie!

Niezręcznie spełniła jego rozkaz: otoczyła ramionami szyję męża; jej dłonie musnęły go po włosach.

Nieoczekiwanie uniósł ją w górę i posadził sobie na kolanach.

Molly krzyknęła, nim zorientowała się, co Wolf wyrabia. Gdy wielki koń zaczął brykać, spłoszony nieoczekiwanymi ruchami jeźdźca, przytuliła się z całej siły do męża. Nawet tych kilku przechodniów, którzy dotąd nie zwracali na nich uwagi, teraz nie odrywało od nich oczu. Dama i strażnik - osobliwa para!

- Teraz już całe Austin wie o naszym małżeństwie! - szepnął Wolf i ucałował ją w usta.

Oczekiwał, że Molly zaprotestuje, może nawet zacznie się wyrywać. Nie zrobiła tego jednak. Nie miała pojęcia, czy zrozumiała wreszcie, czemu on to robi, czy też skamieniała skutkiem szoku. Miał to być po-



całunek na pokaz, nic więcej. Kiedy jednak dotknął ust Molly, owładnęło nim tak straszliwe pragnienie, że nie mógł się od niej oderwać.

W jednej ręce zaciskał lejce, drugą przyciągnął Molly do siebie. Czuł jej piersi na swoich piersiach... bicie jej serca tuż przy swoim sercu.

Kiedy poruszyła wargami, jakby chciała zaprotestować, odsunął się nieco - tak, że tylko słowa mogły się przecisnąć między ich ustami. Znowu oczekiwał krzyku, odepchnięcia czy uderzenia w twarz, ale Molly szepnęła tylko:

- Uważaj na siebie! Wracaj szczęśliwie!

Przy tych słowach jej wargi otarły się znowu o niego, doprowadzając go do szaleństwa swą miękkością.

Tym razem, gdy znowu ją przygarnął, jego pocałunek były czuły, nieśmiały, pełen nadziei. Dotyk ust Molly sprawiał, że Wolf był wprost chory z pożądania. Dolna warga Molly zadrżała, gdy ją całował, a całe ciało stopiło się z jego ciałem.

Kiedy pocałunek dobiegł końca, Wolf postawił żonę na ziemi; był tak wstrząśnięty jej reakcją, że bał się, iż może ją upuścić.

- Wróćę najszybciej jak będę mógł. - Chwycił mocniej lejce i zapatrzył się na Molly.

Tak samo jak on była wstrząśnięta tym, co się stało. Poznał to po blasku jej zielonych oczu. Po ruchu ręki, która dotknęła warg, jakby chcąc zachować wspomnienie pocałunku. Po rumieńcu, który oblał jej policzki, przeistaczając ją w młodziutką dziewczynę.

I nagle uświadomił sobie obecność wszystkich ludzi, którzy ich otaczali. Subiekci, strażnicy, kasjerzy bankowi... Wszyscy stali w milczeniu, z rozdziawionymi ustami. Mężczyzna mógł ostatecznie ucałować swą

żonę przy ludziach... ale żeby w taki sposób?! Skandal!

Wolf dotknął palcem kapelusza i uśmiechnął się do Molly. Na całej ulicy nie było ani jednego człowieka, który by wątpił, że kapitan i jego żona są w sobie zakochani po uszy.

Złamał warunki umowy i z pewnością Molly zmyje mu za to głowę po powrocie. Wolf spiął konia, pragnąc jak najprędzej wypełnić swe zadanie i wrócić. A kiedy już wróci, stawi czoło nie tylko rozgniewanej Molly, ale i namiętnej Molly, która objawiła mu się w czasie pocałunku.

10

Molly wróciła do swej drogerii bez pośpiechu, z podniesioną głową. Nie będzie się wstydzić, że ucałowała na pożegnanie własnego męża. Choćby na oczach całego miasta! Albo samego diabła!

Kiedy znalazła się znów w domu, całkiem sama, dotknęła drżącymi palcami twarzy. Czuła na niej jeszcze dotyk brody Wolfa. Skóra swędziała... sama twarz wydawała się jakaś nowa... Usta obrzmiały jej od pocałunków.

Mogła sobie wmawiać, że całowali się tylko na pokaz, dla gapiów... ale dobrze wiedziała, jak wygląda prawda. Kiedy ich wargi się zetknęły, nagle oboje odkryli, jak bardzo pragną tego pocałunku. Nie! Poczuli, że po prostu *muszą* się pocałować! Molly nie padła ofiarą napaści, całowała się z własnej woli. Jeszcze nigdy w życiu nie przyciskała się tak bezczelnie do żadnego mężczyzny! Znała Wolfa Haywarda zaledwie od kilku dni, a już

z porządnej, dobrze wychowanej panny zmieniła się w rozpustnicę, całującą się bezwstydnie na ulicy!

Siadła przy stole, zastawionym jeszcze talerzami z kawiarni Nomy, i sięgnęła po leżący na półce dziennik. Jeśli opisze w nim wszystkie swoje doznania, wszystkie myśli, może wyzwoli się od przepełniających ją uczuć? A potem któregoś dnia, po latach, kiedy w jej życiu nie będzie już nic prócz wspomnień, odczyta znów te strony i przypomni sobie, co przeżyła owego dnia, gdy bez cienia wstydu całowała się na ludzkich oczach...

Kiedy skończyła pisanie, Callie Ann zeszła z góry i zaczął się nowy, roboczy dzień.

Jeśli nawet obywatele Austin uznali, że Molly zachowała się nieprzystojnie w chwili odjazdu Wolfa, nie dali tego po sobie poznać. Gdy otworzyła drzwi swojego sklepu, po raz pierwszy zjawili się w nim klienci. Zachowywali się wobec niej grzecznie, z szacunkiem tytułowali ją „panią Hayward” i przedstawiali ją znajomym jako „żonę naszego kapitana”. Wiele osób wyrażało żal z powodu śmierci Ephraima, choć przeważnie znali go tylko z widzenia. Młody doktor, który go leczył, Frank Washburn, zjawił się z plackiem i chlebem, dopiero co upieczonym przez jego żonę. Lekarz wyrażał się o Ephraimie z szacunkiem, mimo że nie zdążył dobrze poznać starego człowieka.

Dwaj dżentelmeni ze stanowego zakładu dla obłąkanych zwrócili się do Molly z zapytaniem, czy interesowałoby ją stałe zaopatrywanie w leki szpitala. Znajdował się o trzy mile na północ od Austin i musiałaby niestety jeździć tam raz na tydzień wynajętym powozem. Ale może przy odrobinie szczęścia udałoby jej się za jednym zamachem odwiedzić wszystkie instytucje, do których dostarczała lekarstwa?

Strażnicy z regularnością szwajcarskiego zegarka wpadali do drogerii spytać, czy nie mogą w czymś pomóc. Wiele pań zająrzało na pogawędkę i prosiło o poradę w sprawie mydeł i kremów. Pewien starszawy doktor przedstawił się Molly i spytał, czy zgodziłaby się przygotowywać dla niego wszystkie specyfiki, których nie miał w podręcznej apteczce w swoim gabinecie. Wpadł nawet Miller z propozycją, że zawiesi na nowo zerwany szyld. Tym razem stolarz nie obrzucał Molly zagadkowymi spojrzeniami. Patrzył jej prosto w twarz, i to z szacunkiem.

Po południu ciągle wizyty strażników i natarczywe dopraszanie się jakiejś pracy tak się już uprzykrzyły Molly, że zapędziła ich do sprzątania pokoju Ephraima, a potem kazała zbić z desek jak największe i jak najmocniejsze łóżko. Strażnicy wymienili uśmiechy i porozumiewawcze spojrzenia, nie domyślając się nawet, że Wolf ma być jedynym użytkownikiem tego mebla.

W pokoju Ephraima panował istic wojskowy ład. Było tam kilka książek, ubranie ułożone w dwóch szufladach i pusty kufer. Przez całe życie majątek Ephraima mieścił się w tym jednym kuferku. Strażnicy spakowali starannie wszystkie jego rzeczy.

Niezliczoną ilość razy Molly musiała biegać do składowiska po nowe zapasy. Jeśli w następnych dniach interes będzie tak samo kwitł, pod koniec tygodnia przyjdzie złożyć zamówienia dosłownie na wszystko! Pijany rewolwerowiec i złośliwi wandale wytłukli większość jej ślicznych butelek. Molly rozstawiła jednak na lustrzanych półkach zapasowe flakony w taki sposób, że sklep wydawał się nadal zasobny.

Callie Ann bawiła się na schodach lalkami, urządziła dla nich na każdym stopniu oddzielny pokój. By-

ła widać dzieckiem przyzwyczajonym do samotności; lubiła jednak bawić się w takim miejscu, z którego mogła obserwować ludzi, nie płacząc się im pod nogami. Pod wieloma względami podobna była do Molly, która, patrząc na nią, przypominała sobie własne dzieciństwo, kiedy to wszelkimi sposobami starała się przeniknąć do świata dorosłych.

Do końca dnia Molly zarobiła więcej pieniędzy niż przez cały poprzedni miesiąc. Przed sklepem zawisła znów wywieszka z jej nazwiskiem, ale już nie panińskim.

Zupełnie wyczerpana Molly przeszła do małej kuchenki, gdzie Ephraim zawsze czekał na nią z herbatą. Stan jego zdrowia pogarszał się powoli i dlatego właśnie Molly nie zorientowała się, że koniec jest tak bliski. Od zakończenia wojny i śmierci ojca zawsze chętny do pomocy Ephraim był jej podporą życiową. Tylko raz zdarzyło mu się podnieść głos; było to w dniu, gdy zawiadomiła ciotki o swym wyjeździe. Zareagowały tak, jakby była dzieckiem planującym ucieczkę z domu. W wyniku wielogodzinnej kłótni Molly omal się nie załamała i nie dała za wygraną. I wówczas Ephraim pomógł jej postawić na swoim.

Ephraim nie był jej krewnym ani wiernym sługą. Był dla niej kimś więcej: drugim ojcem. Molly nigdy nie miała matki, ale los jej to wynagrodził, dając dwóch ojców.

Generał nieraz opowiadał, że obie siostry, stare paniny, wtargnęły jak zaraza do jego domu, gdy stracił żonę. Matka Molly umarła, wydając ją na świat. Ciotki przez całe lata wbijały dziewczynce do głowy, że obie są teraz jej matkami, ale Molly nigdy nie uwierzyła w to kłamstwo. Ciotki nie umiały wychowywać; potrafiły ją tylko krytykować.

Pogładziła oparcie krzesła, na którym zawsze siady-

wał Ephraim, popijając kawę. Jeszcze przed rokiem spędzał każdą wolną chwilę na czytaniu. Ostatnio całą swą energię zużywał na oddychanie.

Nagle zabrakło dla niej powietrza w kuchni... w całym domu. Molly pospiesznie wyciągnęła Callie Ann na ulicę. Obiecała jej obiad w eleganckiej restauracji hotelowej, gdzie jadal kongresmeni ze swymi damami. Austin było co prawda jednym z prowincjonalnych miast na zachodzie, ale zostało stolicą stanu! A z politykami wtargnęły do niego eleganckie towarzystwo i najnowsza moda.

Księżniczka czuła się w hotelowej restauracji jak u siebie w domu. Wszystkie tamtejsze luksusy wcale jej nie imponowały. Siedziała prosto, wiedziała, co zrobić z serwetką i jak używać sztućców. Molly znowu zastanowiło, czemu dziecko wychowane w ten sposób tuła się bez dachu nad głową i bez grosza przy duszy.

Po obiedzie wróciły do domu, trzymając się za ręce, jakby to robiły codziennie, przez całe życie. Molly z uśmiechem pomyślała, ile radości daje jej towarzystwo dziewczynki. I nagłe uświadomiła sobie, że Callie Ann ani razu w ciągu dnia nie wspomniała o swym niewidzialnym krewniaku.

- Czy stryjek Orson idzie za nami? - spytała. - Nie widzę go po ciemku.

Callie to szła, to podskakiwała, nie wypadając nigdy z rytmu.

- Nie, nie! Stryjek postanowił dziś przespać cały dzień. Położył się do łóżka, jak to robiła babcia.

- Mam nadzieję, że nie jest chory. - Molly starała się mówić z całą powagą. - Może przygotuję mu jakieś lekarstwo?

- Nie trzeba! - Callie szła po desce chodnika z taką ostrożnością, jakby balansowała na linie. - Po prostu

poszedł do łóżka. Jest stary jak świat, dokładnie w tym wieku co babcia, tylko że ona umarła.

Smutek w oczach dziecka przypomniał Molly, że obie straciły wszystkich swoich bliskich. Zmieniła więc temat.

- Mam nadzieję, że jutro znowu będziesz mi pomagać w sklepie. Możesz się dalej bawić na schodach, ale od czasu do czasu zerknij na klientów.

- Mam bystre oczy - pochwaliła się Callie. - Widziałam nawet, jak pan Miller zdjął klucz z gwoźdźca pod kontuarem! - Zaczęła podskakiwać, niezbyt zainteresowana rozmową.

- Pan Miller zabrał mój zapasowy klucz? - Molly nie mogła w to uwierzyć.

- Sama widziałam - odparła Callie Ann. - Popatrzył na mnie takimi sowimi oczami!

- Sowimi oczami?

Dziecko zatrzymało się i zmarszczyło czoło, ściągając brwi i spoglądając spode łba.

- No wiesz... takie oczy, że prawie wchodzi jedno na drugie... Babcia i ja miałyśmy ogrodnika, który tak właśnie na mnie patrzył, jak zeszałam ze ścieżki na kłomby. Babcia mówiła, że pewnie to jego krewniacy pohukują po nocach!

Molly próbowała zrobić taką minę.

- Mam teraz sowe oczy?

Callie Ann roześmiała się.

- Nie masz! Nie możesz ich mieć, jesteś na to za ładna!

- Dziękuję za komplement - odparła Molly. - Tylko że ja wcale nie jestem ładna. - Przez całe życie nikt jej nie nazwał ładną. Rozsądną, użyteczną, kompetentną... owszem. Ale nie ładną!

- Właśnie, że jesteś! - sprzeciwiła się Callie Ann. -

Wolf powiedział, że jesteś najpiękniejsza ze wszystkich kobiet. Więc spytałam: na całym świecie? A on na to: na calutkim.

- Kiedyż to obgadywaliście mnie z Wolfem?

Callie była wyraźnie znudzona tematem.

- Przez cały czas. On nie potrafi mówić o niczym innym!

Zdumiona tym oświadczeniem Molly zastanowiła się nad komplementem, jakim obdarzył ją Wolf. Jeśli ten człowiek uważa ją za piękność, to z jego wzrokiem musi być coś nie w porządku! Stare ciotki przypominały jej codziennie, że są w życiu sprawy ważniejsze niż uroda.

Kiedy dotarli do drzwi drogerii, Molly ostrożnie nacięła klamkę. Drzwi były zamknięte - dokładnie tak, jak je zostawiła. Wyciągnęła klucz i otworzyła je. Potem przyłożyła palec do ust i dała znak Callie Ann, by szła za nią.

Wślizgnęły się do sklepu bezszelestnie jak myszki.

Wszędzie panowały cisza i ład. Jeśli Miller zamierzał wdrzeć się do jej sklepu, to zwlekał z tym zbyt długo. Teraz zdąży się przygotować.

Callie bawiła się spokojnie, a Molly gromadziła mordercze narzędzia. Ojciec nauczył ją, że można się bronić na różne sposoby. Zawiesiła dzwonki na drzwiach frontowych oraz tylnych, które dodatkowo zaklinowała dla wszelkiej pewności. Ktokolwiek chciałby wejść od tyłu, musiałby wyłamać drzwi. Jeśli zaś uchyliłby frontowe choć na parę cali, dzwonek od razu by się odezwał. Gdyby zaś otwarto drzwi tak szeroko, by ktoś mógł się przez nie wślizgnąć, dzwonek spadłby z brzękiem na podłogę.

Poukładała wszystkie wielkie, ostre noże na półkach, których sama łatwo mogła dosięgnąć, ale Callie Ann nie miała do nich dostępu. Potem przeszukała kuferek Eph-



raima i wyciągnęła jego wojskowy pistolet. Zostawiła go na dole. Identyczny pistolet, własność ojca, leżał na górze. W ten sposób wszędzie miała jakąś broń pod ręką.

Gdy przyszła pora położyć Callie Ann do łóżka, Molly miała nerwy tak napięte jak wojownik przed bitwą. Jeśli Miller i jego kompani zamierzają się włamać, to czeka ich niespodzianka!

Włożyła koszulę nocną i leżała bezsennie, nasłuchując, czy nie odezwie się dzwonek z dołu. Zanim ktoś zdołałby wejść do sklepu, byłaby już w połowie schodów z bronią w ręku. Blask latarni ulicznej rozświetlał wnętrze drogerii, ale schody na szczęście pozostawały w ciemności, póki całkiem się nie rozwidniło.

Gdy mijały godziny i nikt się nie zjawiał, Molly poszukała pociechy w ramionach niewidzialnego kochanka. Przytuliła się do ukochanego, który w rzeczywistości nigdy nie spoczywał u jej boku, za to bardzo żywo ukazywał się w jej snach.

- Benjaminie - szepnęła cichutko przez sen - Benjaminie...

Przez te wszystkie lata imię Benjaminu pojawiało się nieustannie na kartkach jej dziennika. Pisywała do niego listy, relacjonowała sny, w których ją obejmował, i wyobrażała sobie, jak wyglądałoby ich wspólne życie.

Kiedy jednak tym razem dotknęła twarzy Benjaminu, sen prysnął, a ona raptownie się obudziła.

Zerwała się z łóżka. Stojąc w ciemności, oddychała gwałtownie, usiłując odegnąć od siebie wspomnienie tego snu. Była złana potem. Zaczęła drżeć, gdy owionęło ją nocne powietrze.

Starła się za wszelką cenę wrócić do rzeczywistości, ale sen był tak wyraźny...

Otwierała i zaciskała dłonie, czując nadal pod pal-

Skan Anula43, przerobienie pona.

cami męski zarost. Twarz, której dotknęła we śnie, była twarzą Wolfa, nie Benjamina.

Wolf jechał z Austin co koń wyskoczy. Dzień był coraz gorętszy, teren stał się nieco równiejszy. Kilkakrotnie zmieniał po drodze wierzchowce na stacjach pocztowych, obiecując, że za kilka dni odda je z powrotem. Na większości postojów był dobrze znany; wiedział, że nawet mu nie policzą za opiekę nad końmi, które zostawiał.

W końcu, po zapadnięciu zmroku, zatrzymał się na spoczynek. Nad rzeką San Gabriel, gdzie uwiązał swego wierzchowca, trawa była wysoka i miękka. Wolf widywał już tę rzekę wzburzoną i występującą z brzegów, teraz jednak płynęła leniwie i spokojnie.

Wolf nie zawracał sobie głowy z przygotowaniem spania. Ściągnął z siebie ubranie i wszedł do wody, by zmyć z siebie wszystkie pot.

Mydło, które Molly wetknęła mu niemal przemocą do juków, pachniało jakoś dziwnie, ale pieniło się jak należy. Tylko czy będzie czuł się naprawdę czysto bez ługowego zapaszku zwykłego mydła? Nie miał wcale przekonania do takiego, które nie zdiera skóry do żywego. Ale jak mógł nie wziąć tego mydła od Molly, skoro tak mu pomagała przy pakowaniu?

Przynajmniej woda okazała się zimna. Niestety, było jej ledwie na stopę. Wolf musiał uklęknąć, żeby się umyć. Myślał przy tym, jak bardzo przywykł do samotności. W czasie wojny była to konieczność. Kiedy zapuszczał się na teren nieprzyjaciela, nie mógł ufać nikomu, jeśli chciał wrócić żywy. Spenetrował dziesiątki jankeskich obozów. Nawet spędził raz cały miesiąc w Waszyngtonie!

Przeważnie udawał się na północ w pojedynkę. Zawsze wtedy nogi same go niosły do szpitali polowych. Łudził

się nadzieją, że mignie mu gdzieś w przelocie Molly; kto wie, może akurat przebywa z ojcem w tych stronach?

Mówił sobie, że nawet jeśli ją zobaczy, nie zbliży się do niej. A jednak rozglądał się za nią, czasem nawet pytał, gdzie stacjonuje generał Donivan. Chłopcy w błękitnych mundurach wychwalali go pod niebiosy. Zapewniali, że nigdy nie zaniża lotów, nigdy sobie nie folguje. Te uwagi uświadamiały Wolfowi jeszcze wyraźniej, jakie czekałoby go powitanie, gdyby kiedykolwiek odważył się zastukać do drzwi Molly Donivan. Generał pewnie ustrześliłby go jak psa: ktoś taki śmiał się zalecać do jego córki!?

Kiedy wojna się skończyła, Wolf zbyt już przywykł do samotnej włóczęgi, by osiąść gdzieś na stałe. Zresztą jego rodzinny dom spłonął, majątek zabrano za niezapłacone podatki. Nie miał dokąd wracać. Walczył dzielnie za sprawę, którą uważał za słuszną: za wolność swojego stanu. Znalazł się jednak wśród pokonanych. Nie czekała go parada zwycięstwa ani wysoka oficerska renta. Gdyby wrócił w swoje rodzinne strony, trafiłby do więzienia.

Wyszedł z wody i nie wkładając ubrania, wyciągnął się na trawie. Przed ośmioma laty, gdy spotkał Molly, był jeszcze czymś w rodzaju dżentelmena, za którego go uważała. Od tej pory jednak w jego życiu wiele się zmieniło. Zbyt wiele. Żył całymi miesiącami w głuszy jak dzikie zwierzę. Zapomniał o wszelkich regułach dobrego wychowania, które wbijała mu niegdyś do głowy matka. Był już tylko Wolfem. Benjamin przestał istnieć.

Ciepłe nocne powietrze suszyło mu skórę, a on wspominał, jak kilka godzin temu całował się z Molly. Z wolna docierało do niego, że popełnił błąd. Nie pasowali już do siebie. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że osiądzie gdzieś na dobre i znajdzie jakąś inną, spokojną pra-

cę. Nie, stanowczo lepiej odgrywać tę małżeńską komedię do chwili, gdy Molly będzie całkiem bezpieczna, a potem odejść na zawsze. Nigdy nie należała do jej świata; w przyszłości też by się tam nie nadawała.

Wolf zamknął oczy. Choćby powtarzał to sobie setki razy, w głębi serca wcale w to nie wierzył.

Był tak pogrążony w myślach, że nie słyszał konia posuwającego się korytem rzeki, póki nie podjechał tak blisko, że nie było już nawet czasu sięgnąć po broń.

Wolf leżał więc bez ruchu w nadziei, że jeździec - kimkolwiek był - nie dostrzeże spoczywającego wśród traw dwustufuntowego nagusa.

Roześmiał się na samą myśl o tym. Jak coś takiego mogłoby się zdarzyć?

- Wiedziałem, że tak się to skończy! - dobiegł do niego z odległości niespełna dziesięciu stóp znajomy głos Wesa McLaina. - Zawsze byłem pewny, że któregoś dnia stracisz całkiem rozum i zaczniesz żyć jak prawdziwy wilk!

Wolf otworzył oczy i wpatrzył się w mrok. Nawet w ciemności można było dostrzec charakterystyczną, żołnierską sylwetkę Wesa.

Wolf wstał, wciągnął spodnie i burknął:

- Albo jesteś jeszcze wprawniejszy w podchodach niż dotąd, albo ja tracę słuch. Cholera! Kiedyś potrafiłem wyniuchać Jankesa na milę! A teraz przekradasz mi się wodą pod samym nosem!

- Jeśli już mowa o nosie i niuchaniu... - Wes zeskokczył z konia z lekkością byłego kawalerzysty. - Czy ty przypadkiem nie pachniesz dziś lawendą?

- Zamknij się! - warknął Wolf. - Jeszcze jedno słowo, a będziesz zbierał zęby w trawie!

Wes roześmiał się. Nie dorównywał Wolfowi wzro-

stem, ale widać było z uśmiechniętej twarzy, że zna strażnika od dawna i wcale się go nie boi.

- Miło cię znowu zobaczyć! Miałem nadzieję, że spotkamy się jeszcze przed Waco. Wybrałem się w te górki na południu po bydło i tam dotarła do mnie wiadomość o twoim przybyciu. Domyśliłem się, że przyjedziesz pocztowym traktem.

Wolf szukał drew na ognisko. Wiedział, że utną sobie z Wesem dłuższą rozmowę przed snem... jeśli w ogóle położą się spać.

- Wiesz, co się teraz dzieje z Johnem?

Wes potrząsnął głową.

Zakrzętnęli się wokół obozowiska. Byli zgrani jak starzy przyjaciele. Wes zaparzył kawę. Wolf wyciągnął biszkopty, które zapakowała mu Molly. Zauważył, że każdy przekroiła i przełożyła dżemem. Jeden z braci Wesa ożenił się z siostrą Wolfa, dzięki czemu stali się niemal braćmi. Darzyli się nawzajem szacunkiem i przyjaźnią.

- Jak to zniosła Allie? - spytał wreszcie Wolf; wyraźnie bał się tego, co może usłyszeć.

Wes był człowiekiem twardym, okaleczonym i zahartowanym przez wojnę, ale na wspomnienie żony od razu miękkł.

- Obiecałem jej, że przywiozę chłopaka żywego. Zawsze dotąd dotrzymywałem danego jej słowa.

Wolfowi stanęła przed oczyma drobna kobietka, która była teraz żoną Wesa. Wes wyciągnął Allie z klatki, w której więziono ją jak zwierzę. Swoją dobrocią dokonał tego, że wróciła do normalnego świata po piekle, które przeszła po latach niewoli najpierw u Komanczów, a potem u człowieka, który widział w niej tylko drugorzędną cyrkową atrakcję.

Wolf wolał nie myśleć o bólu, jaki musiała w tej chwili odczuwać słodka Allie.

- Co ten szczeniak zbroił tym razem?

Miał na myśli jej brata, Johna. Od kilku lat Wolf wraz z trzema McLainami odgrywał rolę anioła stróża wobec tego dzikiego chłopaka, który chciał ich wszystkich wykończyć. John tak się nadawał do życia w cywilizowanym świecie, jak aligator!

- Allie uznała, że powinniśmy go posłać do prawdziwej szkoły. Nawiasem mówiąc, ona sama nie zdołała go nauczyć ani czytania, ani nawet mówienia po angielsku.

- Wes odruchowo sięgnął ręką do blizny na policzku. - Słowo daję, John wygląda już jak normalny dzieciak, ale zbyt długo przebywał wśród Komanczów i po prostu nie może w pełni zaakceptować zmiany. Wczorajem, kiedy był razem z nami, widziałem, jak patrzy na księżycową ścieżkę: zupełnie jak więzień, który marzy o wolności... - Nalał Wolfowi kawy. - Jakoś się pogodził z myślą o szkole. A ja, prawdę mówiąc, byłem rad, że chłopak wyjeżdża. 2 wyjątkiem Allie, patrzył na każdego na naszym ranczo tak, jakby nie mógł się doczekać, kiedy puści nasze trupy z wodą. Zawiozłem go do dobrej szkoły w Dallas. Został tam kilka dni, a potem zniknął. Po miesiącu odnalazł się w Waco: wdał się w jakimś barze w awanturę. Kogoś w niej zabiło, a ponieważ John nie zdążył w porę zwać, wszystko się skrupiło na nim.

- Myślisz, że to on zabił? - spytał Wolf.

Wes potrząsnął głową.

- Nie. Kilka miesięcy temu może bym w to uwierzył... ale życzyć wszystkim śmierci to całkiem co innego, niż naprawdę zabijać. Ten dzieciak jest cholernie nieszczęśliwy. Jego cały świat się zawalił, i to dwa razy. Najpierw zamordowali mu rodziców, porwali go

i wędrował od plemienia do plemienia. A kiedy prawie już zapomniał o przeszłości i przyzwyczał się do życia wśród Indian, zabrano go stamtąd i oznajmiono, że nigdy tam nie wróci. Sam już nie wie, kim jest. Myśli, że nigdzie nie ma dla niego miejsca.

Wolf wstał.

- No więc jak go wyciągniemy, stary druhu?

Wes przyjrzał mu się bacznie.

- Na jakie ryzyko jesteś gotów?

- Na każde - odparł szczerze Wolf.

Wes uśmiechnął się.

- Doskonale! Mam już plan.

## 11

Prawie świtało, gdy Molly wreszcie zasnęła. Po kilku minutach (tak jej się przynajmniej zdawało) Callie Ann stała już nad jej łóżkiem i ciągnęła ją za ramię.

- Obudź się! - nalegała szeptem dziewczynka. - Obudź się, już czas na śniadanie!

Molly zmusiła się do otwarcia oczu.

- To już rano? Niemożliwe!

Callie Ann roześmiała się.

- Właśnie, że tak!

Molly naciągnęła poduszkę na głowę.

- Zmykaj, ranku! Chce mi się spać!

Rozchichotana Callie uniosła róg poduszki i wrzasnęła:

- Ranek mówi, że nie odejdzie!

- No, dobrze. - Molly odgarnęła włosy z oczu. - Wstaję!

Ubierały się ze śmiechem, radośnie witając nowy dzień, a potem zeszły na śniadanie, złożone z bułeczek, jabłek i herbaty. Kiedy Molly odczepiła alarmowe dzwonki i otworzyła drzwi frontowe, okazało się, że klienci już czekają.

Obie miały pracowity dzień, pełen wrażeń. Strażnicy, uporawszy się z łóżkiem dla Wolfa, zaczęli domagać się nowej roboty. Zjawili się choćby na chwilę wszyscy, począwszy od pana Millera, kończąc na Babce Papce. Kilka osób naprawdę czegoś potrzebowało ze sklepu, reszta przyszła „dla zabicia czasu”.

Kiedy wieczorem Molly przysiadła wreszcie na schodach obok Callie Ann, stwierdziła ze zdumieniem, że jest kompletnie wykończona. „Zabijanie czasu” z połową Austin nie było lekkim zajęciem!

Dziecko oparło głowę na kolanach Molly.

- Nie chcę nigdzie wychodzić na obiad! Zmęczyło mnie to przyglądanie się ludziom przez cały dzień. Możemy zostać w domu?

Molly pogładziła ją po kręconych włoskach.

- Bardzo mi to odpowiada. Kiedy podczas wojny jeździłam z moim tatusiem z obozu do obozu, często jadałimy owsiankę z masłem orzechowym. Mam w kuchni wszystko co potrzeba. Zamówisz ją na kolację?

Callie Ann uśmiechnęła się.

- Poproszę owsiankę z masłem orzechowym i bułeczki z jabłkiem!

- Co za wspaiałe menu! Jak w najlepszej restauracji.

Kiedy przygotowały kolację i zjadły ją, zachciało się im obu spać. Molly starannie umocowała dzwonki na drzwiach, po czym położyła Callie Ann do łóżka. Zdumiewające, jak szybko to dziecko stało się częścią jej życia! Wolf po powrocie zastanie pewnie wiadomość od



krewnych dziewczynki, którzy zabiorą ją do siebie. Molly wiedziała od samego początku, że Callie Ann będzie u niej krótko, ale pokochała ją jak własne dziecko.

- Zapomniałam ci powiedzieć - oznajmiła Callie Ann, moszcząc się w łóżeczku. - Stryjek Orson zauważył, że pan Miller odniósł klucz dziś po południu.

Molly uniosła brew i spytała:

- Naprawdę?

- Stryjek Orson mówi, że zawiesił go z powrotem na haczyku pod kontuarem.

Molly nie skomentowała tej informacji i przeszła do swojej sypialni po przeciwnej stronie korytarza. Może Millera ogarnęły wyrzuty sumienia z powodu kradzieży klucza? Może nie miał odwagi zrobić tego, co sobie zaplanował? A może pomyślał, że Molly zauważy brak klucza, więc postarał się o duplikat?

Póki sprawa się nie wyjaśni, trzeba porządnie zamknąć drzwi i nadal wieszać dzwonki alarmowe. Jeśli coś się wydarzy, będzie na to przygotowana!

Ponieważ poprzedniej nocy prawie nie spała, poszła do łóżka z przyjemnością. Ledwie przyłożyła głowę do poduszki, a już śniła o Benjaminie i cudownym życiu, które wiodła z nim w marzeniach. I sny, i marzenia o Benjaminie zmieniały się z biegiem lat. Z początku zawsze sobie wyobrażała, że ukochany wraca z wojny w mundurze i zaprasza ją do tańca. Z upływem czasu płasy przerodziły się we wspólne długie spacerunki i poważne rozmowy. Niekiedy Benjamin ratował jej życie, bronił jej przed całym światem. Czasem po prostu jedli razem obiad i gawędzili o codziennych sprawach. Nieważne, co robili. Dzięki jej marzeniom Benjamin żył.

Kilka godzin później Molly wydało się, że słyszy dzwonek. Brzęknął dwa razy, nim ocknęła się z głębokiego snu.

Schwyciła broń i nim całkiem oprzytomniała, już stała na schodach. Dzwonek zadźwięczał znowu i nagle ucichł, jakby ręka w rękawicze złapała go w powietrzu.

Molly rozglądała się po mrocznym wnętrzu. W sklepie było cicho i pusto.

Zrobiła jeszcze kilka kroków, starając się zajrzeć w najciemniejsze kąty, czy nie dostrzeże jakiegoś ruchu. Zacisnęła mocniej rękę na pistolecie; musi być w każdej chwili gotowa do strzału! Ojciec zawsze ją ostrzegał: „Nie wyciągaj broni, jeśli nie jesteś pewna, czy się nią posłużysz!” Gdyby się w ostatniej chwili zawahała, naraziłaby nie tylko własne życie, ale i Callie Ann! Nie miała żadnego obrońcy. Mogła liczyć tylko na siebie.

Była już na parterze. Nic się tu nie działo. Jak zawsze wybiegły jej na spotkanie znajome wonie. W nielicznych kolorowych flakonach, które pozostały jeszcze na półkach, odbijało się światło z ulicy. Wszędzie panowała cisza.

Molly obeszła jedną, potem drugą ladę i sprawdziła drzwi. Były otwarte; uchylono je na tyle, by spowodować brzęknięcie dzwonka, ale nie zerwano sznurków. Nikt nie mógł wejść do sklepu.

Molly domknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Ktokolwiek próbował wtargnąć do sklepu, tym razem mu się to nie udało. Wystraszyły go zapewne dzwonki alarmowe. Molly opuściła rękę z pistoletem i zawróciła w stronę schodów.

I wtedy kątem oka dostrzegła drgnięcie kotary, która oddzielała jej miejsce pracy od kuchni. Krzyk uwiązał Molly w gardle. A więc nie była sama! Ktoś jednak wszedł, a teraz czaił się za kotarą!

Musiała zebrać wszystkie siły, by nie rzucić się do ucieczki. Powoli weszła na schody i skryła się w mro-

ku. W połowie drogi odwróciła się i przysiadła na stopniu z pistoletem na kolanach.

Bała się nawet odetchnąć. Wbiła wzrok w kotarę, starając się nie mrugać. Trzymała palec na spuście, gotowa do strzału.

Zasłona znów się poruszyła, ale nic nie było słychać.

Molly uniosła lufę pistoletu tak, by trafić prosto w serce. Nawet jeśli nieproszony gość miał broń, zdąży go chyba zastrzelić, nim odpowie jej ogniem.

Sekundy dłużyły się jak godziny. Trzymające broń ręce pociły się, a kolana się trzęsły. Molly powtarzała sobie, że jest córką generała i robi to, co jest konieczne.

Zasłona rozchyliła się. Przez chwilę Molly wiedziała tylko, że coś jest przerażająco nie tak: w miejscu, gdzie powinna znajdować się pierś i ramiona przeciwnika, zionęła pustka.

Potem dostrzegła kędzierzawą blond główkę i wszystko stało się jasne.

- Callie! - Molly upuściła pistolet i zbiegła ze schodów.

Zaskoczone dziecko wydało okrzyk przerażenia. Kubek mleka wyslizgnął się z drobnych paluszków i rozbił w kawałki. Callie Ann cofnęła się w panice i zaplątała w kotarę.

- Callie! - powiedziała znacznie ciszej Molly. - Aleś mnie przestraszyła!

Callie Ann zmarszczyła czoło i zaczęła pochlipywać.

- Ty mnie też! Nie zrobiłam przecież nic złego, prawda?

- Nie, nie - zapewniła ją szeptem Molly, starając się uspokoić dziecko. - Przypadkiem obie napędziłyśmy sobie stracha. Pewnie jutro pomyślimy, że to był tylko zły sen!

Roześmiały się i zrobiło im się nagle wstyd, że się aż tak przelekły.

- Zeszłam na dół po te ciasteczka, które Ephraim nazywał „herbatniki”. Zawsze mi je dawał, kiedy poprosiłam. - Spojrzała na okruszki w swojej ręce. - Babcia zostawiała mi koło łóżka coś na przegryzkę. Mówiła, że nie lubi, jak chodzę po domu ze świeczką. Nigdy się jej nie przyznałam, ale zjadałam wszystko, a potem i tak spacerowałam po domu.

- W porządku, Callie. - Molly otarła małe łapki z okruszków. - Możesz zawsze przegryźć coś, jeśli masz ochotę... Ale i ja bym wolała, żebyś nie wędrowała po całym domu sama i po ciemku.

- Bo zastawiłaś tu pułapki?

Molly przyjrzała się bacznie Callie Ann.

- Zastawiłam pułapki?

Dziecko skinęło głową.

- Widziałam, jak zawieszasz dzwonki na drzwiach. Wcale ich nie dotykałam! Moja babcia nauczyła mnie zastawiać pułapki. Ale tej twojej nie rozumiem.. Co chciałaś w nią złapać?

- Nic. - Molly uprzątnęła rozlane mleko i pokruszone herbatniki. - Chciałam tylko przyłapać kogoś, gdyby wszedł do sklepu.

- No to ci się udało! Przyłapałaś mnie! - Callie Ann otarła łezkę. - Aleś mnie przestraszyła! Tak wrzasnęłaś „Callie!”

- Bardzo mi przykro. - Molly była pewna, że dziecko nawet w połowie nie wystraszyło się tak jak ona. Co by się stało, gdyby w panice wystrzeżiła? - Może przygotujemy jeszcze raz tę przegryzkę? Ja wezmę dwa kubki mleka, a ty herbatniki. Wejdziemy po schodach razem, żeby już nikt nikogo nie wystraszył! - Mówiąc to, wprowadziła dziecko do kuchni.

Callie Ann wspięła się na krzesło i sięgnęła po puszkę z herbatnikami.

- A jak zjemy, pozwolisz mi spać razem z tobą?

- Oczywiście. - Molly wyjęła dzbanek mleka, przechowywany w małej chłodziarce, stojącej na podłodze. W lecie w Austin właściwie nigdzie nie było zimno, ale z piwnicy pod domem ciągnęło chłodem i stojące w tym miejscu mleko nie kwasiło się. - Zawsze jesteś mile widziana w moim łóżku.

Kiedy Molly nalewała mleko, zdawało jej się, że słyszy echo, zupełnie jakby równocześnie ktoś rozlewał inny płyn. W chwilę później gryzące wyziewy nafty przeniknęły przez cienką zasłonę i wypełniły kuchnię.

Molly odstawiła dzbanek i schwyciła Callie Ann za rękę. A więc miałam rację! pomyślała. Ktoś był w sklepie. Komuś udało się wejść do środka i zawiesić dzwonki na dawnym miejscu, nim zeszła ze schodów.

Lodowaty dreszcz przemknął jej po plecach. Jeden pistolet zostawiła na schodach, a drugi był w sklepie...

Znowu rozległ się plusk. Ktoś polewał naftą kontuaru tuż za wejściem do kuchni. Molly słyszała, jak płyn ścieka na podłogę.

Odór nafty szczypał ją w oczy. Pociągnęła Callie Ann do tyłu, starając się nie okazywać paniki. Jediną drogę ocalenia stanowiły tylne drzwi, wychodzące na małą uliczkę. Temu komuś, kto rozlewał naftę, tak się spieszyło, że nie czekał nawet, aż obie wrócą na górę.

- Szybko! - szepnęła Molly.

Dziecko nie zrozumiało może, o co jej chodzi, ale strach brzmiący w głosie opiekunki sprawił, że się nie odezwało.

Przeszły szybko do sąsiadującego z kuchnią pokoju Wolfa. Molly myślała tylko o tym, jak uratować dziec-

ko i siebie. Jeśli ten ktoś we frontowym pokoju zapali zapałkę, sklep spłonie bardzo szybko. Nie ma mowy o ocaleniu czegoś, co zostało na górze. W kuchni nie było nic, co chciałaby zabrać... prócz dziennika, ale nie zamierzała po niego wracać. Nie był wart takiego ryzyka.

Kiedy przechodziły przez pokój Wolfa, oczy Molly padły na jego zapasowy ekwipunek i pudło z dokumentami. Postanowiła je uratować; chwyciła pudło wolną ręką i podbiegła do tylnych drzwi.

Na sekundę rozbłysło nikłe światełko, pozornie nieszkodliwa, miniaturowa spadająca gwiazda. We frontowym pokoju buchnęły płomienie.

Po kilku sekundach za ich plecami, w drogerii, szalał już pożar i eksplodowały pojemniki z chemikaliami. Nagły podmuch rzucił Molly i Callie na ścianę przy drzwiach, jakby nawet powietrze usiłowało uciec przed ogniem. Molly odsunęła rygle i wyciągnęła klin unieruchamiający drzwi, ale się nie otworzyły. Ściągnęła z klamki sznurek swej instalacji alarmowej i usłyszała dźwięk dzwoneczków, zbyt późno ostrzegających o niebezpieczeństwie.

Języki ognia rozświetliły pokój frontowy; było tam jasno jak w dzień. Za kilka chwil pożar wtargnie do kuchni, a potem do pokoju Wolfa.

Molly napała z całej siły na drzwi, waliła w nie pięściami, pragnąc, by wypuściły je ze śmiertelnej pułapki. Callie Ann obejmowała Molly kurczowo w pasie; wierzyła, że może ją uratować.

Molly znów zaczęła mocować się z drzwiami, ale te ani drgnęły. Callie Ann zaczęła płakać i ukryła twarz w sukni swej opiekunki. Molly, kaszląc, osłoniła dziecku buzię spódnicą.

Nagle przyklękała, przemocą rozwarła palce Callie Ann

i podała dziewczynce do potrzymania pudełko Wolfa.

- Nie upuść! - wrzasnęła i zerwawszy z łóżka Wolfa wojskowy koc, zarzuciła go na małą. - Zostań pod tym namiotem. Nic ci się nie stanie!

Cofnęła się o krok i z rozpędu uderzyła raz jeszcze ramieniem w drzwi. Drewno zatrzęszczało. Molly czuła się tak, jakby oddychała żywym ogniem. Paliły się płuca, gorące powietrze nacierało na nią, parzyło, zanim jeszcze dopadły ją języki ognia.

Obejrzała się do tyłu. Płomienie wpełzały już do kuchni, wiły się po starym chodniku, pięły po zasłonie. Rachityczny stół i krzesła umierały z trzaskiem.

Walcąc we drzwi ze wszystkich sił, Molly wniebogłosisy wzywała ratunku.

Kiedy Molly znów się cofnęła, by po raz ostatni, nim żar odbierze jej resztkę sił, rzucić się na drzwi, te rozwarły się przed nią na oścież.

Przez chwilę Molly nic nie widziała. Dym prześcignął ją i wy dostał się na zewnątrz. Poczowała chłodny powiew.

- Wychodzić, żywo! - wołał do niej ktoś spoza ganku. - Ja pani nie uradzę! No, w nogi, paniusiu!

Molly chwyciła Callie Ann razem z kocem i pudełkiem, by wykorzystać tę ostatnią szansę ocalenia.

Raczej zjechała niż zbiegła ze stopni ganku. Znalazła się na świeżym powietrzu i odetchnęła nim głęboko. Zerwała koc z Callie Ann i przytuliła mocno płaczące dziecko.

- Już dobrze, dobrze... - powtarzała szeptem raz po raz, raczej do siebie niż do małej.

Pożar rozświetlił całą ulicę. Ludzie zbiegali się wsząd, wiadra z wodą przechodziły z rąk do rąk; gaszono pomniejsze pożary, wywołane przez niesione z wiatrem płonące węgielki.

Molly nadal obejmowała Callie Ann i cofała się, aż wreszcie natknęła się na stos desek za warsztatem pana Millera, w którym produkował meble i trumny.

- Wszystko w porządku, psze pani? - spytał Molly stojący obok niej mały człowieczek. - Odwaliłem te wszystkie skrzynie od tylnych drzwi, jak tylko zaczęła pani wrzeszczeć.

Popatrzyła przez łyzy na Charliego Filmore'a. Na twarzy żebraka malował się niepokój.

- Dziękuję - szepnęła. - Ocaliłeś nam życie, Charlie. Charlie był wyraźnie zażenowany.

- Nie ma o czym gadać! Taka już moja robota.

## 12

W walce o uwolnienie Johna Catlina Wolf gotów był uciec się do wszelkich możliwych sposobów, ale ku jego zaskoczeniu Wes poprosił go tylko, żeby mówił prawdę. No... może nie całą prawdę. Plan był następujący: wkroczą do biura szeryfa w Waco i Wolf oznajmi, kim jest, oraz oświadczy, że jego zdaniem uwięziony chłopak to przestępca, ścigany za morderstwa w Austin.

Cała rola Wolfa polegała na skłonieniu policjantów z Waco, by uwierzyli w tę bajeczkę. Nichole pisała, że tamtejszy szeryf nie znał prawdziwego nazwiska chłopca, co ułatwiało Wolfowi zadanie. Znajomy, który zatelegrafował do Nichole, nie rozmawiał w ogóle z szeryfem z Waco na temat Johna. obrońcy prawa z Waco zamierzali więc powiesić chłopaka jako



„Johna Doe”\*, co nie prezentowałyby się najlepiej ani w rejestrach policji, ani na cmentarzu.

Policja z Waco powinna chętnie przekazać chłopaka Wolfowi, który oczywiście zapewni szeryfa, że rozpoznaje w więźniu poszukiwanego zbrodniarza. Kiedy tylko wyjadą z miasta, John natychmiast „ucieknie” kapitanowi... i trafi pod opiekę Wesa.

Wes wiedział, że ponieważ Wolfowi nigdy jeszcze nie wymknął się konwojowany złoczyńca, mogło się komuś wydać dziwne, że taki młokos przechytrył doświadczonego kapitana. „Nie zaszkodzi to jednak twojej reputacji strażnika - przekonywał Wes. - Jeśli nawet ktoś pomyśli, że niepokonany dotąd kapitan Hayward się starzeje, to bez trudu udowodnisz przy następnej akcji, że wcale tak nie jest”.

Wolf wyraził zgodę, ale niechętnie. Niełatwo mu było pogodzić się z taką ujmą na honorze.

Plan był bardzo prosty. Nikomu nie stanie się krzywda, zapewniał Wes. Nie będzie żadnych ofiar w ludziach. No i, przede wszystkim, nikogo nie powieszają!

Kiedy wjechali do Waco, które dawni mieszkańcy nadal nazywali „swoją wioską”, Wes McLain poprawił się w siodle i spytał:

- Nie masz ochoty pogadać o tym, co się z tobą dzieje?

- O co ci chodzi? - Wolfa zawsze zdumiewała łątwość, z jaką Wes czytał w jego duszy niby w książce. Większość ludzi, których Wolf poznał po przybyciu do Teksasu, nie potrafiła go rozgryźć. Ale Wes jakimś cudem pozbiierał wszystkie kawałki łamigłówek i miał teraz pełny obraz.

\*John Doe - termin prawny, oznaczający w krajach anglojęzycznych osobę (żywego człowieka lub zwłoki) nieznanego nazwiska (przyp. tłum.).

- Lawendowe mydło. Czyste ubranie. Biskwopty z dżemem. I ta kąpiel! Przecież to nawet nie sobota! - Wes roześmiał się. - Mam mówić dalej?

- Nie - burknął Wolf. Cholera! Miał to wypisane na czole, czy co?! - Wspomniałem ci chyba kiedyś o dziewczynie, którą spotkałem dawno temu na dworcu w Filadelfii?

Wes przesunął kapelusz na bakier; mijali właśnie jakąś parę na wieczornym spacerku.

- Głędzisz o niej za każdym razem, jak się zalejesz.

Wolf groźnie warknął, ale niezrażony Wes mówił dalej.

- Ta cudowna zjawa w barwach Unii miała na imię Molly. Opiekowała się rannymi. Zakochałeś się w niej od pierwszego wejrzenia. Poza tym, o ile dobrze pamiętam, pocałowałeś tę dziewczynę i przysiągłeś jej, że odnajdziesz ją po zakończeniu wojny.

Strażnik nie odezwał się ani słowem. Jego najbardziej romantyczne przeżycie, ubrane w słowa Wesa, przedstawiało się niemal komicznie.

- Nie powiesz chyba, że znów się na nią natknąłeś? Jeszcze jeden zatłoczony dworzec? Kolejny pocałunek?

Wolf zastanawiał się przez chwilę, nim odpowiedział.

- Coś w tym sensie. Ożeniłem się z nią.

- Co takiego?!

- Ożeniłem się z nią! - Gdyby mieli więcej czasu, powiedziałyby Wesowi, co o nim myśli. Ładny mi przyjaciel: dziwił się tak, jakby Wolf nie nadawał się do żeniaczki!

Wes potrząsnął głową.

- Niech mnie diabli! Kiedy wyciągniemy stamtąd Johna, to choćbym miał szczeniaka związać i zakneblować, muszę wysłuchać w spokoju całej tej historyjki!

- Mogę ci ją skończyć w dwóch słowach. Pobrali-

śmy się, i to wszystko. Tylko ona nie wie, że wyszła za tego durnia, który ją wtedy pocałował.

Zatrzymali się przed biurem szeryfa. Nikt by nie zgadł, o czym rozmawiają takie dwa twarde chłopcy jak my - pomyślał Wolf.

- Straciła rozum podczas wojny, co? - spytał Wes, zsuwając się z siodła. - A w dodatku "wszystkie zęby, więc cię wzięła litość. Jest teraz wdową z tuzinem bachorów do wyżywienia i tylko ty mogłeś uratować ich wszystkich od śmierci głodowej... - Uwiązał konia do palika. - A poza tym jest ślepa jak nietoperz i wpadła na ciebie po omacku. Zgadłem?

Wolf miał ochotę grzmotnąć przyjaciela z całej siły.

- Nie. Jest zdrowa na umyśle, ma wszystkie zęby, nigdy nie wychodziła za mąż i jest jeszcze piękniejsza niż dawniej. Co zaś do jej wzroku, to nie jestem pewny...

- No to moje gratulacje! - Wes walnął go w plecy. - Całkiem szczerze, dla was obojga. Jeśli się jeszcze nie połapała, jaka z niej szczęściara, to się połapie. Pod tą górą kłaków i muskułów chowa się całkiem porządny facet!

- Dzięki - odparł Wolf, gdy zmierzali do drzwi wejściowych. - Jest tylko jeden szkopuł: kiedy odkryje, kim jestem, pewnie już nigdy się do mnie nie odezwie!

- Powinieneś sam jej to powiedzieć - poradził Wes.

- Powiem - przyrzekł Wolf. - Tylko bym wolał, żeby najpierw pokochała mnie takim, jakim teraz jestem.

Wes potrząsnął głową.

- Odkładanie spraw na później nie zawsze wychodzi na zdrowie. Najlepiej od razu przypomnieć jej dawne dobre czasy.

- Nie trwałoby to długo. Mieliśmy tych dobrych czasów coś ze trzy minuty.

Do biura szeryfa wkroczyli z uśmiechem na ustach.

Pełniący dyżur zastępca szeryfa obrzucił ich nerwowym spojrzeniem. Nieznajomi wpadający po zmroku nie byli zazwyczaj pożądanymi gośćmi. Przedstawiciel prawa jakoś dziwnie się skurczył.

Wolf uchylił kurtki i pokazał swą gwiaździstą odznakę. Zastępca szeryfa nieco się odprężył.

- Dobry wieczór - wymamrotał, odchylając się znów na oparcie krzesła. Wyraźnie usiłował zatuszować strach, który go przed chwilą obleciał. - W czym mogę pomóc?

Wolf oświadczył urzędowym tonem:

- Chciałbym pogadać z waszym więźniem, tym bez nazwiska. Jestem kapitan Hayward z Austin. Ścigamy mordercę i rysopis nam się zgadza. Zakatrupił pół tuzina osób w naszej okolicy.

Zastępca szeryfa wstał.

- Można do niego mówić ile wlezie, kapitanie, ale on i tak nic nie powie. Zupełnie jakby nie rozumiał ani słowa. Nie wyciągnęliśmy z niego nawet nazwiska. Ale nie ma wątpliwości, że to drań. Wystarczy spojrzeć w te zbójcekie ślepie! - Otworzył drzwi aresztu. - To jeszcze smarkacz, ale urodzony morderca. Młody grzechotnik zabija nie gorzej niż stary!

Strażnik czekał bez słowa. Zastępca szeryfa pewnie by się zdziwił, gdyby -wiedział, że zatrzymany chłopak to John Catlin, dziedzic jednej z największych posiadłości w Teksasie. Obecnie ranczem zarządzało starzejące się małżeństwo i nie mogło doczekać się chwili, gdy ich jedyny wnuk przestanie wmawiać sobie, że jest Komanczem, i obejmie w posiadanie ojcowiznę. Wolf wiedział już od Wesa i Allie, że John traktował ranczo nie jak rodzinny dom, lecz jak kolejne więzienie.

- Siedzi tam! - Zastępca szeryfa, otwarłszy pierwsze

drzwi, wskazał szereg cel. Wszystkie z wyjątkiem jednej były puste. - Zostanę tutaj, gdybyście mnie potrzebowali.

Wolf ruszył korytarzem; Wes tuż za nim.

- Hej, mały! - rzucił beznamiętnym tonem kapitan. Chłopak nie podniósł głowy.

Wolf wiedział jednak, że John go poznaje. Nic dziwnego, psiakrew! Miał z nim do czynienia przy niejednej takiej okazji!

- No, popatrz na mnie. Przyjechałem po ciebie. Sporo ludzi nie może się ciebie doczekać, synu! - Wolf omal nie dodał „jak zawsze”. Gdyby to nie był jedyny brat Allie i jedyny wnuk Victorii Catlin, Wolf dawno przestałby zwracać sobie nim głowę.

Teraz spróbował Wes.

- John!

Żadnej odpowiedzi.

-John!

Chłopiec podniósł głowę. Na widok jego twarzy Wolf zacisnął zęby. Była cała posiniaczona, ktoś widać nie żałował pięści. Jedno oko całkiem zapuchło, drugie napłynęło krwią. Z częściowo zasklepionej rany u nasady włosów ciągle jeszcze kapała krew.

Wolf przysunął się do samych krat, żeby lepiej obejrzeć chłopaka. Z ubrania Johna zostały brudne strzępy. Nie miał butów ani skarpet. W kilku miejscach krew przeciekła przez tkaninę. Wolf domyślił się, że pod odzieżą kryje się wiele obrażeń.

- Widział go jakiś doktor? - spytał gromkim głosem.

- Żaden nie chciał wejść do jego celi - odrzyknął ze swego pomieszczenia zastępca szeryfa. - Omal nie wykończył dwóch naszych ludzi! Podobno tamtej nocy w barze rozłożył ośmiu! Taki niedorostek, ale złości ma w sobie dość! Jedyny porządny doktor w mieście aku-

rat wyjechał. A lekarz wojskowy powiedział, że jeszcze mu życie miłe i nawet się nie zbliży do tego gówniarza. Zresztą, ten konował zna się tylko na koniach.

Wes zbliżył się do celi Johna, a Wolf zwrócił się do zastępcy, który siedział znów w swoim pokoju.

- O której przybywa pociąg z Fort Worth? Miał nim przyjechać doktor.

Zastępca szeryfa zaczął się wiercić na krześle, jakby się niecierpliwił, że traci czas przez takie głupie pytania.

- Skąd mam niby wiedzieć? Dziś wieczorem, o którejś tam.

- Przybył przed kwadransem - odezwał się jakiś głos od drzwi frontowych.

Wolf nad głową zastępcy szeryfa spojrzał w tamtym kierunku. Na progu stał wysoki, przyzwoicie ubrany mężczyzna. Jego płaszcz powiewał na wietrze jak anielskie skrzydła.

- Spieszylem się jak mogłem, kapitanie - powiedział przybysz do Wolfa, unosząc w górę swą lekarską torbę. Potem zwrócił się do zastępcy szeryfa. - Jestem doktor McLain z Fort Worth. Chciałbym zbadać pacjenta.

Wolf skinieniem głowy powitał swego przyjaciela, a zarazem szwagra. Gdyby zastępca szeryfa był trochę bystrzejszy, zdziwiłby się pewnie, skąd strażnik Teksasu z Austin wiedział o przybyciu doktora z Fort Worth. Ale zastępca pewnie nigdy nie marnował czasu na myślenie.

Poza tym Adam McLain wyglądał jak uosobienie tej szczytnej profesji. Prawdę mówiąc, przypominał bardzo swego brata Wesa postawą, kolorem włosów i oczu. Tylko że oczy Adama, o wiele łagodniejsze, były oczyma opiekuna i uzdrowiciela. Wes podczas wojny służył jako żołnierz, Adam zawsze leczył. Najważniejszą pacjentką w jego życiu stała się Nichole, siostra

i jedyna krewna Wolfa. Adam ocalił jej życie pewnej nocy pod koniec wojny... a ona ocaliła jego.

Wolf zdławił w sobie wszystko, co chciał powiedzieć szwagrowi.

- Rad jestem, że cię widzę, doktorze - rzucił oficjalnie. - Wygląda na to, że temu chłopakowi przyda się fachowa pomoc.

Adam uśmiechnął się do Wolfa, potem do Wesa i ruszył w kierunku celi. Wystarczyło mu jedno spojrzenie.

- Otworzyć drzwi! - rozkazał. - Będę potrzebował czystej wody, bandaży, jeśli macie, i jak najwięcej czystych ręczników.

Zastępca szeryfa już się nie tylko niepokoił: miał minę jak gradowa chmura!

- Bo ja wiem? Nie wolno otwierać tej celi! Jestem tu po to, żeby pilnować tego ptaszka. My się nie cackamy z bandytami! Czyste ręczniki są pewnie w hotelu naprzeciwko, ale ja stąd nie wyjdę w czasie dyżuru! - Widać było wyraźnie, że nie ruszy się ze swego miejsca.

- A jak więzień wyciągnie kopyta podczas tego dyżuru? - warknął Wolf i sam zdjął klucze z gwoźdźca za plecami stróża prawa.

Zastępca szeryfa zrozumiał, że w pojedynkę nie da sobie rady. Trzej potężnie zbudowani mężczyźni traktowali go jak uprzykrzonego komara. Wymamrotał tylko, że gdyby Johnowi Doe się zmarło, miałby z tym mnóstwo papierkowej roboty. Na to nie otrzymał już żadnej odpowiedzi. Wes poszedł po ręczniki, Wolf po wodę, a Adam rozkładał instrumenty medyczne.

Zastępca szeryfa stanął w kącie jak najdalej od celi; mógł jednak obserwować stamtąd przebieg wydarzeń. Przyglądał się całej trójce, gdy znowu się zeszli. Nie zamierzał im bynajmniej towarzyszyć, kiedy wkroczyli razem do celi.

- A teraz, synu - zaczął Adam spokojnym głosem - nie wojuj z nami. Chcemy ci tylko pomóc.

Wolf dostrzegł błysk nienawiści w oczach Johna, gdy dziki chłopak zerkał to na nich, to na nóż, pozostawiony przez Adama na stole, na zewnątrz celi.

Gdyby była z nimi Allie, siostra Johna, może namówiłaby go jakoś do współpracy; bez niej nie mogli liczyć na przyjazne powitanie.

I rzeczywiście, gdy tylko znaleźli się w zasięgu ręki Johna, chłopiec zaatakował. Jego ciosy wymierzone były nie tyle w nich, co w cały wrogi świat. Wolf poznał po oczach, że chłopak będzie walczył na śmierć i życie. O, nie tym razem, dziecinko! pomyślał. Nie tym razem!

Razem z Wesem chwycili chłopca i mocno przytrzymali, podczas gdy Adam zasłonił mu nos i usta ręcznikiem. John przez chwilę opierał się działaniu chloroformu, potem zwiśł bezwładnie.

Wes odsunął się, otarł spocone czoło i szepnął tak cicho, by zastępca szeryfa go nie usłyszał:

- Wiecie co? Dzieciak jest coraz silniejszy, a my się starzejemy... Jak długo jeszcze, waszym zdaniem, będziemy w stanie go poskramiać?

- Tak długo, jak będzie trzeba. - Wolf wciągnął do celi wiadro z wodą. Zauważył, że zastępca szeryfa zwiął z korytarza i zamknął się w swoim pokoju, jakby się bał, że chłopak pogoni ich wszystkich. - Zobaczysz, że któregoś dnia John się opamięta i jeszcze nam podziękuje.

Wes zrobił sceptyczną minę.

Adam nie tracił czasu na gadanie. Ściągnął z chłopca ubranie i zaczął od najcięższych obrażeń. Wes wymamrotał, że ma w jukach czystą odzież i zaraz po nią pójdzie.

Kiedy wrzasnął do zastępcy szeryfa, żeby go wypuścić z budynku, Adam i Wolf uśmiechnęli się do siebie poro-



zumiewawczo. Obaj dobrze wiedzieli, że Wes nie może patrzeć na opatrywanie ran. Był twardym chłopem, a przecinająca policzek cienka blizna świadczyła dobitnie, że brał udział w wojnie, ale na widok płynącej krwi albo Adama zszywającego poszarpane ciało ugięły się pod nim nogi.

- Całe szczęście, że to ty zostałeś lekarzem, a nie twój brat - mruknął Wolf, który asystował Adamowi.

Doktor roześmiał się.

- Allie spodziewa się w jesieni pierwszego dziecka. Będę potrzebował pomocy! Nie przy położnicy, tylko przy Wesie.

Wolf przytaknął.

- Możesz na mnie liczyć. Jak długo ten chloroform działa?

Adam potrząsnął głową.

- Miej ręcznik w pogotowiu. Jeśli John zacznie się wiercić, zakryj mu nos i dolej kilka kropel. To potrwa dobrą chwilę. Jak pozszywam rany, muszę obandażować zebra. Dzieciak pewnie nie puści pary z gęby, ale sądząc z obrażeń, przez kilka dni będzie go bolało jak diabli!

Wolf popatrzył na młodzieńca, właściwie jeszcze chłopca. Wyglądał tak dziecinnie, kiedy spał, tak bezbronne. Przeżywał piekło od chwili, gdy go odnaleziono i siłą wyciągnięto ze świata, w którym żył. Był opalony na ciemny brąz, wyglądał na prawdziwego Komancza. Ale jeden z żołnierzy biorących udział w szturmie na osadę indiańską zwrócił uwagę na niebieskie oczy chłopca. Domyślił się, że jest jednym z zaginionych dzieci, których poszukiwano.

John walczył przez całą drogę, ale żołnierze zaciągnęli go do Fort Griffin, a stamtąd odebrał go Wolf. Kapitan niejednokrotnie zastanawiał się, czy oddał wówczas chłopcu przysługę...

Kiedy już go opatrzyli i włożyli mu ubranie, John zaczął się budzić. Na kilku bandażach pojawiły się świeże czerwone plamy. Podłogę zaścieniały zakrwawione kawały płótna.

Adam nasunął znów ręcznik na nos więźnia.

- Mam pewien pomysł, ale to może być niebezpieczne dla życia - szepnął do Wolfa.

- Jeśli go stąd nie wydostaniemy, to straci je na pewno.

Adam skinął głową i kolejna kropla chloroformu spadła na płótno.

- Niedobrze mi to wygląda - odezwał się donośnym głosem. - Ten smarkacz stracił mnóstwo krwi.

Zastępca szeryfa otworzył drzwi swego gabinetu i wysunął się ostrożnie.

- Myślałem, że mu pomożecie! Że mam do czynienia z prawdziwym doktorem! - Cofnął się z grymasem obrzydzenia. - Cholera, co za burdel! Wszystko zaskanie krwią. Szlachtowaliście tu cielaka, czy jak?!

Adam zmarszczył brwi, ale odpowiedział spokojnie na krytykę.

- Nawet *prawdziwy* doktor nie czyni cudów. Rana w głowie jest bardzo głęboka; widać od początku krew sączyła się do mózgu. Oddech ma taki płytki, że prawie niedosłyszalny.

Wolf włączył się do gry.

- Po mojemu on już nie oddycha, doktorze. Trzeba coś zrobić! Całe Austin czeka, żeby go zobaczyć na stryczku!

Zastępca szeryfa znowu się cofnął. Oczy miał okrągłe z przerażenia; rzadko chyba ocierał się o śmierć.

- Może lepiej wezwę szeryfa...

Wpadł tyłem na Wesa, który stał na progu jak skamieniały.

Wolf usiłował *przyciągnąć* uwagę szwagra, dać mu znak, że to jedynie komedia. Ale Wes miał przed oczyma tylko martwe ciało braciszka swojej żony.

Adam pochylił się nad Johnem. Po chwili potrząsnął głową.

- Za późno, już po nim.

Kiedy zakrywał ręcznikiem twarz Johna, Wolf zwrócił się do zastępcy szeryfa:

- Trzeba było wezwać lekarza znacznie wcześniej. Ładne macie więzienie! To mordownia!

Zastępca szeryfa wpadł w panikę.

- To nie moja wina! Pełnię tylko nocny dyżur. Nie mam tu nic do powiedzenia!

- Proszę mi dać papiery - z fałszywym współczuciem odezwał się Adam. - Wypiszę wszystko co trzeba po łacinie i będzie w porządku. - Odwrócił się do Wolfa. - Ciało lepiej tu zostawić: do rana nie zaśmierdnie. A jak ktoś umrze w więzieniu, to muszą zapłacić za pogrzeb. - Popatrzył Wesowi prosto w oczy. - Nie miał przecież nikogo na świecie, prawda?

Wes wreszcie zrozumiał. Krew napłynęła mu znowu do twarzy. Przestał szklanym wzrokiem wpatrywać się w ciało. Zerknął na Adama, potem na Wolfa. Adam leciutko skinął głową na znak, że to wszystko bujda.

Zastępca szeryfa drapał się po brodzie.

- Mam tu siedzieć i pilnować trupa? I szeryf się wścieknie!

- Pewnie każe ci pokryć koszty pogrzebu, kolego. Gdybyś nam nie utrudniał, ja miałbym żywego mordercę, a tak ty masz umarlaka bez nazwiska. - Wolf potrząsnął głową.

- Ale kapitan mówił, że wie, co to za jeden... I że go stąd zabierze...

- Nieboszczyk mnie nie obchodzi. Tylko bym musiał bulić za pogrzeb. Jest u was i niech sobie zostanie.

Na twarzy zastępcy szeryfa odmalowała się panika. Wes odezwał się od drzwi niedbałym tonem:

- Macie pecha, że nie wykitował kilka minut później, w drodze do Austin. Byłby to już kłopot kapita-  
na, nie wasz.

Zastępca szeryfa z trudem przełknął ślinę.

- Przecież mogło tak się zdarzyć! Zawiadomiłbym szeryfa, że strażnik z Austin zidentyfikował go jako ściganego mordercę, więc przekazałem mu więźnia. Nie mieliśmy prawa go tu wieszać, kiedy tam zabił tylu ludzi.

Wolf potrząsnął głową.

- Nie chcę, żeby o mnie gadali, że nie potrafię do-  
wieźć więźnia żywcem!

Adam zamknął torbę lekarską.

- No to jak? Mam podpisać świadectwo zgonu, czy nie? Mnie tam wszystko jedno; opatrzyłem tylko więźnia.

Zastępca szeryfa wskazał palcem na Wolfa.

- Kapitan wie, jak on się nazywa! I musi nam powie-  
dzieć! I zabrać trupa do Austin jako dowód rzeczowy!

Wolf potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. Nie będę sobie szargał opinii!

Wes udał, że mu żal zastępcy szeryfa. Odezwał się pojednawczo do Wolfa:

- A może by ten doktor... znacie się, prawda? wpisał tyl-  
ko nazwisko nieboszczyka, a o twoim nikt by nie wspo-  
mniał? Wszyscy i tak wiedzą, że zgłosił się po więźnia stra-  
żnik Teksasu; nikt nie będzie zadawał niepotrzebnych py-  
tań, a doktor bez przeszkód wystawi świadectwo zgonu.

Zastępca szeryfa spiesznie przytaknął.

- No właśnie! Zabieraj trupa, kapitanie; zostaw mi  
tylko jego nazwisko!

Wolf podrapał się w brodę. Adam dał mu znak, że trzeba się spieszyć.

- Niech już będzie! Pewnie policja w Austin zechce go obejrzeć.

Zastępca szeryfa pobiegł po ołówek, a Wes i Adam ostrożnie podnieśli Johna. Kiedy go dźwigali, Wolf ustawił się tak, że zastępca szeryfa wiele nie zobaczył.

- Przytróćcie mi go z tyłu, za siodłem. Jeszcze dziś wracam! - wrzasnął za nimi Wolf.

- Jak on się nazywał? - zastępcy szeryfa równie zależało na pozbyciu się „zwłok”, jak kapitanowi na wywiezieniu ich bez przeszkód.

Idąc już do drzwi, kapitan mruknął:

- Charlie. Ten morderca to Charlie Filmore.

Adam, który *wrócił, by podpisać* świadectwo zgonu, uniósł brew.

Nim zastępca szeryfa wysmażył raport, Wolf, McLainowie i John Catlin zniknęli w mrokach nocy.

## 13

Wolf razem z McLainami umieścił bezpiecznie Johna Catlina w pociągu zmierzającym na północ. Chłopak odzyskał przytomność, ale nie okazywał szczególnej wdzięczności swoim aniołom stróżom.

Wes potrząsnął mocno ręką Wolfa, gdy zeszli na peron.

- Nie rozwiążę go, dopóki nie znajdziemy się znów w domu. W żadnym rejestrze w Waco nie figuruje jego nazwisko, więc nie przypuszczam, żeby ktoś go zidentyfikował.

- A co będzie, jak nam znowu zwieje? - Wolf obejrzał się na Adama, który zmieniał chłopcu opatrunek.

Wes potrząsnął głową.

- Allie będzie musiała pogadać z nim w języku Komanców; do tej pory nie wiem, ile on rozumie po angielsku. Kiedy wrócimy do domu, pozwolę mu, rzecz jasna, poruszać się swobodnie. Nie mogę trzymać chłopca na uwięzi... ale nie mogę też wiecznie się za nim uganiać.

Pełen współczucia dla przyjaciela Wolf pokiwał głową.

- W razie potrzeby przyjadę od razu.

Wes klepnął go po plecach.

- Dzięki! No to, jak mawiają McLainowie, miej anioła na ramieniu...

Wolf roześmiał się i podjął stare rodzinne porzekadło:

- ...i pięści w pogotowiu...

- ...chyba że brat ci osłania tyły! - zakończył Wes i w tym momencie rozległ się świst lokomotywy.

McLain mrugnął porozumiewawczo.

- Na razie nie pisnę ani słowa o twoim ślubie, ale długo nie wytrzymam! Wszyscy musimy przecież poznać Molly!

- Wkrótce ją przywiozę - przyrzekł Wolf, wsiadł na konia i przyglądał się, jak pociąg odjeżdża. - Już wkrótce!

Ruszył na południowy zachód, pocztowym szlakiem prosto do domu. Myślał tylko o Molly. Ciągłe powracało wspomnienie ich pocałunku, odurzające jak mocny burbon z Kentucky. Postanowił, że gdy tylko zobaczy Molly, powie jej, kim jest. Może go wyśmiej. Może się rozżłości. Ale tak czy owak, nim noc zapadnie, znajdzie się w jego ramionach. Wes miał rację. Powinien jej wszystko szczerze wyznać, i to jak najprędzej. Zwlekanie może wyjść mu tylko na złe.

Nigdy nie był zbyt wymowny. Przez całe życie wołał

walczyć pięścią niż językiem. Ale teraz, gdy wróci do Molly, musi *znaleźć* właściwe słowa, by poznała całą prawdę.

Wolf powtarzał sobie tyle razy, co jej powie, że wreszcie wszystko zaczęło mu się płatać. W końcu dał za wygraną. Molly już dwukrotnie zlitowała się nad biednym głupcem... może zrobi to i trzeci raz?

Zachodzące słońce płonęło na horyzoncie, gdy wjechał galopem w Congress Avenue. Znowu był w mieście! Wzniesiony przy końcu ulicy gmach Kongresu Stanowego lśnił w wieczornym świetle jak zamek z bajki. Przechodnie spieszonym krokiem -wracali do domu. Spod kół wozów wznosił się kurz, pokrywając ulicę szaroburą mgiełką. Rozwiałyby ją nawet lekki wietrzyk, ale powietrze było nieruchome i gorące.

Wolf ściągnął wodze; koń szedł teraz wolno. Przedtem kapitan gnał jak szalony, chcąc jak najprędzej wrócić do domu. Teraz, gdy był już tak blisko, potrzebował chwili na zastanowienie. Był ostatnim głupcem, że nie odszukał Molly zaraz po wojnie. Może by go wyrzuciła za drzwi... ale zasługiwała na to, by dać jej szansę podjęcia decyzji, czy go chce, czy nie. To byłoby uczciwie załatwienie sprawy, zwłaszcza po tym pocałunku i przyrzeczeniu... Po tylu latach wydało mu się nagle, że wszystkie jego „ważne powody” były po prostu wykrętami.

Ale jak mógłby wytłumaczyć Molly, czym były dla niego te pierwsze miesiące po zakończeniu wojny? Jako szpiega Konfederacji zwycięzcy uważali go po prostu za zbrodniarza. Ciągłe się ukrywał, zmieniał kryjówki. Swoją siostrę Nichole dla bezpieczeństwa wysłał do Teksasu. W końcu rozstał się z resztką ludzi, którymi dowodził; porzysyłał ich w różne strony, by pod zmienionymi nazwiskami zaczęli nowe życie. Sam udał się do Teksasu, by odszukać siostrę, i znalazł się w całkiem innym

świecie, pełnym nowych możliwości. Jego życie do wojny i podczas wojny wydawało mu się odtąd czymś niezmiernie odległym; Molly była już tylko marzeniem.

Wolf zaklął pod nosem. Może wówczas zląkł się ryzyka? Nie chciał stracić swego marzenia dla nikłej szansy, iż realna Molly powita go z radością? Rezygnując z powrotu do Molly, zachował ją przy sobie w jakimś ponadczasowym zawieszeniu. Najcudowniejsza chwila jego życia przetrwała jakby zatopiona we szkłe. Póki nie starał się urzeczywistnić swych marzeń, tamten moment pozostawał w jego pamięci jasny i bez skazy.

Gdybyż mógł przekonać Molly, jakim bezcennym skarbem była dla niego tamta chwila! Może "wówczas by zrozumiała. Może by uwierzyła, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i nigdy nie przestał jej kochać. W jakiś przewrotny sposób powstrzymanie się od wszelkiego działania stanowiło dla niego jedyną szansę zachowania na zawsze jej miłości.

Teraz jednak nie mógł dłużej siedzieć beczynnienie. Znowu spotkał Molly. Pojawiła się znów w jego życiu, jeszcze piękniejsza niż dawniej. Była teraz kobietą z krwi i kości, czuł ciepło jej ciała w swoich ramionach. A w dodatku, dziwnym zbiegiem okoliczności, była jego żoną... choćby na krótko.

Dotarł do niego zapach płonącego drewna, zbyt intensywny, by mógł pochodzić z jakiegoś rozpalonego pieca. Wolf obrzucił ulicę znużonym wzrokiem. Miasto wydawało się spokojne. Nie dostrzegł żadnej łuny na niebie; tylko smużki dymu unosiły się z kilku kominów. Ale odór spalenizny dodawał powietrzu charakterystycznej goryczki jak korzenna przyprawa egzotycznemu daniu.

Minął posterunek strażników Teksasu i skierował się prosto ku domowi Molly. Zauważył, że powietrze



jest coraz ciemniejsze, jakby tuż nad ziemią wisiła szara chmura. W połowie ulicy zorientował się, że - nie licząc dymu - coś się tu zmieniło. Czegoś brakowało! Zmierzył baczynym okiem ulicę i dostrzegł potężną wyrwę, dymiącą dziurę między dwoma budynkami.

Wolf popędził konia. Nim ktoś zdążył go uprzedzić, co zobaczy, stał już przed tym, co pozostało z drogerii. Przez chwilę trwał w osłupieniu. To nie mógł być sklep Molly! Wyjechał przecież z Austin zaledwie kilka dni temu! Ale w popiele poniewierała się wywieszka: z imieniem Molly, z jego nazwiskiem...

Resztki ścian sterczały nadal jak poczerńiałe szkielety wyłaniające się z pogorzelska. Sąsiednie domy były osmalone, nosiły także ślady ognia.

Wolf zsunął się siodła i przebył kilka kroków dzielących go od drewnianego chodnika przed sklepem Molly. Poczuł gorąco: pod rumowiskiem domu jeszcze się żarzyło. Piętro zważyło się na parter. Wolf zmagął się z impulsem, który nakazywał mu grzebać rękami w tlejących jeszcze zgliszczach, póki nie odnajdzie pod nimi odpowiedzi na dręczące go pytanie: gdzie jest Molly? Gdzie Callie Ann?

- Kompletna ruina - odezwał się ku zaskoczeniu Wolfa jakiś głos za jego plecami.

Odwrócił się raptownie.

- Moja żona! Dziecko!

Miller cofnął się o kilka kroków, jakby w obawie, że Wolf się na niego rzuci.

- Obie są bezpieczne, kapitanie! Proszę się nie martwić! Wydostały się z domu dosłownie w ostatniej chwili, nim się zawaliło piętro. - Miller strzepnął trociny z fartucha. - Można to wszystko odbudować. Zabiorę się do tego zaraz, jak tylko pogorzelsko ostygnie. Użyję mocniejszego drewna niż...

Wolf chwycił stolarza za gardło, nim ten zdołał uskoczyć.

- Czy to przypadkiem nie twoja robota albo twoich kamratów?!

Miller tak się trząsał, że Wolf nieco rozluźnił chwyt.

- Skądże znowu, kapitanie! Słowo honoru! To prawda: chcieliśmy, żeby się wyniosła. Baliśmy się, że będą z nią kłopoty. Ale żaden z nas nie zrobiłby nic podobnego! Jesteśmy uczciwymi przedsiębiorcami, nie podpalaczami! Ten, kto się na to ważył, chciał ją zabić, a nie namówić do wyjazdu!

Wyglądał tak żałośnie, że Wolf mu uwierzył.

- Odbuduję to. Będzie jak nowe, przysięgam!

Wolf wyminął Millera i pochwycił cugle swego konia. Sklep mało go obchodził.

- Gdzie jest teraz Molly?

Miller pocierał szyję i mówił z wyraźnym trudem.

- Jest, zdaje się, u Babki Papki. Nie miała gdzie się podziać. Doradzałem jeden z hoteli, ale ten pokurcz, Charlie Filmore, uparł się, żeby ją umieścić właśnie tam. A ten młody strażnik, co zawsze z panem chodzi, kapitanie, zgodził się z nim.

Wolf nie słuchał go dłużej; był już daleko. Jeśli Charlie i Josh umieścili Molly u Babki Papki, to wiadać nadal jej groziło niebezpieczeństwo.

Pognał co koń wyskoczy do pensjonatu. Niezdarnie sklecony budynek stał w części miasta, która była niegdyś najelegantszą dzielnicą Austin. Jak zawsze na ganku siedział Noah, dawny niewolnik Babki Papki, i czekał, aż ktoś się zjawi. Wolność przyszła dla Noaha zbyt późno: był już za stary, by zacząć nowe, samodzielne życie. Dawna pani zaproponowała mu, by został u niej i za dach nad głową oraz wyżywienie opie-

kował się stajnią. Noah dorabiał sobie na boku, doglądając koni lokatorów.

Kiedy ujrzał nadjeżdżającego Wolfa, zerwał się na jego powitanie. Kapitan był jednym z nielicznych lokatorów Babki, którzy woleli sami dbać o swoje wierzchowce; teraz jednak z pewnością będzie inaczej.

- Pani kapitanowa jest na górze, panie kapitanie. - Noah odebrał od niego wodze. - Zajmę się koniem.

- Dzięki! - odparł Wolf i popędził, przeskakując po trzy stopnie naraz.

W saloniku zobaczył dwóch strażników. Usadowili się tak, żeby mieć na oku schody. Wolf skinął im głową, zastanawiając się, czy to lokatorzy Babki, czy obstawa Molly.

Obaj strażnicy wstali na jego widok.

- Dobrze, żeś już wrócił, kapitanie - powiedział jeden z nich.

Wolf ruszył biegiem po schodach. Na podeście drugiego piętra natknął się na Babkę Papkę. Rzucił:

- Jak ona się czuje?

Chciał wyminąć grubą jejmość, nie było to jednak po jej myśli.

- Wolnego! - oświadczyła, zagrządzając mu drogę. - Nie będzie mi kapitan wpadał tam jak opętany! Cały dzień trwało, nim poczuła się tu jak w domu.

Wolf popatrzył na Babkę Papkę. Gdyby była mężczyzną, bez trudu przełamałby blokadę. Ale z tej kobieciny emanowała taka siła ducha, że nie mógł jej zlekceważyć.

Przez mózg błyskawicznie przemknęły mu setki pytań. Przede wszystkim musiał zobaczyć Molly, przekonać się, że jest zdrowa i cała. Spytał po prostu:

- Jak to się stało?

- Nie bardzo wiem, jak to było z pożarem. Zaczął

się chyba ubiegłej nocy przed świtem. - Babka potrząsnęła głową. - Słyszałam różne plotki, ale o tym potem. Najważniejsze, co z twoją rodziną, kapitanie! Dziecku nic się nie stało. Molly wyniosła je owinięte w koc. Mała śpi teraz na kanapie w moim pokoju.

- A moja żona? - Wolf wiedział, że na początek zawsze mówi się to, co najlepsze. Przygotował się na dalszy ciąg.

- Poparzyła sobie ręce. Zajął się nią ten doktor od niewidomych. Powiedział, że już się z Molly znają. Kazał mi przez cały dzień okładać jej ręce mokrymi szmatami. A teraz właśnie skończył ją opatrywać przed nocą. Posiniaczyła sobie strasznie ramię i bark i nadwreżyła lewy nadgarstek. Waliła jak szalona w drzwi, żeby się wydostać. Dzięki Bogu, że jej się to udało!

Babka cofnęła się o krok, Wolf ruszył za nią.

- Doktor jest jeszcze przy niej. Musiał jej dać coś na sen, więc się nie dziw, kapitanie, że będzie zamroczona. - Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu. - Jak do niej wejdiesz, zachowuj się cicho, kapitanie! Biedactwo ma już dość jak na jeden dzień! Zawsze tak ryczysz, że umarłego byś obudził, Wolfie Hayward! Ale tym razem nic z tego!

Wolf miał już zaprotestować: nigdy w życiu nie podniósł głosu! Nie było jednak czasu na sprzeczkę. Skinął tylko głową i Babka Papka przepuściła go.

Gdy wszedł do pokoju, siedzący w nogach łóżka doktor właśnie się podnosił. Wolf rozejrzał się dokoła. To pomieszczenie nie przypominało reszty pensjonatowych pokoików. Było tu dużo miejsca i dużo powietrza. Część pokoju odgradzono, przeznaczając na umywalnię. Wolf domyślił się, że znajdowała się tu niegdyś sypialnia właściciela domu, ale Babce Papce trudno już było kilka razy na dzień wspinać się i schodzić z drugiego piętra. Przeniosła się więc na parter, a ten pokój stał pusty.

Na stole koło okna paliła się lampa z przykręconym płomykiem. Molly leżała na środku wielkiego łóżka pod lekkim przykryciem; włosy jej rozsypały się po poduszce. Miała na sobie zapiętą pod szyję koszulę, o wiele za obszerną dla niej. Tylko siniak na skroni i bandaż na przegubie wskazywały, że Molly doznała obrażeń. Poza tym wyglądała pięknie i blado, jak pastelowa akwarela.

- Jestem doktor Washburn. Frank Washburn. - Doktor wyciągnął rękę do Wolfa. - Wiele o panu słyszałem, kapitanie. To dla mnie prawdziwy zaszczyt poznać pana.

Wolf potrząsnął ręką lekarza i znów utkwiał wzrok w twarzy Molly.

- Wszystko jest na razie w porządku - dodał Washburn spokojnym głosem, idealnie nadającym się do pokoju chorego. - Dostała coś na sen.

Wolf przyglądał się żonie bezradnie. Chętnie by oddał za nią życie, ale jak mógł jej pomóc w tej chwili? Wydawała się taka słabiutka...

- Oparzenia są niezbyt wielkie, a sińce na ramieniu szybko się zagoją. Ale przeżyła wielki wstrząs i nałykała się mnóstwo dymu. Wygląda na to, że straciła w ogniu wszystko, co posiadała... z wyjątkiem tego błazanego pudełka.

Wolf spojrzął na stół i ujrzał swoje pudełko. Jedyne przedmiot, jaki Molly ocaliła z pożaru, należał do niego.

- Ale jak? - Wolf nie wiedział, od czego zacząć. Widok spokojnie śpiącej Molly uśmierzył nieco jego strach.

- Jak doszło do pożaru? - Doktor Washburn potarł kark. Był młodym człowiekiem, ale w tym mieście starość szybko go dopędzi. - Sam nie wiem. Chodzą słuchy o podpaleniu. Rzeczywiście, tylne drzwi były od

zewnątrz zablokowane stosem skrzyń. Gdyby nie to, że pewien biedaczyna usłyszał krzyki pańskiej żony...

- Jeśli Molly śpi i wszystko jest z nią w porządku... - Głos Wolfa nie był stworzony do szeptu - ...to zajmę się tym i postaram wyjaśnić sprawę.

Doktor dotknął ramienia Wolfa.

- Zrobi pan to, co uzna za stosowne, ale proszę wrócić tu jak najprędzej. Ona pana potrzebuje. - Zawahał się. - Babka Papka wspomniała mi, że dopiero co wzięliście ślub, a przedtem znaleźcie się zaledwie kilka dni.

Wyraźnie kluczył jak ktoś, kto musi w rozmowie z nieznanym poruszyć bardzo intymne tematy i nie jest pewien, jak obcy to przyjmie.

- Niepokoi mnie coś więcej niż oparzenia i skutki wstrząsu. Pańska żona czuje, że straciła wszystko: nie tylko dom, ale sens całego życia. Spotykałem się już niekiedy z taką reakcją: rozpacz i beznadzieja. Na przykład ranny żołnierz wraca do domu i znajduje pustkę. Albo rolnik umiera z głodu; gospodarstwo mu spłonęło, a on nie ma sił, żeby zacząć wszystko od nowa. Kiedy spytałem pańskiej żony, czy mam zawiadomić jakichś krewnych, potrząsnęła tylko głową.

- O czym pan mówi, doktorze? - Wolf nie mógł sobie wyobrazić Molly rezygnującej z walki, pokonanej. Jeden pożar nie mógł jej przecież załamać! A poza tym nie była sama. Czyżby nie wiedziała, że zawsze może liczyć na niego?

Doktor rzucił mu bezradne spojrzenie.

- No nie wiem... Mózg to bardzo delikatny instrument. Czasem ludzie... nawet silni, pełni życia... dochodzą do takiego punktu, że nie są już w stanie dłużej walczyć. Pragną tylko mieć spokój. Wolą uciec w krainę marzeń niż stawić czoło stracie i klęsce. Mam wra-

żenie, że pańska żona uważała tę drogerię za swoją jedyną szansę, za ostatnią możliwość sprawdzenia się... a teraz wszystko przepadło.

- Chce pan powiedzieć, że Molly straciła rozum?! - Wolfowi przemknęła przez głowę myśl, że doktor minął się z powołaniem: powinien zostać kaznodzieją!

- Skądże znowu! - odparł pospiesznie Washburn. - Mówię tylko, że przeżyła bardzo trudne chwile: przeprowadzka w obce strony, śmierć przyjaciela, a teraz jeszcze ten pożar! Potrzebuje czegoś... kogoś... na kim mogłaby się oprzeć. Ciągłe przez sen przywołuje jakiegoś Benjamina. Wiem, że nie o pana chodzi. To pewnie jeszcze jedna bliska osoba, którą jej zabrała śmierć. Ale gdyby pan został teraz przy niej, mogłoby jej to pomóc. Czuje się taka zagubiona i samotna...

Wolf skinął głową. Nareszcie zrozumiał sytuację.

- Co mam robić?

- Kiedy pańska żona obudzi się za kilka godzin, niech jej pan da odczuć, że jest przy niej, że się o nią troszczy. Gdyby zachowywała się niespokojnie, oto lekarstwo; proszę rozpuścić w wodzie. To jej pomoże zasnąć, ale niech pan będzie ostrożny: im mniej tego zażyje, tym lepiej.

Doktor Washburn skierował się w stronę drzwi.

- Wielka szkoda, że nie mogę przywołać ducha jej ojca, Ephraima albo tego Benjamina, kimkolwiek on jest. Ona dziś bardzo potrzebuje kogoś, przy kim czułaby się bezpieczna. - Mina doktora wyraźnie wskazywała, że dopiero co poślubiony mąż nie nadaje się do tej roli.

Wolf odprowadził lekarza do drzwi. Miał ochotę krzyknąć, że *może* ofiarować Molly to, co jest jej tak potrzebne, i że tego dokona! Washburn nie miał pojęcia, co on w tej chwili przeżywał!

Gdy uścisnęli sobie ręce na pożegnanie, Wolf zapytał.  
- Czy pan doktor zna Charliego Filmora'a? Tego żebraka?

- Owszem - odparł Washburn. - Siedzi tu przeważnie na schodach i zamartwia się o pańską żonę. Zdaje się, że to właśnie on ocalił jej życie.

- Muszę się z nim zobaczyć! - W głosie Wolfa było zarówno błaganie, jak i rozkaz.

- Poszukam go i przyślę do pana. Jeśli nie zajada resztek w kuchni Babki Papki, siedzi pewnie w najbliższej knajpie.

- Dziękuję, doktorze. - Wolf zamknął drzwi i podszedł do łóżka Molly. Ostrożnie uniósł pozornie zdrową rękę, leżącą na prześcieradle. Leciutko ucałował palce żony. Ujrzał przy tym bandażę ukryte pod mankietem. - Molly... - szepnął.

Leciutko poruszyła głowę.

- Molly, najdroższa.

- Benjamin? - wymamrotała, nie otwierając oczu. - Benjamin...

Wolf raz jeszcze ucałował jej rękę i położył ją znów na prześcieradle. Kiedy się wyprostował, wiedział już, co musi zrobić. Po raz ostatni zagra swą wielką rolę. Tym razem nie dla Konfederacji, tylko dla spokoju ducha Molly.

## 14

W przeznaczony na umywalnię części sypialni Molly Wolf wpatrywał się w lustro z determinacją najemnego mordercy. Po przyszczyżeniu grzywki na tyle, że



sięgała kołnierza, ujął brodę w dwa pałce i ciął bezlitośnie. Włosy opadały do podstawionej miednicy.

Kiedy zgolił z twarzy resztę szczeciny, prawie nie poznał własnego odbicia. Na twarzy spoglądającej nań z lustra przybyło kilka zmarszczek, ale mimo to miał wrażenie, że cofnął się nagle w czasie. Stał się kimś innym. Cieniem przeszłości. Tworem fantazji.

Odrzucił ręcznik, owiązany wokół bioder, i włożył ubranie przyniesione przez Charliego. Mały człowieczek mówił szczerą prawdę: rzeczywiście wiedział dokładnie, co można kupić w każdym sklepie w Austin. Zaledwie godzinę zajęło mu znalezienie munduru odpowiednich rozmiarów. Munduru Unii.

Ku zdumieniu Wolfa Charlie nie zadawał żadnych pytań. Przyniósł wszystko co trzeba, włącznie z butami i skarpetami, jakby spełnienie życzenia kapitana nie sprawiło mu żadnych trudności.

Wolf z niechęcią włożył ciemnoniebieski mundur. Ten strój był przypomnieniem wszystkiego, co chciał wymazać z pamięci. Z wyjątkiem Molly, dodał w myśli. Nie zapomniał nigdy, jak wyglądała tamtego dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Ani naturalności, z jaką objęła całkiem obcego mężczyznę, jakby tak samo jak on wiedziała, że są dla siebie stworzeni.

Zapinając mundurową kurtkę, popatrzył znów w lustro. Spojrzał na niego oficer Unii. Ten sam, który bez trudu przedostawał się na tyły wojsk, obserwował ich ruchy, zaznaczał trasy przejazdów, sprawdzał wyposażenie artylerii. Ten oficer, który spotkał na swej drodze Molly.

Wolf odchrząknął i skoncentrował się na problemach z wymową. Jeśli chce przekonać Molly, że jest Benjaminem, nie wolno o tym zapomnieć. Musi poru-

szać się jak oficer, mówić jak Jankes i nie myśleć o niczym prócz tej jednej chwili. Dziś musi odegrać swą rolę lepiej niż kiedykolwiek, gdyż tym razem ma zwieść kogoś, kto zna go jako Wolfa. W tym mrocznym pokoju Molly powinna zobaczyć Benjaminą. Nie strażnika Teksasu. Nie aktora. Nie szpiega. Musi ujrzeć po prostu Benjaminą i uwierzyć, że to on.

Molly obróciła się we śnie, zrzucając przykrycie. Lekarstwo przestawało działać. Od wyjścia doktora minęły prawie dwie godziny. Czekaając na Charliego, Wolf pogadał z dwoma strażnikami na dole. Nie umieli mu powiedzieć nic konkretnego na temat pożaru, ale obaj byli zdania, że Molly w dalszym ciągu nie może czuć się w tym mieście bezpiecznie.

Kiedy zjawił się Charlie, Wolf wysłuchiwał jego szczegółowej relacji. Nie wiedział, jak wyrazić mu swą wdzięczność. Choć brakowało mu słów, Charlie rozumiał doskonale, że kapitan będzie do końca życia jego dłużnikiem.

Ta świadomość dodała biedaczynie nieco pewności siebie. Był teraz przyjacielem Wolfa! Kiedy Hayward poprosił go o kupienie munduru, Charlie nie zadawał zbędnych pytań. Wolf prosił go o przysługę, zwykłą rzecz między przyjaciółmi. Kiedy Charlie wyruszył na poszukiwania, Wolf zataszczył na drugie piętro wodę do mycia i wniósł tam swoje juki. Potem oznajmił wszystkim, że mogą się położyć. On sam zajmie się Molly.

Zgodzili się bez sprzeciwu, wyraźnie zadowoleni, że ktoś ich zastąpi. Babka Papka zniknęła w swoim pokoju, strażnicy opuścili pensjonat, a Wolf wszedł do sypialni Molly, zamknął drzwi i odgrodził się od całego świata.

Molly wymamrotała coś przez sen. Wolf zapiął ostatni guzik munduru i podszedł do łóżka. Staął

w postawie na baczność i czekał. W duchu ćwiczył wymawianie jej imienia bez charakterystycznego dla południowców przeciągania sylab.

Wreszcie powieki Molly zatrzepotały i uniosły się. Na jej ustach pojawił się senny, półprzytomny uśmiech.

- Benjamin! - powiedziała. - Wiedziałam, że przyjdiesz!

Wolf przyklęknął na jedno kolano.

- Jestem tu, kochanie. Jestem przy tobie. Będę siedział przy twoim łóżku przez całą noc. Nie jesteś już sama.

- Nie... - szepnęła, nadal zawieszona między snem a jawą. - Połóż się kolo mnie. Mam ci tyle do powiedzenia... Mój pamiętnik spłonął... Straciłam wszystkie moje wspomnienia... Musisz położyć się koło mnie.

Wolf nie był przygotowany na takie żądanie. Myślał, że sam jego "widok uspokoi Molly.

- Ale jesteś poparzona, obolała... Będzie ci wygodniej samej w łóżku.

- Obejmij mnie, Benjaminie. Trzymaj mnie w ramionach przez calutką noc.

Wolf skamieniał. To było czyste szaleństwo! Gdyby to nie on, ale ktoś inny wymyślił tę przebieranekę, zbiłby drania na kwaśne jabłko za takie okrutne zabawy! Chciał być dobroczynną zjawą, czuwającą tej nocy przy Molly, a nie pakować się *jej* do łóżka!

Uniosła rękę i delikatnie pogłaskała gładko wygolony policzek. Potem jej palce dotknęły jego włosów i zaczęły pieścizotliwie przeczesywać wilgotne kosmyki.

- Chcesz, żebym ci podał lekarstwo? - spytał, z trudem zachowując północny akcent.

- Nie - odparła niezbyt wyraźnie, jakby była pijana. - Chcę tylko, żebyś mnie objął.

Wolf podniósł się z klęczek, ściągnął buty i kurtkę

mundurową. Nie mógł się już wycofać; wniknął zbyt głęboko w krainę jej snów. Doktor powiedział wyraźnie, że dla Molly najważniejszy jest spokój.

Przez długą chwilę stał bez ruchu w białej bawełnianej koszuli i w spodniach, jakby przed wejściem do łóżka własnej żony należało się nie wiadomo jak długo namyślać.

Palce Molly znów wysunęły się ku niemu. Ujęła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

Wolf ostrożnie położył się obok żony, uważając, by jej nie urazić. Niezręcznie podsunął ramię pod jej głowę. Przytuliła się do niego, nie otwierając oczu. Ułożył obandażowaną rękę Molly tak, żeby jej przypadkiem nie przygnieść.

- Taka jestem śpiąca... - powiedziała z ustami tuż przy jego szyi. - Mogłabym spać i spać...

Wolf przysunął się nieco bliżej.

- To tylko lekarstwo, które ci dał doktor... Jutro poczujesz się doskonale. - Jego druga ręka zawisła w powietrzu; nie wiedział, co z nią począć. W końcu objął nią żonę w talii.

- Kocham cię, wiesz? - szepnęła Molly. - Zawsze cię kochałam.

Wolf czuł, że serce mu pęka. Trafił do krainy jej marzeń. Śledził jej najskrytsze myśli. Śniła o nim, zawsze o nim... a on wtargnął jak intruz w sam środek jej snów.

Z ogromną czułością Wolf dotknął ustami ust żony. Pocałował tak delikatnie, że było to raczej modlitewne zakłęcie niż pieszczota.

- Kocham cię, Molly... - wyszeptał z ustami przy jej ustach.

Setki razy powtarzał te słowa w myślach, ale nigdy dotąd nie wypowiedział ich na głos. Nagle zapragnął

wypowiedzieć te słowa tak, jak wymawiano je w jego rodzinnych stronach. Tak jak jego ojciec wyznawał miłość jego matce. Jak jego siostra szeptała do swego męża, gdy byli sam na sam. Niskim głosem, z leniwym południowym akcentem, który rozpala krew, pobudza serce do żywszego bicia, pozostaje w pamięci na zawsze.

Czuł, jak ciało leżącej obok niego Molly się rozluźnia. W końcu zapadła w głęboki sen. A więc osiągnął swój cel, dał jej ukojenie!

Przez długi czas trzymał ją w objęciach, wsłuchując się w jej oddech, czując ciepło jej ciała. Wreszcie sen zmorzył i jego. Był to - po raz pierwszy w życiu - głęboki sen bez marzeń. Nic dziwnego: wszystko, o czym mógłby marzyć, trzymał już w ramionach.

Molly unosiła się między snem a jawą. Wszystkie lęki z poprzedniej nocy uleciały, gdy poczuła u swego boku Benjamin. Wydawał się bardziej realny niż w którymkolwiek z jej dotychczasowych snów. Czuła zapach jego mydła do golenia i ciepło piersi, która łagodnie wznosiła się i opadała pod jej policzkiem.

- Benjaminie... - wyszeptała, kładąc rozpostartą dłoń na jego piersi. Poczuła miękkość bawełnianej koszuli.

Poruszył się lekko i pochwycił jej palce.

- Dobrze się czujesz? - spytał nieco sennym, chłodnym głosem.

- Doskonale. - Wysunęła rękę z jego uścisku i ponownie rozpostarła palce na jego potężnej piersi. - Chciałam cię po prostu dotknąć.

- Dotykaj, ile chcesz! - szepnął jej do ucha.

Jednak gdy dotknęła jego twarzy, znieruchomiał. Molly zafascynowała twarzą jego szczęki i nieoczekiwana miękkość dolnej wargi. Przez całe życie

była niesłychanie poprawna, ale teraz, we śnie, stawała się coraz zuchwalsza. Jej palce sunęły po ubraniu Benjamina, wyczuwając z przyjemnością kontrast pomiędzy miękką bawełnianą koszulą a szorstką wełną spodni. Benjamin gwałtownie zaczerpnął powietrza.

- Molly... Czy powinnaś?

- Zabronisz mi? - spytała wyzywająco i po raz pierwszy spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma. Było jeszcze bardzo wczesnie i w pokoju panował półmrok, ale bez wątplenia był to Benjamin! Jego kochane włosy wiły się zupełnie tak samo jak wtedy, przed laty, na dworcu kolejowym. A mocna szczęka świadczyła o uporze i sile charakteru. - Zabronisz mi? - powtórzyła.

- Nie - odparł w końcu takim tonem, jakby stał na baczność, a nie leżał obok niej.

Tuląc się do Benjamina, wdychała jego zapach. Nie czuła go w żadnym z poprzednich snów. Woń mydła, krochmalu, a nade wszystko jego własny, niepowtarzalny: zapach koni, wiatru, słońca, przygody!

Ręka Molly zabłądziła na udo Benjamina. Potężne mięśnie nogi drgnęły.

- Zabolało cię? - spytała.

Przełknął z trudem ślinę.

- Nie.

- No to będę robiła, co chcę! W końcu to mój sen! - powiedziała Molly zuchwale. Benjamin wydawał się dziś taki prawdziwy, taki żywy! Pragnęła zapomnieć o wszystkim i zatonać w rozkosznych doznaniach.

Przesunęła rękę w górę, ku guzikom koszuli. Powoli zaczęła je rozpinąć. Wsłuchiwała się przy tym w rytm serca Benjamina i czuła na twarzy jego ciepły oddech.

Kiedy palce Molly zapuściły się pod bawełnianą ko-

szulę ukochanego, jego obejmująca ją ręka zacisnęła się mocniej.

- Chcesz, żebym przestała, Benjaminie?

- Nie - wykrztusił z trudem.

- No więc odpręż się! - Molly podniosła głowę i ucałowała go lekko -w usta. - Odpręż się, mówię! - Pocałowała go jeszcze raz. Wargi Benjaminina nigdy jeszcze nie były takie miękkie, równie słodkie!

Prawdę mówiąc, do dziś wcale nie czuła ich smaku. Pamięć tamtego pierwszego pocałunku zbladła z upływem czasu. Ale tej *nocy było* inaczej!

Tej nocy usta Benjaminina były równie realne jak usta Wolfa, gdy przed kilkoma dniami całował ją na pożegnanie. Tylko że Wolf całował ją na pokaz, żeby mieszkańcy miasta uwierzyli, że pobrali się naprawdę. Nie było w jego pocałunkach nic więcej, mówiła sobie w duchu Molly, absolutnie nic! Nigdy by na coś takiego nie pozwoliła. Przecież jej serce należy do Benjaminina. Nie ma w nim miejsca dla nikogo innego!

Wargi Molly bawiły się z wargami Benjaminina, a jej dłoń wędrowała po muskularnej, owłosionej piersi tuż nad sercem. Potem dziewczyna odsunęła się nieco i rozpinęła mu dalej koszulę, pragnąc nacieszyć się do syta nowo odkrytymi rozkosznymi doznaniem.

Nie starał się jej powstrzymać; nie była pewna, czy w ogóle oddychał.

Zanim ręka obejmująca ją w pasie nieco się rozluźniła, Molly udało się rozpiąć koszulę do reszty.

Uniosła głowę i popatrzyła na ukochanego. Oczy miał zamknięte. Nie była pewna, czy zasnął, czy z najwyższym wysiłkiem znosi wyrafinowane tortury.

Z uśmiechem pochyliła się i dotknęła ustami jego

piersi. Był dziś taki cudowny - musiała się przekonać, jak smakuje!

Poczuła znów, jak obejmująca ją ręka mocniej się zaciska. Nie wyrzekł jednak ani słowa, gdy musnęła językiem jego skórę.

Sunęła ręką po miękkich włoskach na jego piersi aż do pasa. Zorientowała się, że Benjamin z wrażenia przestał oddychać, i roześmiała się. W żadnym z poprzednich snów nie reagował tak na jej dotyk... To, że teraz jest świadom każdego jej poruszenia, fascynowało ją i podniecało.

Wróciła do jego ust i ucałowała je żarliwie. Z początku pozwalał, by poznawała go dotykiem ust. Powoli jednak przejął inicjatywę. Pocałunek narastał falami: najpierw był czuły, potem figlarny, wreszcie zachłanny tak, że nawet sobie czegoś takiego nie wyobrażała! Wypełnił całą jej duszę namiętnością, jakiej nigdy dotąd nie zaznała.

Ręka obejmująca Molly zaczęła powoli się przemieszczać, aż wreszcie palce Benjamina dotknęły jej piersi, a potem zatoczyły krąg na jej brzuchu.

Ich złączone ze sobą usta oddychały jednym oddechem, a Molly radośnie przyjmowała pieszczoty, którymi Benjamin pragnął ją obdarzyć. Nigdy przez te wszystkie lata nie nawiedził jej podobny sen.

Sama też pragnęła pieścić ukochanego, ale mogła tylko unosić się na morzu rozkoszy. Kiedy wreszcie dłoń Benjamina znieruchomiała, a pocałunki złagodniały, Molly wsłuchiwała się w bicie jego serca i zapadła w głębszy sen ze spokojną pewnością, że *może* powrócić do poprzedniego, upojnego, i że Benjamin będzie w nim na nią czekał. Zawsze.

Ostatnią myślą, zbyt przelotną, by pozostawić trwa-



ły ślad w umyśle Molly, było to, że ukochany szepnął jej do ucha „kocham cię” z miękkim akcentem południowca.

## 15

Głosy brzęczały wokół Molly jak natrętne muchy. Usiłowały wyrwać ją z krainy snu, w której pragnęła pozostać.

- Czy pani mnie słyszy? - powtarzał uparcie jakiś głos.

- Doktorze... - biadolił inny. - Nie można by z tym poczekać? Musimy jej powiedzieć już teraz... zanim nabierze sił?

Molly przedarła się przez mgłę, w której błędziła. Całonocny sen odświeżył ją, czuła się jak nowo narodzona.

Ujrzała Babkę Papkę i młodego doktora, Franka Washburna. Stali przy oknie. Doktor odbierał z jej drogerii lekarstwa dla szkoły dla niewidomych; leczył też Ephraima.

- Dzień dobry! - Molly usiadła na łóżku. Poczuła paskudny ból w ramieniu. Nie przestała się jednak uśmiechać.

Washburn stał już przy niej.

- Jakże się pani dziś czuje, pani Hayward?

- Jestem trochę obolała, ale czuję się znacznie lepiej. - Ojciec zwykł mawiać, że Molly spada na samo twarde dno nieszczęścia, tak jak jej matka, ale odbija się od niego niczym piłka i od razu jest gotowa do walki - zupełnie jak on.

- Ostrożnie! - przestrzegł doktor. - Proszę unikać

zbyt gwałtownych ruchów! - Traktował ją tak, jakby była niemowlęciem stawiającym pierwsze kroczki.

Molly zsunęła się na brzeg łóżka i powoli się podniosła.

- Czuję się doskonale! Wystarczyło dobrze się wyspać. Co z Callie Ann? Czy już wstała?

Babka Papka prychnęła.

- Dzieciak jest na nogach od paru godzin i ciągle dopytuje się o ciebie, kochasiu! - Poprawiała zasłonki z wyraźnym pośpiechem, ale jakoś nie odchodziła.

Washburn wziął do ręki paczuszkę z lekarstwem, które zostawił wczoraj przy łóżku pacjentki.

- Ile zażyła pani tego zeszłej nocy?

- Tylko tyle, ile pan sam mi dał - odparła Molly. - I przespałam całutką noc! - Miała ochotę dodać: „w ramionach Benjamin”, ale z pewnością pomyśleliby, że zwariowała.

Babka Papka zauważyła wesolutko:

- Mój Luther zawsze powtarzał, że nie ma to jak kobitka, co się budzi z uśmiechem. Taka to dopiero prawdziwy skarb, mówił.

Molly nie zamierzała wyjaśniać, że senne marzenia pomogły jej więcej niż wszystkie leki. Nadal czuła na rękach żar ognia, który zniszczył jej drogerię. Bark i nadgarstek również pulsowały bólem, ale jakie to miało znaczenie? Przez całą noc Benjamin tulił ją w ramionach i dzięki temu wszystko było w porządku!

Omam nie parsknęła głośnym śmiechem. Ależ by się wszyscy zdziwili, gdyby wiedzieli, że ma kochanka równie niewidzialnego jak stryjek Callie Ann! Ubiegłej nocy mogłaby przysiąc, że widzi Benjamin na jawie; słyszała do tej pory bicie jego serca i czuła smak jego pocałunków na swych wargach.

Doktor pochylił głowę na bok i przyglądał się jej bacznie.

- Czy naprawdę czuje się pani lepiej? To był przecież prawdziwy wstrząs, droga pani Hayward!

Uśmiech Molly zgasł, gdy usłyszała to nazwisko. Przed chwilą doktor też się tak się do niej zwrócił... „Pani Hayward”! Jak mogła zapomnieć, że jest mężatką?! Czy zdradziła Benjamina, poślubiając innego, choć to była tylko czcza formalność? A może splamiła nazwisko Wolfa Haywarda swoim sekretnym romansem ze snu?

Nie była pewna, z czego wynika jej poczucie winy, ale ciążyło jej nieznośnie na sercu. Czuła w nim pustkę i gorycz. Jednego z tych mężczyzn okryła hańbą, tylko którego?

Molly potarła czoło. Chyba strach wywołany pożarem nie odebrał jej rozumu? Przecież grzeszyła wyłącznie we śnie!

- Może lepiej siądę...

Babka Papka odsunęła się na bok. Molly padła na jedyne krzesło, stojące w tym pokoju. Stół zachwiało się, gdy oparła rękę na koronkowej serwecie, tyle razy już pranej i bielonej, że przypominała pajęczynę.

Molly rozejrzała się po sypialni i dopiero teraz zobaczyła, jak wygląda ona naprawdę. Pokój, który w pierwszej chwili wydawał się pięknie urządzone, teraz jakby zwiądnął jej przed oczyma. Zastłony były ciężkie od kurzu. Dywanik tak wydeptany, że wzoru prawie nie było widać. Drewniane meble - włącznie z łóżkiem i komodą - wyblakłe, stare i spękane.

- No właśnie, kochasiu! - Babka Papka poklepała Molly po rękę. - Lepiej się na razie nie szarp! Nie tylko ciało, ale i dusza potrzebuje czasu, żeby ozdrowieć

po takim nieszczęściu! Każę staremu Noahowi, żeby ci przyniósł herbatki. Przespałaś śniadanie, ale nim się obejrzysz, będzie lunch!

Staruszka już miała poklepać Molly po ramieniu, ale się powstrzymała.

- Nic się nie martw, kochasiu! - Zerknęła na doktora. - Jak człowiek ma pełno w brzuchu, to wszystko znieś! - Spojrzała znów na Molly. - Założę się, że jak pobędziesz na mojej kuchni, to ci przyrośnie mięska na tych kościach! Raz, dwa... i moja nocna koszula będzie na ciebie w sam raz!

Kiedy Babka Papka wybiegła z pokoju, doktor odwinął bandażę i obejrzał ramiona Molly.

Zaczerwienione i opuchnięte, jak po porażeniu słonecznym. Nic wielkiego, pomyślała Molly. Nie wie-dzieć czemu doktor tak się z nią cacka!

- Przepraszam, ale muszę o to spytać, pani Hayward... Czy istnieje możliwość... że spodziewa się pani dziecka?

Molly omal się nie roześmiała. Z pewnością kochanek ze snu nie mógłby tego dokonać!

- Nie - odparła szczerze. - Wolf i ja nigdy... W ogóle nie zamierzamy... To znaczy... jeszcze nie teraz... Wolf wyjechał kilka godzin po naszym ślubie.

- Chyba rozumiem... Pospieszyła się pani z małżeństwem... Niechże się pani nie spieszy z tym... - doktor szukał odpowiednich słów - ...na co nie jest pani jeszcze gotowa. Znam wiele dobrych, trwałych małżeństw, w których mąż i żona zajmują osobne sypialnie.

Molly także wiedziała o podobnych związkach. Były to małżeństwa, w których miłość nie odgrywała żadnej roli i które wcale nie pragnęły dzieci. Stała, w których przynajmniej jedno z małżonków związane było z kimś innym.

Molly zamruwała oczami. Odnosiło się to również do nich, do niej i do Wolfa! Przecież ja mam kochankę pomyślała.

Nie doczekawszy się od Molly żadnej odpowiedzi, Washburn poczerwieniał.

- Jeśli pani zechce, moglibyśmy porozmawiać na temat waszych wzajemnych stosunków. Zrozumienie sytuacji może zmniejszyć obawy młodej mężatki...

Molly omal nie zachichotała. Mogłaby się założyć o cały swój majątek, który w tej chwili zresztą składał się z jedyne go nadpalonego szlafroka, że doktor Washburn nigdy jeszcze nie prowadził podobnej rozmowy.

- Nie, nie! Dziękuję. Orientuję się w tych sprawach. Uczęszczałam na „nieoficjalne wykłady” w szkole medycznej.

Doktor wyraźnie się zmieszał. „Nieoficjalnymi wykładami” nazywano spotkania w barze po zakończeniu objętych programem zajęć. Przy kuflu piwa omawiano schorzenia i dolegliwości, o których nie padło ani jedno słowo w salach wykładowych. Dyskutowano również nad różnymi sposobami zapobiegania ciąży, poczynając od pradawnych metod murzyńskich znachorek aż po wyniki najnowszych badań naukowych prowadzonych na terenie Niemiec. Mówiono o szerzących się w całym kraju chorobach, o których nikt nie śmiałyby wspomnieć w salonie. Jedną z koleżanek Molly żartobliwie określała sprawy omawiane wówczas przy piwie „sercowymi przypadłościami”. Jednak zdaniem Molly żadna z ówczesnych dyskusji nie miała nic wspólnego z sercem.

Washburn zmienił temat rozmowy.

- A więc ukończyła pani szkołę medyczną?

- Tak, ale głównym przedmiotem moich studiów była farmacja.

- I nigdy nie myślała pani o praktyce lekarskiej?

Molly potrząsnęła głową. Widziała aż za dużo takiej „praktyki” podczas wojny!

- Wolę pomagać ludziom, przygotowując dla nich leki. - Odchyliła się na oparcie krzesła. - Ostatniego ranka przed pożarem zamówiłam całą furę niezbędnych składników. Gdzież ja je teraz przechowam?

Washburn zamknął swą torbę lekarską.

- Wydaje mi się, że nasza szkoła mogłaby udostępnić pani salę na magazyn i pokój do pracy... w zamian za pewną obniżkę cen zamawianych leków. Może by to pani rozważyła?

Molly uśmiechnęła się szeroko. Wszystko zaczyna się jakoś układać!

- Oczywiście, że rozważę. Serdeczne dzięki za propozycję!

Doktor odkaszlnął.

- No cóż... jeśli pani nie ma już do mnie żadnych pytań, chyba sobie pójdę. Po południu zajrzę jeszcze raz.

- Bardzo dziękuję, doktorze, ale doprawdy, nie musi się pan fatygować. - Molly nie widziała sensu następnej wizyty. Wczoraj przeżyła szok, doznała obrażeń, była przerażona. Miała płuca pełne dymu i omal się nie załamała. Dziś jednak czuła, że siły jej wracają. Na oparzeniach i siniakach doskonale się znała. Potrafi sama o siebie zadbać! - Wiem, jak wiele ma pan pracy, doktorze. Świetnie sobie poradzę!

Washburn skinął głową potakująco, ale dodał:

- Porozmawiam jeszcze z pani mężem.

- To całkiem zbyteczne, zapewniam pana! - Molly miała ochotę odpowiedzieć doktorowi o wiele ostrzej, ale wiedziała, że większość lekarzy zareagowałaby tak samo jak Washburn. Od chwili, gdy kobieta wycho-

dziła za męża, wszelkie decyzje co do opieki medycznej nad nią podejmowała nie ona, lecz jej małżonek. W większości stanów doktor nie mógł nawet zbadać pacjentki bez zgody jej męża.

Przed chwilą Washburn traktował ją niemal po koleżeńsku, a teraz masz... była znów kobietą, która nie może stanowić o sobie!

Stukanie do drzwi uratowało doktora Washburna od odpowiedzi. Do pokoju wbiegła Callie Ann. Rzucała się ku Molly, ale w ostatniej chwili zatrzymała się.

- Chciałam cię uściskać! - oznajmiła. - Ale boję się zrobić ci coś złego!

Molly roześmiała się.

- Serdeczny uścisk nigdy nikomu nie zaszkodzi!

Otworzyła szeroko ramiona i znad główki dziecka popatrzyła na wymykającego się z pokoju doktora.

Uściskawszy Molly z całej siły, Callie Ann odgarnęła jej włosy z twarzy i ucałowała ją w oba policzki.

- Strasznie mi było ciebie brak! Pani Babka Papka powiedziała, że musisz się wyspać. I nie miałam się z kim bawić, prócz stryjka Orsona!

- Bardzo mi przykro. - Molly objęła dłońmi buzię dziewczynki i również ją ucałowała. - Mam nadzieję, że zostaniesz u mnie dłużej i nie będziesz spieszyć się do miasta!

Callie Ann wybuchnęła śmiechem.

- I tak nie mogłybyśmy nigdzie wyjść: nie mamy nic do ubrania! - powiedziała po chwili. - Ale na dole jest całe mnóstwo paczek. To Wolf kazał je tu przynieść!

- Masz rację! - Molly spojrzała na pożyczoną koszulę nocną, jakby dopiero teraz ją zauważyła. - Musimy zostać w domu.

Liczyła na to, że znajdzie jakieś ubranie przed po-

wrotem Wolfa. Nie chciała, by ją widział w samej tylko koszuli.

Co mi przychodzi do głowy? pomyślała. Dlaczegoż mąż nie miałby zobaczyć mnie w koszuli? Poprzedniej nocy prawie całe miasto mnie tak oglądało!

Nagle *Callie Ann* zaczęła skakać po pokoju: zjawił się Noah z herbatą i ciasteczkami, z pewnością upieczonymi w ulubionej kawiarni Wolfa. Kiedy się nimi raczyły, wniesiono suknie do przymierzenia dla nich obu, obuwie, bieliznę, nawet lalkę dla *Callie Ann* i nowy dziennik w skórzanej oprawie dla Molly. Wszystko od Wolfa. Jego troskliwość była zdumiewająca!

Molly nie mogła pojąć, skąd Wolf tak dobrze zna jej wymiary. Doszła w końcu do wniosku, że to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności. Najwidoczniej nie przyglądał się jej uważnie, bo wiedziałaby, że ubiera się zawsze na czarno. Zaczęło się to po śmierci ojca; po roku żałoby jakoś nie wróciła do barwnych strojów. Wybrane przez Wolfa białe bluzki były w sam raz, ale żadnej z tych ciemnoczerwonych i zielonych spódnic nigdy by sama nie kupiła.

Ale w końcu musiała coś na siebie włożyć... Trudno ruszyć na zakupy w nocnej koszuli. Molly zdecydowała się na trzy najprostsze stroje i bieliznę.

Za to *Callie Ann* była wszystkim zachwycona, przymierzanie nowych ubrań potraktowała jak wspaniałą zabawę w przebierankę. Włożyła nawet na siebie to i owo z garderoby, którą Molly odrzuciła, i spytała, czy nie mogłaby zatrzymać szala ze złotymi frędzelkami. Molly była pewna, że Wolf wydal większość swych oszczędności na te ubrania. Sama zatrzymała tylko to, co najpotrzebniejsze, ale dziecku nie potrafiła odmówić.

Postanowiła, że jak najszybciej pójdzie do banku i za-



depeszuje do Filadelfii po pieniądze, by zwrócić je Wolfowi. Dobrze znała stan jego finansów i była pewna, że od lat prawie nic nie wydawał na siebie. Nie mogła pozwolić, by opróżnił swoje konto na jej fatałaszkach.

Wzięła do ręki blaszane pudełko Wolfa, by sprawdzić ostateczny bilans i odłożyć papiery z powrotem. Pudełko było jednak zamknięte, a kluczyk pozostał w nieistniejącej już kuchni. Molly pocieszyła się, że pamięta dość dokładnie, ile tego było.

Z obandażowaną ręką nie mogła ułożyć sobie włosów, więc tylko je porządnie rozczesała. Koło południa obie z Callie Ann były już gotowe do zejścia na dół. Molly schodziła bardzo ostrożnie, schodek po schodku.

Kiedy dotarły do dużej, a raczej długiej jadalni, w której mogło się bez trudu pomieścić tuzin osób, zobaczyły na stole tylko trzy nakrycia. Pośrodku stały w wazoniku świeże kwiaty; porcelana była ładna, biało-niebieska.

Babka Papka postawiła na stole misę knedli i popatrzyła na Molly.

- No, no, ależ elegancko wyglądasz, kochasiu! Wypisz wymaluj dama, u której kiedyś służyłam.

Callie Ann okręciła się jak wrzeciono.

- Ja też mam nową sukienkę!

Babka zaczęła nad nią cmokać, a potem owinęła dziecko wielką serwetą, żeby nie pobrudziło sobie nowej toalety.

Molly zajęła miejsce przy stole.

- Myślałam, że ma pani wielu innych lokatorów.

Babka Papka nakładała na talerze, nie pytając, czego i ile chcą.

- Pewnie, że mam, tylko dziś wygoniłam ich z domu. Pomyślałam, że musimy sobie trochę pogadać. Prowa-

dzę ten pensjonat od lat, ale jesteś pierwszą damą, kochasiu, która u mnie mieszka.

Molly przyjrzała się bacznie starej kobiecie. Czuła, że coś jest nie w porządku. Przez tyle czasu nikt nie zaglądał do jej pokoju... W domu było tak cicho... Z pewnością stało się coś złego!

- Pogadaliśmy sobie z Wolfem dziś rano, kiedy zszedł na dół, jak tylko się rozwidniło - wymamrotała Babka Papka, borykając się z ogromnym knedlem.

- To Wolf był tu dziś w nocy?

Babka skinęła głową.

- Zjawił się tuż przed zmierzchem i nie ruszył się stąd aż *do* wschodu słońca. Przesiedział przy twoim łóżku większość nocy. A ty, kochasiu, nie obudziłaś się ani razu? Nie widziałaś swojego chłopca?

- Nie. - Molly poczuła, że się czerwieni. Nie mogła wprost uwierzyć, że Wolf czuwał na nią, gdy spała. - A gdzie on teraz jest?

- Kiedy wniósł tu dziś rano resztę tych paczek, strażnicy już na niego czekali. Zabrał się z nimi piorunem! Zdaje się, mają jakieś kłopoty. Jeszczem ci chyba nie mówiła, kochasiu, że mój Luther też był strażnikiem. Na początku lat czterdziestych, kiedy nasz Teksas był samodzielną republiką. A wcześniej, jeszcze jako smarkacz, ruszył pod Samem Houstonem nad San Jacinto!

Nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony Molly, Babka Papka spojrzała na dziewczynę z oburzeniem.

- Nie wiesz, że tam była wielka bitwa z Meksykańcami o wyzwolenie Teksasu?! Houston i jego chłopaki zrobili niespodziankę tym z Santa Anna, a jakże! W kilkuset chłopca rozprawili się z paroma tysiącami! Luther opowiadał, że rzucili się na nich jak wściekli! Słysząc było tylko palbę i krzyki: „Macie za Alamo!” „A to za

Goliad!\* Ci z Santa Anna nie mieli czasu na sformowanie szyku, a o odparciu ataku nie było co i gadać! Zwiewało toto jak wystraszone kurczaki przed burzą!

Molly skinęła głową, jakby pamiętała wydarzenia, o których opowiadała gospodyni.

Babka gryzła, popijała i ciągnęła swą opowieść.

- Z mojego Luthera był kawał chłopca, całkiem jak Wolf, i też się zaciągnął do strażników. Nic, tylko powarkiwiał albo ryczał, wykapany niedźwiedź! Nawet jak mu zabrakło kul, wystarczyło, żeby wrzasnął, i zaraz był spokój! Bożeż ty mój! Ależ mi brak mojego chłopca! Jak taki przytuli, to przynajmniej porządnie! - mruknęła, nie przestając jeść. - Ale ty o tym dobrze wiesz, kochasiu! Może nie?

Molly rzeczywiście wiedziała. Wolf wziął ją w ramiona zaledwie raz czy dwa razy, ale dobrze pamiętała te niedźwiedzie uściski. Kiedy przygarniał ją i unosił nad ziemią, było jej tak ciepło i bezpiecznie w jego objęciach... Może nie był wytworny i przystojny jak Benjamin, ale miał w sobie coś, co sprawiało, że dobrze się przy nim czuła. Traktował ją jak kruchą porcelanę, jak bezcenny skarb.

- Mego Luthera zatłukli którejś zimy na granicy - mówiła dalej staruszka. - Ścigał bandytów, co napadali na rancza, a potem przez Rio Grande zwiewali do swoich kryjówek. Luther jechał w pojedynkę i natrafił na nich. Co to była za strzelanina! Ci, którzy go tam znaleźli, mówili, że na ziemi było gęsto od łusek. Wpakowali mu cztery kule, zanim przestał do nich kropić. A przedtem ukatrupił dwunastu! - Uniosła

\*Miejsca poprzednich krwawych starć w wojnie z Meksykiem, w wyniku której Teksas stał się niezależną republiką (przyp. tłum.).

dumnie pierwszy ze swych licznych podbródków. - Pomyśl tylko, kochasiu: trzeba było więcej niż tuzina bandziorów, żeby powalić mego chłopca!

Molly poczuła, że nie jest w stanie dalej słuchać opowieści Babki Papki. Nie chciała myśleć o tym, że Wolf mógłby toczyć śmiertelny bój z rewolwerowcami. Z pewnością nie przechwalałaby się czymś takim, gdyby została wdową.

Po skończeniu posiłku Callie Ann spytała, czy może pójść do stajni. Noah trzymał tam mleczną kózkę i obiecał, że pozwoli małej poczęstować ją marchewką.

Kiedy dziecko zniknęło za węglem, Babka Papka wyprostowała się, jakby zamierzała przystąpić do omawiania interesów.

- Kilku ludzi wpadło tu dziś rano. Dowiedziałam się od nich czegoś, co i ty powinnaś wiedzieć.

Molly przeczuwała, że usłyszy coś ważnego. Może już wiadomo, kto podłożył ogień?

- Tamtej nocy... - Babka Papka przełknęła knedel, nawet go nie gryząc. - ...podczas tego zamieszania z pożarem zwiało dwóch więźniów.

Molly bez słowa wpatrywała się w gospodynię, pochłaniającą następnego knedla.

- Te dwa Diggery. Najwredniejsze bydlaki pod słońcem! Musiał im pomóc ktoś z zewnątrz.

Molly ogarnęła nagle panika.

- Czy oni wiedzą o Callie Ann? Będą ją chcieli zabrać? W końcu to ich krewna...

- Chyba nie. O ile wiem, żaden ze strażników nawet nie wspomniał o małej. Zresztą, po cholere im dzieciak?!

Molly nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

- Wolf pojechał za nimi i postara się ich złapać. - Babka otarła brodę. - Kazał ci powtórzyć, że wróci, jak tyl-

ko będzie mógł. Chce schwytać tych bandziorów, zanim kogoś utłuką. Z Diggerami to nie ma się co zastanawiać, „będą mordować czy nie”, tylko „kiedy zaczną?”

Babka wyciągnęła rękę przez stół i ujęła dłoń Molly.

- Powiedziałam Wolfowi, że możesz zostać u mnie. Prawie wszyscy strażnicy tu mieszkają, jak są w mieście. To dla ciebie najbezpieczniejsze schronienie. - Poklepała się po kieszeni fartucha. - Ja też mam przy sobie pukawkę, na wszelki wypadek.

Molly starała się opanować ogarniający ją strach. Wolf miał przecież swoje obowiązki. Nie mógł tu ciągle siedzieć i cackać się z nią. A zresztą, potrafi sama zadbać o siebie!

Babka Papka wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Wolf wspomniał, że podał ci nazwiska swoich bliższych. Możesz do nich jechać, jeśli chcesz. Będą ci radzi. - Obejrzała się przez ramię i skrzywiła się. - Zapłacił mi też za to, żeby Charlie Filmore mógł tu zostać. Będzie spał i jadł na ganku, chyba że się przyuczy do mycia. Tego tylko potrzeba, żeby ten pijaczyna plątał mi się pod nogami... ale w końcu to on uratował ci życie, kochasiu. A teraz sobie wmówił, zdaje się, że nad tobą czuwa!

Potrząsnęła głową i dodała:

- Aleś sobie znalazła anioła stróża, kochasiu. Każdego by odstraszył taką gębą!

- Zostanę tutaj, póki nie uporządkuję swoich spraw - szepnęła Molly, pogrążona w myślach.

Babka uśmiechnęła się.

- Tak też sobie myślałam. Każda żona woli zostać tam, gdzie jej chłop zwali się zaraz po powrocie.

Molly nie wyjaśniła Babce Papce, że wcale nie o to jej chodzi. Po prostu postanowiła nie dać za wygraną. Zostanie w Austin, odbuduje swój dom i sklep. Skan Anula43, przerobienie pona.

I jakoś poradzi sobie z chaosem w swoim prywatnym życiu.

Wolf doprowadził się do skrajnego wyczerpania. Wyruszył w pościg za Diggerami w tempie dwukrotnie szybszym niż zwykle. Mówił sobie, że trzeba jak najprędzej złapać tych morderców, ale w głębi duszy wiedział, że musi uciec jak najdalej od Molly i jej marzeń sennych.

Po nocy spędzonej u boku żony Wolf nie miał wątpliwości, że jest zakochana w Benjaminie. Powinien być w siódmym niebie, że ich przelotne spotkanie przed ośmiu laty wywarło na Molly aż takie wrażenie... Ale potrafił myśleć tylko o tym, że nigdy nie pokocha go jako Wolfa. Początkowo miał nadzieję, że ich przyjaźń przerodzi się w miłość, ale od czasu, gdy jako Benjamin trzymał ją w objęciach, przestał w to wierzyć. Molly miała już kochanka. On, Wolf, może być dla niej tylko przyjacielem, nikim więcej.

O zachodzie słońca zatrzymał się. Wiedział, że tylko głupiec szuka tropów przy księżycu. Rozłożył obóz i próbował się odprężyć, ale wspomnienie tulącej się do niego Molly nie pozwoliło mu zasnąć jeszcze długo po północy. Wystarczyło zamknąć oczy i znowu był tam - w domu Babki Papki, na drugim piętrze, z Molly u boku.

Tylko że on nie chciał być kochankiem ze snów, a ona najwidoczniej nie potrzebowała innego. Co noc całe jego ciało pulsowało bólem. Mówił sobie, że to przejdzie, ale po tygodniu nie widział żadnej różnicy.

Minęły dwa tygodnie, a bolesne pragnienie, by poczuć Molly przy sobie, dolegało jak otwarta rana. Setki razy musiał się z sobą zmagać, by nie ogolić się, nie wrócić, nie położyć koła niej... Wkradłby się znów do

jej snu tak jak wtedy. Jeśli nie mógł liczyć na nic więcej, będzie miał przynajmniej tyle!

Ale poczucie obowiązku trzymało go mocno w karchach. Ślepa wierność sprawie, w której słuszość wierzył. Choćby nie wiem jak boleśnie tęsknił do Molly, wiedział, że nie wróci do niej, zanim nie wywiąże się ze swego zadania. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby zaniechał pościgu, a ktoś przypłacił jego zaniedbanie życiem.

Pod koniec trzeciego tygodnia miał już pewność: bracia dobrze wiedzieli, że następuje im na pięty. W gruncie rzeczy Diggerowie byli parą leni, którym nie chciałoby się podróżować w takim tempie, gdyby się czuli bezpieczni. Próbowali nawet zacierać ślady, ale robili to tak nieumiejętnie, że właściwie ułatwiali Wolfowi posuwanie się po ich tropie.

Wolf wkładał w ten pościg wszystkie siły. Diggerowie poruszali się po pewnym gruncie; znali tę część Teksasu lepiej niż on. Najpierw udali się na zachód, poza linie fortów, gdzie krzyżowały się szlaki. Potem wykonali nagły zwrot i ruszyli pagórkowatym terenem, na którym łatwo było o zwierzynę i nie brakło kryjówek wśród skal i nierówności gruntu.

Gdyby bracia popełnili choć jedną omyłkę: cofnęli się znad wezbranej rzeki lub zapędzili w jakiś ślepy kanyon, Wolf już by ich dopadł. Ale szczęście im sprzyjało i zaczął się czwarty tydzień pościgu.

Wcześniej zapadł zmierzch i bardzo się ochłodziło. Wolf zdjął siodło, spętał konia i wytarł go do sucha garściami uschłej trawy. Tym razem - wyjątkowo - zatrzymał się przed zmrokiem; chciał coś upolować. Jego zapasy się kończyły; nawet jeśli dzisiaj coś złapie, za dzień czy dwa będzie musiał udać się do miasta. Straci dużo czasu... ale nie było innej rady.

Zarzuciwszy wędkę nad strumieniem i zastawiwszy w krzakach sidła na króliki, Wolf zaparzył resztkę kawy i czekał. Był pokryty brudem od stóp do głów, ale nie zamierzał tracić czasu na kąpiel. Podrapał się po gęstej, długiej na cal brodzie i roześmiał się. Dziś z pewnością Molly nie poznałaby w nim Benjamina! Dobrze wiedział, że przypomina raczej dziką bestię niż istotę ludzką.

Ale przecież to dzikie zwierzę już w czasie wojny stanowiło częśćkę jego ja! Na każdy miesiąc spędzony w oficerskim mundurze przypadały dwa miesiące tułaczki po lasach, życia na odludziu. Kiedyś, gdy znalazł się na terytorium wroga bez żadnych zapasów, przeżył w lesie cały miesiąc. Czaił się, pogryzając jakieś twarde korzonki i przysłuchując się rozmowom Jankesów, którzy rozłożyli się obozem pod samym jego nosem. Czuł żar ich ognisk, słyszał opowiadane przez nich kawały, niemal popijał z nimi kawę...

Nie miał nawet koca. Kiedy padał śnieg, zaszywał się jak zwierzę w sterty opadłych liści.

Choć omal nie umarł z głodu i przemarzył na wskroś, ani myślał o poddaniu się. Wiedział, że mógłby wejść pomiędzy nich z rękoma uniesionymi do góry. Odeszliby go chyba do obozu jenieckiego. Daliby mu pewnie koc, może nawet kawy... O Boże, jak marzył wówczas o kawie, tak gorącej, że sparzyłaby mu przełyk!

Ale nie miał zwyczaju rezygnować. Ani wtedy, ani nigdy!

Wolf odetchnął głęboko. Kawa perkotała. Tak, musi pojechać do miasta po zapasy. A potem wróci do tropienia Diggerów i zawlecze ich za łby do więzienia!

Szczęknęły sidła na króliki: kolację miał już zapewnioną. Przy odrobinie szczęścia, trafi się i ryba na śniadanie!

Wolf wstał; był wyraźnie widoczny w promieniach



zachodzącego słońca. Kącikiem oka dostrzegł nagły błysk - był niczym gwiazda, która zapłonęła przed zachodem słońca.

Mózg Wolfa zareagował o ułamek sekundy za późno. Chwycił za broń, równocześnie ujrzał iskrę i dym. Nim kula trafiła go i powaliła na ziemię, do jego uszu zdążył jeszcze dotrzeć huk wystrzału.

Palce zacisnęły się na broni, a świat nagle zniknął. Nie było już gwiazd... księżycy... Niczego.

## 16

Molly razem z Callie Ann drepczącą u jej boku weszła przez obramowany już futryną otwór drzwiowy do swojego nowego sklepu. Zgodnie z przyrzeczeniem Miller przez ostatni miesiąc nie żałował sił, odbudowując spalony dom. Pogrzebów było niewiele, nic więc nie odrywało go od pracy.

Odkąd Charlie Filmore ocalił życie Molly, mieszkańcy miasta przestali traktować go z pogardą. Charlie zrezygnował z picia i nie tylko czuwał nad Molly, ale pracował regularnie dla Millera. Ku zaskoczeniu wszystkich okazało się, że ma zręczne ręce do stolarki.

Z zewnątrz budynek miał wyglądać tak samo jak przed pożarem, ale Molly zamierzała zmienić jego wnętrze. Postanowiła, że sklep będzie o wiele obszerniejszy, a magazyn na jego tyłach zostanie powiększony o połowę dawnej kwatery Ephraima. Na górze urządzi się tylko jeden wielki pokój: dla Molly do pracy, a dla Callie Ann do zabawy.

Nie miało tu być ani kuchni, ani sypialni. Po wszystkim, co przeszła, Molly wolała wynająć jakiś dom w pobliżu niż mieszkać nad sklepem.

Chciała omówić to wszystko z Wolfem. Zdecydowała, że ponieważ planowane zmiany to wyłącznie jej zachcianka, sama pokryje koszt wynajmu domu. Wolf z pewnością zrozumie, że to całkiem rozsądne rozwiązanie. Pokój nad sklepem był dobry dla jednej osoby, teraz jednak Molly jest mężatką, w dodatku z dzieckiem!

Popatrzyła na Callie Ann, biegającą pomiędzy drewnianymi słupami. No właśnie, dziecko, pomyślała. Po tych kilku wspólnie przeżytych tygodniach Callie stała się jej bliska jak rodzona córka. Molly nie oddałaby jej teraz bez walki. Początkowo sądziła, że odszukają jakichś miłych krewniaków dziewczynki, z którymi mała mogłaby zamieszkać. Jednak w miarę upływu dni szanse znalezienia kogoś takiego malały, a w Molly rosła nadzieja, że dziecko zostanie u niej na zawsze.

Tak więc miała teraz „męża na niby”, który w dodatku nie pokazywał się od wielu tygodni, oraz „córkę z drugiej ręki”, której nikt inny nie chciał. Nieraz jednak wśród codziennej krzątaniny wydawali się oni Molly bardziej realni i ważniejsi niż marzenia, które dotąd stanowiły fundament jej istnienia.

Wolf - mimo że nieobecny - stanowił nadal cząstkę jej życia. Dopytywali się o niego nieznanymi Molly ludzie, opowiadali o nim różne historyjki, martwili się wraz z nią, że jeszcze nie wraca. Molly zapomniała już, że bywał nieokrzesany. Pamiętała tylko o jego dobroci.

Rozmyślenia przerwał jej Miller.

- Wolałbym porozumieć się w tej sprawie z pani mężem - rzekł, podchodząc do niej z planami nowe-

go wnętrza. - Kapitan Hayward może nie być zadowolony z tych wszystkich zmian.

- To *mój* sklep i sama sporządziłam jego plan. Nie ma potrzeby omawiać niczego z moim mężem - odparła Molly. Z jakiej racji ten niepozorny człeczyna uważa, że Wolf wie lepiej od niej, jak powinna wyglądać drogeria?! Miller przypominał Molly ciotki, które w każdej sprawie musiały zasięgnąć rady jej ojca - generała, jakby nie miały własnego rozumu!

Miller domagał się, by po ukończeniu ścian zewnętrznych Molly wypłaciła mu połowę umówionej sumy. Żądał nawet całej należności, ale odmówiła stanowczo; bardzo wątpiła, by po otrzymaniu gotówki spieszyl się z ukończeniem pracy.

- Mój mąż z pewnością spodziewa się, że po powrocie zobaczy gotowy już budynek - oznajmiła stanowczo.

Miller zadumał się głęboko. Nie miał ochoty wypełniać babskich rozkazów, ale zależało mu na robocie.

Zanim Molly i Miller ostatecznie się dogadali, nieoczekiwanie pojawił się Josh. Młody strażnik zbliżył się po cichu, a minę miał taką, jakby szedł za pogrzebem.

Kiedy wręczył Molly list, nie spieszyła się z jego otwarciem. Wolf mówił jej, że tylko złe nowiny przekazuje się na piśmie.

- Cóż to takiego? - spytała.

Przestępując z nogi na nogę, Josh odpowiedział:

- To do pani, pani Hayward, z biura szeryfa.

Molly upewniła się, że Callie Ann ich nie słyszy, i popatrzyła Joshowi prosto w twarz.

- Co jest w tym liście? - Wolała usłyszeć najgorsze od razu.

Odpowiedział natychmiast, jakby wydała mu rozkaz.

- Postrzelili Wolfa. Nie wiem, jak ciężko. Jakiś kow-

boj znalazł go na południu, wiele mil stąd. Te bydlaki zostawiły go, żeby się wykrwawił na śmierć.

Urwał, czekając na reakcję Molly. Kiedy się nie odezwała, mówił dalej:

- No więc ten kowboj zawiózł Wolfa do małej osady, San Marcos. To nad rzeką Blanco, w połowie drogi stąd do San Antonio. - Josh zawahał się. - Jest tam od kilku dni. Tamtejszy ksiądz napisał do szeryfa.

Molly nieraz słyszała, jak jej ojciec powiadał żony żołnierzy o okaleczeniu lub śmierci męża. Do tej chwili nie miała pojęcia, co przeżywały wówczas te kobiety.

W płucach zabrakło jej nagle powietrza. Łzy ścisnęły ją w gardle.

- Coś jeszcze? - Przysięgła sobie, że nie będzie płakać, nie okaże żadnych emocji.

- Nie, proszę pani. - Usta Josha zacisnęły się w wąską linię. I on zmagał się z przepełniającymi go uczuciami. - Oprócz tego, że to z pewnością robota tych Diggerów. Doszły do nas słuchy, jeszcze przed listem od księdza, że te dranie przechwalały się w jakiejś knajpie w San Antonio. „Ukatrupiliśmy strażnika!”, gadali. Ruszamy teraz na nich jak jeden mąż. Może pani być spokojna, przywlecemy ich tu za łeb!

Los Diggerów nie obchodził Molly nic a nic. Liczył się wyłącznie Wolf! Mógł być jej mężem tylko z nazwy, ale przyjacielem był naprawdę. Niezawodnym przyjacielem! Ilekroć znalazła się w kłopotach i potrzebowała go, był zawsze przy niej: na pogrzebie Ephraima, podczas ślubu, na którym jej zależało, po pożarze. Bez wahania podzielił się z nią wszystkim, co posiadał.

- Gdzie znajdę mojego męża? - spytała, zbierając wszystkie siły.

- Jest na terenie katolickiej misji w San Marcos.

Przeniesiono ją tam, do źródeł rzeki, dopóki nie skończą się kłopoty z Indianami. Ale pani wcale nie musi jechać! Wolf jest pod dobrą opieką. A San Marcos to dziura, trudno toto nazwać miasteczkiem.

- Jadę natychmiast.

- Ale... - Josh urwał. Miał dość rozumu, by jej dłużej nie odradzać.

Podziękowała młodemu strażnikowi i patrzyła za nim, gdy odchodził. Chciał jej powiedzieć coś więcej, pomóc jakoś... ale nie okazywała uczuć i nie prosiła o pomoc.

- Będzie mi potrzebny wóz - zwróciła się Molly do Millera, który niewątpliwie słyszał każde słowo strażnika.

Przedsiębiorca pogrzbowy potrząsnął głową.

- Jazda wozem potrwa dwa dni. Znacznie szybciej dojedzie tam pani dyliżansem. Co rano rusza do San Antonio „Concord”. Zmieniają konie w San Marcos. A tam już bez trudu wynajmie pani wóz i konia, żeby dojechać do misji i wrócić stamtąd do domu.

Istotnie, pomyślała zaskoczona Molly, szybkim dyliżansem po dobrej drodze mogła w godzinę zjechać tam, gdzie zwykłym wozem wlokłaby się cały dzień.

- Bardzo panu dziękuję, panie Miller! Pojadę dyliżansem.

- Ja też! - zawtórowała jej Callie Ann. - Jadę z tobą!

Molly zdumiała się; dziecko słyszało widocznie całą rozmowę. Szukała słów, by wyjaśnić malej sytuację.

Callie Ann wyprostowała się.

-Jadę z tobą! - powtórzyła z niezwykłą determinacją.

- Niech będzie - odparła Molly. Ciekawe, czy dziewczynka tak się niepokoiła o Wolfa, czy po prostu nie mogła dłużej wytrzymać pod dachem Babki Papki... Molly z każdym dniem rozpaczliwiej poszukiwała jakiegoś domu do wynajęcia lub nawet do naby-

cia. Rady Babki Papki były coraz to obfitsze, a porcyjki mięsa coraz szczuplejsze.

Trzymając Callie Ann mocno za rękę, Molly ruszyła spiesznie najpierw do banku, a potem na stację dylizansów.

Przedsiębiorstwo Przewozowe Wellsa informowało chełpliwie, że jego dylizanse „Concord” mogą pomieścić dziewięciu pasażerów w swym wnętrzu i drugie tyle na dachu. Molly uznała to za kompletną bzdurę. Przeważnie zabierano sześciu pasażerów, niekiedy siedmiu lub najwyżej ośmiu, jeśli były wśród nich dzieci. Sadzano je na specjalnych rozkładanych krzesłkach przy drzwiach, a reszta pasażerów pomstowała, nie mogąc wyciągnąć nóg.

Molly wykupiła ostatnie miejsca - szóste i siódme - na jutrzejszy poranny dylizans. Dobrze wiedziała, że współpasażerowie nie będą zachwyceni, ale Callie Ann jechała z nią, i już!

Tego wieczora Babka Papka prawie się nie odzywała podczas kolacji. Rzuciła tylko półgębkiem uwagi w rodzaju: „Ciekawe, czy go jeszcze zastaniesz żywego? Gdzie też go trafili? Jak w brzuch, to długo nie pociągnie, jak w głowę, to zgłupieje... ale i to lepsze, niż żeby dostał w przyrodzenie...”

Molly szybko zjadła kolację i poszła na górę pakować rzeczy. Nie wiedziała, jak długo potrwa jej wyprawa, ale ponieważ po pożarze zostało jej niewiele ubrań, pakowanie nie zajęło jej dużo czasu. Zamierzała dotrzeć jak najprędzej do San Marcos i równie szybko przywieźć stamtąd Wolfa.

Callie Ann położyła się w łóżku Molly. Działo się tak od drugiej nocy, spędzonej pod dachem Babki Papki. Dziecko zasnęło, zanim jeszcze Molly zgasiła światło.

Molly zamknęła oczy i starała się przywołać Benjamina. Z wyjątkiem pierwszej nocy po pożarze wszystkie sny o nim były mgliste i nierealne. Dziś wcale się nie zjawił. Niespokojne myśli Molly krążyły wokół Wolfa.

Wspominała, jak ją objął i wirował z nią w ciemności, jak przytulił ją po ślubie, jak pocałował na pożegnanie. Nie wzbudzał w niej namiętności, ale obdarzał ją takim ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa! Był jej niezawodnym przyjacielem. Przyjacielem na całe życie.

- Muszę cię zastać przy życiu! - szeptała. - Proszę cię, nie umieraj!

Jeśli nawet zdrzemnęła się tej nocy, to tylko na chwilę. Ubrała się już o świcie, a gdy wychodziły z pensjonatu Babki Papki, zjawił się Charlie Filmore. Za dziesięć dolarów, które dostał od Molly, udało mu się zdobyć dwie skrzynki różnych medykamentów. Molly nie miała pojęcia, co zastanie, gdy dotrze do Wolfa; wołała być przygotowana na wszelkie ewentualności. Udała, że nie dostrzega napisów na skrzynkach; najwyraźniej ich zawartość przeznaczona była dla instytucji państwowych.

- Chyba znalazłem dom w sam raz dla pani! - oznajmił Charlie szeptem, tak by Babka Papka nie dosłyszała go z ganku. - Najwyżej pół mili od sklepu. Domek pierwsza klasa... jeśli jest pani przy forsie.

- Naprawdę coś znalazłeś? - Molly nie mogła w to uwierzyć. Bardzo dokładnie przeczesała okolicę. Najpierw stawiała wysokie wymagania; sporządziła nawet listę udogodnień, w które jej nowy dom ma być wyposażony. Ale teraz, po kilku tygodniach u Babki Papki, gotowa była zgodzić się na wszystko.

- Z ubiciem interesu trzeba będzie poczekać, aż właściciel wytrzeźwieje. Ale domek jest w sam raz: dużo miejsca dla dzieciaków.

- ...aż właściciel wytrzeźwieje?

- Przykro o tym gadać, psze pani.

Molly chętnie by się dowiedziała, ile dom będzie kosztował, choć w obecnej sytuacji cena nie miała znaczenia. Gotowa była zapłacić każdą sumę za siedzibę, do której mogłaby przywieźć Wolfa.

- Biorę ten dom! - zdecydowała bez namysłu. - Ile on za niego chce?

- Właściciel powiedział, że ustali to z pani mężem. - Charlie znał już Molly tak dobrze, że instynktownie uchylił się, żeby mu nie dała po gębę, kiedy to usłyszy.

Babka Papka zeszła ze stopni ganku. Rozprawiali o czymś wystarczająco długo, by pobudzić jej ciekawość.

Kiedy jednak zbliżyła się do nich, Molly prosiła właśnie Charliego, by zawiadomił doktora Washburna, że nie będzie jej przez kilka dni. A potem dołożyła Charlieemu pieniędzy za medykamenty, które dla niej zdobył.

Molly zdumiała się, a Babka Papka wprost zbaraniała, gdy Charlie oddał połowę pieniędzy, które mu wręczyła. Oświadczył, że więcej nie kosztowało, a za przyjacielskie przysługi pieniędzy nie bierze. Potem załadował skrzynki na wóz Noaha, a kiedy Molly podsadziła Callie Ann i wsiadła sama, pomachał im ręką na pożegnanie.

Noah zawiózł je na stację dylizansów. Odjazd zapowiedziano na ósmą rano, ale agent przedsiębiorstwa przewozowego uprzedził Molly, że dylizans rusza natychmiast, gdy tylko wszystkie miejsca zostaną zajęte. Już nieraz spóźnialscy przekonywali się, że ich miejsce odstąpiono komuś innemu, a on sami muszą czekać na następny dylizans. Z drugiej jednak strony, nieraz czekano z odjazdem do dziewiątej, a nawet dziesiątej, póki się wszystkie miejsca nie zapełniły.

Molly zdążyła odczytać kilkakrotnie wywieszony



na drzwiach regulamin dla pasażerów. Zainteresowała ją tylko punkt trzeci, który stanowił, że w dylizansie nie wolno palić tytoniu, jeśli znajduje się w nim dama. Żucia tytoniu nie wzbraniano, dołączono tylko wypisane wielkimi literami pouczenie: **PLUĆ Z WIATREM, NIE POD WIATR!**

W końcu woźnica wrzasnął: „Wsiadać!”. Kiedy Molly pomagała Callie Ann złożyć szal od Wolfa, trzech mężczyźni o wyglądzie komiwojażerów wrzucili do dylizansu swe walizeczki i wepchnęli się jako pierwsi, nie zwracając uwagi na stojące obok kobiety.

Jedna z nich (która z powodzeniem mogła sama zająć dwa miejsca!) z pewnym trudem wtaszczyła się do środka. Potem weszła za matką całkiem dorosła, ale widać zupełnie niezaradna pannica. Była nieładna, straszliwie chuda i miała smutne oczy.

Molly uniosła spódnicę i także dostała się do wnętrza. Jak się tego obawiała, jedyne wolne miejsce znajdowało się w samym środku dylizansu, między dwoma mężczyznami. Nic dziwnego, że panowie nie zachowali się po rycersku: miejsce przy oknie było na wagę złota podczas długiej podróży w dusznym pudle!

Molly rozłożyła małe składane krzeselko przy drzwiach dla Callie Ann. Barwny szal odegrał znakomicie rolę poduszki. Krzesło miało z dwóch stron skórzane paski, zabezpieczające małego pasażera przed wypadnięciem, gdyby dylizans raptownie się zatrzymał. Callie Ann usadowiła się całkiem wygodnie.

- Chciałabym choć z pół drogi przesiedzieć na dachu, proszę mamy - wymamrotała dziewczyna ze smutnymi oczami, usiłując wcisnąć się jakoś między matkę i jednego z komiwojażerów. Miała na sobie kilka warstw ubrania, a wszystko było na nią zbyt obszerne.

- Będziesz siedzieć tam, gdzie ci każę, moja panno! - warknęła matka. - Zobaczmy, co z pogodą. Nie chcę ciągać za sobą posmarkującej dziewczuchy, której zachciało się jechać na deszczu! - Szarpnęła zasłonkę w oknie. - Boże święty, ale chmurzyska! W taki dzień powinno być trochę chłodniej... a tu masz! - Odepchnęła córkę i rozparła się wygodniej.

- Chciałbym, żeby trochę popadało - odezwał się mężczyzna siedzący obok dziewczyny; obrócił się bokiem, żeby miała nieco więcej miejsca. Był ciemnowłosy, kędzierzawy, a wąsy sięgały mu niemal do uszu. - Ochłodziłoby się przynajmniej na kilka godzin.

Molly przyjrzała mu się uważnie. Wyraźnie grał pierwsze skrzypce pośród trzech komiwojażerów. Takich jak on nazywano „ubijaczami”, bo po drodze potrafili ubić niejeden dobry interes. Był wygadany i miał ujmujący uśmiech.

- Zawsze lubiłem deszcz. A panienka? - Uśmiechnął się do dziewczyny.

Matka spojrzała na córkę ostro, wyraźnie zabraniając jej wdawać się w pogawędki z nieznajomym.

Dziewczyna wtopiła się niemal w siedzenie i zapatrzyła w przestrzeń. Była wyższa zarówno od matki, jak od komiwojażera, skutkiem czego wyglądała jeszcze bardziej groteskowo, gdy tak kuliła się ze strachu, wciśnięta między nich.

- A gdzie posadzimy stryjka Orsona? - spytała Callie Ann. Dwaj mężczyźni jęknęli, spoglądając w stronę drzwi. Spodziewali się, że do ciasnego wnętrza zaraz wepchnie się jeszcze jedna osoba. - Dla niego też trzeba znaleźć miejsce! Nie chcę jechać z przeziębionym stryjkiem, który moknie przez całą podróż na deszczu!

Nikt prócz Molly nie dostrzegł, jak doskonale dziewczynka naśladowała grubą matronę.

Molly zamknęła drugie drzwi i rozłożyła następne krzeselko.

- Tutaj! - Uśmiechnęła się szeroko. - Będzie mu wygodnie, dokładnie na wprost ciebie!

Callie Ann uśmiechnęła się także.

- Stryjek mówi: „Serdeczne dzięki!”. Chyba jest rad, że siedzi na takim samym krzeselku jak ja!

Najstarszy z komiwojażerów, od którego mocno zalaływało whisky, roześmiał się i mrugnął na Molly, jakby zrozumiał, na czym polega dowcip. Pozostałych dwóch mężczyzn nie interesowało nic poza faktem, że nikt więcej nie wszedł i mają nieco miejsca na nogi. Ale potężna jejmość zaczęła sapać z oburzenia. Skrzyżowała wojowniczo ramiona, na ile jej pozwalał imponujący biust.

Dylichans zakołysał się i ruszył z miejsca. Przez kilka minut Molly łudziła się, że ogromniasta baba nie odezwie się ani słowem i podróż minie w błogiej ciszy. Ale spokój nie trwał długo.

Skoro tylko wyjechali z Austin, matrona zaczęła monologować, nie zwracając się konkretnie do nikogo.

- Nigdy bym nie ogłupiała własnej córki podobnymi chorobliwymi fantazjami! Jak takie dziecko poradzi sobie w życiu?!

Molly nic na to nie odpowiedziała. Callie Ann wyciągnęła z kieszeni dwie lalki, zrobione z chusteczek; wywody jejmości najwyraźniej do niej nie docierały.

- Powiedziałam - odezwała się matrona podniesionym głosem - że nigdy bym nie ogłupiała własnej córki podobnymi bzdurami!

Starszawy komiwojażer, który przedtem mrugnął do Molly, pochylił się teraz w stronę herod-baby.

- Ależ, łaskawa pani! Pani miałyby mieć córkę w wieku tej dziewczynki? Niemożliwe! Wygląda pani tak młodziotko!

Matrona wskazała palcem na milczącą dziewczynę.

- Mam ją i jeszcze dwie młodsze w domu! Niech mnie pan nie próbuje bujać, znam się na takich!

- Nigdy bym nie próbował oszukać tak inteligentnej damy! - Mężczyzna miał oczy przekrwione od picia, ale z jego ust płynął istny miód.

- Źle by pan na tym wyszedł! - oznajmiła jejmość nieco mniej bojowo.

- I niech mi wolno będzie powiedzieć - ciągnął komiwojażer - że rzadko się spotyka w naszym gorącym klimacie damę o tak delikatnej karnacji. Krew z mlekiem, łaskawa pani! Istna krew z mlekiem!

Grubaska poklepała się po kragłym policzku.

- Nigdy nie wychodzę na dwór bez czepka. I zawsze powtarzam moim córkom: jak Bóg nam dał piękną cechę, to trzeba o nią dbać!

Molly dostrzegła przelotne spojrzenie, które starszy komiwojażer rzucił wąsatemu „ubijaczowi”. Tamten uśmiechnął się i lekko skinął głową.

Starszy pan obdarzył grubą jejmość następnym kwiecistym komplementem. Molly od razu połapała się, co obaj knują. Oparła się wygodnie i przymknęła oczy. Nie miała najmniejszego zamiaru ostrzegać współpasażerki!

Przysłuchiwała się pochlebstwom jeszcze bardziej nieprawdopodobnym niż opowiadki o stryжку Orsonie. Trzeci komiwojażer oparł się o futrynę okna i pochrapywał, ukołysany ruchem dylizansu. Nieśmiała dziewczyna wyjęła z kieszeni chustkę i zrobiła jeszcze jedną laleczkę dla Callie Ann. Czarnowłosa „ubijacz” milczał, ale uśmieszek nie znikał z jego twarzy.

Do chwili gdy woźnica ryknął: „San Marcos!” (a było to trzy godziny później), apodyktyczna matrona wykupiła połowę kremów i płynów, które starszawy komiwojażer miał w podręcznej walizeczce. Zbierając się do wyjścia, Molly dostrzegła, że czarnowłosa wążacz wsuwa pieniądze w rękę starszego kolegi. Była to widocznie ich stała rozrywka, którą skracali sobie czas w podróży.

- No, jestem już u celu! - odezwała się Molly do woźnicy, który pomógł jej wysiąść.

Odburknął coś obojętnie. Najwyraźniej nic go nie obchodziło, co się z nią dalej stanie. Płacili mu za to, żeby ludzi woził, i koniec.

Wielkie babsko wychyliło się z okna i łaskawie pozwoliło córce odbyć resztę podróży na dachu. Potem jejmość spojrzała wojowniczo na Molly.

- Ze też się komuś chce wysiadać w takiej zakazanej dziurze!

- To rodzinne strony stryjka Orsona - odparła słodko Molly i wzięwszy Callie Ann za rękę, odsunęła się od dylżansu. - Ma ranczo na zachód od San Marcos. I setkę bydła; sam się wszystkim zajmuje. - Molly udała, że bierze kogoś pod ramię.

Dotarły do niej jeszcze tyrady jejmości na temat „bezmózgich wariatek”. Molly tylko się uśmiechnęła, życząc w duchu wszelkiej pomyślności wążaczowi, który teraz zabierze się do grubej jejmości na serio.

Przechodząc na drugą stronę drogi do stajni, Molly dumiała, jak miło cieszyć się wolnością w Teksasie. Kłopotów jej co prawda nie brakowało, ale przynajmniej nie musiała znosić od rana do nocy krytycznych uwag ciotek. Spotkanie z tą okropną babą uświadomiło Molly, jak bardzo jest szczęśliwa.

Wynajęcie wozu trwało zaledwie kilka minut. Cze-

kając zaś na zaprzęgnięcie koni, Molly rozpytała się o drogę do misji.

Kiedy po przeciwnej stronie drogi dylizans ruszył w dalszą podróż, Molly wsiadała właśnie do wynajętego wozu. Ulokowała już Callie Ann z tyłu, obok ich osobistych rzeczy i skrzynek z medykamentami. Dziecko zwinęło się na szalu jak zaspane kociątko.

Molly ujęła cugle. Przed wielu laty Ephraim nauczył ją powożenia, ale od wojny nie miała pod tym względem żadnej praktyki. Kiedy jednak poczuła w rękę lejce, wszystko jej się przypomniało.

Trzepnęła lekko konie i miała już odjechać, gdy nagle, nie wiadomo skąd, tuż przed wozem wyrosła jakaś postać.

Molly ściągnęła energicznie wodze i wyprostowała się, by sprawdzić, czy konie nie potrafiły nieuważnego przechodnia.

Dziewczyna, która siedziała naprzeciw niej w dylizansie, podbiegła natychmiast do wozu i oparła się o jego bok.

- Bardzo przepraszam! - jęknęła. - Wcale nie chciałam włązić pod konie! Chyba nie wiedziałam, gdzie idę. Próbowałam tylko schować się przed mamą.

Molly popatrzyła na oddalający się w tumanie kurzu dylizans. Był już o dobre pół mili stąd.

- Nie powinnaś go przypadkiem dogonić?

Dziewczyna miała taką minę, jakby zaraz chciała się rozpłakać.

- Prosiłam mamę, żeby mi pozwoliła jechać na dachu. No i zgodziła się! A potem zaczęła wykrzykiwać różne rzeczy o pani i wcale nie zauważyła, że nie weszłam na górę. Jak się zorientuje, że zniknęłam, będzie już w San Antonio, a stamtąd aż do rana nie jedzie w te strony żaden dylizans!

Molly spieszyło się do Wolfa, ale mimo woli spytała:

- Czy ty czasem nie uciekasz z domu?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Tej jesieni skończę dwadzieścia lat, tak mi się zdaje. Mama nigdy nie świętuje moich urodzin, więc nie jestem pewna. Ale mam już swoje lata: nie uciekam, tylko odchodzę z domu. Starczy mi pieniędzy na dyliżans do Austin, a tam chyba znajdę sobie jakąś pracę. Mama nie będzie mnie szukała. Zawsze mówiła, że ani myśli gonić za dzieciakiem czy kundlem, któremu brak rozumu, żeby się trzymać domu.

- Byłaś już kiedyś sama?

Dziewczynie łzy napłynęły do oczu.

- Nie - odparła. - Ale muszę odejść z domu! Mama w kółko powtarza, że żadna z nas nie da sobie rady bez niej... Tylko że wolę zdechnąć z głodu, niż harować jak niewolnica, choćby jeszcze jeden dzień! Ona mi nawet nie pozwala iść rano do wychodka, nim się nie obrobę z tym wszystkim, co sobie dla mnie umyśli! Mówi, że wszystkie trzy jesteśmy za głupie, żeby złapać męża, więc musimy trzymać się jej aż do śmierci!

Molly przesunęła się na ławeczce.

- Umiesz powozić?

Dziewczyna spojrzała na nią ze zdumieniem i skinęła głową.

- No to możesz zabrać się z nami, jeśli chcesz. Jadę po mojego rannego męża, a potem wracam z nim do Austin. Jeśli będziemy powozić na zmiany, bardzo mi się przydasz, a sama dojedziesz do Austin, nie wydając ani grosza. - Molly obawiała się, że pożałuje potem swej spontanicznej propozycji, ale w tej chwili para rąk do pomocy była wprost darem z nieba... a poza tym nie mogła pozostawić tej dziewczyny na łasce losu!

- Jak ci na imię?

- Early\*. Mama wmawiała swemu mężowi, że jestem wcześniakiem. Ale on nie był taki głupi: nie dał swego nazwiska cudzemu dzieciakowi i porzucił mamę za karę, że go chciała tak nabrać. Ale to przezwisko jakoś do mnie przyłgnęło. Niedługo potem mama znalazła sobie innego męża, Eda Willisa, ale i on nie zgodził się, żebym się nazywała tak jak on. Zostałam Early, i tyle.

Dziewczyna uśmiechnęła się, zakończywszy tę najdłuższą w swym życiu przemowę. Wdrapała się na wóz, siadła na ławeczce i ujęła cugle w spracowane ręce.

- Nie pożałuje pani, że się nade mną zlitowała! Nie będzie ze mną więcej kłopotu niż ze stryjkiem Orsonem!

Molly wyjaśniła, dokąd mają jechać. Poczowała nagłą ulgę, że nie musi w pojedynkę stawić czoła temu, co ją czeka.

## 17

Licząca sobie dwadzieścia lat osada San Marcos wyrosła obok rzeki, wypływającej z niezwykle obfitych źródeł. Powietrze nad wodą pachniało świeżością i było chłodniejsze niż gdziekolwiek indziej w tej południowej, pagórkowatej krainie. Sama misja znajdowała się obok zagajnika balsamicznych topoli, kilka mil na wschód od postoju dyliżansów. Podjechawszy bliżej, Molly zorientowała się, że określenie „misja” było

\*Ten angielski przymiotnik, a zarazem przysłówek, oznacza „wczesny” lub „przedwczesny”, „wcześnie”, „przedwcześnie” (przyp. tłum.).



zbyt szumne dla tej niewielkiej grupki zabudowań, które mogły stanowić najwyżej tymczasowe schronienie w razie jakiejś klęski żywiołowej albo napaści.

Niemłody ksiądz powitał gości, stając w wielkich drewnianych drzwiach. Popatrzył na wysiadające z wozu kobiety z nadzieją.

- Przyjechały panie, żeby nam pomóc? - spytał z obcym akcentem.

- Przyjechałam do mego męża - odparła Molly i ujrzała nagłe rozczarowanie w oczach księdza. - Powiedziano mi, że tutaj znajdę kapitana Haywarda.

Kapłan skinął głową z rezygnacją. A więc nie zjawił się nikt, kto mógłby zdjąć z jego ramion przytłaczające brzemie.

Molly poprosiła Early, by zajęła się Callie Ann, podczas gdy ona zobaczy się z Wolfem i przekona się, w jakim jest stanie. Teraz, gdy dotarła już na miejsce, ogarnął ją strach. Pokonała go jednak z całą determinacją.

Early przywiązała lejce i zsadziła Callie Ann z wozu. Przed wejściem do misji Molly obejrzała się jeszcze na nie: szły w kierunku pobliskich drzew, by skryć się w ich cieniu. Poranne chmury rozproszyły się, powietrze było nieruchome i suche.

Gdy idąc za księdzem Molly przestąpiła próg, miała wrażenie, że mury misji zwierają się wokół niej. Pozbawiony światła i powietrza budynek przypominał fortecę; zbudowano go tak, by mógł oprzeć się atakom. Przez wąskie okna pod samym dachem nic właściwie nie dało się zobaczyć.

Już po kilku krokach Molly poczuła dobrze znany, przytłaczający zapach krwi i śmierci. Ileż to razy wchodziła za ojcem do szpitalnych budynków czy namiotów, gdzie atakował ich od razu, niczym potężna

fala przypływu, odór gnijącego ciała i zaschniętej krwi!

Instynkt nakazywał Molly uciekać stąd czym prędzej. Doświadczenie podpowiadało, że znajduje się tu nie jeden, ale bardzo wielu rannych.

Szła za księdzem niemal po ciemku do głównej sali, nie większej niż jadalnia Babki Papki.

- Co tu się stało?

- Przed dwoma dniami Indianie napadli na osadników.

- Stary ksiądz dreptał wśród łóżek ustawionych tak blisko siebie, że ciała leżących niemal się stykały. - Zaatakowali farmy na zachód od naszej misji. Zabili kilku ludzi, ale tym razem Komanczom zależało bardziej na koniach niż na krwi wrogów. - Potrząsnął głową. - Już przedtem było u nas pełno... a po tej napaści zaczęli się do nas schodzić poszkodowani. Nasza misja jest schronieniem dla starców i pozbawionych opieki kalek. Nie mamy tu warunków, by udzielić pomocy tylu rannym... - Wpatrywał się w Molly oczyma pełnymi rozpacz. - Mogę się za nich jedynie modlić. Ojciec Michael znał się trochę na leczeniu, ale sześć miesięcy temu zmarł na jakąś gorączkę. Obiecano nam pomoc z misji w San Antonio.

Spojrzenie Molly wędrowało od łóżka do łóżka, myśli kłębiły się w jej głowie. Niektóre leżące tu osoby - starcy i kaleki - wpatrywały się w nią pustym, nieprzytomnym wzrokiem. Część podopiecznych stanowili okaleczeni żołnierze, którzy po wojnie nie mieli nikogo, kto by się nimi zajął. Wśród nich zaś, na prowizorycznych, poplamionych teraz krwią posłaniach, ułożono ofiary niedawnego napadu. Leżały tam dzieci zbyt cierpiące, by płakać, kilkoro dorosłych z broczącymi ranami i jakaś kobieta, tuląca w okrwawionych ramionach niemowlę.

Jeśli pomoc medyczna nie przybędzie szybko, mało kto z nich wyżyje. Nawet lazarety polowe bywały

lepiej zorganizowane już w godzinę po bitwie... a ci ludzie cierpieli tak od dwóch dni.

- Gdzie jest mój mąż? - spytała Molly, przechodząc obok łóżek. Pragnęła rozpaczliwie udzielić pomocy tym nieszczęśnikom, i to jak najprędzej. Przedtem jednak musiała zobaczyć Wolfa.

- Leży w składziku. Owiązałem mu głowę i napisałem do szeryfa z Austin. Pomyślałem, że on będzie najlepiej wiedział, co począć z tym strażnikiem.

Molly weszła pospiesznie do ciemnego, ciasnego pomieszczenia. Leżący na stole Wolf przypominał poległego rycerza, ułożonego na katafalku. Molly objęła dłońmi twarz męża i powtarzała jego imię. Serce jej się ścisnęło na jego widok. Nie zważała na to, że był okryty błotem i krwią. Liczyło się jedynie to, że Wolf żył!

- Ocknij się! - błagała go. - Zbudź się, kapitanie!

Po długiej chwili jęknął i otworzył oczy.

- Witaj, Molly... moja Molly - powiedział cicho przez zaciśnięte zęby. Próbował się nawet uśmiechnąć, gdy odwinęła brudny bandaż i oglądała ranę, ale mu się to nie udało.

Palce Molly leciutko dotykały rany, sprawdzały, czy nie ma zakażenia, czy kula nie uwięzła w ciele. Mimo brudu rana zaczęła się goić.

- Posłuchaj, Wolfie... Czy wytrzymasz jeszcze parę godzin? Widzisz, są tutaj...

- Wiem - odparł, zaciskając znów zęby, gdy bandażowała mu ranę. - Słyszałem... krzyki. Zrób dla nich... co możesz... - Głos Wolfa cichł coraz bardziej. - Ja się... zdrzemnę...

Molly zawahała się. Przybyła tu, by pomóc mężowi, ale nie mogła przecież zostawić tamtych bez ratunku! Rana Wolfa była głęboka, ale nie stracił tak wiele

krwi, by zagrażało to jego życiu. Kilka słów, które wypowiedział, i jego przytomne spojrzenie świadczyły niezbicie, że mózg nie został uszkodzony.

Ucałowała Wolfa w policzek i szepnęła:

- Wrócę do ciebie najszybciej jak będę mogła!

Spojrzała na księdza.

- Nigdy nie leczyłam pacjentów, ale wiem, jak pomóc tym ludziom. Czy znajdzie się tu ktoś, kto mógłby przynieść z mego wozu skrzynki z lekarstwami? Chętnie podzielę się z wami tym, co mam.

Ksiądz rozpromienił się. Jego modły zostały wysłuchane!

- Jest tu chłopiec, który nam pomoże. A brat Luke ma nietęgi rozum, ale mocne plecy. Zaraz ich tu sprowadzę.

- Doskonale! - Molly zdjęła podróżny żakiet i podwinęła rękawy sukni. - Potrzebna mi będzie woda, bardzo dużo wody. Najlepiej przegotowanej i trochę przestudzonej. I muszę mieć światło. Wszystkie lampy, jakie tu są!

Ksiądz wyszedł spieszenie. Molly wróciła do sali, w której leżeli ranni. Nie było czasu na zastanawianie się ani na wahanie. Możliwie najszybciej, jak zwykł to czynić jej ojciec, Molly dokonała przeglądu. Musiała ustalić, kim zajmie się w pierwszej kolejności. Po dwóch dniach mąk, które ci ludzie przeżyli, niełatwo było to określić. Przeważnie podejmowała decyzję na chybił-trafił.

Poprosiła, by usunąć z sali starców i kaleki, którzy nie ucierpieli podczas napadu Komanczów. Można ich było wyprowadzić na świeże powietrze, posadzić w cieniu. Ona zaś mogła dzięki temu poruszać się swobodnie wśród rannych. Wspomniany przez księdza chłopiec bał się widoku krwi, chętnie jednak zgodził się wyprowadzić starszków przed dom i przypilnować ich.

Ksiądz także zakasał rękawy i oddał się pod rozkazy

Molly. Podobnie jak wielu ludzi w tamtych czasach, uważał, że zaschnięta krew wokół rany jest czymś naturalnym. Kiedy Molly poleciła mu przemywać obrażenia przyniesioną przez brata Luke'a wodą, zawahał się.

Powtórzyła polecenie categorycznym tonem i wówczas zabrał się do roboty.

Co jakiś czas zaglądała do Wolfa. Przyłożyła mu na ranę chłodne, mokre płótno, by zmiękczyć tworzący się strup, a zarazem powstrzymać upływ krwi, która nadal się sączyła. Wolf wyglądał tak, jakby spokojnie spał.

Ksiądz przyniósł Molly wieść, że Early i Callie Ann zagospodarowały się w kuchni; gotują nieustannie wodę, a nawet przyrządziły dla wszystkich zupę. Early oznajmiła księdzu, że bardzo żałuje, ale nie może pomagać przy chorych: boi się, żeby Callie Ann „czegoś od nich nie złapała”.

Molly uśmiechnęła się, ocierając spocone czoło. Rany postrzałowe rzadko bywały zaraźliwe; rozumiała jednak obawy Early, która wolała pozostać na uboczu. Nie wszyscy są stworzeni do takiej roboty, a niektórzy nawet myślą, że obcowanie z nieszczęśnikami przynosi pecha. Early jednak wyraźnie starała się pomóc - w miarę swych możliwości.

Ksiądz okazał się lepszym pomocnikiem, niż Molly początkowo myślała. Trzymał w ramionach dzieci, gdy je opatrywała. Jego cichy, czuły głos uspokajał je lepiej niż wszelkie lekarstwa. Większość maluchów poraniła się i potłukła w czasie panicznej ucieczki przed najeźdźcami. Jedno dziecko miało złamaną rękę.

Dwóm mężczyznom należało wyjąć kule z ran. Jednego postrzelono w klatkę piersiową, tuż obok serca, drugiego w brzuch. Molly zrobiła dla nich wszystko co mogła, ale wiedziała, że mają niewielkie szanse na wyzdrowienie.

Kobieta z niemowlęciem tylko pokaleczyła się wskutek upadku. Z wyraźną niechęcią pozwoliła, by Molly zbadała maleństwo, które trzymała w ramionach.

Molly szepnęła do księdza tak cicho, by nikt inny nie usłyszał:

- Dziecko nie żyje. Nic już nie mogę zrobić.

Dopiero wtedy dostrzegła, ile siły wewnętrznej ma stary kapłan.

- Ale ja mogę - odparł. - Tym razem dobrze wiem, co należy uczynić.

Odchodząc, Molly słyszała rozpaczliwy płacz kobiety i ciche słowa księdza. Nie znała żadnego leku na cierpienia nieszczęsnej matki.

Było już niemal ciemno, gdy Molly zajęła się ostatnim pacjentem, małym chłopczykiem z wieloma drobnymi skaleczeniami i głęboką raną w ramieniu. Dziecko miało najwyżej pięć lat i nikt nie wiedział, gdzie podzieli się jego rodzice. Mimo to chłopczyk nie płakał.

Osierocona matka, która właśnie umyła i ubrała swoje dzieciątko przed pochówkiem, popatrzyła na Molly i opatrywanego przez nią chłopca.

- Znam twojego tatę i mamę - powiedziała z wyraźnym południowym akcentem. - Zostaniesz ze mną, póki ich nie znajdziemy, dobrze?

Molly wzięła malca na ręce i posadziła go obok nieszczęśliwej kobiety, która odsunęła na bok własne smutki, by pocieszyć cudze dziecko. Molly nie mogła powstrzymać łez. Przycupnęła za niemal pustymi już skrzynkami, by nikt nie słyszał jej płaczu.

Kiedy się opanowała, dotarło do niej, że prawie cały zapas leków został zużyty.

Ksiądz chciał jej przynieść zupy, ale Molly musiała przedtem zająć się jeszcze jednym rannym: Wolfem.

Przez całe popołudnie prześladowała ją straszna myśl, że, być może, ratując innych, naraża życie męża. Wiedziała, że Wolf sobie tego życzył, ale jak zdoła uciszyć własne sumienie, jeśli okaże się, że zwlekała zbyt długo z udzieleniem mu pomocy albo że niezbędne dla niego lekarstwo rozdzieliła niebacznie między innych?

Weszła do małego pokoiku, przypominającego celę w mrocznym, starym lochu. Wolf nie poruszył się od chwili, gdy ostatni raz do niego zaglądała. Wydawał się taki ogromny, kiedy spoczywał bez ruchu na stole, z rękoma zwisającymi bezwładnie wzdłuż boków. Ksiądz zdjął mu buty i pas z rewolwerami. Leżały obok niego, pokryte błotem.

- Wolfie... - szepnęła i uświadomiła sobie nagle, jak rzadko wymawiała to imię. Zwracała się do niego przeważnie per „kapitanie”, ale brzmiało to jakoś niestosownie... byli przecież mężem i żoną! Postawiła latarnię w odległości kilku stóp od jego głowy. Światło padało na jakieś odpadki w kątach składowiska. Molly miała wrażenie, że czuje zapach przechowywanej tu niegdyś cebuli i ziemniaków. - Wolfie? - szepnęła znowu.

Wolf jęknął.

- Jestem przy tobie. - Molly gładziła go po ramieniu. - I postaram się, żebyś był zdrow.

Kiedy zdejmowała zakrwawione płótno i czyściła ranę, nie otworzył nawet oczu. Tak jak przypuszczała, kula trafiła w bok głowy i ześlizgnęła się po czaszce. Molly zorientowała się od razu, że największe zagrożenie stanowi możliwość zakażenia.

Gdy obmywała mu czoło, Wolf zawołał ją po imieniu. Przypominało to rozpaczliwe zakłęcie, powtarzane tysiące razy. Rana była głęboka i nawet jeśli się ją zaszyje, zostanie po niej blizna u nasady włosów, uznała Molly.

- Jestem przy tobie - szepnęła i zdumiała się, że sam jej głos uspokoił tego siłacza.

Ciepła woda spływała mu po twarzy i ramionach, gdy Molly ocierała je mokrym ręcznikiem. Wolf poddawał się temu, jakby nieco odprężony. Molly nie wiedziała, czy śpi, czy też stracił przytomność, starała się więc opatrzeć go jak najszybciej.

Gdy jęknął po raz drugi, bandażowała mu już czoło. Biel bawełny odcinała się od opalonej skóry i ciemnych włosów. Molly dostrzegła, że Wolf zaciska szczęki, i pojęła, że cierpi. Nic więcej nie mogła zrobić. Pozostawało tylko walczyć z gorączką, która mogła łatwo dokończyć tego, czego nie zdołała uczynić kula.

Molly przetarła mokrym ręcznikiem także jego klatkę piersiową i ramiona rannego, by zmyć z nich brud. Patrząc na potężną pierś Wolfa, przypomniała sobie swój sen o Benjaminie. Obaj byli podobnie zbudowani, tylko o wiele młodszy Benjamin nie zahartował się jeszcze w trudach życia tak jak Wolf.

Benjamin jest tylko marzeniem - powiedziała sobie Molly - a Wolf rzeczywistością. Częścią jej realnego życia. Zawarli małżeństwo tylko dla pozorów, ale od tej chwili stało się ono dla niej czymś więcej niż formalnością. Poczuli się związani z tym człowiekiem nie świstkiem papieru, przechowywanym w blaszanym pudełku, ale przysięgą, którą złożyła. Przypomniały jej się słowa pastora: „w zdrowiu i w chorobie...”. Podczas ślubu dodała w myśli: „... przez sześć miesięcy, nie dłużej!” Teraz jednak, gdy Wolf był ranny, wydało jej się nagle, że przysięga będzie ją obowiązywać przez resztę życia. *Do śmierci.*

Wolf schwycił nagle żonę za rękę, przerywając jej rozmyślenia.

- Molly! - Patrzył jej prosto w twarz. Oczy błyszczą-



ły gorączką, ale były przytomne. - Zabierz mnie stąd!

W głosie Wolfa Molly słyszała desperację. To nie był kaprys pacjenta, tylko rozpaczliwe wołanie o ratunek.

Poprosiła o pomoc brata Luke'a i księdza, którzy właśnie wprowadzili Z powrotem do misji staruszków, zachwyconych popołudniem pod gołym niebem. Wolf oparł się całym ciężarem na obu mężczyznach i zdołał jakoś wyjść na chłodne powietrze nocy.

Przez długą chwilę stał z zamkniętymi oczyma i ciężko dyszał. Brat Luke musiał wrócić do swych obowiązków i zastąpiła go Molly. Wolf oparł się na jej ramieniu.

- Jeśli mam umrzeć... - szepnął bardziej do siebie niż do niej - chcę aż do śmierci oddychać... czystym powietrzem!

Potykali się, kilka razy omal nie upadli. W końcu jednak Molly i ksiądz zdołali zataszczyć rannego na brzeg rzeki. Chłopiec pobiegł przodem i rozłożył koc na trawie, w pobliżu wozu Molly. Spały w nim już Callie Ann i Early; były tak zmęczone, że nawet się nie obudziły, gdy przechodzili obok nich.

Wolf, wyczerpany do cna marszem, osunął się na przykrytą kocem trawę.

Molly przyklekła obok niego i popatrzyła na księdza.

- Za godzinę sprawdzę jeszcze, co z tamtymi. Gdybym była potrzebna, proszę mnie zawołać, ojcze. Ale jeśli nie, wołałabym zostać przy mężu.

Ksiądz skinął głową.

- Zrobiła pani wszystko, co tylko mogła. Dosyć na dziś, drogie dziecko. Proszę odpocząć!

Do tej chwili Molly nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest wyczerpana. Poprzedniej nocy nie spała, potem przez całe rano tłukła się dylizansem, a wreszcie pracowała do późnego wieczora. Była tak zmęczona, że po prostu padała z nóg.

Popatrzyła na gwiazdy i zorientowała się, że jest już prawie północ. A tyle jeszcze miała do zrobienia! Przykryła Wolfa cieńszym kocem i przyniosła wody ze strumienia, by obmyć mu twarz i ramiona. To było najważniejsze: chłodzić mu ciało, ale nie dopuścić, by przemarzło.

W nocnych ciemnościach rozlegały się najrozmaitsze odgłosy; powietrze poruszało się leciutko, choć nie dałoby się tego nazwać wiatrem. Ciało Wolfa trawiła gorączka. Gdy Molly go dotknęła, żar przeniknął także do jej ciała.

To był jej mąż. Nie ten wymarzony, nie ten wybrany, ale na całym świecie miała tylko jego. Innego z pewnością nie znajdzie.

Nie był wytwornym dżentelmenem, dziarskim oficerem, bogaczem. Odznaczał się za to dobrocią i prawością. Zawsze mogła się na nim oprzeć. Koniec końców, tylko to się przecież liczyło!

Molly zwinęła się w kłębek obok Wolfa i położyła rękę na jego piersi. Ważny jest tylko realny świat - powiedziała sobie. Tylko rzeczywistość!

Ale we śnie przyszedł do niej Benjamin. Czuła go obok siebie; ogrzewał ją swoim ciałem, chronił od złego. Spała głęboko, wsłuchana w rytm jego oddechu.

Kiedy się ocknęła, już go przy niej nie było. Zniknął tak jak poprzednio, pozostało jej tylko wspomnienie serca, które biło tuż przy jej sercu.

- Benjaminie... - szepnęła, pragnąc śnić dalej.

Nie od razu Molly uprzytomniła sobie, gdzie się znajduje. Las i strumień wydawały się jej całkiem obce. Potem ujrzała zabudowania misji i pamięć jej wróciła. To nie Benjamin leżał obok niej, tylko Wolf! To jego ramię obejmowało ją opiekuńczo. To jego serce biło obok jej serca. Nie Benjamin, lecz Wolf!

Teraz jednak Wolfa nie było. Molly wstała i przez chwilę łudziła się nadzieją, że wyzdrowiał. Rozum jednak podpowiadał jej, że to niemożliwe. Ktoś, kto w nocy nie jest w stanie chodzić o własnych siłach, o świecie nie wybierze się w podróż!

Spojrzała w stronę misji: nikogo. Tylko drzewa. Ale gdy odwróciła się do rzeki, dostrzegła ciemną postać tuż nad wodą. Bandaż na czole Wolfa połyskiwał białą w świetle jutrzeńki.

Molly podbiegła do męża; doczołgał się po mokrej trawie niemal do samej -wody. Ujęła w ręce głowę, która mu opadła, i położyła ją na swoich kolanach. Nawet przez bandaże czuła, jaki żar od niej bucha.

- Byle dojść do wody... - wymamrotał - zaraz się ochłodzę...

- I nabawisz się zapalenia płuc.

- Już nie mogę dłużej!... Muszę... idę do wody! - Próbował podnieść głowę.

- Mowy nie ma! - Położyła mu ręce na ramionach i trzymała z całej siły. Wolf bredził w gorączce, musiała go ratować. - Nie pozwolę ci umrzeć, rozumiesz?!

Gniew dodał Wolfowi siły. Odepchnął Molly i z ogromnym wysiłkiem dźwignął się na jedno kolano.

Molly wylądowała w błocie. Ogarnęła ją taka wściekłość, jakiej nigdy jeszcze nie czuła. Zerwała się na równe nogi i ruszyła ku swemu „wilkowi”, gotowa przycisnąć go całym swym ciężarem, byle tylko go zatrzymać.

Zanim jednak to zrobiła, ujrzała ból w jego oczach. Usiłował za wszelką cenę zachować przytomność. Kiedy podeszła do niego, zwiśł bezwładnie w jej ramionach, a ona pod tym ciężarem opadła na ziemię.

Przez chwilę trzymała tylko Wolfa w objęciach, nie wiedząc, co robić dalej. W końcu zaciągnęła go jakoś

z powrotem na koc i obmyła mu twarz chłodną wodą.

Robiło się coraz widniej i cieplej. Mimo wszelkich zabiegów Molly Wolf miał coraz większą gorączkę.

Molly dwukrotnie musiała opuścić męża, by zająć się innymi pacjentami.

W południe przybyło dylizansem dwóch księży z zapasem leków. Przywieźli też najświeższą nowinę: jakaś młoda kobieta zaginęła bez wieści. Jej matka utrzymywała, że dziewczyna spadła z dachu dylizansu pomiędzy San Marcos a San Antonio. Nie znaleziono jednak na tej trasie żadnego ciała. Molly i Early obiecały, że powiadomią, gdyby zauważyły je po drodze.

Opiekę nad pozostałymi pacjentami przejęli dwaj znający się na leczeniu księży, ale na gorączkę Wolfa mogli zaproponować tylko marunę. Molly wiedziała, że ten lek wyrabia się z płatków złocistych chryzantem. Early zaparzyła dla Wolfa wierzbową herbatkę, ale Molly zdołała wmusić w niego zaledwie parę kropel.

Ranny bełkotał coś w malignie. To brał udział w jakiejś bitwie sprzed lat, to znowu wzywał Molly, jakby gdzieś mu zginęła i musiał ją koniecznie odnaleźć.

- Pomóż mi! - powiedziała w końcu Molly do Early. - Musimy coś zrobić! Może on miał rację? Może powinniśmy zanurzyć go w wodzie? Trzeba spróbować! Nie będę patrzeć beczynn timer, jak umiera!

Płakała przez cały czas, gdy razem z Early ciągnęły go na kocu do rzeki. Potem zanurzyły Wolfa - bardzo powoli - w płytkiej wodzie. Zaczął cały dygotać, więc Molly w ubraniu weszła do rzeki i przytrzymała jego ciało, wstrząsane dreszczami.

Chłodna, ale nie lodowato zimna woda opływała Wolfa ze wszystkich stron.

Molly tuliła do piersi jego głowę i czekała, co będzie

dalej. Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, nim otworzył oczy.

- Lepiej mi... - szepnął. - Nie odchodź... moja Molly...

Powiodła delikatnie dłońmi po jego ramionach i po plecach. Przez kilka godzin przywykła do jego bliskości.

- Na pewno nie odejdę. Jestem przy tobie.

Kiedy słońce zniżyło się na niebie, brat Luke pomógł Molly wydobyć Wolfa z rzeki i przenieść na wóz. Ściągnęli z niego mokre ubranie i ubrali go w czyste, zapasowe, które Molly znalazła w jukach męża. Gorączka opadła i Wolf zasnął spokojnie. Molly zdjęła z wozu boczne deski, by mógł oddychać chłodnym powiewem od rzeki. Potem pomogła Early i Callie Ann przygotować posłanie z siana, o dobrych kilka stóp od wozu, pod drzewami.

Kiedy wszyscy zasnęli, Molly wyciągnęła ze swej torby podróźnej czystą odzież i rozebrała się w odosobnionym kąciku między wozem a rzeką. Wiedziała, że nikt od strony misji jej nie dostrzeże, i miała nadzieję, że w pobliżu nie będzie przechodził nikt obdarzony kocim wzrokiem.

Przez całe popołudnie chodziła w mokrym ubraniu, które, schnąc, ocierało ją boleśnie, zwłaszcza na ramionach i w pasie. Rozebrawszy się, starannie wtarła w skórę leczniczy puder z widłaka, bieli cynkowej i kwasu karbolowego. Miała go zawsze pod ręką podczas letnich upałów. Ten środek złagodzi z pewnością podrażnienie skóry i zapobiegnie dalszym podrażnieniom. Skan Anula43, przerobienie pona.

Strzepnąwszy nadmiar pudru czystą halką, Molly uśmiechnęła się. Niebawem będzie pachnieć zupełnie jak apteka! Pokryte delikatnym proszkiem ciało świeciło niezwykle bielą na tle nocnego nieba.

Molly włożyła przez głowę cienką bawełnianą koszulę, zerknęła w stronę wozu i skamieniała.

Ujrzała wpatrzone w nią oczy - ciche i czujne, jak oczy leśnych zwierząt. Oczy Wolfa.

## 18

Wolfowi ból rozsadał głowę. Miał wrażenie, że co sekunda rozlegają się w niej artyleryjskie strzały. Fale bólu rozchodziły się po całym ciele, żołądek aż mu się skręcał. Ale gorączka, Bogu dzięki, minęła!

Starał się leżeć bez ruchu, żeby mniej bolało, ale nawet oddech zakłócał kruchą równowagę i przyczyniał mu cierpienia. Wolf próbował zasnąć, okazało się to jednak niemożliwe. Czekał więc - nie wiadomo na co - i miał ochotę kłać wniebogłosy. Nie należał do tych, którzy cierpliwie poddają się chorobie.

Kiedy Molly zorientowała się, że patrzył na nią, gdy się ubierała, zniknęła w mroku nocy. Nie wyrzekła ani jednego słowa, przyłapawszy go na podglądaniu. Podglądaniu? Do wszystkich diabłów! Mało sobie oczu nie wypatrzył! Odwróciła się do niego plecami i odeszła w ciemność, jakby to patrzenie nie miało żadnego znaczenia, jakby był nikim.

Teraz jednak ładuje pewnie broń, by skrócić mękę rannego wilczyska! Ani rusz nie mógł sobie wyobrazić Molly, pytającej go spokojnie przy śniadaniu, jak mu się podobały nocne widoki.

Księżyc odbył już połowę swej drogi po niebie, gdy Wolf usłyszał, że Molly podchodzi do wozu. Nie

otworzył oczu. Pewnie jest na niego wściekła, a jemu brakło sił do konfrontacji. Próbował w duchu przekonywać i ją, i siebie, że takie przyglądanie się jej nie było złamaniem danego słowa; nie domagał się przecież swoich małżeńskich praw!

Kiedy jednak Molly weszła na tył wozu i położyła się koło niego, nie wydawała się rozgniewana, tylko bardzo zmęczona. Starannie okryła kocem siebie i męża i dotknęła jego policzka, by sprawdzić ciepłotę.

Wolf ani drgnął. Ta kobieta była bardziej nieprzewidywalna niż spadająca gwiazda. Gdyby próbował odgadnąć jej reakcje, straciłby chyba rozum. Sądząc z bólu głowy, prędko by to poszło.

Molly przytuliła się do niego tak ufnie, jakby nigdy jej nie oglądał nago w świetle księżyca. Zachowanie żony zdawało się mówić: to był epizod bez znaczenia. Sądziła widać, że Wolf oglądał na golasa całe tabuny kobiet, więc jedna mniej, jedna więcej nie robiła różnicy.

A może była po prostu zmęczona? Tak bardzo, że zmęczenie okazało się silniejsze niż zażenowanie?

Wolf zapomniał całkiem o bólu; za to gorączka wyraźnie wracała. Rosła z każdą sekundą spędzoną u boku Molly.

Musiała to wyczuć, bo poczuł jej palce na swym policzku.

- Dobrze się czujesz? - szepnęła. - Może ci zrobić zimny okład?

- Nie - odparł. Z pewnością nie byłaby zachwycona, gdyby jej powiedział, na którą część ciała przydałby mu się taki okład.

- Czy głowa nadal cię boli? - Musnęła palcami włosy nad bandażem.

- Tak... - zdołał wykrztusić Wolf. Była tak blisko!

Dotykała go całym ciałem, a teraz jeszcze przegarniała mu palcami włosy! Czuł też jej zapach: wodę różaną do włosów, krem do rąk, nawet woń pudru, którym na jego oczach posypywała swe ciało. Nagie ciało.

- Postaraj się zasnąć - powiedziała rozkazującym tonem; znajdowała się tak blisko, że jej oddech musnął jego twarz. - Rano z pewnością będzie ci lepiej.

- Zostaniesz przy mnie?

- Gdzie miałabym spać? Ostatni koc oddaliśmy rannym dawno temu, a na posłaniu ze słomy obok Early i Callie Ann nie starczyłoby dla mnie miejsca.

Objął ją ramieniem.

- Bardzo dobrze: tu jest twoje miejsce. - Ten ruch drogo Wolfa kosztował. Łupnęło mu w głowie tak strasznie, że aż się zdziwił, iż Molly tego nie słyszy.

Musiała jednak to wyczuć. Przysunęła się jeszcze bliżej i cmoknęła go w obandażowaną głowę.

- Leż spokojnie. Jestem przy tobie.

Nie wypuszczając jej z uścisku, Wolf zamknął oczy i poddał się bólowi; po jakimś czasie mógł go już jako tako znieść. Zanim jednak zdołał pozbierać myśli, Molly usnęła.

Wolf to tracił przytomność, to ją odzyskiwał, a wówczas cieszył się obecnością Molly jak pięknym marzeniem. Jednak nawet przez sen świadomy był jej obecności. Poczucie, że ma ją przy sobie, rozkosznie przytuloną, upajało go, radowało duszę, uderzało mu do głowy jak mocne wino.

Tuż przed świtem, kiedy niebo było jeszcze czarne, obudził Wolfa szmer płynącej wody. Nastąpiła jakaś zmiana, ale przez chwilę nie uświadamiał sobie, na czym ona polega. Noc była cicha i chłodna. Rzeka płynęła leniwie i pachniała świeżością. Molly spała obję-



ta jego ramieniem, dotykając opiekuńczo dłonią jego piersi.

I nagle zrozumiał, co się stało: ból ustąpił. Molly miała rację!

Jęknęła cichutko; coś jej się widać śniło. Zapragnął jak przed kilkoma tygodniami wkroczyć do krainy jej snów. Może śniła teraz o nim, o Benjaminie... a on znajdował się tuż obok, przy jej boku? W ciągu ostatnich godzin, nawet w gorączce, Wolf uświadamiał sobie, jak swobodnie czuje się przy nim Molly. Dotykała go w sposób tak naturalny, jakby byli razem od bardzo, bardzo dawna.

Nie mógł oprzeć się pokusie: powiodł ręką po jej biodrze. Wiedział, że dotykanie Molly nigdy mu się nie znudzi.

Nie poruszyła się pod pieścizotliwym dotknięciem.

Przesunął lekko palcami po jej plecach. Choć teraz osłaniała je bluzka, dobrze pamiętał, jak wyglądały. Wyobrażał sobie, że dotyka nagiego ciała. Zawsze lubił patrzeć na jej smukłe, delikatnie zaokrąglone ciało; teraz odkrył, że dotykanie go było jeszcze przyjemniejsze.

Molly przewróciła się na wznak. Oddychała głęboko, całkowicie odprężona. Wolf wiedział, że miała ciężki dzień i pracowała do późna. Teraz spała głęboko jak dziecko.

Ręka Wolfa poruszała się coraz śmielej, sunęła po wykrochmalonej bawełnianej bluzce, po jedwabistych włosach Molly, po jej miękkim policzku...

Dziewczyna znowu jęknęła przez sen, jakby pragnęła w ten sposób dać wyraz rozkoszy, której doznawała.

Wolf delikatnie położył dłoń na piersi Molly i odwrócił się na bok. Zapragnął poczuć smak ust żony. Były aksamitne, pełne, sennie... Nie stawiały oporu. Rozchylił językiem jej wargi i ucałował zachłannie.

Gdy zorientował się, że Molly budzi się w jego ramionach, objął mocniej jej pierś, chcąc sprawić jej tą pieśczętą taką radość, jakiej sam doznawał.

Upajał się miękkością jej ciała, okrytego cienkim ubraniem; chłonał każde drgnienie, gdy przechodziła z objęć snu w jego objęcia. Molly ożywała pod nim, a on całował ją jeszcze żarliwiej, wyrażając w ten sposób całe swe pożądanie.

Odepchnęła go nagle. Jego umysł i ciało nie od razu przyjęły to do wiadomości.

Zaczęła uderzać pięściami w jego pierś.

Zdezorientowany, oderwał się od niej z ogromnym żalem.

Gdy tylko ją puścił, Molly zeskoczyła z wozu na równe nogi. Odwróciła się i spojrzała na niego w akсамitnym mroku tak, jakby próbowała otrząsnąć się z sennego koszmaru.

Nim zdążył zareagować, pobiegła bez słowa w stronę rzeki. Wolf zdążył jednak wyczytać wszystko w jej gniewnych zielonych oczach. Ujrzał w nich ból... i nienawiść.

Wolf podniósł się, chciał biec za nią. Był jednak taki słaby... Miał wrażenie, że w głowie gra mu ktoś na bębnie. Bezskutecznie próbował zebrać myśli. Musi odszukać Molly! Musi dowiedzieć się, czy popełnił coś niewybaczalnego!

Zlazł jakoś z wozu i zmusił nogi do posłuszeństwa. Jakże mógł być tak nierozsądny? Molly uważała go niemal za obcego... Zgodził się przecież na małżeństwo na jej warunkach... a teraz, gdy po raz pierwszy poczuła się przy nim całkiem swobodnie, wykorzystał to!

Świtało już na horyzoncie, gdy wreszcie dostrzegł ją skuloną między dwiema skałami na brzegu rzeki. Zbliżył się powoli, nie bardzo wiedząc, czy powinien

błagać o przebaczenie, czy wyznać jej swą miłość. Zresztą, na cokolwiek by się zdecydował, pewnie i tak będzie źle.

Nawet się nie obejrzała, gdy podchodził, choć z pewnością go słyszała. Robił tyle hałasu co ranny niedźwiedź, powłócząc nogami i postępując. Jak zdoła wyjaśnić Molly, że chciał przywyknąć do jej bliskości, tak jak ona oswoiła się z nim? A może wcale tego sobie nie życzyła? pomyślał. Może tylko jej wolno było go dotykać, a jemu nie?

- Molly... - zaczął, czując, że stać go tylko na to jedno słowo.

- Molly... (Już się powtarzał, psiakrew!)

Podszedł jeszcze bliżej.

- Molly...

Urwał, gdy zobaczył jej gniewne spojrzenie. Jeśli tak dalej pójdzie, to nigdy nie skleci całego zdania! Molly wyglądała jak mała dziewczynka, gdy tak siedziała skulona, obejmując rękami kolana. Wolf myślał o wszystkim, co pragnął jej powiedzieć: że tak bardzo ją kochał. Ze całe jego życie obracało się wokół niej. Że nigdy by jej nie skrzywdził, pragnął tylko jej bliskości... Nie umiał jednak tego powiedzieć. Nie wiedział nawet, od czego zacząć.

- Nie miałam zamiaru rozbierać się przed tobą. - Molly mówiła tak szybko, że poszczególne wyrazy zlewały się ze sobą. Bardzo długo musiał je składać w swej obolałej głowie, żeby coś z tego zrozumieć.

Otworzył usta, ale tym razem nie mógł wykrztusić nawet tego jedyne słowa.

- Położyłam się obok ciebie tylko dlatego, że chciałam być w pobliżu, gdybyś mnie potrzebował. Myślałam, że to rozumiesz. Nie prowokowałam cię, a przynajmniej

nie robiłam tego świadomie. Teraz rozumiem, jak ty to musiałeś odebrać...

Wolf potarł czoło. Molly powinna mówić wolniej! Nie nadażał za jej słowami. Umykały mu całe zdania.

- Przyjechałam tu, żeby ci pomóc. Póki nie skończą się wszystkie kłopoty, jesteś przecież moim mężem. Staram się postępować tak, jak powinna zachowywać się żona... choćby tylko taka z nazwy.

Molly się przede mną tłumaczy?! zdumiał się Wolf. Do diabła, przecież to *on* się wygłupił! Molly usprawiedliwia się, jakby to ona spowodowała go do tego, co zrobił! Poczł równocześnie ulgę i urazę.

Ulżyło mu, że była zła nie na niego, tylko na siebie. Ale uraziło go, iż Molly uważała go za słabego na ciele i umyśle. Sądziła, że gotów byłby spać z każdą kobietą, którą by zobaczył nago i która przygarnęłaby się do niego. I szeptała mu do ucha, dodał w myśli. I przebierała mu palcami we włosach... I opierała się o niego piersią...

Psiakrew! klął w duchu, siadając obok niej i opierając głowę na rękach. Nie miał prawa czuć się urażony. Molly oceniła go należycie: *był* słaby na ciele i umyśle, jeśli chodziło o nią! Może po tym strzale wyciekło mu trochę mózgu? Zachował się jak ostatni głupiec. Nie miała powodu tłumaczyć się przed nim!

- ...I właśnie dlatego nie chcę, żebyś sobie czynił wyrzuty... Nie chcę, żebyś myślał, że na moją decyzję wpłynęło to, co się przed chwilą wydarzyło. Wiem, jak są mężczyźni i jakie mają potrzeby...

Była właśnie w środku jednej z tych tyrad, w których nie mógł się połapać. Ale jak tu przerwać Molly i przyznać, że jej nie słuchał?

- ...Ale kiedy wrócimy do Austin, powinniśmy chyba...

- Przestań! - W końcu wygrzebał w mózgu jeszcze jedno słowo. - Przestań!

Ku jego zdumieniu Molly zamilkła.

Trwało chwilę, nim zdołał pozbierać myśli. Nie był pewien, co Molly zamierzała mu powiedzieć. Z pewnością jednak nie chciał, by skończyła przerwane zdanie.

- Wiem, że nie miałaś zamiaru rozbierać się przy mnie, a ja naprawdę nie zamierzałem cię podglądać. Więc może żadne z nas tak bardzo nie zawiniło? A jeśli chodzi o to, że położyłaś się obok mnie, to doskonale wiedziałem, czemu to robisz. W innych warunkach nie mogłabyś sobie znaleźć bezpieczniejszego miejsca do spania.

Molly otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał ją ruchem ręki.

- Trochę cierpliwości, Molly. Nie potrafię mówić tak szybko jak ty. Nie będę się wykręcał gorączką ani męskimi potrzebami. Dobrze wiedziałem co robię, Molly. Chciałem dotknąć *ciebie*. Pragnąłem tego od chwili, gdyśmy się pobrali. Nie, od chwili, kiedy cię poznałem. Powinienem ci o tym uczciwie powiedzieć, ale widzisz... potrzebowałaś przyjaciela, więc myślałem, że potrafię być dla ciebie tylko przyjacielem. - Musiał mówić szczerze. Jeśli Molly go znieawidzi, to niech go znieawidzi za to, jak było naprawdę, a nie za to, co sobie wmawia na jego temat!

- Niech to wszyscy diabli, Molly! Nie zależało mi na tym, żeby się pobawić z byle jaką babą, która się położyła obok mnie! Ale to przecież byłaś ty! - Obserwował ją bacznie. Widział, że teraz ona rozważa pilnie jego słowa.

- Wiem, że nie mam prawa cię tknąć, jeśli sobie tego nie życzysz. Ale się pomyliłem. Wydawało mi się,

że chcesz, żebym cię tulił i pieścił tak, jak mężczyzna tuli i pieści swoją kobietę. To była *moja* pomyłka, nie twoja! Od razu na początku ustaliłaś reguły gry. Nie miałem prawa myśleć, że się zmieniły.

Zapadła przytłaczająca cisza. Wolf powiedział wszystko, co mógł w tej chwili powiedzieć. Zresztą Molly nie chciałyby pewnie słuchać niczego więcej. A gdyby powiedział, chyba by mu nie uwierzyła.

- I to się już nie powtórzy? - spytała, podnosząc głowę.

- Nie powtórzy się - potwierdził. Wiedział, że prędzej odrańbie sobie rękę niż dotknie Molly wbrew jej chęci.

- I zapomnisz, żeś mnie oglądał nago?

Wolf nie mógł powstrzymać się od uśmiechu; miał jednak nadzieję, że Molly nie dostrzegła go pod osłoną brody.

- Nigdy nie zapomnę, ale nie pisnę o tym ani słowa... ani tobie, ani nikomu innemu.

Takie rozwiązanie dogadzało widać Molly.

- Jesteśmy znów przyjaciółmi? - spytała.

- Oczywiście - odparł Wolf, wiedząc doskonale, że ich wzajemne stosunki przekroczyły już granice przyjaźni.

## 19

Nim zrobił się upał, zwrócili wóz do stajni i usiedli na sosnowej ławce przed stacją pocztową, czekając na dylizans z San Antonio. Po zmianie koni w San Marcos zmierzał on prosto do Austin. Przy odrobinie szczęścia w południe będą już w domu.

Dziewczyna imieniem Early, którą Molly przedsta-

wiała mężowi jako współpasażerkę, wzdrygała się ze strachu, ilekroć rzucił na nią okiem. Była tak nieśmiała, że wątpił, czy w ogóle potrafi mówić. Zauważył jednak serdeczność w smutnych oczach dziewczyny, gdy spoglądała na Callie Ann. Jeśli więc o niego chodziło, Early mogła jechać z nimi, dokąd tylko chciała!

- Naprawdę nie mam nic przeciwko powożeniu - powtórzyła po raz trzeci Molly. - Planowałyśmy wrócić wozem; mniej byś się zmęczył podczas jazdy. Obie z Early dobrze powozimy. Mógłbyś spać przez cały dzień.

Wolf czuł, że pomieszał jej szyki, upierając się przy powrocie dyliżansem. Nie obracał się zbyt często w towarzystwie kobiet i nie pamiętał o tym, że zawsze lubią, by w ich światku wszystko było poukładane tak jak chciały i że mężczyźni zazwyczaj nie wychodzą dobrze na tym, gdy zakłócą ów ład.

- W dyliżansie też mogę się przespać - próbował tłumaczyć Molly. - Nie chcę wracać do Austin, leżąc na wozie jak umarłak, a w siodle pewnie bym się jeszcze nie utrzymał.

Molly skinęła głową, ale nie był pewien, czy go rozumiała.

Nie poruszyła więcej tego tematu. Kiedy przybył dyliżans z San Antonio, sięgnęła do swej torby i wręczyła mężowi zwitek banknotów.

Uniósł brew.

- Zapłać za przejazd - szepnęła.

- To moje pieniądze, nie twoje? - spytał.

- Tak - odparła.

Domyślił się jednak, że kłamie. Bardzo wątpliwe, czy na jego koncie pozostało aż tyle pieniędzy po zakupie nowych sukienek. Uznał jednak, że to nie pora ani miejsce na małżeńskie kłótnie na temat pieniędzy.

Zapłacił za wszystkich i pomógł żonie wsiąść do dyliżansu.

Na szczęście poza nimi było tylko dwóch pasażerów. Callie Ann usiadła z panną Early (jak ją nazywała) obok śpiącego pastucha, który śmierdział tak samo, jak jego podopieczni. Wolf i Molly zajęli miejsca naprzeciwko, koło czternastoletniego mniej więcej wzrostka. Chłopak wyraźnie ucieszył się z towarzystwa.

- Cześć, ludzie! - Uśmiechnął się i dotknął kapelusza. - Nazywam się Riley.

- Cześć - odparł Wolf, nie zamierzając się przedstawiać.

- Daleko was niesie? - odezwał się znów chłopak.

- Tylko do Austin. - Wolf nie był pewien, czy wytrzyma dłuższą konwersację. Przez wiele godzin leżał bezsennie i marzył teraz o drzemce.

Callie Ann zsunęła się z ławki i rozłożyła dodatkowe krzesło.

Wolf uniósł znowu brew.

- Dla stryjka Orsona - wyjaśniła Molly.

Wolf uśmiechnął się od ucha do ucha i mruknął:

- Myślałem, że będzie wołał jechać na dachu.

Chłopak nie rozumiał, o co chodzi z tym krzesłem, ale usłyszał uwagę Wolfa.

- Nikomu teraz nie pozwalają jechać na górce, psze pana! Parę dni temu spadła z dachu jakaś dziewczyna. Każdy woźnica prosi pasażerów, żeby uważali, czy jej gdzieś nie zobaczą. Nie mogła przecie pacnąć daleko od drogi!

- Może wcale nie wchodziła na dach? - podsunęła Molly.

- Wchodziła, psze pani, wchodziła! Jej matka boży się, że dziewczucha włąła. Powiada, że było toto głupie jak but, więc pewnie się nawet nie trzymała!

Wolf dostrzegł, że oczy Early napełniają się łzami.



Nie miał już wątpliwości, kim była ta dziewczyna.

- A ty skąd jesteś, synu? - zmienił pośpiesznie temat.

- Z San Antonio, ale moje krewniaki żyją w Abilene. Jadę do nich na jakiś miesiąc. Nazywają się Haynesowie, Perry i Charlsa Haynesowie. Może ich znacie?

Strażnik potrząsnął głową. Nowo przybyłym ciągle się zdawało, że Teksas to niewielka dziura, gdzie wszyscy się nawzajem znają.

- Rzadko bywam w tamtych stronach. - Nie zamierzał zdradzać chłopcu, kim jest, bo do końca drogi zasypywałby go pytaniami. - Chciałbym się teraz zdrzemnąć, jeśli pozwolisz. Musisz sam wypatrywać tej dziewczyny, co spadła z dachu, synu.

Chłopak był wyraźnie rozczarowany.

Wolf zsunął kapelusz niżej na obandażowane czoło i skrzyżował ramiona na piersi. Miał szczery zamiar zasnąć, ale dyliżans podrygiwał i co chwila zderzali się z Molly. Wolf był boleśnie świadomy tych zbliżeń.

Molly zdawała się tego nie dostrzegać. Pisała coś z zapalem w swoim dzienniku.

Dyliżans kołysał się to w tył, to do przodu. Kolano Molly dotykało kolana Wolfa. Trącała go łokciem podczas pisania. Przez kilka minut udawał, że tego nie dostrzega, potem zmienił pozycję tak, by miała więcej miejsca. Ale teraz jego noga przylegała do nogi Molly.

Podziękowała mu za to, że ułatwił jej pisanie; widać jej nie przeszkadzało, że ich nogi się stykają.

Wolf spod powiek obserwował żonę. Była tego ranka taka piękna, że wprost zapierało mu dech. Nie mógł pojąć, że nikt tego nie dostrzega, tylko on. Doszedł do wniosku, że cały świat jest ślepy.

Molly pisała jak najęta ołówkiem nie dłuższym od jej palca. Marszczyła czoło, przygryzała koniuszek jej-

zyka... Wyraźnie zmagąta się na papierze z jakimś trudnym problemem. Wolf miał nadzieję, że tym razem nie chodzi o niego.

Zasnął wreszcie i reszta drogi zbiegła piorunem. Odnosił wrażenie, że upłynęło najwyżej kilka minut, a już byli w Austin!

Na stacji dylizansów czekał na nich Charlie Filmore z wozem Noaha.

- Skąd wiedziałeś, że przyjedziemy? - spytał Wolf Charliego, podając równocześnie ramię wysiadającej Molly. Kiedy już zeszła, nie puścił jej ręki. Ku jego zdumieniu, żona nie zaprotestowała.

- Nie wiedziałem, że przyjeciecie właśnie tym - odpowiedział Charlie, zbierając bagaże pań. - Wyjeżdżałem na każdy dylizans. Pomyślałem sobie, że wrócicie właśnie tak, jeśli jeszcze dychasz, kapitanie. Pani Molly z pewnością nie pozwoliłaby ci wsiąść z tą raną na konia... a wiem, że na wozie dałbyś się przywieźć chyba tylko w trumnie!

- Lepiej go znasz niż ja, Charlie! - powiedziała Molly i popchnęła ku niemu swą nieśmiałą towarzyszkę. - A teraz, panie Filmore, chyba pozwolisz, że cię przedstawię pannie Early? Przybyła do nas z wizytą i zostanie jak długo zechce.

Early była wyraźnie zaskoczona tym zaproszeniem, a Charlie oniemiał na widok młodej damy. Bardzo rzadko stykał się z jakąś przyzwoitą panną.

Gdy zerknęła ku niemu, popełnił błąd: uśmiechnął się do niej. Panna Early skryła się w popłochu za plecami Wolfa.

Charlie zwiesił głowę i cofnął się.

- Bardzo przepraszam! Nie chciałem pani przestraszyć. Wiem, że wyglądam jak zmora. Tutejsi ludzie już wiedzą, że lepiej mi się nie przyglądać.

- Jak to się stało? - szepnęła dziewczyna zza pleców Wolfa.

- Trzy kule, i to każda oddzielnie! Za każdym razem doktorzy mnie zszywali jak potrafili. Ale żaden specjalnie się nie starał, bo byli pewni, że zaraz będzie po mnie. Nawet wszyscy trzej wypisali mi świadectwa zgonu. - Charlie roześmiał się. - Ale im zrobiłem kawał! Jakoś wyżyłem, choć z twarzy niewiele mi zostało.

Nieśmiała kobietka zachowała się bardzo dzielnie: wysunęła się zza pleców Wolfa i wyciągnęła do Charliego rękę.

Wolf nigdy jeszcze nie widział nikogo, a zwłaszcza kobiety, która przywitałaby się w ten sposób z Charliem. Doszedł do wniosku, że Molly nie pomyliła się co do tej dziewczyny. Early może u nich zostać choćby na zawsze!

Charlie Filmore ujął dłoń Early z takim szacunkiem, jakby się witał z królową angielską. Potem pomógł wejść Early i Callie Ann na wóz, podczas gdy Wolf podsadził Molly jednym płynnym ruchem. Następnie wszedł sam i usiadł obok niej; niby od niechcenia położył ramię na oparciu ławki w ten sposób, że przyciągnął żonę do siebie.

I znów Molly nie zaprotestowała.

- Jedziemy do Babki Papki? - spytał Wolf, gdy Charlie ujął cugle. - Z pewnością znajdzie się u niej miejsce dla nas. Już się cieszę na ten jej kłajster!

- Charlie? - spytała z wahaniem Molly.

Charlie uśmiechnął się z dumą.

- Nie ma mowy! Jedziemy prosto do domu, kapitanie! - Trzepnął lejcami. - Jużem tam zawiózł dziś rano twoje manatki. - Zerknął na Wolfa. - Niewiele tego było: parę książek i blaszane pudełko.

Przejeżdżali przez miasto bocznymi ulicami. Cienie rozciągały się od domu do domu; zapadał wczesny zmierzch. Wolf miał już spytać, dokąd właściwie jada, ale uznał, że lepiej zaczeka i sam zobaczy. Jeśli Molly znalazła dla nich nową siedzibę, to z pewnością będzie wspaniała. Zresztą, ileż on tam będzie mieszkał? Kilka dni w miesiącu, nie więcej. Poza tym każde miejsce było dobre, jeśli mógł być razem z Molly.

Stanęli pod jednopiętrowym domem w kształcie sześcianu. Miał białe ściany, a drzwi i ramy okienne pomalowane na niebiesko. Charlie zeskoczył z wozu; był taki podniecony, że omal nie puścił się w tany.

- Właściciel powiedział, że spotka się z wami w banku pierwszego ranka po waszym powrocie. Możecie wynająć albo kupić ten dom, jak wam wygodniej. On się wybiera na wschód i nie chce ze sobą ciągnąć żadnych bambetli. Dom jest umeblowany i w ogóle. - Charlie przełknął z trudem ślinę i zwiesił głowę. - Są nawet ciotki.

- Szczotki? Włosiane czy zwykłe miotły? - spytał żartobliwie Wolf, pomagając paniom zejść z wozu.

- Żadne szczotki! - Charlie spojrzał na Molly z miłą winowajcy. - Podobno to siostry pani tatusia. Tak mi przynajmniej powiedziały. - Nieco się rozpogodził. - Ale może pani nie ma żadnych ciotek? Z przyjemnością wyrzucę te herod-baby na zbity łeb!

Molly potrząsnęła głową.

- Jak herod-baby, to chyba naprawdę moje ciotki.

- Na górze są cztery sypialnie. - Charlie ciągnął Molly po ścieżce. - Powiedziałem tym babom, że duża sypialnia z kominkiem jest pani i Wolfa, a ta obok dla Callie Ann. Zasypywały mnie pytaniami i o ten pożar, i o wasze małżeństwo. Nie byłem pod takim ostrzałem od czasu wojny. Ale i tak nic ze mnie nie wyciągnęły.

Molly dotarła do frontowej werandy, biegnącej przez całą szerokość domu. Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, gdy Callie zapiszczała z radości i rzuciła się pędem do zawieszanej na sznurach ławeczki.

- Ciotki ulokowały się w pozostałych dwóch sypialniach, każda osobno... i gdzie ja teraz zaniosę rzeczy panny Early? - spytał Charlie. Był wyraźnie speszony tym, że wyszukał Molly zbyt mały dom.

- Mogłabym zamieszkać razem z Callie Ann - podsunęła Early. - ...jeśli znajdzie się dla mnie miejsce. Ale rozumiem, że w tej sytuacji...

- Muszę mieć koniecznie przy sobie jakąś życzliwą duszę! Zostaniesz ze mną, Early? - spytała Molly. - Nie będziesz musiała spieszyć się ze znalezieniem pracy i nie weźmiesz się z musu do byle czego!

Wolf domyślił się bez trudu, że panna Early nie miałaby się gdzie podziać; mógł się też założyć, że ma bardzo mało pieniędzy.

Early wyprostowała się z dumą; pochlebiło jej, że ktoś ją prosi, a nie dyktuje, co powinna robić.

- Z przyjemnością tu zostanę i pomogę.

Charlie otworzył szeroko niebieskie drzwi.

- Widziałem, jak ciotki maszerowały do miasta, zanim przyjechał dyliżans. Będziecie mieli czas rozłokować się do ich powrotu. Rozkład domu jest prościutki: cztery izby na dole, cztery na górze.

- Zajrzę do kuchni - szepnęła Early - i zajmę się lunchem, kiedy wy będziecie wszystko oglądać... oczywiście jeżeli są jakieś zapasy. Jeśli mam tu mieszkać, to musi być ze mnie jakiś pożytek!

- O, w spiżarni półki się uginają! Poprzedni właściciel zadbał o wszystko, bo zamierzał się żenić.

- Czyżby jego narzeczona zmarła? - Molly zawaha-

ła się na progu. Już od drzwi widziała wyraźnie obrazy na ścianach, dywany, nawet firanki w oknach.

- Gdzie tam! Nie przysłała na własny ślub, i tyle! Przysłała tylko biedakowi liścik przez pastora.

Molly udała się z Callie Ann na górę, podczas gdy Charlie opowiadał Wolfowi historię niedoszłego ślubu ze wszystkimi szczegółami.

Otworzyły pierwsze drzwi. W sypialni stały dwa łóżka, na jednym z nich siedziała lalka.

- Coś mi się zdaje, że to twój pokój - powiedziała Molly i Callie wbiegła do środka.

Molly podeszła do następnych drzwi i otworzyła je. Ujrzała wielki pokój z kominkiem w obramowaniu z kolorowych kafelków. Sypialnia była przestronna i sympatyczna; umeblowano ją z takim staraniem, że wyglądała jak ilustracja z jakiegoś katalogu. Molly postawiła na podłodze torbę ze swoimi rzeczami i klasnęła w ręce z radości. To było cudowne! Po prostu cudowne!

Charlie znalazł dom wprost dla niej stworzony! Poczuli, że jest u siebie, gdy tylko przekroczyła próg i zobaczyła cztery pomieszczenia na dole. Były to salonik, kuchnia, jadalnia i niewielki gabinet. A na górze znajdzie się osobna sypialnia i dla Early, i dla Wolfa, jak tylko ciotki się wyniosą.

- Coś mi się zdaje, że się tu zakwateruję. - Wolf wszedł w ślad za Molly do sypialni. Miał ze sobą swój śpiwór i blaszane pudełko, które Charlie przeniósł z domu Babki Papki. - Możemy spać na zmianę!

Molly odwróciła się raptownie, gotowa do sprzeczki, i nagle uświadomiła sobie, że propozycja Wolfa wcale nie była przejawem bezczelności. Nie mieli żadnej wolnej sypialni. Gdyby przeniósł się do Babki Papki, po godzinie wiedziałoby o tym całe miasto. Gdyby

koczował w saloniku lub w jadalni, ciotki z pewnością by to wyniuchały. A poza tym, w myśl ich umowy małżeńskiej, miał prawo tu mieszkać!

- Zgodziłbyś się na mieszkanie do spółki? - spytała.

Wolf złożył bez pośpiechu śpiwór na podłodze i postawił pudełko na komodzie.

Molly zaczęła się pospiesznie usprawiedliwiać.

- Zawiadomiłam ciotki, że wyszłam za męża, nie bawiąc się w szczegóły. Sądziłam, że jeśli się w ogóle zjawia, ciebie akurat nie będzie. Jak je poznasz, zrozumiesz, czemu na to liczyłam! Ale stało się: one są tutaj i ty także. Nie możesz przenieść się do pensjonatu. A one już się tu rozgościły, więc nie bardzo mogę im powiedzieć, żeby sobie poszukały jakiegoś hotelu.

- W porządku. - Wolf pogładził lekko żonę po ramieniu. - Jakoś sobie poradzimy!

Molly przełknęła z trudem ślinę i jak zwykle podjęła natychmiastową decyzję.

- Nie, to wcale nie jest w porządku! - Na ten właśnie temat rozmyślała przez cały ranek; o tym pisała w swoim dzienniku. Najwyższy czas rozstrzygnąć o własnym losie, nim się zestarzeje i zgłupieje do reszty!

Wolf zmarszczył brwi.

- Chcesz, żebym się stąd wyniósł?

- Nie. - Podniosła rękę i położyła mu ją na sercu. Wolf gotów był zrobić wszystko, czego tylko chciała. Sęk w tym, że sama nie wiedziała, czego chce.

- Powiedz mi wyraźnie, Molly, czego sobie życzysz. Możemy przegrodzić sypialnię przepierzeniem, jeśli ci to odpowiada.

Molly wzięła głęboki oddech i spróbowała wypowiedzieć na głos to, co odnotowała w swoim dzienniku.

- Spanie na zmianę jest niewykonalne. A przepie-

rzenie na nic się nie zda. - Myśl, która prześladowała ją od kilku dni, nabrała teraz ostatecznego kształtu. - Chcę cię prosić, żebyś nie tylko był moim mężem... przecież nim już jesteś!... ale moim *prawdziwym* mężem... przynajmniej do chwili, gdy ciotki się wyniosą. Niech to naprawdę będzie nasz *wspólny* pokój!

Molly przymknęła oczy. No, jakoś to powiedziała! Starczyło jej odwagi!

Wolf nie lubił żadnego udawania. Zbyt długo bawił się w podchody podczas wojny. Gdy się skończyła, obiecał sobie, że od tej pory będzie szedł prostą drogą.

- Wątpię, czy wytrzymam przez całą noc w jednym pokoju z tobą, nie dotykając cię. Jestem twoim przyjacielem, ale i mężczyzną. Molly, żadasz ode mnie niemożliwości.

- Więc mnie dotykaj, Wolfie! Dotykasz mnie od rana i ani razu nie zaprotestowałam. Twoje dotknięcie nie jest dla mnie przykre... nigdy takie nie było. Patrz na mnie otwarcie tak, jak patrzyłeś dotąd ukradkiem. Chyba już pora na wspólną sypialnię... i łóżko.

No i znów ta kobieta łamie zasady gry! Dlaczego ich wzajemne stosunki przypominają jakieś zwariowane sportowe rozgrywki?! Ledwie oswoił się z obowiązującymi regułami, Molly je zmieniała!

Patrzyła na niego tak, jakby uważała, że problem wynika z jego braku zrozumienia, a nie z tego, że ona zmienia decyzję.

- Chcę, żebyś był moim mężem... przynajmniej do wyjazdu ciotek.

- Molly, nie możesz bawić się w małżeństwo! Nie możesz go krajać na kawałki jak placka! Zdecyduj się wreszcie, czego chcesz!

- Chyba... chcę mieć męża.



Dostrzegł w jej oczach niepewność. I coś jeszcze: pragnienie. Molly zapuszczała się na głębokie wody!

- Jesteś tego pewna? - Starał się nie okazywać po sobie własnych uczuć.

- Nie. Ale jestem zadowolona, że się pobraliśmy - odparła Molly. - Cieszę się, że jestem twoją żoną. Nie chcę być sama. I nie mam ochoty dłużej udawać. Chcę, żebyś został ze mną w tym pokoju... jako mój mąż.

- Sam nie wiem... - mruknął. Po wydarzeniach ostatniej nocy spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego! A jednak Molly znów schwytała jego serce w pułapkę! - Pewnie gorzko pożałuję tego, co teraz powiem, i zapiję się na śmierć... ale nie chcę bawić się z tobą w małżeństwo, Molly. Może jakoś bym to wytrzymał, gdybyśmy mieli osobne pokoje... ale nie tak, jedno obok drugiego! Ubiegłej nocy też nie chciałem nic złego... a co z tego wyszło? Teraz nie skończyłoby się na dotykaniu!

Molly z trudem przełknęła ślinę; walczyła z łzami. Odtrącił ją! Przez resztę życia będzie miała już tylko kochanka ze snów. Jej mąż na niby nie chce się z nią dłużej bawić w małżeństwo na niby!

Odwróciła się do okna, uniosła dumnie głowę i po-wstrzymała łzy.

- Myślałam, że mnie chcesz... - szepnęła świadoma, że prowadzi w tej chwili nieczystą grę. Wolf zaofiario-wał jej przyjaźń, nic więcej. Odwoływanie się do jego męskiej natury nie było uczciwe... A jednak Wolf od-mówił! Nawet jego pożądanie nie okazało się dość silne, by zatrzymać go przy niej. W całym jej życiu żaden mężczyzna nie kochał jej dość mocno, nie traktował dość poważnie, by z nią pozostać.

Wolf podszedł do Molly od tyłu. Znalazł się tak bli-sko, że czuła przez ubranie ciepło jego ciała.

- Czy naprawdę proponujesz mi to, co mi się wydaje?

- Naprawdę - odparła, nie odwracając się. Miała w ręku tylko jedną kartę, musiała na nią postawić! - Jeśli nasze małżeństwo ma trwać, niechże to będzie prawdziwe małżeństwo. Już nie ucieknę, słowo daję!

Przed miesiącem Wolf mógłby przysiąc, że dzień, w którym Molly będzie go prosić - niemal błagać! - o to, by został naprawdę jej mężem, stanie się najszczęśliwszym dniem jego życia. Rzeczywistość jednak okazała się inna. Pragnął, by Molly przyszła do niego z własnej woli, nie z musu.

Łagodnie oparł dłonie na jej ramionach.

Trwała tak nieruchomo, że wydawała się niemal posągami z kamienia. Czuł się jak oprawca, który zaraz wymierzy karę. Jeśli odpowie „nie”, złamie Molly serce. Jeśli odpowie „tak”, jego własne będzie o krok od zguby.

- Jesteś tego pewna, Molly? - Przyciągnął ją do swej potężnej piersi. Bez względu na to, co Molly odpowie, chciał czuć ją przy sobie, gdy padnie cios.

- Tak - szepnęła. - Pragnę żyć w prawdziwym świecie, z prawdziwym mężem, w prawdziwym małżeństwie.

Molly nie miała pojęcia, jak dobrze rozumiał jej słowa. Mówiła mu właśnie, że wyrzeknie się swoich marzeń; ustatkuje się przy nim, zdecyduje na zwykłe życie. Jego żona zadawała mu w tej chwili podwójny cios: żegnała się raz na zawsze z Benjaminem i ich idealną miłością i wyrażała zgodę na małżeństwo bez miłości z Wolfem.

Miał ochotę wrzeszczeć na nią i jednocześnie tulić ją do siebie. Czemu nie mogła zrozumieć, że to on jest kochankiem, którego tak pragnęła, i przyjacielem, którego tak potrzebowała? Wybrała Wolfa, wyrzekła się dla niego Benjamin... ale nie z miłości. Z lęku przed samotnością.

Rozum i serce Wolfa zmagaly się ze sobą. Nie mógł się od Molly oderwać, ale czuł, że ona chce go zatrzymać nie z takich powodów, jakich on by pragnął. W głębi duszy wiedział, że nawet jeśli się teraz rozstana, jego serce pozostanie przy niej na zawsze. A gdyby je od niej oddał, coś by w nim umarło...

- Będę twoim mężem - wyszeptał jej do ucha. - Twoim prawdziwym mężem.

Molly odwróciła w jego objęciach i zarzuciła mu ramię na szyję jak tonący, któremu dano ostatnią szansę ratunku.

- Dziękuję... - szepnęła.

Przytulił policzek do jej twarzy i poczuł wilgoć łez. Nie był pewien, które z nich płakało.

## 20

- Cóż za rozczulający widok! Nieprawdaż, Henrietto?

Na dźwięk ciotecznego głosu Molly odskoczyła od Wolfa. Otarła łzę z policzka i spojrzała na dwie kobiety, które po sześćdziesięciu latach wspólnego życia były podobne do siebie... jak solniczka do pieprzniczki! Obie niskie, pękate i niemal identyczne z wyjątkiem tego, że Alvina miała włosy białe jak śnieg, Henrietta zaś szaro-bure.

Jak zawsze, ciotka Alvina pierwsza ruszyła ku niej z wyciągniętymi ramionami. Uściskała ją jednak nie tyle serdecznie, co spiesznie, i zamiast ucałować Molly w policzek, cmoknęła powietrze. Cały świat Alwiny obracał się wokół niej samej; nieustannie podkreślała własne zalety i wytykała cudze wady.

- Strasznie jesteś chuda, moje dziecko. Z pewnością nie odżywasz się jak należy!

- Ja też się cieszę, że cię widzę, ciociu Alvino. - Molly miała ochotę parsknąć śmiechem. Zdumiewające, że nieustanne krytyczne uwagi ciotek nie zdołały kompletnie jej zgnębić!

- Spodziewam się, moje dziecko: zadałyśmy sobie niemało trudu, by dotrzeć tutaj! - Alvina z roztargnieniem przyglądała Molly włosy.

Kolejną wadą ciotek, o której Molly niemal zapomniała, było to, że w dalszym ciągu uważały ją za dziecko. Dla Alwiny Donivan Molly pozostała na zawsze nieszczęsnym, osieroconym, bezradnym dzieckiem ich brata.

- Podróż okazała się nie taka straszna - odezwała się od drzwi ciotka Henrietta. - Nazwałabym ją nawet znośną, gdyby nie całkowity brak kompetentnych pomocników! Otaczał nas tłum durniów, od konduktora po bagażowego.

Molly nawet nie próbowała uścisnąć Henrietty. Nikt jej nie objął ani nie przytulił od czterdziestu lat, czy coś koło tego. Ciotka była niegdyś zakochana, ale jej wybraniec, farmer nazwiskiem Herbert Aldmen, nie został zaakceptowany ani przez ojca, ani przez brata Henrietty. Od tamtej pory nie trafił się jej nikt stosowniejszy.

Henrietta splótła ręce pod biustem jak członkini chóru szykująca się do solowego występu.

- Kimże jest ów olbrzym, którego obejmowałeś, moja droga? Mam nadzieję, że to twój mąż!

Molly wyobrażała sobie kazanie, jakie wypaliłyby jej ciotki, gdyby to nie był mąż. Pospiesznie odezwała się:

- Ciociu Henrietto, ciociu Alvino... pozwólcie, że wam przedstawię mojego męża, kapitana Wolfa Haywarda.

Wolf podszedł do ciotek i grzecznie uściśnął rękę Alviny.

- Jestem zachwycony... - Nie zdążył powiedzieć nic więcej; przerwała mu ciotka Henrietta.

- Stopień kapitana otrzymał pan zapewne na wojnie? - Henrietta trzymała się w bezpiecznej odległości od wszystkich mężczyzn. O uściśnięciu ręki nie było nawet mowy.

- Jestem kapitanem strażników Teksasu - wyjaśnił Wolf, nie okazując żadnego lęku przed ciotkami. - To konna formacja policji; patrolujemy granice i strzeżemy bezpieczeństwa osadników. Gdy armia Unii wycofała się stąd w sześćdziesiątym pierwszym, strażnicy Teksasu pozostali jedynymi przedstawicielami prawa w naszym stanie.

- Ogromnie zajmujące. - Już po sposobie, w jaki Alvina wycodziła te słowa, można się było zorientować, że kłamie.

Wolf wziął Molly za rękę.

- Witajcie w naszym domu, łaskawe panie. Mamy nadzieję, że pobyt w tych stronach okaże się dla was przyjemny.

Henrietta burknęła coś na temat upałów; Alvina zaczęła się skarżyć, że pokoje są zbyt małe.

Wolf ścisnął mocniej dłoń Molly. Starał się jak mógł, ale nie miał pojęcia, co dalej.

Molly odwzajemniła uścisk i pospieszyła mężowi z pomocą.

- Może zejdziemy na dół, drogie cioteczki? Chciałabym dowiedzieć się wszystkiego o waszej podróży.

Obie pospieszyły do drzwi, ale Henrietta zatrzymała się na progu.

- Czy pan zawsze ubiera się... w ten sposób, kapitanie?

- Obawiam się, że tak - odparł Wolf bez cienia skruchy w głosie.

Molly trąciła męża w zebra i roześmiała się. W jego obecności ciotki, które od lat doprowadzały ją do szalu, wydawały się jej po prostu śmieszne!

Wolf dobrze wiedział, że lepiej zejść im z oczu. Gdy tylko znaleźli się na parterze, oznajmił, że musi na kilka godzin udać się na służbę. Niech lepiej nie czekają na niego z kolacją. Nim Molly zdążyła zaprotestować, na oczach obu ciotek chwycił ją w ramiona.

- Do widzenia, kochanie! Wrócę najszybciej jak będę mógł! - Ucałował ją w usta. Poczwała, jak jego wargi wyginają się w uśmiechu, gdy obu ciotkom zapało dech.

Mimo wizyty ciotek Molly postanowiła niezwłocznie objąć dom w posiadanie. Poleciała Charliemu, by sprowadził właściciela nieruchomości, i podpisała wszystkie niezbędne dokumenty jeszcze przed powrotem Wolfa. Poprzedni właściciel był zaskoczony jego nieobecnością, ale Molly wyjaśniła, że mąż jest zajęty. Żywa gotówka przekonała sprzedającego, że wszystko jest w porządku; wstrzymał się od dalszych pytań.

Ciotki tolerowały łaskawie obecność Callie Ann, nie bardzo rozumiejąc, czemu to dziecko mieszka u Molly. Early traktowały ją jak służącą, o co nie miała specjalnej pretensji. Czułaby się znacznie gorzej, gdyby zechciały z nią konwersować. Podczas pierwszego spotkania Charlie tak przeraził Alvinę, że nie rozstała się odtąd z solami trzeźwiącymi w ciągłej obawie, że się na niego natknie. Henrietta zaś spoglądała nań takim wzrokiem, jakby się bała, że Charlie zaraz wpadnie w zbrodniczy szal i wszystkich wymorduje.

Choć ojciec Molly był lekarzem i wojskowym, jego siostry nie wiedziały nic ani o szpitalach, ani o wojnie.

To, że Molly towarzyszyła ojcu w podróżach, uważały za przejaw głupoty bratanicy. Z początku wypowiadały uwagi w rodzaju: „Biedactwo, uważa to za swój obowiązek!”. Potem, gdy szkodliwa mania trwała nadal, potrzasały tylko głowami, traktując Molly jak alkoholicką zbyt uzależnioną od nałogu, by się z niego wyrwać.

Charlie nie wziął sobie do serca niechęci ciotek, ale zatrzymywał się odtąd na ganku, nie wchodząc do wnętrza domu. Kiedy Molly zaprosiła go na kolację, Alvina padła na kanapę bez zmysłów. Charlie grzecznie podziękował Molly i spytał, czy mógłby zjeść kolację na ganku.

W chwilę później Molly omal sama nie zażyła soli trzeźwiących, gdy Early oznajmiła, że zje razem z nim.

Wolf wrócił do domu późno, a kiedy się zjawił, Molly poznała po jego oczach, jak bardzo go boli głowa. Był silnym mężczyzną, ale dzięki temu, że wdziała go osłabionego i w gorączce, stał się jej bliższy. Przynajmniej wówczas, przez kilka godzin, potrzebował jej naprawdę.

Postawiła na stole jedzenie, które trzymała dla męża w piecyku.

Do kuchni wtargnęła nagle Henrietta.

- A, to pan, kapitanie! Zdawało mi się właśnie, że ktoś wchodzi. Czy pan zawsze wraca do domu o takiej porze?!

- Nie - odparł uprzejmie Wolf. - Czasem wcale nie wracam na noc.

Ciotka spojrzała na Molly.

- I ty tolerujesz coś takiego?!

- No cóż... - uśmiechnęła się Molly. - Nie mam innej rady. Widzisz, ciociu, on jest tego wart.

Henrietta zirytowała się.

- Ja nigdy bym tego nie zniosła! Cóż za brak sza-

cunku! - Z tymi słowy majestatycznie opuściła kuchnię, nie *życząc* im nawet dobrej nocy.

- Skłóciłaby nas na amen w ciągu tygodnia! - stwierdził Wolf.

- Wcześniej! - odparła Molly.

Alvina zajrzała do kuchni od niechcienia, jakby szło się tędy do jej sypialni. Zaczęła uskarżać się na rozmaite niewygody. Gdy zauważyła, że nikt jej nie słucha, także udała się na górę.

- A gdzie nasza smutnooka dziewczyna? - spytał Wolf, który wolał się upewnić co do każdego gościa. Miał nadzieję, że wreszcie znajdą się z Molly sam na sam.

- Siedzi na tylnym ganku z Charliem. Poprosiłam, żeby zaniósł mu koc, kiedy położy już Callie Ann do łóżka. Gdy zajrzałam potem do nich, siedzieli i rozmawiali po ciemku. - Molly otarła się lekko o ramię męża, nalewając mu mleka.

- To najlepszy sposób na rozmowę z Charliem. - Wolf podziękował żonie za jej starania, głaszcząc ją leciutko po ręce. - A ciotki jeszcze do niego nie przywykły?

- Nie. Henrietta wspomniała mi, że nie zabawią długo w Teksasie z pierwszą wizytą. Podejrzewam, że miało to jakiś związek z tym biedaczną.

Wolf spojrzął na żonę z nadzieją.

- Niedługo? Wyjadą jutro czy pojutrze?

Molly wzruszyła ramionami.

- Tylko raz byłam świadkiem, jak przyjechały „nie na długo”.

- Ile czasu wtedy siedziały?

- Zjawiły się u mego ojca w czterdziestym trzecim... a ponieważ dotąd się właściwie nie wyniosły, nie umiem ci dokładnie odpowiedzieć.

Molly roześmiała się, ale Wolfa jakoś to nie uba-



wiło. Był chyba nawet zbyt zmęczony, żeby jeść.

- Zaraz wracam! - powiedziała Molly i pobiegła na górę. Nawet się nie obejrzała; wiedziała i tak, że Wolf ciągle się w nią wpatruje.

Po kilku minutach zjawiła się w szlafroku, z bawełnianym bandażem w ręce. Wołała przebrać się wcześniej, póki w sypialni nie było jeszcze Wolfa. Choć, prawdę mówiąc, jakie to miało znaczenie? Przecież poprzedniej nocy widział już wszystko.

Ręce zaczęły jej się trząść na myśl, że lada chwila udadzą się do sypialni we dwoje. Mnąc w palcach bandaż, podeszła do męża.

- Chciałabym ci zmienić opatrunek.

Wolf popatrzył na nią tak, jakby sądził, że Molly zamierza go udusić; nie poruszył się jednak.

Molly poczekała, aż wypije do reszty mleko, i kuchennymi nożycami przecięła stary opatrunek.

Zmywając z zaszytej rany zaschniętą krew, słyszała przyspieszony oddech Wolfa; zrozumiała, że jest to reakcja na jej bliskość. Stała nad nim, ich ciała niemal się stykały, niemal obejmowały...

- Cudownie pachniesz - powiedział Wolf, starając się siedzieć bez ruchu, gdy opatrywała ranę. - Jak samo szczęście...

- Ładnie się goi. - Molly zanurzyła palce w jego włosach i odgarnęła je do tyłu; nie wiedziała, co odpowiedzieć. - Czy rana jeszcze cię boli?

- Trochę - odparł. - Ale w tej chwili wcale o tym nie myślę. - Przesunął ręką po plecach Molly od pasa w górę.

- Mogłabym wpaść do doktora Washburna i przyrządzić ci jakiś lek przeciwbólowy...

- Samo przejdzie - mruknął Wolf, a potem zamknął oczy i z uśmiechem poddawał się dotykowi jej palców,

nadał przeczesujących jego włosy. - Kazali mi zostać w mieście i odpocząć przez kilka dni.

- Tak będzie najlepiej, kochany. - Molly użyła tego pieśzcotliwego słowa z poczucia obowiązku. Wolf był jej mężem, więc jeśli chce zostać naprawdę jego żoną, powinna zachowywać się odpowiednio.

- Czemu to robisz? - spytał, nie otwierając oczu.

- Co?

- Gładzisz mnie po włosach.

Molly wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. To takie przyjemne.

Nagle Wolf przyciągnął ją do siebie i przytulił twarz do jej szlafroka.

- Jesteś taka cudowna, taka dobra dla mnie, Molly! Zgodnie z postanowieniem nie wyrwała mu się.

- Mam ci tyle do powiedzenia... - Posadził ją sobie na kolanach. - Tak bardzo chciałbym ci to wszystko powiedzieć, ale brak mi słów.

Molly próbowała się odprężyć.

- Więc mi powiedz... całkiem po prostu. Potrafię słuchać. Przytulił się do niej.

- Czuję się taki szczęśliwy, gdy jesteś blisko... Ubóstwiam cię dotykać i obejmować tak jak teraz... - Na chwilę pograżył się w zadumie. - Po tych wszystkich latach wojny i ciągłych walk pragnę spokoju... i odnajduję go, kiedy jesteś przy mnie.

Jego słowa były dla Molly niczym cenny dar. Wiedziała, że Wolf nie jest wymowny... ale całkiem nieźle sobie radził! Ona jednak nie mogła odpłacić mu rym samym. Lubiła przebierać palcami w jego włosach... Przyzwyczała się już do jego zwalistej postaci... Broda Wolfa była teraz o wiele krótsza niż wówczas, gdy się spotkali... i okazała się zdumiewająco miękka! A poza *ty*

Molly czuła się taka bezpieczna w jego ramionach...

Ale cóż więcej mogłaby mu powiedzieć? Przecież go nie kochała. Była pewna, że nigdy już nikogo nie pokocha. Był taki dobry, taki opiekuńczy... Sprawiałaby mu tylko przykrość, wyznając prawdę. Chciała przecież zostać jego żoną w pełnym znaczeniu tego słowa po to, by nie skończyć jak jej ciotki, zasuszone stare panny, żyjące wspomnieniami. Wolf był wiernym przyjacielem. Z pewnością będzie dobrym mężem. Ale wybrańcem jej serca? Nigdy!

Wolf wstał bez słowa i wziął ją na ręce. Wniósł Molly po schodach i do sypialni najciszej jak mógł.

Pościel była odwinęta z jednej strony, lampka na nocnym stoliku płonęła jasno. Wolf położył żonę na łóżku i delikatnie dotknął jej warg, jakby bezgłośnie prosił, by nic nie mówiła.

Zamknął drzwi i rozebrał się do pasa. Czuł na sobie spojrzenie żony, gdy mył się nad umywalką w pobliżu okna. Przybory toaletowe Molly leżały z jednej strony, jego rzeczy ułożyła z przeciwnej, włącznie z brzytwą i paskiem do ostrzenia, z których nigdy nie korzystał.

Gdyby miał koszulę nocną, włożyłby ją teraz, na tę pierwszą noc. Zdjął buty i pas z bronią, ale został w spodniach. Nie wiedział, czy Molly chciałaby go oglądać w całej okazałości.

Zanim do końca przykręcił lampę, ujrzał oczy Molly: błyszczące i przestraszone.

- Naprawdę tego chcesz, Molly? - Nie mógł jej tknąć, póki nie miał pewności, że tego pragnie. - Nie powinien się do tego zmuszać po to, żebym został. Dotrzymam dawnej umowy. Ciotki o niczym się nie dowiedzą.

- Nie robię tego ze względu na ciotki czy kogokolwiek innego! Chcę, żebyś mnie uczynił swoją żoną.

Wolf omal nie zawołał: „Ale dlaczego?!” Bał się jednak, że nie zniósłby odpowiedzi. Usiadł obok Molly i pociągnął za pasek jej szlafroka; rozchylił się, ukazując skromną białą koszulę. Molly leżała nieruchomo, nie słysząc nawet jej oddechu.

- Nie bój się, Molly. - Rozrzucił poły jej szlafroka na boki.

- Wcale się nie boję - skłamała.

- Nigdy bym ci nie wyrządził krzywdy.

- Wiem. - Z kącika oka spłynęła łza i wsiąkła we włosy Molly.

Przesunął dłonią po jej policzku.

- Pozwolisz się pocałować?

- A ogolisz się?

- Nie. - Wolf roześmiał się i dotknął ustami jej ust w leciutkim pocałunku. - Ale będę uważał, żeby cię nie podrapać!

Molly odsunęła się o cal.

- Twoja broda tak łaskocze!

Łagodnie przyciągnął ją z powrotem.

- Przyzwyczajasz się, kochanie. - Tym razem, gdy ją całował, nie odwróciła głowy.

Molly była pewna, że pocałunek nie zrobi na niej żadnego wrażenia, że będzie to z jej strony tylko bierne poddanie. Poczuła jednak, jak po całym jej ciele rozchodzi się gorąco. Wargi Wolfa były delikatne, czułe, wcale nie tak natarczywe jak wówczas, gdy uniósł ją na siodło, by się z nią pożegnać.

Całował Molly przez długą chwilę, oswajał ją ze swoją bliskością. Molly wczepiła się kurczowo rękami w kołdrę, zbierając siły do zniesienia tego, co się zaraz zdarzy. Nic się jednak nie zdarzyło. Nic prócz tego pocałunku.

Wolf odsunął się od niej.

- Dobranoc, Molly - powiedział, odwracając się do żony plecami.

- Nie... nie chcesz niczego więcej? - Była tak wstrząśnięta, jakby uderzył ją w twarz. - Myślałam, że mnie pragniesz.

Wolf obrócił się na plecy i leżał obok niej w milczeniu tak długo, że już myślała, iż nie doczeka się odpowiedzi. W końcu odezwał się.

- Pragnę cię, ale to nie ma sensu, bo ty mnie nie chcesz.

- Ależ chcę! - Molly starała się, by zabrzmiało to przekonująco.

- Nie, nie chcesz! - bez pardonu odrzucił jej kłamstwo. - Chcesz tylko być mężatką. Może przez ciekawość, żeby się przekonać, co cię dotąd ominęło. Może z obawy, że zostaniesz do śmierci starą panną. Nie wiem, dlaczego to robisz, ale wiem na pewno, że mnie nie chcesz.

- Właśnie, że chcę! - Molly zabolęło oskarżenie Wolfa, że zamierza wykorzystać go do swych egoistycznych celów... A jednak jego słowa były odbiciem jej myśli, zapisywanych w dzienniku.

- Na moim miejscu mógłby się znaleźć każdy inny mężczyzna. - Wolf mówił cicho, w jego słowach pobrzmiewały gniew i uraza. - Równie dobrze mogłabyś zejść na ganek do Charliego Filmore'a. Też byłby w sam raz!

- Nieprawda! Wyszłam za *ciebie*. Chcę być z *tobą!*

- Kochasz mnie? - Z trudem wyrwał te słowa z gardła, jakby miały kolce.

- Z czasem cię pokocham. - Nie potrafiła go okłamać, choćby chciała. - Pragnę spędzić z tobą resztę życia. Urodzić ci dzieci. Chcę, żebyśmy się razem zestarzel.

Czuła, że Wolf jej nie wierzy. Wymyślała sobie w duchu od idiotek: zachciało się jej „prawdziwego

małżeństwa"! To małżeństwo nie było ani trochę prawdziwsze od marzeń o Benjaminie!

- Molly... - odezwał się w końcu Wolf cichym, smutnym głosem. - Wiesz, jakie mam oczy? Jakiego koloru?

Łzy zaćmiły jej wzrok, gdy próbowała przyjrzeć mu się w ciemności. Patrzyła na Wolfa dziesiątki... nie, setki razy! Nieraz siedzieli przy jedzeniu naprzeciw siebie. Opatrywała mu ranę na czole... Tyle razy czuła na sobie jego wzrok... Ale choćby od tego zależało jej życie, nie potrafiła powiedzieć, jakiego koloru były jego oczy!

- Jakie mam oczy? - spytał znowu.

Nie mogła przecież zgadywać! A nuż by się pomyliła?

Wolf sięgnął ręką do stojącego za nią nocnego stolika i podkręcił lampę. Ujrzała ciepłe, brązowe oczy, patrzące na nią z bólem, którego nie wywołała z pewnością rana na ciele.

- Brązowe... - szepnęła Molly i zacisnęła powieki. *Brązowe! krzyczało* jej coś w duszy. Brązowe, takie same jak u Benjamin!

## 21

Wolf był niemal pewien, że Molly podobnie jak on tej nocy nie zmrzyła oka. Leżał tuż przy niej i tak bardzo pragnął ją pocieszyć. Wiele razy miał już wyciągnąć rękę, przygarnąć ją do siebie i trzymać tak aż do świtu. Nie mógł jednak tego zrobić. Dobrze wiedział, czym by się to skończyło. Porwałby ją w ramiona, uczynił ją swoją raz na zawsze.

Widział wyraźnie stojącą obok okna umywalkę. Koło miednicy leżała jego brzytwa i pasek do ostrzenia. Wystarczyło tylko wstać z łóżka i się ogolić. Molly tęskniła za Benjaminem. Wolf mógł jej dać tego, na którego czekała. Gotów był grać tę rolę, byle tylko Molly była szczęśliwa.

Ale czy naprawdę? Od chwili, gdy przyłapał ją na tym, że nie zna koloru jego oczu, stało się dla Wolfa jasne, że Molly w ogóle go nie dostrzega. Gotowa była oddać się jemu, mężczyźnie, którego nie kochała. Czy to mogło mu wystarczyć?

Z nadejściem świtu Wolf doszedł do wniosku, że Molly jest szalona, a jej szaleństwo udzieliło się także jemu. Gdyby w jego skołatany mózgu pozostała choć szczypta rozumu, kochałby się z nią! Do wszystkich diabłów, przecież czynił to w marzeniach tak często!

Ale rzeczywistość ani rusz nie chciała dopasować się do jego marzeń od chwili, gdy po latach spotkał Molly w Austin. Czemu tym razem miałoby stać się inaczej? Wolf wstał z łóżka.

Wiedział, że Molly go obserwuje. Czuwała przez całą noc, podobnie jak on. Zachowywał się jednak tak, jakby spała, a on nie chciał jej obudzić. Nawet się nie ubierał, tylko chwycił kurtkę i buty i wyszedł na paluszkach z sypialni, żeby Molly nie domyśliła się, że ją rozszyfrował.

Na korytarzu natknął się na ciotkę Henriette; tkwiła na krześle pod drzwiami jak strażnik. Wolf tak się zdumiał na jej widok, że omal nie upuścił swoich rzeczy.

- Zawsze wymyka się pan ukradkiem o świcie, kapitanie? - Henrietta miała zwyczaj stawiać pytania w taki sposób, że przypominało to przesłuchanie.

- Trudno zerwać ze starymi przyzwyczajeniami. - Wolf mrugnął znacząco.

- Wtykam nos w nieswoje sprawy, co?

- Bystra z pani kobieta. - Nawet po najlepszej nocy Wolf czasem wstawał w podłym nastroju; dziś był po prostu wściekły.

Henrietta jednak - o dziwo! - po raz pierwszy od swego przyjazdu do Austin doskonale się bawiła.

- Zawsze ceniłam ludzi jeszcze bardziej prostolinijnych niż ja.

- Niewielu ich chyba pani znalazła.

Tym razem rozeźmiała się w głos.

- Święte słowa! Świat jest pełen durniów i półgłówków. Uważam za swój obowiązek wskazywać im to, czego nie widzą.

Wolf jęknął. Powinien lepiej się postarać i być uprzejmy dla ciotek Molly, choćby zachowywały się Bóg wie jak dziwacznie! W końcu to jej jedyne krewne.

- Może chciałyby pani pójść ze mną na śniadanie? O parę kroków stąd jest kawiarenka...

Ciotka uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Od dawna... od bardzo dawna żaden dżentelmen nie zaproponował mi wspólnego wyjścia na miasto! Czemuż by nie, kapitanie? Wygląda na to, że wszyscy prócz nas w tym domu mają zamiar spać do południa. Okropny zwyczaj!

Wolf bez słowa wciągnął buty.

- Zamierza pan chyba przebrać się, kapitanie? - Henrietta uniosła brwi tak wysoko, że niemal zniknęły pod włosami.

- Ani myślę - odparł Wolf. - Gdybym się inaczej ubrał, nie poznaliby mnie w kawiarni.

- Niech się pan przynajmniej ogoli! - nalegała. - Czysto wygolona twarz idzie w parze z czystym sumieniem.

- Czemu wszyscy ciągle mi zawracają głowę tym go-



leniem?! - mruknął Wolf. - Nie, łaskawa pani. Nie zamierzam się golić ani zmieniać przyzwyczajień dla niczyjej przyjemności. Czy wobec tego odrzuci pani moje zaproszenie?

- Nie! - Spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby podejmowała wyzwanie.

Wolf nie zdziwiłby się, gdyby cioteczka zakradła się którejś nocy do ich sypialni, by dać mu nauczkę: ogolić go we śnie!

Podał jej ramię i zeszli w milczeniu ze schodów. Dziesięć minut później jedli już śniadanie „U Nomy”. Wolf zamówił pół tuzina jajek i funt smażonego boczku oraz wszelkie możliwe dodatki, włącznie z cynamonowymi bułeczkami. Henrietta poprosiła o jajko na miękko i grzanekę bez masła.

Ciotka była produktem epoki, kiedy damy jadły jak ptaszki. Gdy jednak przyniesiono koszyk świeżutkich biszkoptów, choć z oporami, wzięła jeden, ponieważ Wolf bardzo nalegał; drugi zjadła z sosem, żeby poznać zalety teksaskiej kuchni, następny z masłem i dżemem z czystej grzeczności, by dotrzymać towarzystwa kapitanowi, który nadal się pożywiał...

Nim zjawiły się na stole cynamonowe bułeczki, ptasi apetyt zmienił się w wilczy. Zgodnie opróżnili koszyk z biszkoptami.

Godzinę później wracali do domu z talerzem pełnym bułeczek dla uszpionych domowników. Henrietta wsparła się na ramieniu Wolfa, ale nie próbowała bawić go rozmową. Wolf mimo woli zastanawiał się, jak też zareagowałaby jego towarzyszką, gdyby któregoś wieczoru namówił ją na pójście do knajpy. Doszedł jednak do wniosku, że gdyby nawet przyjęła jego propozycję, Molly zamordowałaby go za taki pomysł.

Przez chwilę widział w idącej obok niego starszej damie dziewczynę, jaką niegdyś była. Domyślał się nawet, czym oczarowała swojego wielbiciela z czasów młodości. Wydawało mu się również, że do dziś w jej oczach pozostał smutek - ślad tamtego dnia, kiedy musiała się wyrzec swego Herberta.

Kiedy dotarli do domu, w głowie Wolfa zrodziła się nowa myśl. Jeśli zdołał oczarować Henriettę, to i z Molly powinno mu się to udać! Był teraz starszy i mądrzejszy niż wówczas, przed laty, na dworcu kolejowym. Jeśli dołoży starań, Molly z pewnością go pokocha i zapomni o Benjaminie!

Molly obudziła się wreszcie; czuła ciepło południowego słońca, choć w sypialni panował mrok. Ktoś ciągnął zasłony, by mogła dłużej pospać.

Wyskoczyła z łóżka, jakby ją przyłapano na gorącym uczynku. Po kilku minutach z najwyższym wysiłkiem zdołała uporządkować włosy i zbiegła ze schodów.

- Dzień dobry, Molly! - rozległ się z saloniku głos ciotki Alwiny. Siedziała tam otoczona barwnymi kwadratami, z których miała powstać pikowana kołdra.

- Raczej dobry wieczór! - zauważyła Henrietta.

- Bardzo przepraszam. - Przed obliczem ciotek Molly poczuła się znów jak niesforne dziecko. - Zasnęłam.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła ją Alwina. - Twój mąż powiedział wyraźnie, że potrzebujesz wypoczynku. - Ostatnie słowo wymówiła z dziwnym naciskiem. - Poprosił nas, żebyśmy pomogły Early przypilnować Callie Ann.

- Poprosił, też coś! Kazał nam siedzieć cicho... jak jakimś pijanym rekrutom, a nie dwóm damom! Ciekawe, ileż to hałasu mogło spowodować zszywanie na-

rzuty z kwadratów?! - burknęła Henrietta. - I przestań, Alvino, mówić takim znaczącym tonem o wyczynku Molly! Są zbyt młodym małżeństwem, by mogło się już zanosić na takie rzeczy!

- Nieraz mi mówiono, że z pierwszym nigdy nie wiadomo, kiedy się zjawi! Dopiero na drugie trzeba zawsze czekać dziewięć miesięcy.

Molly nie mogła wprost uwierzyć, że ciotki rozmawiają o niej tak, jakby jej nie było w pokoju.

- A poza tym, to *żona* miewa wówczas humory, nie mąż!

- On nie ma żadnych humorów! - odparowała Henrietta. - To największy tyran, jakiego w życiu widziałam! Tylko by komenderował!

- Doprawdy? - spytała zaskoczona Molly. Od śmierci generała nikt nie ośmielił się komenderować ciotkami.

- Zostawił ci liścik. - Henrietta wręczyła jej zapieczętowaną kopertę. - Nawet nam nie wspomniał, o co w nim chodzi!

Molly powoli otworzyła list; nie zdziwiłaby się, gdyby znalazła w nim słowa pożegnania. Nie mogła mieć pretensji do Wolfa: cóż to za żona, która nawet nie wie, jakie mąż ma oczy?!

- No i co pisze? - spytała Henrietta. - Jeśli, oczywiście, zechcesz nam o tym powiedzieć!

Alvina zmarszczyła brwi.

- Jeżeli to list miłosny, to Molly postąpiłaby niestosownie, powtarzając nam jego treść.

Henrietta potrząsnęła głową.

- Po cóż kapitan miałby pisać list miłosny do żony, z którą się pożegnał przed dwiema godzinami?

- Po cóż w ogóle miałby do niej pisać, skoro ma ją pod bokiem i może jej w każdej chwili powiedzieć co trzeba?

- Przepraszam na chwilę - szepnęła Molly i zawróciła ku schodom.

Pospieszyła do swego pokoju i zamknęła drzwi. Nie mogła tego czytać pod okiem ciotek! Jeśli to ostateczne zerwanie, ciotki zaraz by to poznały po jej minie... Chyba by tego nie zniosła!

Pismo Wolfa było śmiałe i mocne jak on sam. Zaczął od słów „Droga Molly”. Potem następowało wiele zaczętych i przekreślonych zdań. W połowie strony przeczytała: „Oboje oszalejemy, jeśli nie uda się nam porozmawiać bez świadków. Wspomniałaś, że umiesz powozić. Mam nadzieję, że to prawda. Zastosuj się dokładnie do wskazówek i przyjeźdź *sama!*” Resztę listu stanowiły szczegółowe objaśnienia dotyczące drogi.

Kiedy Molly wróciła na parter, ciotki zasypały ją pytaniami; odparła tylko, że nic się nie stało i że musi spotkać się z Wolfem w ważnej sprawie. O dziwo, nie próbowały się wtrącać.

Molly wyszła na ganek, naciągając rękawiczki. Charlie Filmore już na nią czekał z wypożyczonym powozikiem. Od pożaru Charlie był coraz trzeźwiejszy, zupełnie jakby w ciągu tych kilku tygodni parowała z niego wódka, którą wlewał w siebie latami. Po tym jak uratował życie Molly, ludzie nabrali do niego szacunku. Odzyskał dzięki temu poczucie godności i odpowiedzialności za własne czyny. Ludzie odzywali się teraz do niego na ulicy, więc powinien im składnie odpowiadać. Bohater musi zachowywać się jak należy!

Wyjaśnił teraz Molly, że Wolf poprosił go, by wy starał się o jakiś powozik albo wóz i miał go dla niej w pogotowiu, gdy tylko wyjdzie z domu.

Molly wsiadła do powozu i skierowała się na zachód

w stronę miejscowości o nazwie Barton Springs\*. Powozik ciągnęła stara szkapa, strasznie twarda w pysku. Molly domyśliła się, czemu Charlie wybrał tego konia: nie było najmniejszej obawy, że poniesie!

Po drodze do źródeł mijały ją wozy pełne ludzi, którzy spędzili ranek na miłej kąpieli. Molly prawie ich nie dostrzegała. Wśród tej ciżby z pewnością nie było Wolfa. Cokolwiek miał jej do powiedzenia, chciał powiedzieć na osobności; inaczej nie zaprzętałyby sobie głowy pisaniem listu.

Pod koniec droga zmieniła się w wąską ścieżkę, wijącą się między drzewami, których pochylone gałęzie niemal dotykały bujnej, letniej trawy. Molly z daleka dostrzegła Wolfa stojącego na wzgórku o jakieś ćwierć mili od źródeł. Stał w rozkroku, z rękami na biodrach. Wyglądał jak olbrzym szykujący się do walki. Miał na sobie czarne spodnie, te dziwne indiańskie buty do kolan i białą koszulę, w której jego potężne ramiona wydawały się jeszcze szersze niż zwykle.

Molly pozostawiła powozik w cieniu i ruszyła powoli w stronę męża. Chciała dowiedzieć się od razu, co ma jej do powiedzenia. Dawno już powinni byli ze sobą porozmawiać!

Ciepły wiaterek rozwiewał jej loki wokół twarzy. Słyszała plusk wody i głosy kąpiących się ludzi. Byli zbyt daleko, by mogła rozróżnić słowa, ale ich śmiech docierał do niej wyraźnie.

Wolf zaczekał, aż żona znajdzie się kilka kroków od niego, nim się do niej odezwał.

\*Barton Springs - Źródła Bartona.

- Pomyślałem, że tu będziemy mogli swobodnie porozmawiać - rzucił niemal szorstko. - Są sprawy, które musimy koniecznie wyjaśnić. Próbowałem napisać, ale nie mogłem znaleźć słów.

- Zupełnie się z tobą zgadzam - powiedziała, zastanawiając się w duchu, czy Wolfowi łatwiej pójdzie z mówieniem niż z pisaniem. - Może przejdziemy w cień?

Skinął głową i przeprosił, że nie pomyślał o tym wcześniej.

Ku zdumieniu Molly wziął ją za rękę i poprowadził bez pośpiechu do cienia, jakby to był niedzielny spacer, a nie decydująca rozmowa o przyszłości. Usiedli na zwalonym pniu pod baldachimem zieleni. Wolf wyglądał na zmęczonego. Molly domyśliła się, że nadal boli go głowa. Odruchowo musnęła ręką jego włosy.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. - Wolf zamknął oczy, nie chcąc zdradzić się z tym, ile radości sprawiła mu tym dotknięciem.

- Od czego zaczniemy? - spytała Molly.

Wolf wpatrywał się w nią. Wcale nie chciał zacząć rozmowy, chciał po prostu objąć Molly! Musieli jednak pomówić ze sobą.

- W przyszłym roku skończę trzydzieści lat.

- A ja dwadzieścia siedem. Nie wygadaj się tylko przed ciotkami, że ci zdradziłam swój wiek! Jeśli staropanieństwo zaczyna się po dwudziestce, to jestem już zasuszoną mumią! - Nadal przeczesywała mu palcami włosy.

- Nie jesteśmy dziećmi, Molly, więc nie powinniśmy zachowywać się jak durne bachory.

- Zgadzam się z tobą.

- Czy chcesz, żeby nasze małżeństwo się skończyło? - Z trudem zmusił się do wypowiedzenia tych słów.

Molly podniosła głowę.

- Nie! - odparła po prostu.

Wolf odetchnął z ulgą.

- Ja także nie - przyznał. - Ale po ostatniej nocy ogarnęły mnie wątpliwości.

- Wiem... - szepnęła Molly. - Muszę porozmawiać z moim przyjacielem, Wolfie!

Wolf spojrzął na nią badawczo.

- Z kim? - O ile wiedział, Molly nie miała w Austin żadnych bliskich przyjaciół.

- Z tobą - odparła. - Muszę koniecznie pomówić z moim szczerym i wiernym przyjacielem o...

- O czym tylko chcesz! - zapewnił.

- O moim mężu - uśmiechnęła się Molly.

- Niech będzie! Pogadajmy o tym łajdaku.

- To wcale nie łajdak, tylko bardzo dobry człowiek. Najlepszy, jakiego znam. Ale, widzisz... on nie chce ze mną spać.

Wolf słyszał smutek w jej głosie i serce mu pękało.

Wpatrując się w swoje ręce, Molly ciągnęła:

- Mówi, że go nie kocham... Przecież ja go tak bardzo cenię... Czy to się nie liczy?

Wolf nakrył dłonią jej rękę.

- Ale dlaczego właśnie on? - Rozstawił szeroko palce i ich ręce się splotły. Zadał sobie w duchu pytanie, czy Molly też lubi go dotykać. On wprost kochał jej dotknięcie...

- Dzięki niemu czuję się naprawdę żywa. Dotąd żyłam wyłącznie marzeniami. On sprawia, że mam ochotę skosztować życia... sam pochłania je wielkimi kawałkami, z takim apetytem! - Podniosła głowę. - Co mam zrobić, żeby mnie zechciał?

Spojrzała w oczy Wolfa, w jego *brązowe* oczy. Jak mogła dotąd nie zauważyć ich barwy?

- Zeszłej nocy nie chciałaś się kochać ze mną, Molly... tylko z kimkolwiek.

Te słowa zabrały ją. Zapragnęła nagle uciec stąd, nie patrzeć na niego. Może jednak lepiej trzymać się na uboczu? Pozostać starą panną? Nigdy nie mieć kochanka? Z pewnością wszystko to było mniej bolesne od tego, co odczuwała w tej chwili.

- Mówiłeś, że mnie pragniesz, a wcale mnie nie chciałeś! - Nadal dręczyło ją wspomnienie chwili, gdy odwrócił się od niej. - Kiedy przyszedł właściwy czas, kiedy powiedziałam „tak”, nawet mnie nie tknąłeś!

Molly wstała. Nie mogła znieść myśli o tym odtrąceniu. Po raz pierwszy chciała się oddać mężczyźnie... a on nią wzgardził!

Wolf chwycił ją w objęcia i przyciągnął do siebie tak raptownie, że aż krzyknęła. Wylądowała na kolanach męża, uwięziona w jego ramionach.

- Chciałem cię! - zawołał, powstrzymując jej protesty mocnym uściskiem. - Nadal cię pragnę. Całe moje ciało wyrwa się do ciebie, Molly!

- Nie kłam! - Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie okazał jej podobnej wzdargy.

Zamknął jej usta pocałunkiem tak szybko, że nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Całował brutalnie, natarczywie, jakby chciał dowieść swoich racji nie słowami, lecz czynem.

Molly usiłowała się wyrwać, ale Wolf stawał się coraz bardziej nieustępliwy. Jedną ręką chwycił ją za włosy, druga sunęła po jej ciele, biorąc je w posiadanie z taką zuchwałością, na jaką nie zdobył się dotąd żaden mężczyzna.

Gniew skłonił ją do tym silniejszego oporu. Wrywała się, bardziej wściekła niż przestraszona. Nie tak



chciała być kochana! Nie tak okazywałby jej swoją miłość Benjamin! Wolf wszystko robił nie tak!

Nie próbował nawet unieruchomić jej ramion. Prawie nie czuł jej uderzeń. Kiedy chciała kopnąć go w nogę, przesunął się tylko... i trafiła bukiem w pień.

Dowiódł niezbitości swego pożądanego. Przycisnął do siebie Molly tak, że czuła, jak bardzo jest pobudzony. Całował ją dziko, zachłannie.

Gwałtownie szarpnęła głową i oswobodziła usta.

- Puść mnie! - wrzasnęła i z całej siły uderzyła go w twarz. - Puszczaj!

Dopiero po chwili krzyk Molly dotarł do świadomości Wolfa. Puścił dziewczynę tak nagle, że omal nie upadła na ziemię. Podtrzymał ją i ostrożnie podciągnął do góry

Odepchnęła jego rękę.

- Co ty wyrabiasz?!

- Pocałowałem cię. Sądziłem, że tego właśnie chcesz. Namiętnego pocałunku.

- Może i chciałam pocałunku, ale nie brutalnej napaści!

Wolf usiadł na pniu i wpatrzył się we własne ręce. Objąć ją czy lepiej dać spokój? Najpierw Molly mówi, że go chce, a zaraz potem odpycha...

- Nie mam wielkiego doświadczenia w tych sprawach, Molly. Tych kilka razy, gdy zapłaciłem kobiecie, żeby była ze mną, czułem tylko pustkę. Widocznie nie rozumiem cię tak jak trzeba.

Molly słuchała go nieuważnie, poprawiając na sobie ubranie. Bluzkę miała rozdarta z przodu, włosy rozczochrane.

- Nie masz wielkiego doświadczenia? Nie masz o tym pojęcia! - Gniew po prostu w niej kipiał. - Gdy-

byś mnie chwycił jeszcze mocniej, to byś mnie udusił! Podrapałeś mi brodą całą twarz! Żebra mnie boją! I nie mam aż tylu ubrań, żebyś mógł je drzeć na kawałki!

Wolf spoglądał na promienie słońca, przedzierające się wśród gałęzi. Rzeczywiście, nie wypadło najlepiej. Gdybyż Molly zechciała dać mu jeszcze jedną szansę... Ale jej krzyki nie świadczyły o tym, by gotowa była się w nim zakochać.

Molly próbowała jakoś uporządkować włosy.

- Chcę być kochana, nie gwałcona! Czuję się, jakbym walczyła z niedźwiedziem.

- No więc dlaczego? - przerwał jej potok wyrzutów.

- O co ci chodzi?!

- Dotąd mi nie powiedziałaś, dlaczego to mam być właśnie ja! Nie kochasz mnie. Właściwie nawet mnie nie lubisz. Więc czemu ja?! Z pewnością znałaś wielu mężczyzn, którzy bardziej do ciebie pasowali!

Molly była zbyt wściekła, by kluczyć.

- Nie! Z tego całego tałatajstwa ty jesteś jeszcze najlepszy! Nie świadczy to zbyt dobrze o waszej płci! Więc zdecydowałam się na ciebie, bo chcę żyć w realnym świecie. Dotąd żyłam marzeniami, czekając na kogoś, kto do mnie nie wrócił. Mam już dość tego czekania! Chcę, żeby ktoś mnie obejmował nie tylko w marzeniach!

Wolf opuścił wreszcie zadartą do góry głowę i spojrział na Molly z determinacją i gniewem.

- Mógłbym być tym, kogo pragniesz. Ale tylko wtedy, gdybyś i ty mnie kochała!

Molly poczuła, że nagle wali się rozdzielający ich mur. Po raz pierwszy ujrzała naprawdę Wolfa. Do tej pory pragnęła jedynie znaleźć kogoś, kto mógłby odegrać rolę Benjamina, szukała jakiejś namiastki nieistniejącego kochanka. Nie dostrzegła mężczyzny, który był obok niej.

Przez całe życie usiłowała spełnić oczekiwania innych: być dla ojca taką córką, jakiej pragnął, być dla ciotek bratanicą, jaką sobie wymarzyły. Nie dało jej to szczęścia. Czuła się stłamszona i wiedziała, że nie może sprostać wymaganiom otoczenia. Kiedy wreszcie wyrwała się na wolność i przybyła do Teksasu, odczuła wewnętrzny spokój. Wolała zmarnować życie, kierując się własnymi pragnieniami, niż osiągać sukcesy, ale zadawać gwałt swej naturze.

Zrobiła krok w stronę Wolfa, dotknęła jego włosów, usiadła przy nim. Kiedy podniósł na nią oczy, ujrzała w nich bezsilną rozpacz.

- Nie musisz grać przede mną żadnej roli, Wolfie. Bądź po prostu sobą. Jesteś wspaniałą!

- Chcesz powiedzieć, że spróbujesz mnie pokochać?

Molly nie umiała kłamać. Przeżyła jedną niemądrą miłość. Nie chciała się już angażować uczuciowo. Upadek Z wyżyn był zbyt bolesny. Otworzyła usta, by odpowiedzieć Wolfowi, ale nie wiedziała, jak mu oznajmić, że wyrzekła się miłości raz na zawsze.

- Chyba już znam twoją odpowiedź. - Wolf zmienił się nagle: był teraz silniejszy, twardszy. - Pozostanę twoim mężem, Molly, ale nie zamierzam z tobą spać, póki nie powiesz, że mnie kochasz. Inaczej nie wyszłoby to nam na dobre. Przekonaliśmy się o tym zeszłej nocy i dziś.

- Czemu nie możesz mnie po prostu kochać? - spytała.

- Czemu nie możesz mi tego powiedzieć? - odparował.

Ujrzała w jego oczach coś, co zmusiło ją do zastanowienia. Dlaczego przywiązywał taką wagę do tych słów? Czyżby nigdy jeszcze ich nie słyszał?

Przegarniała bez pośpiechu jego ciemne, kędzierzawe włosy.

- Może powinniśmy zacząć wszystko od nowa? Tak jakbyśmy dopiero teraz się spotkali?

Wolf potrząsnął głową.

- Zbyt długo byłem wilkiem-samotnikiem. Nie znam się na kobiecych pragnieniach. I chyba życia by mi nie starczyło, żeby cię zrozumieć.

Słyszała każde jego słowo i zauważyła, że cofnął się, by nie mogła go już dotknąć.

- Chyba ja znam się na tym jeszcze mniej niż ty.

Wolf roześmiał się.

- Ładna z nas para! - Pogładził ją palcem po policzku. - Powiedz... sprawiłem ci ból? Uwierz mi: wcale tego nie chciałem!

- Nie, nie! - skłamała, myśląc równocześnie, że będzie musiała ostrożnie oddychać przez dobry tydzień.

Delikatnie przyciągnął ją do siebie.

Molly przyjęła te milczące przeprosiny i pochyliwszy się ku niemu, dotknęła ustami jego ust. Nie zareagował, ale się nie odsunął.

- Chodźmy! - Molly uśmiechnęła się i wstając, pociągnęła go za sobą. - Pora wracać do domu.

- Mówiłem poważnie, Molly! - zapewnił ją powtórnie Wolf.

Molly nic na to nie odpowiedziała. Szła uśmiechając się i powtarzając sobie w myśli stare porzekadło: „Trzeba cierpliwego tresera, by nauczyć niedźwiedzia tańczyć!” Wolf może sobie mówić co chce, ale ona zamierzała zacząć „tresurę” od zaraz. Jeśli naprawdę jej pragnął, skłoni go, by odstąpił od swych żądań. Po co te deklaracje miłości? Nie zamierzała zakochać się ponownie... ale miała szczerzy zamiar zaciągnąć Wolfa Haywarda do łóżka!

Molly podjęła decyzję, zanim jeszcze zwróciła Charliemu powozik. Nieważne, co powiedział Wolf Hayward. Nie będzie zapewniać go kłamliwie o miłości, by zwabić go do swego łóżka. A Wolf wylądował w nim z całą pewnością, choćby musiała go zaciągnąć tam na sznurku!

Jedyny problem stanowiło to, że Molly nie miała zielonego pojęcia, jak tego dokonać. Pocieszała się jednak, że do wieczora na pewno coś wymyśli. Wolf sam jej w tym pomoże, choć na razie nie był tego świadomy.

Zaraz po powrocie do domu Molly zorientowała się, że ciotki wplątały się w kłopoty. Henrietta doprowadziła Early do łez kąśliwymi uwagami na temat jej gotowania. Ciotka Alvina miotała się po domu jak szalona, ponieważ zachciało jej się wydać obiad. Zaprosiła właściciela banku, którego poznała przed godziną, jego żonę i pastora Forda, który dawał ślub Molly, oczywiście również z małżonką.

- Jakże ja mogę planować menu, kiedy Early histeryzuje?! - zaatakowała jęklwym głosem bratanicę, nim jeszcze Molly zdążyła zdjąć rękawiczki. - Nie chce nawet rozmawiać ze mną na temat dań!

Molly pogładziła po jasnych loczkach Callie Ann, która ciągnęła ją za suknię, by zwrócić na siebie uwagę.

- Early jest naszym gościem, ciociu Alwino, a nie kucharką. Przy gotowaniu ja mogę pomóc.

Alvina *zmarszczyła* brwi.

- Znam to twoje gotowanie! Tylko byś pogorszyła sprawę tą swoją „pomocą”!

Jeśli Molly miała nadzieję uspokoić Alvinę, wielce się rozczarowała. Cioteczka zaczęła miotać się niczym szaman w obrzędowym tańcu.

- Goście przychodzą na obiad... i żadnej kucharki! - zawodziła. - Choćbym sobie ręce urobiła po łokcie przy dekoracji kwietnej i nakrywaniu do stołu... cóż to da, jeśli nie będzie nic do jedzenia?!

- Nie poczuwam się do żadnej winy - oświadczyła rzeczowym tonem ciotka Henrietta. - Potrafiłabym sprokurować lepszy obiad jednym palcem niż to dziewczysko obiema rękami. Ktoś *musiał* jej powiedzieć, że żadna z niej kucharka! Nie można było pozwolić, by żyła w fałszywym przekonaniu, że nam smakuje to, co upichciła! Moim obowiązkiem było uświadomić jej, że posiłki nadają się tylko dla świń!

Callie Ann pociągnęła znów Molly za spódnicę. Zza kuchennych drzwi dolatywało chlapanie Early.

Molly czule poklepała Callie Ann po rączce.

Obie ciotki odwróciły się i wbiły wzrok w bratanicę. Henrietta uniosła brew.

- To *twój* dom, moja droga, i *ty* powinnaś zdecydować, co należy zrobić!

- Proszę bardzo - odparła Molly. Ciekawe, czemu ciotki uprzytomniły sobie, że to *jej* dom teraz, gdy wynikły problemy, a nie wówczas, gdy podjęły samowolnie decyzję w sprawie proszonego obiadu? - Early, czy mogłabyś zabrać dziś wieczór Callie Ann na obiad do kawiarni Nomy? Ja stawiam, oczywiście.

Early wyjrzała z kuchni i uśmiechnęła się, dostrzegając wreszcie światełko na końcu mrocznego tunelu.

- Z przyjemnością! Ale jeszcze nigdy nie byłam w takim lokalu... Nie bardzo wiem, jak się tam zachować...

- Callie Ann wszystko ci wyjaśni. - Molly popatrzyła na dziewczynkę, która nadal starała się zwrócić jej uwagę. - Prawda, kochanie?

Mała skinęła główką i pociągnęła Molly za rękę, chcąc widocznie, by nachyliła się ku niej.

- Ależ! - zaprotestowały chórem ciotki.

- Ciociu Henrietto... - Molly popatrzyła na obie panie, przypominając sobie, jak niegdyś obawiała się ich krytyki. - Jestem pewna, że przygotujesz wspaniały obiad i goście cioci Alwiny będą zachwyceni!

Bywają różne niezwykle wydarzenia. Niekiedy - niezmiernie rzadko - w jednym miesiącu zdarzają się dwie pełnie księżyca. Jedno cięło na milion rodzi się z dwoma głowami. A teraz, po raz pierwszy w życiu, Molly ujrzała, jak jej ciotki skoczyły sobie do oczu.

Chwyciła Callie Ann za rękę i wycofała się z pokoju. Wysunięta z kuchni głowa Early znów się schowała niczym łebek zółwia, włączącego do skorupy na odgłos nadciągającej burzy. Wrzawa bitewna docierała do Molly nawet wówczas, gdy wraz z Callie Ann znalazły się na werandzie z huśtawką. Molly usiadła na ławeczce, księżniczka wpakowała się jej na kolana i zaczęły się wspólnie huśtać.

- No, o co chodzi? - spytała Molly, skupiając wreszcie na dziecku całą uwagę.

- Stryjek Orson chciałby się przenieść do stajni... tylko że nie mamy tu stajni. Mówi, że ma już dość tego gdakania, do diaska!

Molly roześmiała się. Callie bez wątpienia powtórzyła zasłyszana niegdyś uwagę jakiejś starszej osoby.

- Wcale mu się nie dziwię. Może zechciałby teraz

pójść z nami na spacer? Popatrzmy, jak się posuwa robota przy moim sklepie, co?

Callie przechyliła główkę na bok.

- Może po drodze zajrzemy do Wolfa?

- Jeśli masz ochotę, to go odwiedzimy - odparła Molly.

Zeskoczyły z huśtawki i zbiegły po stopniach wewrandy, nie obejrzawszy się nawet na dom.

Popołudnie było ciepłe, ale po niebie płynęło sporo chmur, więc żar słoneczny bardzo nie dokuczał. Bez pośpiechu załatwiły kilka sprawunków i odwiedziły pana Millera na budowie. Kiedy dotarły w końcu do siedziby strażników Teksasu, obie miały ochotę posiedzieć tam i odpocząć.

- Kapitanie! - wrzasnął młody strażnik, gdy Molly i Callie Ann zjawiły się w głównej sali. - Pańska żona przyszła! - W jego głosie dało się wyczuć nutkę popłochu.

Przez chwilę Molly myślała, że echa kłopotów z ciotkami dotarły aż tutaj. Jeśli istotnie tak było, nie dziwota, że Wolf schował się w jakimś kącie! Potem jednak dostrzegła pochmurne twarze stojących wokół mężczyzn. Naprawdę stało się coś złego! Stojąca koło drzwi skrzynia z bronią była otwarta; karabinki leżały równo poukładane na stole. Z tyłu do uszu Molly dotarł odgłos ładowania magazynka.

- Co się tu dzieje? - spytała, wodząc wzrokiem po twarzach strażników. Zazwyczaj mieli poważne miny, ale dzisiaj ich twarze wydawały się wykute z kamienia.

Ktoś szepnął za plecami Molly:

- Chwała Bogu! Jest z nią i dziecko!

Molly, nie zdejmując ręki z ramienia Callie Ann, ruszyła w stronę pokoju Wolfa.

- Co się dzieje? - zwróciła się do męża, który właśnie podszedł do niej.



Wolf nieznacznie pokręcił głową i chwycił na rękę Callie Ann.

- Witaj, księżniczko! Jak stoją sprawy w zamku? Smoki nie przejęły jeszcze władzy? - Mówił pozornie beztroskim, spokojnym głosem.

- Ciotki się biją, że coś okropnego! - odparła Callie Ann. - Chyba trzeba je będzie oblać wodą! A stryjek Orson chce się przenieść do stajni, żeby nie słuchać ich wrzasku. Mówi, że nie może tego znieść! - Księżniczka najwyraźniej lubiła znajdować się w centrum zainteresowania. - Ciotka Henrietta powiedziała, że nie wierzy w żadnego stryjka Orsona, ale to nic nie szkodzi, bo on w nią też nie wierzy.

Kilku młodych strażników zaśmiało się pod nosem. Wolf zmierzwił ręką kędziorki Callie Ann.

- Czy oboje ze stryjkiem Orsonem możecie wyświadczyć mi wielką przysługę? Skończyły mi się ciasteczka w puszcze, a Josh nie wie, jakie kupić. Ale ty dobrze wiesz, które najbardziej lubię, prawda?

Callie skinęła główką. Wolf "wręczył jej puszkę.

- Pójdziecie razem z Joshem po ciastka do Nomy? Przypilnuję przez ten czas Molly. A ty możesz w drodze powrotnej zjeść jedno ciasteczko.

- Dwa! - targowała się dziewczynka.

- Niech będą dwa. - Wolf roześmiał się; księżniczka przebywała stanowczo zbyt często w towarzystwie Charliego!

Callie Ann zmierzyła wzrokiem Josha.

- Chyba będzie pan musiał wziąć mnie na rękę. Jestem strasznie zmęczona, a on mi każe jeszcze dźwigać puszkę!

Josh zbliżył się do niej z taką miną, jaką może mieć tylko ofiara pięcioletniej despotki. Rzucił błagalne

spojrzenie w stronę Wolfa, ale kapitan podziękował mu tylko za pomoc.

Josh niezręcznie wziął Callie Ann na rękę i sięgnął po kapelusz. Dwaj inni strażnicy doszli do wniosku, że oni też chętnie zajrzą do Nomy i wynieśli się w ślad za Joshem.

Kiedy już wyszli, Molly popatrzyła na męża. Wiedziała, że dzieje się coś złego, ale bała się raz jeszcze pytać.

Wolf bez słowa wziął ją za ramię i poprowadził do swego pokoju. Wyraźnie unikał jej wzroku. Pragnął względnie spokojnie oznajmić Molly to, co miał do powiedzenia, zanim wybuchnie tłący się w nim gniew - taki, jakiego nigdy dotąd nie czuł.

- Odkryliśmy coś w związku z tym pożarem w twoim sklepie - powiedział cicho, podsuwając żonie krzesło.

Molly usiadła wyprostowana jak struna.

- Tak? - szepnęła ledwie dosłyszalnie. Z pewnością nie będą to dobre wiadomości!

- To było podpalenie, tak jak podejrzewaliśmy. Tylne drzwi zostały zablokowane od zewnątrz, a frontowymi nikt nie zdołałby się wydostać; pożar rozgorzał w ciągu paru sekund. Podpalacz dobrze wiedział co robi; zamierzał zabić swoją ofiarę.

- Mnie? - spytała Molly. Komu aż tak zależało na jej śmierci? - Ktoś chciał mnie zabić?

- Nie ciebie - odparł Wolf, z trudem wydobywając słowa z gardła. - Ktoś chciał zabić Callie Ann.

Molly zerwała się na równe nogi, nim zdążył powiedzieć coś więcej.

- Nie! Mylisz się! Któż chciałby zabić dziecko?! - Czuła, że narasta w niej krzyk. *Musiąto chodzić o mnie, o mnie! Nie o nią!* Myśl o tym, że ktoś chciał spalić żywcem dziecko, była zbyt potworna, niewiarygodna!

Wolf łagodnie ujął ją za ramiona nieco powyżej łokci.

- *Znaleźliśmy* dwóje świadków, *którzy* tamtej nocy, przed pożarem, usłyszeli przypadkiem ważną rozmowę. W Austin pojawił się nieznajomy, który twierdził, że nazywa się Black. Za sporą sumę zgodził się „dopilnować, by pewna mała dziewczuszka poszła z dymem”. Zabrał się do roboty... a ponieważ w domu byłaś także ty, więc i ciebie spotkałby ten sam los.

- Odnależliście tego człowieka? Przyznał się do zbrodni? Nic już nie rozumiem! - Molly potrząsnęła głową. Świadek z pewnością kłamał! Nikt, po prostu nikt nie mógł spalić żywcem dziecka!

Wolf przyciągnął żonę do siebie i tuląc ją w objęciach, mówił dalej:

- Następnego dnia po pożarze znaleziono Blacka nieżywego. Ktoś poderżnął mu gardło od ucha do ucha, a potem powiesił na linie jak wieprza, żeby się wykrwawił. Przez dwa dni ciągnano każdą dziewczynę z szynku, każdą prostytutkę na oględziny zwłok. Wreszcie ktoś rozpoznał ciało i opowiedział ciekawą historyjkę. Gdy w szynku dobijano umowy przy whisky, siedzieli w pobliżu dziwka pracująca nad barem Tandy'ego i pewien szuler. Ponieważ obie strony wyklócały się o cenę, zwróciło to uwagę owej parki. Oboje przysięgają, że uznali powtarzający się zwrot „mała dziewczuszka” za jakiś umowny szyfr, oznaczający obrabowanie banku lub napad na dylizans. Nawet im do głowy nie przyszło, że ci ludzie naprawdę planują zamordowanie dziecka.

- A ten człowiek, który zapłacił za zabicie Callie Ann, jeszcze żyje?

- Tak, kochanie. Dziewucha znad baru opisała dokładnie rozmówcę Blacka. Chudy jak szczapa, ze zniszczoną, opaloną na brąz twarzą. Ciągłe napomy-

kał o swoich „szefach”, jakby był na usługach kilku ludzi. To tylko pośrednik; kazano mu wynająć specjalistę od mokrej roboty. Zapłacił Blackowi z góry połowę umówionej sumy. Srebrem. Znam dwóch ludzi, którzy zdobyli nie tak dawno skrzynię pełną srebra.

Molly rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Bracia Diggerowie. - To nazwisko zabrzmiało w ustach Wolfa jak najgorsze przekleństwo. - W dylżansie, który obrabowali kilka miesięcy temu, przewożono srebro. Kiedy znaleziono ciało Blacka, w jego kieszeniach nie było nic prócz kilku zapałek. Diggerowie nie rozstają się łatwo z forszą. Może zresztą uważali, że Black nawalił, więc zasługuje na śmierć.

- Ale dlaczego Diggerowie mieliby zabijać swoją krewniaczkę? Jaką krzywdę mogło im wyrządzić to dziecko?! Callie Ann nawet ich nie znała!

- Nie mam pojęcia, ale się dowiem. Dotarły do nas pewne wieści. Diggerowie sądzą, że pozbyli się mnie raz na zawsze, więc zmierzają w nasze strony, bo chcą sami załatwić sprawę. Przypuszczam, że kiedy tylko posłyszają, że jeszcze żyję, zjawią się u mnie jako pierwszego. Potem przyjdzie kolej na Callie Ann i na wszystkich, którzy będą razem z nią. Diggerowie nie zostawiają świadków. - Ucałował Molly w czoło. - Postaram się, żebyście obie znalazły się w bezpiecznym miejscu.

- Nie! - Molly potrząsnęła głową. - Niewątpliwie obserwują drogi. Albo ktoś ma nas na oku i donosi im o wszystkim. Jeśli wyjedziemy z miasta, same im się wystawimy na cel!

Wolf musiał przyznać, że żona ma słuszość. W nocy podczas pożaru ktoś pomógł Diggerom uciec z więzienia. Ta sama osoba mogła śledzić każdy ruch Molly i Callie Ann, czekając na odpowiedni moment, by

je dopaść. Gdyby Wolf wysłał je dyliżansem, wiedziałyby o tym połowa miasta. Gdyby zaś pojechały powozem, na pustej drodze łatwo by było na nie napaść.

- Masz słuszność - stwierdził na koniec Wolf. - Na razie tutaj będzie wam najbezpieczniej.

Molly objęła go mocno.

- Najbezpieczniej jest nam u twego boku. Dobrze to wiem!

- Za moimi plecami - poprawił ją Wolf. Tak, Diggerowie dobiorą się do Molly i do dziecka tylko po jego trupie!

Do chwili, gdy wróciła Callie Ann z ciasteczkami, plan był już opracowany. Dwaj strażnicy przez okragłą dobę mieli pilnować domu Molly od zewnątrz. Trzeci rozgości się w salonie. Jeśli bandyci są nadal wierni swoim zwyczajom, powinni zaatakować w nocy. Każdego ranka Wolf jak zwykle wyjdzie z domu do pracy, ale zaraz zawróci; on również będzie miał budynek na oku. Molly i Callie Ann nie mogą wychodzić z domu ani zbliżyć się do okien, póki Diggerowie nie wykonają pierwszego ruchu w tej grze.

- Jak myślisz, kiedy nas zaatakują? - spytała szepciem Molly; oboje z Wolfem przyglądali się Callie Ann, która częstowała ciasteczkami wszystkich strażników.

- Najwcześniej mogą to zrobić dziś, w porze obiadu. Nie martw się, do tego czasu będę w domu.

- W porze obiadu?! - Molly zerwała się z miejsca. - Na śmierć zapomniałam o ciotkach! Ciotki! Co my zrobimy z ciotkami?

Wolf nie odpowiedział, bo nie wiedział, co odpowiedzieć.

Josh podniósł wzrok znad czyszczonego właśnie colta.

- Jakie szczotki? - rzucił od niechcienia. - Włosiane czy zwykłe miotły?

Molly wywróciła oczyma i opadła z powrotem na krzesło. Poczowała niemal litość dla braci Diggerów: lepiej, żeby nie drażnili ciotek! Walka między krwiożerczymi bandytami a jej dwiema cioteczkami nie byłaby ani równa, ani czysta. Bandyci z pewnością źle by na tym wyszli!

## 23

Wolf pinił się, wrzeszczał i piorunował, ale ciotka Alvina pozostała nieugięta. Nigdy w życiu nie odwołała proszonego obiadu i nie zamierzała odwoływać go tym razem. To, że kotary we wszystkich oknach były zasunięte, że w salonie rezydował uzbrojony strażnik, że Charlie Filmore miał spać w kuchni na rozstawionym łożku, nie odwiodło ciotki od urzeczywistnienia zamiana.

Henrietty zaś niepokojące wieści bynajmniej nie zaskoczyły. Według niej prymitywni kryminaliści stanowili większość ludzi. Dwóch mniej, dwóch więcej... co za różnica? Henrietta była jednak osobą praktyczną; nabiła zatem swój kieszonkowy rewolwerek, dzieło przyjaciela rodziny, pana Samuela Colta. Następnie z zimną krwią poinformowała siostrę, że może się już nie martwić: ona, Henrietta rozprawi się z każdym, kto ośmieliłby się wtargnąć na ich przyjęcie.

Panna Early przestała w końcu płakać i zgodziła się pomóc przy obiedzie pod warunkiem, że ona i Callie Ann zjedzą posiłek przy małym stoliku w kuchni, w towarzystwie Charliego. Molly obawiała się, że

dziewczyna może wziąć nogi za pas w godzinie ciężkiej próby, ale Early okazała się wierną przyjaciółką.

Wolf natomiast zmienił się w rozjuszonego niedźwiedzia. Burczał wściekle i miotał się po całym domu, odmawiając wszelkiej współpracy, jeśli chodzi o ciotczyne przyjęcie. Im bardziej zbliżała się pora obiadu, tym Alvina prezentowała się godniej, a Wolf mocniej zaczynał w uporze.

Kiedy wszyscy zgromadzili się przy stole wokół zwęglonych szczątków kulinarnych osiągnąć Henrietty, Wolf był już w takim stanie, że zupełnie nie używał ludzkiej mowy. Wpatrywał się w okno i wsłuchiwał się w każdy szmer, nie poświęcając ani krzty uwagi konwersacji przy obiedzie. Nie jadł nic i trzymał rękę na rewolwerze.

Molly starała się ratować sytuację. Odpowiadała za męża, ilekroć pastor lub bankier zadawali mu jakieś pytanie, i zasypywała komplementami obie ciotki.

Pastor Ford nie zauważył nawet, że coś jest nie w porządku. Po pierwszym spotkaniu z Wolfem przy okazji ślubu nie zdziwiłby się już żadnym wyskokiem tego olbrzyma. Właściciel banku jednak żywił ogromny respekt dla legendarnego Wolfa Haywarda i usiłował pociągnąć go za język. Byłby w siódmym niebie, gdyby usłyszał choć jedną autentyczną historię o wyczynach strażnika, którą mógłby potem raczyć swoich przyjaciół.

Ciotki gadały jak nakręcone, by zatuszować gburowate milczenie Wolfa. Z wprawą i łatwością przerzucały jedna do drugiej piłeczkę salonowej konwersacji. Kiedy jednak goście pożegnali się, wszyscy padali z nóg. Ciotki wymamrotały „dobranoc” i poszły na górę, nie dbając o to, że talerze pozostały na stole. Ni-gdy dotąd im się to nie zdarzyło!

Callie Ann już wcześniej położono do łóżka, a panna Early popijała w kuchni kawę z Charliem.

Molly obserwowała Wolfa: po raz piąty sprawdził zamki u drzwi i zajął stanowisko u szczytu schodów, w pobliżu okna wychodzącego na tyły domu. Oparł dwie strzelby o parapet po swej lewej i prawej stronie i ustawił krzesło tak, że mógł z niego wszystko widzieć, nie będąc widzianym.

Molly przebrała się w nocną koszulę i szlafrok, po czym wróciła do męża.

- Nareszcie spokój! - szepnęła, stając u jego boku.

Wolf, nie odwracając się od okna wydal nieartykułowany pomruk.

Molly oparła się o ramię męża.

- Jesteś zły?

- Nie. - Objął żonę ramieniem, spragniony jej bliskości. - Staram się tylko zapewnić bezpieczeństwo tobie i wszystkim pod tym dachem. Wiem, co potrafią Diggerowie! A jeśli chcą coś załatwić w tym mieście, to zabrają się do tego po ciemku.

Molly dotknęła lekko włosów męża.

- Mój ojciec i ojciec mego ojca byli żołnierzami. My, kobiety Donivanów, od lat same sobie dajemy radę.

Wolf chwycił ją za rękę i zatrzymał w swojej dłoni.

- Nie pozwolę, żeby ci się coś stało! - I dorzucił raczej do siebie niż do Molly: - Prędeż sam Zginę.

Molly przyklękła obok jego krzesła.

- Wiem - szepnęła. - I właśnie to mnie przeraża!

Jak mogła powiedzieć Wolfowi, że nie zasługuje na tak wielką miłość i oddanie? Miała wrażenie, że gdyby ofiarowała mu w zamian całą miłość, do jakiej była zdolna, byłaby to kropla w morzu w porównaniu z tym, co otrzymała od niego.



Oparła głowę o jego kolano, a Wolf położył na niej rozpostartą dłoń.

- Lubię, jak masz rozpuszczone włosy - powiedział, nie patrząc na nią.

Molly przymknęła oczy. Mieli tak mało czasu na rozmowę!

- Powiedz mi, czemu zawsze tak się we mnie wpatrujesz? Czuję twój wzrok na sobie, ilekroć jesteśmy w tym samym pomieszczeniu. Nawet dziś podczas obiadu patrzyłeś na mnie tak, jakby oprócz mnie nikogo nie było.

- Dla mnie nie było - odparł.

Musnął palcami jej policzek.

- Wiem, że dogadaliśmy się bez słowa, żeby nie wspominać nigdy o wojnie...

Molly skinęła głową. Zdawała sobie sprawę z tego, że Wolf - mieszkaniec Południa - musiał walczyć po stronie Konfederacji. Nie chciała jednak wiedzieć nic "więcej". A nuż by się okazało, że brał udział w bitwie, w której zginął jej ojciec?... Nie zniosłaby takiej wiadomości.

Wolf ciągnął dalej:

- ...ale podczas wojny widziałem wiele przerażających rzeczy. Scen, których nie zapomnę do końca życia.

Zamilkł i gładził Molly po twarzy, nie odrywając oczu od szczeliny między zasłonami.

- Nie idzie mi o samą śmierć i zabijanie, ale o bezsensowne niszczenie. Widziałem płonąca Atlantę, "widziałem całe mile uprawnej ziemi zbroczone krwią. Widziałem rozdarte rodziny, widziałem, jak wali się w gruzy całe nasze życie. Potomkowie bohaterów amerykańskiej rewolucji z dnia na dzień stawali się bezdomnymi kalekami. Tysiące drobnych farmerów, którzy nie mieli nawet własnych niewolników, traciło ojcowiznę, nie mo-

gąc zapłacić podatków, a wraz z nią prawo głosu, prawo decydowania o losach swego kraju...

Molly wtuliła policzek w dłoń męża. Prawdę mówiąc, nigdy nie zastanawiała się nad tym, jak wyglądał powrót do domu żołnierzy Konfederacji. W jej mieście witano zwycięzców z orkiestrą na dworcach kolejowych i urządzano przyjęcia na ich cześć. Obiło jej się o uszy, że zaopatrzenie rebeliantów pod koniec wojny było rozpaczliwie skąpe i że ich żołnierze nieraz walczyli na bosaka...

- Wspominam o tym nie po to, by cię zasmucić, Molly. Chcę, żebyś wiedziała, że gdy spoglądam na ciebie, zapominam na chwilę o tym wszystkim.

Molly ucałowała jego dłoń.

- To najcudowniejszy komplement, jaki kiedykolwiek słyszałam!

Popatrzył na nią i objął rękoma jej twarz.

- Nie wiedziałaś o tym, Molly? Gdyby coś ci się stało, na zawsze zgasłoby dla mnie słońce.

Poczuł pod dłonią łzę Molly. Nie miała pojęcia, że kochała ją aż tak! Uklękła przy nim na oba kolana.

- Idź do łóżka, kochanie.

- Chodźmy razem!

Przymknął powieki, jakby nie mógł wypowiedzieć tych słów, patrząc na nią.

- Nie mogę.

- No to pocałuj mnie na dobranoc!

Objął ją ramieniem i przyciągnął delikatnie do siebie. Jego pocałunek był czuły, pełen tęsknoty. Gdy Wolf oderwał się od niej, Molly nie ruszyła się z miejsca.

- Dobranoc - szepnął i utkwiał wzrok w oknie, koncentrując się znów na swoim zadaniu.

Molly przełknęła z trudem ślinę. Chciała go prosić...

nawet błagać, by pocałował ją raz jeszcze. Ale Wolf był już pochłonięty czym innym.

Wstała więc bez pośpiechu i poszła do ich wspólnego pokoju. Pewnej nocy Wolf nie odwróci się od niej. I jak ona wówczas na to zareaguje?

Zegar na parterze wybił wpół do drugiej, nim Molly położyła się wreszcie do łóżka. Zostawiła drzwi otwarte, by widzieć męża, czuwającego nad jej bezpieczeństwem. Wolf oparł nogi o parapet i odchylił się do tyłu w krzesło, z bronią na kolanach. Oddałby za mnie życie, myślała. Swoje życie!

Molly zamknęła oczy i przyśniło jej się, że tańczy. Nie z Benjaminem, z Wolfem. Wirowali w walcu po marmurowej posadzce, podczas gdy pozostałe pary odsunęły się pod ściany i obserwowały ich. Migotliwy blask świec padał na Wolfa, który unosił ją nad ziemią, gdy tańczyli walca. Damy na sali miały wspaniałe jedwabne suknie, jakie noszono przed wprowadzeniem wojennych ograniczeń. Mężczyźni prezentowali się wytwornie i godnie w błękitnych mundurach.

We śnie Molly spoglądała na Wolfa z góry, gdyż unosił ją coraz to wyżej i wyżej. Jego ciemnobrązowe włosy sięgały ledwie do kołnierza munduru, broda była krótko przystrzyżona, a oficerskie paski na mundurze migotały w świetle jak gwiazdy.

Musiła się uśmiechnąć do niego! Spoglądał na nią tak, jakby była jedyną kobietą na świecie i jakby całe ich życie ograniczało się do tej jednej nocy.

Nagle do snu Molly wdarł się - jak pomruk dalekiej burzy - nasilający się stukot żołnierskich butów, który zagłuszył dźwięki walca. Wolf postawił ją na marmurowej posadzce i rzucił się do ucieczki. Naddciągające wojsko było tuż-tuż. Molly zawołała Wolfa

i wówczas w sali balowej zagrzemiał pojedynczy wystrzał. Molly krzyknęła z przerażenia, w płucach zabrakło jej powietrza. Kula trafiła Wolfa i zwałił się na ziemię. Sen stawał się coraz straszniejszy i coraz bardziej mglisty. Molly podbiegła do Wolfa; płakała tak, że przez łzy ledwie widziała na posadzce skurczone ciało. Na marmurze widniała wielka plama krwi.

Molly przyklękła, chcąc odwrócić leżącego i spojrzeć mu w twarz. Jej pałce dotknęły porwanego, brudnego szarego munduru. Ze wszystkich stron wyciągnęły się ręce, odciągając Molly od żołnierza Konfederacji. Molly opierała się i wrywała, chcąc pozostać przy Wolfie. Krzyczała ile sił, ale wciąż ją odciągali. Poczuła, że materiał, w który wczepiła się palcami, rozdziera się. Jej rozpaczliwy płacz odbił się echem od ścian wielkiej sali.

- Kochanie... - usłyszała we śnie czyjś szept. - Kochanie, co się stało? - Słowa wypowiedane z południowym akcentem brzmiały jak muzyka.

Molly otworzyła szeroko oczy i wlepiła wzrok w pochylającego się nad nią Wolfa. Przez chwilę rzeczywistość i sen splatały się ze sobą.

- Usłyszałem twój płacz. Przyśniło ci się coś niedobrego? - dopytywał się Wolf, jakby nie wiedział, czemu się tak przerażyła! Jakby go tam nie było!

- Opuścisz swój posterunek? - Molly uniosła się na łokciach.

- Tak, ale nic nie szkodzi. Josh wdrapał się kilka minut temu po schodach. Łazł jak słoń, dziwne, że go nie usłyszałaś. Na jakiś czas przejął wachtę.

Molly wpatrywała się w męża, starając się wyplatać z resztek snu.

- Jeśli pozwolisz, wyciągnę się obok ciebie i prześlę godzinę czy dwie, nim zaświta.

Molly przytuliła się do niego. Była zdziwiona, że nie zdjął pasa z coltami.

- Śniło mi się, że tańczyliśmy ze sobą.

- Nie jestem w tym zbyt mocny - wymamrotał sennie Wolf.

- No to cię poduczę. - Z uśmiechem położyła rękę na sercu męża. Nakrył ją swoją dłonią; Molly poczuła, że się odprężył. - Śpij - szepnęła. - Teraz ja będę czuwać nad tobą.

Kiedy Molly obudziła się następnego dnia, ciotki były spakowane i gotowe do wyjazdu. Henrietta uznała, że Teksas jest dla nich zbyt dziką krainą. Brakowało jej tu proszonych herbatek i zabaw ogrodowych.

Zasiadłszy wraz z bratanicą do śniadania, ciotki perorowały jak najęte.

- Musisz wracać razem z nami - stwierdziła Henrietta. - To jedyne wyjście! Nikt przy zdrowych zmysłach nie pozostałby tutaj, gdzie podpalają, miotają groźby i więżą człowieka w jego własnym domu!

Molly starała się nie słuchać. Wiedziała od lat, że wszelkie próby dyskusowania z ciotką to strata czasu. Henrietta słyszała wyłącznie własne argumenty.

- A ten dzieciak, Callie Ann, nie należy przecież do ciebie! Jakoś sobie radziła przed twoim przyjazdem, poradzi sobie i po twoim wyjeździe.

Molly uzupełniła swoją filiżankę kawą, dziękując Bogu, że Callie Ann jeszcze śpi.

- Twoja matka zostawiła ci dość pieniędzy i piękny dom - wtrąciła Alvina takim tonem, jakby to była salonowa konwersacja i teraz jej wypadało coś powiedzieć. - My z Henriettą nie będziemy się wечно nim opiekować. A pracować zarobkowo z pewnością nie potrzebujesz!

Molly dawno temu domyśliła się, że ciotki nie miałyby się gdzie podziać, gdyby nie Allen Farm. Co prawda często powtarzały, że rodzice pozostawili im wystarczająco dużo pieniędzy, by nie musiały zawieierać z konieczności byle jakich małżeństw... Molly wiedziała jednak, że za własne pieniądze nie mogłyby żyć na takim poziomie jak teraz. Ojciec zawsze nazywał Allen Farm „domem Molly” i tłumaczył córce od najmłodszych lat, że mamusia wprawdzie bardzo wcześnie ją opuściła i poszła do nieba, ale pozostawiła Molly dom, który zawsze będzie do niej należeć. Budynek był nieco chaotycznie rozplanowany, dwupiętrowy i tak wielki, że każda z ciotek miała w nim osobny apartament. Mimo swej nazwy Allen Farm nie była nigdy prawdziwym gospodarstwem rolnym. A teraz Molly wcale nie kojarzyła się z domem.

- Zrozum wreszcie, Molly! - wrzasnęła ciotka Henrietta. - Musisz się wyrzec tych nierealnych mrzonek i wrócić z nami do domu. Nie zamierzasz przecież zakopać się w takiej dziurze... - Henrietta machnęła ramię z najwyższą pogardą. - ...z człowiekiem, który nawet nie wie, że należy się przebrać do obiadu! - Z wyniosłą miną wskazywała poszczególne pomieszczenia, niczym przewodnik oprowadzający wycieczkę. - W salonie czai się uzbrojony po zęby strażnik! A w kuchni śpi ten odrażający stwór!

- Teraz, podczas dnia, jest tu znacznie bezpieczniej. - Molly miała nadzieję, że jej słowa uspokoją ciotki, ale wcale jej nie słuchały.

- Nie zapominaj o tej kucharce, co nie umie gotować, Henrietto! - dodała Alvina. - I o tym, że nie ma tu żadnej gospodyni!

Molly usłyszała kroki Wolfa na schodach, choć poru-

szął się niemal bezszelestnie. Gdy nagle stanął w drzwiach, obie ciotki aż podskoczyły.

- Chcesz kawy? - spytała męża Molly, jakby jego wejście nie przerwało zażartej debaty.

Wolf siadł przy stole, odsuwając na bok nie uprzątnięte od wczoraj talerzyki po deserze.

Kiedy Molly podała mu kubek z kawą, postawił go ostrożnie na stole. Czule objął żonę i posadził ją sobie na kolana.

- Dzień dobry, kochanie! - powiedział z uśmiechem.

Molly spodobała się naturalność, z jaką jej dotykał. Nikt inny nie pozwolił sobie wobec niej na takie poufałości. Widziała, że Wolf oswaja się z jej bliskością, podobnie jak ona oswoiła się z nim. Wyglądał znacznie mniej groźnie niż wczoraj przy obiedzie. Gdy patrzył na nią, widziała w jego oczach ciepło. Obejmując ją silne ramię gotowe było bronić jej przed całym światem. Może Wolf nie umiał wystroić się do obiadu, ale za to doskonale wiedział, jak sprawić, by kobieta czuła się bezpieczna i kochana.

- Czy wy zdajecie sobie sprawę, że w pokoju są jeszcze inne osoby?! - warknęła Henrietta.

- Nie - odparł Wolf. Pochylił się lekko i ucałował żonę w usta.

Molly roześmiała się, wiedząc, że Wolf umyślnie prowokuje ciotki. Gdyby nie zjawił się w tak buńczucznym nastroju, musiałyby go jakoś uprzedzić, co się święci.

- Masz ochotę na śniadanie?

Wolf skinął głową, więc zeszła mu z kolan.

Henrietta odchrząknęła i zabrała głos.

- Postanowiłyśmy, że Molly wróci razem z nami. Proszę więc, kapitanie, zamówić dla nas trzy miejsca w popołudniowym dyliżansie. - Odwróciła się do Mol-

ly. - Z przyjemnością pomożemy ci w pakowaniu....  
Choć wątpię, czy po tym pożarze zostało ci coś, co  
warto byłoby zabrać ze sobą. To, co masz w tej chwili  
na sobie, z pewnością nie było szyte na ciebie!

Wolf ani na chwilę nie odrywał oczu od żony.

- A co postanowiła Molly?

- Ze zostaję - odparła. - Ktoś musi mieć na ciebie  
oko!

Wolf mrugnął do niej.

- Wobec tego moja żona zostaje w Austin, szanow-  
ne panie!

- Jest pan w błędzie, kapitanie - zaczęła Henrietta -  
my obie...

Wolf wypił kawę jednym haustem.

- Koniec dyskusji! - oświadczył kategorycznie, nie  
odrywając oczu od zmierzającej do kuchni Molly.

Nikt dotąd nie zwrócił się do ciotek takim tonem!  
Użalały się jeszcze w drodze na stację dyliżansów.  
Wolf pomógł im obu wejść do wnętrza. Molly stała  
w odległości kilku kroków, machając ciotkom na po-  
żegnanie. Nie mogła uwierzyć, że tak łatwo skapitulo-  
wały; obawiała się, że wciągną ją do dyliżansu, jeśli po-  
dejdzie zbyt blisko.

Zanim dyliżans ruszył, Wolf poklepał go dwukrot-  
nie, tak jak *czyni to jeździec z koniem*. W mózgu Mol-  
ly ocknęło się jakieś bardzo odległe wspomnienie.  
Gdyby Wolf jechał konno, nie zauważyłaby tego ge-  
stu, ale w tych okolicznościach wydał się jej nieco oso-  
bliwy... I dziwnie znajomy.



## 24

Molly patrzyła, jak dylizans znika jej sprzed oczu. Miała wrażenie, że właśnie zamknął się raz na zawsze pewien etap jej życia. Zapewne ujrzy znowu swoje ciotki, może nawet odwiedzi Allen Farm, ale to już będzie całkiem co innego. Lata bezpłodnych marzeń dobiegły końca. Było tyle do zrobienia!

- Lepiej już wracajmy! - Wolf podał jej ramię; wicher gnał chmury piasku, tworząc maleńkie trąby powietrzne. W oddali huknął grom niczym wystrzał z działa.

- One w gruncie rzeczy nie są takie straszne... - szepnęła Molly.

- Czyżby?

Molly roześmiała się.

- Niech ci będzie: są straszne, ale mają dobre intencje. Zdaje się, że wreszcie zaczynam rozumieć coś, co powiedział mi pewnego razu ojciec: „Szczęście w życiu polega na produkcji, nie na konsumpcji!” Moje ciotki zawsze były konsumentkami; nigdy nie rozumiały mojej potrzeby tworzenia, dawania czegoś z siebie... Ale po swojemu zawsze chciały dla mnie jak najlepiej.

- Wiem - odparł Wolf z całą powagą. - Właśnie dlatego ich nie zamordowałem.

Przez sekundę Molly sądziła, że mówi poważnie. Wyglądał na człowieka, który nie rzuca gróźb na wiatr. Zaraz jednak zorientowała się, że to głupi żart, i dała Wolfowi porządnego kuksańca w bok.

Ku jej zdumieniu Wolf odpłacił jej pięknym za nadobne; tyle tylko że podtrzymał ją, by nie upadła.

Szli teraz po ulicy ręka w rękę, zygzakami, i spychali się nawzajem z chodnika. Zabawne: znowu wdałam się w płasy z niedźwiedziem! - pomyślała Molly. Tylko nie bardzo wiem, kto tu kogo tresuje...

Kiedy skręcili w boczną ulicę i skierowali się w stronę domu, wokół nich zaczęły padać z pluskiem grube krople deszczu, tworząc miniaturowe kałuże. Niebo szybko zaciągnęło się chmurami, poranek zmienił się w zmierzch. Wolf przyspieszył kroku; osłaniał żonę ramieniem, by nie zmokła.

Molly sekundę wcześniej niż on dostrzegła Charliego Filmore'a, siedzącego na stopniach ganku. Mały człowieczek trzymał się za głowę okrwawionymi rękami i wrzeszczał: „Ratunku, ratunku!”

Molly pierwsza puściła się pędem, ale po kilku krokach Wolf ją wyprzedził. Dopadł Charliego, trzymając w obu rękach colty. Kiedy Molly przyklękła obok rannego, Wolf jednym przenikliwym spojrzeniem zmierzył dom od zewnątrz i wpadł do środka.

- Charlie! - Molly próbowała skłonić go, by opuścić rękę; chciała zbadać obrażenia głowy. - Charlie, co się stało? Pozwól, że obejrzę ranę! - Od dawna obawiała się, że kalekie nogi załamają się kiedyś pod Charliem i staną się przyczyną jakiegoś nieszczęścia.

- Nie! - zaszlochał. - Chcę umrzeć! - Krew ciekła mu z rany w głowie i spływała między palcami.

- Ależ, Charlie! Pozwól mi to obejrzeć! - poprosiła znów Molly; zorientowała się, że krew tryska z rany w rytm uderzeń jego serca.

Stanął przed nimi Wolf, nadal z rewolwerami w rękach.

Molly poprosiła go spojrzeniem o pomoc, ale on przebiegał wzrokiem ulicę.

Spytał twardo, choć bez wrogości:

- Gdzie ona jest, Charlie? Gdzie dziecko?

Molly zerwała się i zrobiła krok w stronę domu.

- Callie Ann?! - Rozum podpowiedział jej, że dziewczynki nie ma wewnątrz; gdyby była, Wolf nie zadałby tego pytania!

Charlie zachłystywał się rozpaczliwym szlochem.

- Early była na górze... jakiś bandzior wpadł do salonu... skoczył na Josha... Inny dopadł mnie na korytarzu... Wrzasnąłem do małej: „Uciekaj!”... Była w połowie schodów... i wtedy... na górze... strzał... Callie chciała zbiec do mnie... Trzeci... wyszedł z sypialni i ryknął „O jedną... dziwkę... mniej”...

Pomieszane ze łzami słowa Charliego zlewały się w bełkot.

- Ten mój bandzior... wrzasnął: „Łap dzieciaka, wiemy!”... Rąbnął mnie kolbą...

Mały człowieczek opanował się trochę i mówił dalej:

- Upadłem, ale widziałem... tłucli Josha,.. Diggerowie... ze swoją bandą. Mogę przysiąc! Callie Ann krzyczała... wierzyła... A potem... już nic... Jak się ocknąłem... ich już nie było...

Molly podniosła wzrok. Na dziedzińcu stała gromada sąsiadów i strażników. Wszyscy, moknąc na deszczu, słuchali Charliego.

Nim zdążyła jakoś zareagować, Wolf zaczął wyrzucać z siebie rozkazy jak pociski karabinowe. Wszyscy je spełniali, nikt nie zadawał zbędnych pytań. Jedynie do żony zwrócił się Wolf cichszym głosem.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Pomożesz mi?

Molly skinęła głową, walcząc ze łzami.

- Posłałem już po Washburna, ale mamy troje rannych. Charlie, Josh, a na górze Early.

- Early żyje?!

- Ledwie dyszy. - Wyraz twarzy Wolfa nie napawał optymizmem. - Możesz się nimi zająć? Potrzebuję wszystkich moich ludzi: ruszamy w pościg, by odbić Callie Ann.

Molly przystąpiła już do działania. Dwaj mężczyźni wprowadzili Charliego do domu. Molly drżała od stóp do głów. Pragnęła zaszyć się w jakiś kąt i płakać. Ale wezwano ją do pomocy. Musiała spełnić swój obowiązek.

Najpierw zrobi co tylko można dla rannych, a potem sama ruszy za Diggerami. Przez całe życie pomagała ludziom, ale jeśli ci bandyci wyrządzili jakąś krzywdę Callie Ann, zastrzelili ich i zostawi na pastwę sępów!

Kiedy weszła do domu, Josh usiłował się podnieść. Wyglądał tak, jakby przebiegło po nim stado bawołów, ale żył. Zajął się już nim inny strażnik.

Molly wbiegła na górę. Ciało Early leżało na dywaniku obok niezasałanego łóżka. Molly bardzo ostrożnie przewróciła dziewczynę na plecy i przeraziła się. Postrzelono ją w pierś. Wszędzie było pełno krwi.

Pochyliła się jeszcze niżej i usłyszała płytki oddech Early.

Obejrzała się na dwóch ludzi stojących we drzwiach.

- Znieście ją na dół i ułóżcie na stole w jadalni! Jak najszybciej!

Pobiegła przodem i jednym ruchem zmiotła ze stołu wszystko, co na nim stało. Rozpostarła na blacie biały obrus, nim obaj mężczyźni dotarli do podnóża schodów.

Molly nie miała czasu, by krążyć między dwoma pokojami.

- Połóżcie ją na jednym końcu stołu - poleciła Molly - a na drugim Charliego!

Charlie nadal płakał, gdy podszadzano go na stół.

- Chcę umrzeć! - powtarzał. - Dajcie mi umrzeć!

Kiedy jej pomocnicy pobiegli po środki opatrunkowe, Molly chwyciła Charliego za ręce, którymi zasłaniał oczy.

- Słuchaj, Charlie! Słuchaj uważnie! Panna Early nadal żyje, ale nie wiem, jak długo wytrzyma. Musisz tu leżeć, bardzo spokojnie, i mówić do niej. Early bardzo chętnie z tobą rozmawia, prawda? Może i teraz, kiedy usłyszy twój głos, zechce pozostać dłużej z nami... a ja zdążę przez ten czas zaszyć jej ranę.

Charlie przestał płakać i popatrzył na leżącą obok dziewczynę.

Widząc ból w jego oczach, Molly zawołała:

- Nie waż się teraz rozklejać, Charlie! Jesteś nam bardzo potrzebny. - Obeszła stół i stanęła przy Early. - Muszę jej natychmiast udzielić pomocy. Nie mogę w tej chwili zająć się tobą. Leż spokojnie i nie wykrwaw mi się na śmierć, kiedy będę pracowała przy niej!

Oczy Charliego rozszerzyły się ze strachu, ale zrobił to, co Molly mu poleciła. Przyciskając mocno szmatę do swej rany w głowie, zaczął przemawiać do Early. Zapewniał dziewczynę, że z pewnością wyzdrowieje, że w ogóle nie wolno jej myśleć o umieraniu.

W głowie Molly kotłowały się myśli o Callie Ann, ale ręce pracowały z szybkością błyskawicy. Rana Early była wyjątkowo poważna. Cud prawdziwy, że dziewczyna jeszcze oddychała! Nie było czasu na wahanie ani na to, by poczekać na Washburna. Należało działać, i to bezzwłocznie.

Kiedy przyniesiono środki opatrunkowe, Molly przy-

cisnęła z całej siły płótno do piersi Early, by zmniejszyć krwotok, a potem obejrzeć dokładniej ranę.

Nagle pojawił się obok niej doktor Washburn, zlan-ny deszczem i bez tchu.

- Co my tu mamy? - spytał.

- Trzeba wydobyć kulę z rany i zatamować krwotok.

Washburn skinął głową i rozłożył na stole instrumen-ty chirurgiczne. Zamiast jednak odsunąć Molly i zająć jej miejsce, doktor podał jej pierwsze z narzędzi.

- Ależ ja nie mogę! - zawołała zdumiona Molly. Przyglądała się podobnym operacjom, ale sama dotąd nic takiego nie robiła. - Ja nigdy...

- Ja także nie - odparł młody doktor. - Niebawem przybędzie pomoc, ale zjawią się najwcześniej za go-dzinę. Czy możemy tak długo czekać?

Jak mógł ją o to pytać? Skąd miała wiedzieć?! Ni-gdy nie chciała być lekarzem. Nie zdobyła nawet kwa-lifikacji pielęgniarki! Tak, ale jej maści i proszki nie ulecza Early.

- Chyba nie - szepnęła.

- Ja też tak myślę - odparł Washburn.

Pracowali ramię przy ramieniu, starając się zatamo-wać krew. Kilkakrotnie sondowali ranę, nim zdołali wydobyć kulę. Wreszcie zakrwawionym rękami Mol-ly nawlokła igłę i zaczęła szyć.

Przez cały czas powtarzała sobie: Muszę zrobić, co w mojej mocy! To dla Early jedyna szansa!

W pokoju rozbrzmiewał głos Charliego, łagodząc nieco napięcie i trwogę, które unosiły się w powietrzu jak wilgotna mgła. Charlie opowiadał Early, jak trzy-krotnie do niego strzelali, zwierzał się jej z tego, co mu przychodziło wtedy do głowy, i zapewniał dziewczy-nę, że nawet przez chwilę nie myślał o umieraniu.

Early nie poruszyła się ani razu. Może była już zbyt blisko śmierci, by z nią walczyć? A może jednak słyszała Charliego i pojmowała, że swymi słowami walczył o jej życie tak mężnie, jak nigdy nie walczył o swoje...

Kilkakrotnie zza okna dolatywał do Molly głos Wolfa: wykrzykiwał jakieś rozkazy. Uderzenia piorunów, od których drżały szyby, wydawały się echem jego wściekłości.

Asystent, który przybył z doktorem Washburnem, obejrzał Josha i zameldował, że młody strażnik ma dwa złamane żebra, liczne skaleczenia i sińce, ale chce za wszelką cen wrócić do pełnienia obowiązków. Asystent oświadczył, że nie jest w stanie powstrzymać Josha... chyba żeby go znokautował.

Narzędzia wyślizgiwały się z coraz bardziej zmęczonych palców Molly. Z Washburnem nie było lepiej. Kiedy zdołali zaszyć ranę Early, zjawili się dwaj lekarze ze szpitala stanowego, obaj starsi i bardziej doświadczeni. Tonący we krwi blat stołu nie zrobił na nich żadnego wrażenia.

- Dobra robota! - powiedział jeden z doktorów. - Sam bym tego lepiej nie potrafił! - Miał siwe włosy i brodę, przypominał nieco ojca Molly.

Drugi z lekarzy ostrożnie ściągnął szmatę z głowy Charliego.

- Ten człowiek omal się nie wykrwawił na śmierć!

Charlie miał zamknięte oczy. Molly nie potrafiłaby powiedzieć, od jak dawna nie słyszeli jego głosu.

Obaj lekarze zdjęli surduty i zakasali rękawy. Siwołosy doktor zmierzył Molly przenikliwym wzrokiem.

- Proszę zakończyć pracę przy tej dziewczynie, a my zajmiemy się jej chłopcem.

Molly zamierzała już wyjaśnić doktorowi, że Char-

lie wcale nie był „chłopcem” panny Early. Spojrzała jednak na środek stołu, gdzie złączyła się krew obojga. Ręka Charliego była mocno zaciśnięta na dłoni dziewczyny. Molly zrozumiała, że jeśli jedno z nich zastuka tej nocy do bram śmierci, to drugie pospieszy za nim i razem przejdą na drugą stronę.

## 25

Wolf obserwował żonę przy pracy i ogarniała go coraz większa duma. Ileż to razy Molly powtarzała mu, że ani myśli zostać doktorem? Ileż razy będzie musiała przeżyć coś takiego, nim wreszcie pojmie, jak wygląda prawda? Od samego początku Wolf dostrzegł w jej zielonych oczach żywą inteligencję, a w dotyku ręki iście lekarską troskliwość. Może właśnie to sprawiło, że pokochał Molly od pierwszego wejrzenia na dworcu kolejowym przed wielu laty. Może do dziś stanowiło to częśćkę jego miłości do niej.

Molly przypominała mu nowo narodzone dziecko, po raz pierwszy stykające się z życiem, reagujące zarówno na dobro, jak na zło nieco nieufnym zainteresowaniem. Brało do rączek wszystko, z czym się zetknęło. A Molly z jakiegoś powodu wyciągała teraz ręce po niego. Nie wiedziała, że on należy już do niej, że zawsze do niej należał.

Wolf pragnął z nią porozmawiać, ale teraz nie było na to czasu. Molly miała swoje obowiązki, on swoje. Tylko że burza udaremniała jego misję, zmieniała ją w prawdziwe piekło. Rozesłał swoich ludzi, by tropili wszelkie śla-



dy w takiej odległości, jaką może pokonać jeździec na koniu. Strażnicy wyruszyli po dwóch, żeby co kilka godzin jeden z nich mógł wrócić, donosząc o rezultatach. Nie znaleźli jednak niczego. Policja miejska przeczesała całe Austin, wypatrując kryjówek, w której Diggerowie mogli się przyczaić wraz z dzieckiem. I znowu nic. Wyglądało na to, że banda Diggerów opuściła dom Molly wraz z wrzeszczącym dzieckiem... i zapadła się pod ziemię.

- Kapitanie? - Siwowłosa doktor zbliżył się do Wolfa, unosząc w górę zakrwawione ręce. - Robimy co w naszej mocy dla tego małego człowieczka. Ktoś wspomniał, że bandyci powalili strażnika... ale on chyba nie może być strażnikiem?...

- Jest strażnikiem - odparł Wolf bez wahania.

Stary lekarz (Washburn nazwał go chyba doktorem Harleyem?...) skinął głową.

- Natrafiliśmy podczas zabiegu na odłamki kości, które dawno należało usunąć.

- Raniono go trzykrotnie w głowę podczas wojny - wyjaśnił Wolf.

Doktor Harley potrząsnął głową.

- Musiał być wtedy bardzo młody, inaczej czaszka by się nie zrosła. Myślę, że zdołamy trochę mu pomóc i złagodzić nieco ból, który go dręczy. Ten, kto go wówczas łątał, spartaczył sprawę. Dziwię się, że chłopak nie stracił rozumu: znosił nieustanne męki.

- Proszę, niech pan zrobi dla niego, co się tylko da, doktorze. - Wolf nigdy się nie zastanawiał nad wiekiem Charliego. Ze swą zniekształconą twarzą i okaleczonymi nogami Charlie robił wrażenie starca; zresztą Wolf nigdy mu się nie przyglądał dokładniej. - A co z dziewczyną? - spytał, nim doktor zdążył odejść.

- Nadal żyje, ale nic więcej nie potrafię powiedzieć.

Pani doktor dokonała niemal cudu, ale upłynie wiele godzin... może nawet dni, nim będziemy wiedzieć coś pewnego. Jednak z każdym oddechem szanse tej dziewczyny na ocalenie rosną.

Wolf podziękował doktorowi i wyszedł z domu. Znalazłszy się na ganku, napełnił płuca wilgotnym powietrzem w nadziei, że uwolni się od zapachu krwi. Przez chwilę wpatrywał się w niebo. Burza srożyła się nadal. Będą szukali śladów w grząskim błocie. Zszedł z ganku, nie zważając na ulewę. Josh powiedział mu, że Callie Ann wrzeszczała do porywaczy: „Wstrętni! Paskudni! Mój Wolf jeszcze wam pokaże!”

No cóż, mała księżniczka pasowała go na swego rycerza. Będzie jej szukał tak długo, aż znajdzie. I miała słusność: on jeszcze pokaże tym porywaczom!

Do północy jeździł konno, sprawdzając każdy ślad, każdy trop. Co kilka godzin zmieniał konie, by nie zamęczyć zwierząt tak, jak zamęczał siebie. Zgłosiło się kilka osób, które dostrzegły grupę mężczyzn z małą, jasnowłosą dziewczynką. Jeśli świadkowie się nie mylili, Callie Ann (na szczęście!) była nadal żywa i wrzaskliwa. Jednak wszelkie ślady urywały się.

Wolf dwukrotnie przesłuchiwał Millera. Przedsiębiorca pogrzebowy zachowywał się tak nerwowo, że z pewnością o czymś wiedział. Nabrał jednak wody w usta. Callie Ann opowiedziała Wolfowi o tym, że Miller przed pożarem wykradł z drogerii zapasowy klucz. Wolf postanowił mieć na oku przedsiębiorcę pogrzebowego, sądząc, że doprowadzi go do sprawców zbrodni. Nie tylko przecucie, ale i rozum podpowiadały mu, że byli to bracia Diggerowie.

Na domiar złego deszcz ciągle padał i w końcu zmusił Wolfa do powrotu. Nie było innego wyjścia: trze-

ba się przespać kilka godzin i o świcie rozpocząć od nowa poszukiwania. Szalejąca burza nie pozwalała mu nawet rozpoznać własnych ludzi w odległości pięciu stóp. Bracia zaszyli się z pewnością w jakiejś dziurze i nie wyleżą stamtąd, póki burza nie minie.

Wolf odprowadził swego konia do stajni strażników, zatroszczył się o jego potrzeby i ruszył do domu Molly ulicami, które zamieniły się w strumienie. Ich dom jaśniał wśród deszczu i mroku jak latarnia morska. We wszystkich pokojach na parterze paliło się światło, podczas gdy sąsiednie domy spokojnie spały.

Na werandzie Wolf zdjął kapelusz, siejąc deszczem kropel na wszystkie strony. Zawahał się przy drzwiach: ciężko mu było stanąć przed Molly i przyznać, że do tej pory nie odnaleźli Callie Ann. Obiecywał bronić „wszystkich swoich kobiet”, a tymczasem Early może już nie żyła, a Callie Ann wpadła w łapy porywaczy!

Wreszcie otworzył drzwi. Na schodach z kubkiem kawy w ręku siedział Frank Washburn.

- Dobry wieczór, kapitanie! - wymamrotał. - Dobre wieści?

Wolf potrząsnął głową.

- A co u was?

Washburn wzruszył ramionami.

- No cóż... oboje nadal żyją. Przenieśliśmy ich do dzieciennego pokoju, bo są tam dwa łóżka. Pielęgniarka czuwa przy nich na wypadek, gdyby zaszły jakieś zmiany. Stary doktor Harley chrapie w saloniku, ale kazał pielęgniarce, żeby go obudziła w razie jakichś kłopotów. - Młody lekarz odetchnął głęboko. - W tej chwili wygląda na to, że panna Early i Charlie Filmore ścigają się ze sobą: kto prędzej wskoczy do grobu?

Wolf ściągnął z siebie płaszcz nieprzemakalny i zawiesił go na kołku przy drzwiach.

Doktor podniósł się powoli.

- Chyba pora zmierzyć się z tym deszczem i popłynąć do domu. Nie ma tu dla mnie nic więcej do roboty. - W ciągu tego jednego dnia Frank Washburn postarzał się o kilka lat.

- Kapitanie?

- Słucham? - Wolf czekał na słowa doktora.

- Brał pan udział w "wojnie, prawda?

- Prawda.

- Czy to, co dziś przeżyliśmy, było podobne do tego, co działo się w polowych lazaretach?

Kapitan uśmiechnął się. Od końca wojny minęły zaledwie cztery lata, a już miejsce wspomnień zajmują opowieści z drugiej ręki!

- Tam było gorzej, Frank. O wiele gorzej!

Młody doktor skinął głową.

- Tego się obawiałem...

- Gdzie jest moja żona?

- Kiedy ją widziałem ostatnio, szła na tylny ganek z ręcznikiem i mydłem. Powiedziała, że chce się porządnie umyć na deszczu.

Wolf zaproponował doktorowi swój płaszcz nieprzemakalny, powiedział „dobranoc” i skierował się w stronę kuchni. Na stołach pod ścianą leżało mnóstwo żywności. Wolf uśmiechnął się szeroko. To był zwyczaj południowców: gdy tylko zdarzyło się jakieś nieszczęście, przynosili poszkodowanym coś do zjedzenia.

Wyszedł na tylny ganek i ujrzał w świetle błyskawicy sylwetkę Molly. Zdjęła z siebie bluzkę i namydliwszy ramiona, wystawiała je na strumienie deszczu spływające z dachu. Włosy zwisały jej w mokrych kędzio-

rach na plecy. Przemoczona koszula oblepiała ciało jak druga skóra.

Wolf przyglądał się żonie; trzykrotnie wychylała się na deszcz, nim zrozumiał, że nieprędko z tym skończy. Powoli podszedł do niej.

Kiedy wyczuła czyjaś obecność za swymi plecami, w pierwszej chwili aż podskoczyła ze strachu, ale potem odprężyła się z ulgą w ramionach męża.

Wolf wyjął jej z dłoni mydło i odłożył je na bok. Potem pociągnął Molly za rękę tak, by deszcz spłukał z nich resztę ługu. Kiedy objął żonę, zorientował się, że jest kompletnie przemoczona.

Przez chwilę tulił ją bez słowa, radując się bliskością Molly, spragniony bezpiecznej przystani jej ramion - choćby na krótko.

Nie obowiązywały już między nimi żadne „reguły gry”. Wspólnie przeżyty koszmar sprawił, że wszystko to nie miało już znaczenia. Wolf potrzebował Molly i wiedział, że w tej chwili i ona potrzebuje go równie rozpaczliwie. Znajdowali we wzajemnym uścisku spokój, którego tej nocy nie mogli odnaleźć w żaden inny sposób.

Bez słowa Wolf wziął żonę na rękę i wszedł z nią do domu. Oparła głowę na jego ramieniu, gdy niósł ją po cichu po schodach na górę. Minęli pokój Callie Ann. Charlie, z głową i twarzą okutaną bandażami, spoczywał na jednym łóżku, Early na drugim. Siedząca pomiędzy nimi pielęgniarka uśmiechnęła się do Wolfa, kiedy przechodził obok. Dała znać ruchem głowy, że nie nastąpiła żadna zmiana.

Wolf zamknął drzwi sypialni i ostrożnie postawił Molly na podłodze koło kominka. Stała bez ruchu, gdy rozpalał ogień. Barwne kafelki zamigotały w blasku jakże upragnionych, niosących ciepło płomieni. Wolf

ściągnął kilka ręczników ze stojaka obok umywalki i nie zapalając lampy, wrócił do Molly. W blasku ognia zaczął zdejmować z niej ubranie.

Molly przyglądała się uważnie mężowi, rozpinającemu niezręcznie guziki przy jej pasku. Spódnica opadła na podłogę. Nie było sensu pytać Wolfa o Callie Ann: gdyby coś się zmieniło, sam by jej o tym powiedział. Nawet w słabym świetle widziała skrajne zmęczenie i smutek w jego oczach.

Dotyk wielkich rąk Wolfa, sunących po jej ciele, zdejmujących z niej ubranie warstwa po warstwie, przynosił Molly ukojenie. Była obolała wewnętrznie, napięta do ostatnich granic, o krok od załamania. W jego dotknięciu było tyle troski, jakby wiedział, że chwiała się na skraju przepaści.

Kiedy stanęła przed nim całkiem naga, ukląkł i zaczął wycierać ją ręcznikiem. Obracała się tak, jak jej polecił. Ciepło ręcznika i ciepło jego rąk koiło Molly. Osuszał i pieścił całe jej ciało, a potem wstał i zaczął rozczesywać palcami jej włosy. Delikatnie przechylił Molly do tyłu, podtrzymując ramieniem, by nie upadła. Jej loki zwisały teraz luźno w ciepłym powietrzu, płynącym od kominka. Wolf kołysał Molly w łagodnym rytmie, póki jej włosy nie wyschły.

Potem owinał ją w pikowaną kołdrę, dzieło ciotki Alviny, i posadziwszy żonę przy ogniu, sam zaczął się rozbierać.

Bez pośpiechu odpiął pas z bronią, jakby odrzucał od siebie wszystko, co wiązało się z jego zawodem. Kiedy jednak powiesił pas na podpórcę łóżka, Molly zrozumiała, że w każdej chwili gotów będzie wrócić do swych obowiązków. Sądziła, że mąż powstrzyma się od zdjęcia spodni, ale je zdjął. Jakby nieświadom

tego, że Molly mu się przygląda, ściągnął całe ubranie i zaczął się suszyć przy ogniu.

Migotliwy blask płomieni lśnił na jego ciele; podkreślał jego potężne mięśnie, gładkie płaszczyzny ciała, szramy. Błyskawica przecięła mrok za oknem. W jej świetle Wolf przypominał dzikie, silne zwierzę: był groźny i piękny.

W końcu odwrócił się znów do żony; przegarnął palcami wilgotne włosy i podszedł do niej.

Podniósł ją na nogi, wtedy kołdra opadła na ziemię, a on przyciągnął Molly do siebie.

Gdy zetknęły się całe ich ciała, Molly miała wrażenie, że stykają się nie tylko naskórkiem, ale i sercami. Objęła Wolfa za szyję i wtopiła się w niego bez reszty, czując, że jakimś sposobem ten człowiek stał się częścią jej istoty.

Przez długą chwilę tulili się w ramionach. Molly oddychała tylko nim, tylko jego czuła; bicie jego serca było jedynym dźwiękiem w świecie. Żadne marzenia nie mogły dorównać takiej rzeczywistości!

Po chwili Molly poczuła dotyk rąk Wolfa na swoim ciele; ta pieśczoć wydała się jej tak naturalna, że nawet nie uświadomiła jej sobie od razu. Czuła łagodny dotyk na biodrach, plecach, bokach...

Odchyliła się do tyłu, wiedząc, że Wolf podtrzymuje ją ramieniem. Zamknęła oczy i chłonoła całym ciałem ciepło jego rąk. Była to pieśczoć tak delikatna, tak doskonała...

Kiedy Molly znów się wyprostowała i oparła o potężne piersi męża, miała wrażenie, że znalazła wreszcie swój dom. Wolf nie pocałował jej dotąd, choć byli tak blisko, że czuli nawzajem swe tchnienie. Odgarnął jej włosy z ramion, pochylił się ku szyi Molly i wdychał

jej zapach tak, jakby był dla niego bardziej życiodajny niż powietrze.

Poczuła na swym ciele jego rozchylone wargi i przechyliła głowę, by mógł ją całować do woli. Rozkoszny dotyk języka sunącego po jej szyi sprawił, że Molly aż osłabła z pożądania. Pewnie by upadła, gdyby Wolf nie obejmował jej tak mocno. Kiedy się już całkiem zatraciła w doznaniach, które rozgrzewały jej krew jak wino, Wolf podniósł głowę.

Jego brązowe oczy płonęły namiętnością i pożądaniem tak wielkim, że Molly zabrakło tchu. Wziął ją na rękę, zaniósł do łóżka i delikatnie położył na brzuchu.

Sądziła, że wyciągnie się obok niej, ale nieoczekiwanie zniknął. Ogarnęła ją nagła panika: czyżby jeszcze jeden sen? Czyżby miała już nigdy nie zaznać tej niebiańskiej rzeczywistości?

Wówczas Wolf pojawił się znowu, stanął koło jej łóżka z leczniczym pudrem, którego używała tamtej nocy, gdy ujrzała ją nago. Bez słowa wysypał sobie trochę pudru na dłoń i bez pośpiechu zaczął wcierać go w jej skórę. Jego twarde dłonie głaskały ją od ramion po kolana. Tą łagodną pieszczotą leczył jej zmęczone mięśnie i wskrzeszał zniweczone marzenia.

Molly przewróciła się na plecy, pozwalając, by nadal ją głaskał. Palce Wolfa zakreślały kręgi wokół jej piersi. Gdy tak poznawał dotykiem jej ciało, wpatrywała mu się w oczy. Ujrzała w nich niezgłębioną rozkosz i siebie samą: piękną, godną miłości, upragnioną ponad wszystko.

On zaś poznawał Molly pieszczotą tak zachłanną, jakby przez całe życie był spragniony tylko jej. Wciągał ją w swój świat, realny świat dotyku. Stwarzał ją na nowo dotknięciem swych rąk, raz za razem, aż wyzby-



ła się wszelkiej niepewności i nieśmiałości. Ilekroć odprężyła się całkowicie, nabierał nowej odwagi. Zaczyła ją swoim dotykiem, a ona chętnie na to się godziła.

Z wolna ciepło jego rąk rozpałiło w niej pożar, jakiego dotąd nie znała. Poruszała się w rytm jego dotknięć - wrażliwa, kochająca... Kiedy na koniec ich usta się zetknęły, Molly wręcz czuła głód. Z głębokim westchnieniem wyciągnęła ramiona do Wolfa i uświadomiła sobie, jak bardzo czekała na ten pocałunek.

Wolf pochylił się nad nią, a ją ogarnęła radość tak wielka, że drżała z niecierpliwości. Objęła go ramionami i przyciągnęła do siebie, spragniona wszystkiego, co chciał jej ofiarować.

Pocałował ją z czułością, nieśmiało. Molly odwzajemniła się niemal drapieżnym pocałunkiem. Z każdą pieśczołą stawała się bardziej namiętna.

Kiedy Wolf znalazł się znów obok niej, cicho jęknęła z rozczarowania, ale gdy jego ręce zaczęły od nowa wędrować po jej ciele, zrozumiała, że tak właśnie powinno być. Jego pocałunki stały się bardziej zmysłowe, dotyk coraz śmielszy. Jego ręka zakradła się pomiędzy jej nogi i rozchyliła je, nie napotkawszy oporu. Wolf osunął się znów na nią i Molly zapadła się głęboko w pościel.

Kiedy w nią wszedł, jęknęłaby z bólu, gdyby nie zamykał jej ust pocałunkiem. Słyszała, że Wolf coś jej szepcze na ucho, ale nie rozumiała ani słowa. Przelewały się przez nią potężne fale zmysłowych doznań. Cały świat przestał istnieć. Był tylko Wolf i to, co działo się między nimi.

Ból zelzał, a żar obejmującego ją ciała przeniknął w jej ciało. Poddała się fali podniecenia, które ją ogarnęło.

Zapagnęła nagle czegoś więcej. Uchwyciła się Wolfa w obawie, że pozostawi ją samą z trawiącym ją za-

rem. Że będzie musiała umrzeć z tego bólu namiętności i pożądania.

I nagle niepojęta tęsknota przeistoczyła się w ekstazę. Obejmowała go kurczowo, a gdy przetoczyły się przez nią fale gwałtownej rozkoszy, Molly drżała na całym ciele.

Wolf wyniósł ją z tego odmętu w swych ramionach na bezpieczny brzeg. Uspokajał ją czułym dotykiem i obsypywał jej ciało delikatnymi pocałunkami.

Molly odprężyła się; była zbyt wyczerpana, by zastanawiać się nad tym, co się z nią stało.

Kiedy zapadała w głęboki sen, usłyszała ciche słowa wyszeptane z południowym akcentem:

- Będę cię kochał wiecznie, Molly.

## 26

- Molly - szepnął jej do ucha Wolf.

Poruszyła się i wyciągnęła do niego ramiona w ciemności. Ogień na kominku wygasł, w pokoju zrobiło się chłodno. Molly słyszała, jak deszcz bije w okna, ale w objęciach Wolfa było jej ciepło i przytulnie.

- Hmm... - mruknęła, przesuwając dłonią po jego sercu.

- Molly? - Wolf uniósł Molly do siedzącej pozycji, domagając się, żeby oprzytomniała. - Musimy się schować pod kołdrę! - Nie czekając na odpowiedź żony, podniósł ją z łóżka.

Odrzuciwszy kołdrę, na której dotąd leżeli, ułożył

znów Molly na dawnym miejscu, a ona objęła go ramionami. Jej senne ciało pragnęło jego bliskości,

już miała znowu zasnąć, gdy szepnął jej do ucha:

- Nie śpisz, prawda? - Potrzęsnał ją lekko za ramię. - Molly! Nie śpij!

- Dlaczego? - ziewnęła. - Chyba to jeszcze nie rano?... Niemożliwe!

- Ponieważ chcę, żeby moja żona była przytomna, kiedy będę się z nią kochał. - Śmiało objął jej pierś. - *Całkiem* przytomna!

Molly przetarła oczy i starała się dostrzec go w mroku.

- Znowu? - szepnęła, gdy przyciągnął ją bliżej. Jej nagie ciało instynktownie garnęło się do niego.

- Znowu! - roześmiał się Wolf i przytknął usta do piersi, którą dopiero co obejmował.

Molly otworzyła szeroko oczy; przeszył ją rozkoszny dreszcz.

- Wolf! - zawołała, gdy pojęła, do czego mąż zmierz. - Wolf! - powtórzyła niemal błagalnie w obawie, że przestanie ją pieścić.

Wolf witał się z jej ciałem tak, jakby poznawał je po raz pierwszy. Molly usiłowała zachować resztki samokontroli.

- Żebyś robił nie wiem co, Wolfie Hayward, i tak ci nie powiem, że cię kocham!

Wolf wydawał się znacznie bardziej zainteresowany reakcją jej ciała na pieszczoty niż słowami. W końcu mruknął:

- W porządku. Ja też ci nie powiem, że cię kocham.

W ciepłym gnieździe pod kołdrą odbyli kolejną podróż do raj. Tym razem nie zaznała bólu, jedynie słodkiej rozkoszy. Wolf pieścił Molly bez pośpiechu:

pragnął utrwalić ją w sobie, tak by na zawsze pozostał; w nim jej smak, dotyk i zapach.

Na koniec, gdy leżała całkiem wyczerpana w jego ramionach, Wolf uśmiechnął się i odgarnął jej włosy, klejące się do spotniałego ciała. Nie mógł się powstrzymać i powiódł rozwartą dłońią po całym ciele Molly. Zakreślił krąg na jej brzuchu, myśląc o tym, że kiedyś właśnie tu, we wnętrzu jego żony, będzie rosło ich dziecko.

Molly niemal już zasypiała, ale nadal reagowała na jego dotyk. Przycisnął lekko dłoń do jej ciała.

- Kocham cię, Molly. - Wypowiedział te słowa, choć przysięgał sobie, że ich nie wymówi, póki nie usłyszy tego samego z jej ust. - Kocham cię i będę cię kochał aż do śmierci.

Pochylił się tak, że dotknął twarzą miejsca, w którym będzie rosło jego dziecko; ucałował żonę właśnie tutaj. Pozwalała mu robić, co chciał. Ciałem należała już do niego.

Wizja własnego dziecka przywiodła mu na pamięć Callie Ann. Z trudem zmusił się, by wstać i opuścić Molly. Nie powinien dłużej spać! Udało mu się wykraść dla siebie tych kilka godzin, ale pora już wracać z rajku. Kiedy ujrzał Molly na ganku, nie zamierzał się z nią kochać; chciał ją tylko tulić i ochraniać.

Wkładając ubranie, przyglądał się żonie. Teraz, gdy poznała smak namiętności, stała się jeszcze piękniejsza. Poczuł się bardziej zagubiony niż Callie Ann. Zakochał się w kobiecie, która tylko bawiła się w małżeństwo. Nie tylko ją kochał, ale był na tyle głupi, że jej o tym mówił!

Nieraz widywał mężczyzn, którym miłość odebrała rozum, i przysięgał sobie, że z nim nigdy tak się nie stanie. A teraz musiał użyć całej siły woli, by nie wrócić do

łóżka, do Molly! To po prostu kobieta, taka jak wszystkie - tłumaczył sobie. Zwykła kobieta z krwi i kości. Uparta i niemal pozbawiona poczucia realizmu. Była jednym z najlepszych lekarzy w okolicy, a wmawiała sobie, że jest tylko aptekarką. Chciała wyjść za mąż i gotowa była oddać swe ciało, ale broniła zawzięcie swego serca.

Wolf sięgnął po swój pas z bronią i zapiął go. Doshedł do wniosku, że będzie musiał postrzelić się w nogę. Może wtedy choć trochę się opamięta? Inaczej niedługo dostanie kompletnego fioła, rozpije się, będzie zebrać o drinka i nocować w ryszotku! Wolf roześmiał się. Nie ma takiej ilości alkoholu, która wypłukałaby Molly z jego krwiobiegu!

Miał ochotę obudzić Molly i powiedzieć jej „do widzenia”, ale uznał, że bezpieczniej będzie się do niej nie zbliżać.

Nie powiedział więc nic i wyszedł z pokoju.

W domu nadal panowała cisza. Wolf zajrzał do Charliego i Early. Spali spokojnie, pielęgniarka również. Charliemu lekko drgała ręka, jakby chciał po coś sięgnąć. Twarz Early była biała jak prześcieradło, ale dziewczyna nadal oddychała.

W kuchni Wolf zauważył, że na tłących się jeszcze węgłach wciąż stoi garnek z kawą. Parzyła się tak długo, że była niemal gęsta, ale za to gorąca. Obudziła go raz dwa. Stojąc pod oknem i wpatrując się w deszcz zjadł połowę funtowego placeka\*, który znalazł owinięty w serwetkę.

"Określenie „pound cake” (funtowy placek) nie oznacza bynajmniej placeka o wadze 1 funta; zjedzenie połówki - ok. ćwiercy kilograma - nie byłoby dla Wolfa specjalnym osiągnięciem. Ale funtowy placek to ciasto, do którego używa się wszystkich niezbędnych składników (mąka, tłuszcz, cukier, itd.) w ilości 1 funta. Zjedzenie połowy takiego wypieku to już coś! (przyp. tłum.).

Od wczorajszego wieczoru dręczyła go pewna wątpliwość, czająca się na progu świadomości. Diggerowie mieli wprawę w ucieczce, lecz nie byli w tym aż tacy dobrzy! Deszcz mógł im pomóc, ale większość strażników potrafiła czytać świeże tropy w każdych warunkach. A jeśli Diggerowie nie rozwiali się bez śladu, to wytłumaczenie mogło być tylko jedno: obaj bracia i Callie Ann przebywali nadal w mieście! Wolf domyślił się również, że Diggerowie nie ośmielią się zabić dziecka w Austin. To było całkiem jasne. Gdyby chcieli ją zamordować, zrobiliby to już wczoraj, pozostawiając w domu ciało Callie Ann razem z Charliem i Early. Z jakiegoś powodu Diggerom potrzebna była żywa Callie albo przynajmniej nie chcieli uchodzić za jej morderców. Musiał tylko wydedukować, jaki jest tego powód.

- Wolf! - szepnęła Molly za jego plecami.

Odwrócił się raptownie. Jej widok zapierał mu wprost dech w piersi. Włosy Molly zmieniły się w burzę splątanych loków, spod szlafroka, poza którym - jak się domyślał - nie miała na sobie nic, wystawały bosc nogi.

- Tak? - Wolf uchwycił się stołu, by nie podbiec do niej.

- Bałam się, żeś już odszedł.

- Za kilka minut ruszam.

Nie patrzyła mu w oczy, ale przeszła przez kuchnię i stanęła przed nim. Wolf czuł zapach pudru, którym ją nacierał. Wargi Molly były nieco obrzmiałe, tak jak być powinno po całonocnych pocałunkach.

- Będziesz ostrożny? - spytała.

- Będę - odparł Wolf, czując, że nie po to zbiegła na dół, by mu zadać to pytanie. Jeśli Molly zbliży się jeszcze o krok, znajdzie się w jego ramionach. Jak cudownie będzie usłyszeć to wyznanie, tuląc ją w objęciach!

Zawahała się przez chwilę, wreszcie powiedziała:

- Chciałam ci tylko podziękować za dzisiejszą noc. Uśmiech zniknął z twarzy Wolfa. Odebrał słowa Molly jak nagły cios. Schwycił ją gwałtownie, nim zdążyła zaprotestować, przyciągnął do siebie i pocałował w usta bez śladu czułości i delikatności, które okazywał jej przed godziną.

Równie nagle odepchnął ją i ruszył ku drzwiom. Wbił sobie kapelusz na głowę i obejrzał się na żonę. Jego brązowe oczy płonęły bólem i gniewem.

- Nie waż się dziękować, moja damo! Nie wykonywałem usług na zamówienie!

Nim Molly zdążyła zareagować, zniknął.

Nie od razu udało się jej zaczerpnąć tchu. Opadła na kuchenne krzesło, starając się zrozumieć, czym go tak strasznie uraziła. Jak człowiek tak kochający i czuły mógł o świcie zmienić się w rozwścieczonego niedźwiedzia?

Napłynęły wspomnienia ostatniej nocy. Molly przypomniała sobie, jak stała na tylnym ganku, ociekając deszczem, załamana i wyczerpana. I nagle znalazł się obok niej Wolf - opiekuńczy, czuły, pełen miłości...

Łzy spływały po twarzy Molly; nie próbowała ich powstrzymać.

- Pełen miłości... - szepnęła, usiłując wniknąć w treść tych słów.

Ubiegłej nocy Wolf musiał być równie zmęczony i zrozpaczony jak ona, a jednak myślał tylko o niej. Zacisnęła powieki i strumień łez popłynął znów po jej twarzy. Wiedziała, co Wolf pragnął od niej usłyszeć. Co miał nadzieję usłyszeć, gdy zbiegła do niego, zanim odszedł. Ten wielki, silny mężczyzna, podobno najdzielniejszy w całym mieście, pragnął od niej usłyszeć zapewnienie o miłości.

Przecież nie mogła mu tego powiedzieć! Czemu nie

chciał tego pojąć? Od początku uprzedzała, że nigdy takich słów od niej nie usłyszy. Zresztą jakie to miało znaczenie? Przecież była jego żoną, prawdziwą żoną!

Bardzo pragnęła wytłumaczyć to wszystko Wolfowi. Gdyby mu powiedziała „kocham cię”, musiałaby wyrzec się raz na zawsze Benjamina. Te dwa małe słówka zniweczyłyby wszystkie jej marzenia i Benjamin stałby się już tylko mężczyzną, którego - dawno temu - spotkała jeden jedyny raz na peronie kolejowym. Mężczyzną, który ją pocałował, poszedł na wojnę i nigdy nie wrócił.

Od lat myśli Molly i jej dzienniki były pełne Benjamina. Żył w jej marzeniach. Razem dojrzewali, toczyli ze sobą rozmowy, które skrętnie zapisywała. Benjamin prosił ją, by na niego czekała, a ona przysięgła sobie, że spełni tę prośbę.

Molly otarła łzy i wstała z krzesła. Wolf żądał zbyt wiele! Wszystkie jej dzienniki spłonęły w czasie pożaru. Czy musi również stracić wszystkie marzenia?

W połowie schodów Molly nagle zaparło dech. Uświadomiła sobie, jak papierowym kochankiem był Benjamin w porównaniu z Wolfem, którego bijące serce czuła przy swoim. To on był prawdziwym mężczyzną, jej mężczyzną, a tamten - zaledwie wspomnieniem.

Zanim przyszedł doktor Washburn, Molly zdążyła się ubrać. Z pomocą pielęgniarki zmieniła opatrunek Early i skłoniła Charliego do wypicia kilku łyčzek wody. Sytuacja jednak nie zmieniła się na lepsze.

Washburn już od drzwi sypialni przyglądał się pacjentom. Ściągnął surdut.

-Jeśli ten deszcz nie ustanie, żegnaj, medycyno! Zabieram się do budowy arki.



Molly uśmiechnęła się do niego. Wczoraj Washburn, choć najmniej doświadczony z przybyłych lekarzy, przewyższył wszystkich poświęceniem. Za kilka lat będzie z niego pierwszorzędnny doktor.

- Kiedy tu wszedłem, obudziłem doktora Harleya. Obiecał, że wróci po południu. - Washburn podszedł do łóżka i przyjrzał się uważnie Early. - Powiedział, że ponieważ szwy się trzymają, panna Early ma pewne szanse na wyzdrowienie. Co prawda nikłe, ale jednak rosną z każdą godziną, którą uda jej się przeżyć.

Molly skinęła głową.

- Wolałabym, żeby nie była taka blada.

- To minie - odparł Washburn, jakby widywał setki takich pacjentów. - Trzeba się cieszyć, że nie ma gorączki. Wyzdrowieje, dajmy jej tylko trochę czasu!

- Podszedł do Charliego. - Jak się miewa nasz strażnik? - Washburn mrugnął do Molly tak, by pielęgniarka tego nie zauważyła. Jego słowa stanowiły żartobliwą aluzję do słów Wolfa, który poinformował pozostałych lekarzy, że Charlie jest jednym ze strażników Teksasu.

- Od czasu do czasu coś woła. Pewnie prosi o wodę albo coś od bólu. - Molly dotknęła ramienia Charliego. - Kilka razy próbował zerwać bandaż. Nie wiem, jak sobie z nim poradzimy, gdy nabierze trochę sił. Doktor Harley zapowiedział, że choćby się działo nie wiem co, bandaży nie wolno zdejmować przez miesiąc.

- No to go zwiążemy - podpowiedział Washburn. - Nie możemy tak długo trzymać go na środkach uśmierzających.

Molly wolała nie myśleć o Charliem przywiązanim do łóżka, ale musiała przyznać rację Washburnowi. Nawet teraz, oszołomiony lekarskimi i osłabiony

z powodu utraty krwi, Charlie ciągle otwierał i zamykał rękę, jakby usiłował coś pochwycić.

W ciągu dnia Molly i Washburn dyżurowali na zmianę. Ulewa przeszła w mżawkę, świat stał się mroczny i posępny.

Po południu zjawił się Josh Weston, który poszukiwał Wolfa. Nadszedł wreszcie list od szeryfa z Savannah w sprawie Callie Ann. Okazało się, że wysłano równocześnie dwa listy: jeden wraz z dziewczynką, drugi zwykłą pocztą do Austin dla Francisa Diggera. List, który towarzyszył Callie Ann, zaginał widać po drodze. Babka dziewczynki pozostawiła Callie Ann pół miliona dolarów i swoją farmę. Gdyby coś się stało dziewczynce, spadek przechodził na jej jedynych krewnych: Francisa i Carrella Diggerów.

Umysł Molly pospiesznie wiązał w logiczną całość uzyskane wiadomości. A więc dlatego Diggerowie nie zabili od razu Callie Ann! Zbyt łatwo byłoby wówczas udowodnić im morderstwo. Jeśli jednak dostaną w swe łapy dziewczynkę, powołując się na pokrewieństwo i prawo do opieki, starczy im czasu i okazji, żeby z nią skończyć. Gdyby jeszcze w jakiś sposób udało im się uzyskać uniewinnienie w sprawie napadów rabunkowych na terenie Teksasu, mogliby wrócić do Georgii i tarzacz się w forsie. Musieli tylko zatrzymać przy sobie Callie Ann, a potem w najdogodniejszym dla siebie momencie pozbyć się jej. I wreszcie zagarnąć cały spadek.

A więc dlatego ją porwali! Mogą nawet wymyślić bajeczkę, że dziecko było tu przetrzymywane wbrew woli i oni - jego stryjowie - musieli je ratować. Przy pomocy przekupnego sędziego mogliby zacząć nowe życie.

- Muszę skontaktować się z Wolfem! - Molly pociągnęła za rękaw Josha.

Strażnik wzruszył ramionami. Dobrał się właśnie do półmiska z kurczęciem, które Noma przysłała ze swej kawiarni.

- Myślałem, że tu go znajdę. Wpadł do nas przed świtem, wydał rozkazy każdemu z przebywających w Austin strażników, a potem zniknął.

- Jakie rozkazy? - spytała Molly.

- Kazał patrolować wszystkie drogi wyjazdowe i sprawdzać każdy dyliżans. Zorganizowaliśmy dwuosobowe posterunki, ale na razie nikt się nie rusza. - Ugryzł znowu kurczaka i dodał: - Słyszałem, że nawet Miller musiał przesunąć termin pogrzebu. Ziemia się zmieniła w takie bajoro, że trumna wypłynełaby na wierzch!

Molly podsunęła młodemu strażnikowi talerz i widlec; oświadczył jednak, że na porządne jedzenie nie ma czasu. Nie wyraził wprawdzie głośno swych obaw, ale Molly domyśliła się, że według niego szanse odnalezienia żywej Callie Ann maleją z każdą chwilą.

Przez całe popołudnie roztrząsała w myśli wszystko, co usłyszała od Josha. Miała niejasne przeczucie, że zebrała już niezbędne fragmenty łamigłówek, tylko nie potrafi dopasować ich do siebie. Gdzieś w tej płataninie faktów ukrywa się prawda - a z nią ratunek dla Callie Ann.

Koło dziesiątej Molly postanowiła nie czekać dłużej na Wolfa i zjeść kolację w pojedynkę. W domu oprócz niej i chorych pozostała tylko pielęgniarka. Charlie i Early przez cały dzień czuli się to trochę lepiej, to nieco gorzej; teraz jednak oboje spali. Kiedy ktoś jest ciężko chory, dumiała Molly, żyje się od kryzysu do kryzysu. Nie liczą się godziny, tylko stan pacjenta.

Molly próbowała coś zjeść, ale zabrakło jej energii. Miała wrażenie, że jest na nogach, bez snu, od kilku

tygodni. Zjrzała po raz ostatni do chorych i udała się do swego pokoju.

Łóżko było od rana nie zasiane. Na taki widok ciotki doznałyby pewnie szoku, ale Molly nie miała teraz czasu na domowe porządki. Nie zdejmując ubrania, zwinęła się na wymiętej pościeli i oparła głowę na poduszce Wolfa.

Poczuła jego zapach i zatęskniła za uściskiem jego ramion. Zamknęła oczy i wróciła myślą do wydarzeń ostatniej nocy. Jak na mężczyznę, który utrzymywał, że nie ma wprawy w miłości, zdaniem Molly Wolf doskonale się spisał.

Kilka minut później zasnęła z uśmiechem na ustach i z przekonaniem, że wspomnienia są o wiele lepsze od marzeń.

Dawno już minęła północ, gdy dotarł do Molly głos pielęgniarki, wzywającej ją na pomoc. W pierwszej chwili nie mogła się połapać w sytuacji. Potem wygramoliła się spod kołdry i pobiegła korytarzem, zataczając się jak pijana.

- Nie mogę go uspokoić! - biadała pielęgniarka. - Próbowałam już wszystkiego.

Molly podeszła do łóżka Charliego i położyła obie ręce na jego ramieniu. Z drugiej strony pielęgniarka zrobiła to samo.

- Słuchaj, Charlie - odezwała Molly z największym opanowaniem, na jakie mogła się zdobyć. - Musisz się uspokoić. Zrobisz sobie tylko krzywdę, jeśli będziesz się tak miotał.

Spod bandażu dobiegło jakieś mamrotanie.

- Proszę cię, Charlie, leż spokojnie. - Molly czuła, że chory jest silniejszy i coraz bardziej podniecony. Niedługo rzeczywiście trzeba go będzie spętać jak dzi-

kie zwierzę. - Uspokój się! Wszystko będzie dobrze. Połóż się spokojnie i spróbuj usnąć.

Charlie znów zaczął się szamotać, najwyraźniej próbując się oswobodzić.

Molly pochyliła się nad nim jeszcze niżej.

- Charlie, naprawdę musisz leżeć spokojnie! Jeżeli spróbujesz wstać, głowa rozboli cię jeszcze gorzej. Proszę, uspokój się.

Doktor Harley uprzedzał ją, że gdyby popękały szwy albo Charlie uderzyłby o coś głową, byłoby to dla niego bardzo niebezpieczne.

Kiedy tym razem chory zaczął mamrotać, udało się jej rozróżnić słowa:

- Early... - szeptał. - Early... ciągle... żyje?

Serce podskoczyło Molly do gardła i tylko dlatego się nie rozpłakała. Charlie nie domagał się lekarstwa, nie szalał z bólu. Chciał się tylko dowiedzieć, co z Early!

- Tak - odpowiedziała mu szeptem Molly. - Leży obok ciebie.

- Early! - Głos Charliego był ochrypliwy z trwogi. - Early! - wołał, nie uwierzywszy widać zapewnieniom. Powtarzał to imię tak uparcie, jakby Early mogła mu odpowiedzieć, jeśli dość wyraźnie zawoła ją spod bandaży.

Molly spojrzała na pielęgniarkę.

- Przesuniemy łóżko!

- Co takiego?!

- Proszę mi pomóc zsunąć łóżka albo przynajmniej nie przeszkadzać!

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

- To nierozsądne! Nie będzie można podejść do żadnego z nich. Wynikną z tego tylko kłopoty. Przecież oboje są umierający!

- Proszę przesunąć łóżko! - krzyknęła Molly. - Albo

zejść mi z drogi: sama to zrobię! I proszę się tak głupio nie zachowywać: żadne z nich nie zarazi się od drugiego.

Pielęgniarka stojąca pomiędzy łózkami wreszcie stamtąd wyszła. Molly powoli, z najwyższym wysiłkiem, przysunęła łóżko Charliego do łóżka Early. Stały teraz w odległości sześciu cali.

Pochyliła się nad Charliem i wzięwszy go za rękę, przyciągnęła ją do boku Early.

- Sam widzisz, Charlie: nadal żyje i śpi obok ciebie.

Przestał się rzucać i musnął palcami ramię Early.

Molly pochyliła się nad rannym jeszcze niżej.

- Early leży bez ruchu, Charlie, ale żyje. Jeśli chcesz zostać blisko niej, to musisz przemóc jakoś ból i zachowywać się równie spokojnie jak ona. Rozumiesz?

Charlie objął łokieć Early.

- Będzie żyła? - spytał.

- Nie wiem - odparła Molly.

Milczał tak długo, aż się złąkła, że znów stracił przytomność. Wreszcie odezwał się błagalnym tonem:

- Mogę... zostać... obok niej?

Molly poklepała go po ramieniu.

- Pewnie trzeba cię będzie przesunąć podczas zmiany opatrunku. Ale wydaje mi się, że Early chce, żebyś przy niej był.

Charlie nie odezwał się już ani słowem. Jego palce spoczywały lekko na ramieniu Early. Leżał nieruchomo jak ona, tylko od czasu do czasu poklepywał ją leciutko po ręce, jakby zapewniał dziewczynę bez słów, że jest przy niej.

Molly spojrzała na pielęgniarkę i zdumiała się na widok jej łez.

- Jutro rano podłożę pikowaną kołdrę pod łóżko pana Charliego, by łatwiej je było przesunąć. W ten sposób

sprawimy mu mniej bólu. - Popatrzyła na jego rękę, spoczywającą na ramieniu Early. - Jak pani myśli, czy on zdoła wyleżeć bez ruchu z tym strasznym bólem głowy?

Molly spojrzała na małego człowieczka, którego głos brzmiał przed chwilą jak głos przerażonego dziecka.

- Myślę, że tak - powiedziała głośno, żeby Charlie mógł ją usłyszeć. - On jest przecież niezwykle dzielny.

Opuściła pokój i zeszła na parter. Dobrze wiedziała, że już nie zaśnie. Deszcz nareszcie ustał. Molly zdjęła żakiet z kolka przy drzwiach i wymknęła się z domu.

Musiała się przejść!

27

Molly szła pustymi ulicami w stronę swego nieukończonego jeszcze sklepu. Marzenia, które chciała urzeczywistnić w Teksasie, wydawały jej się teraz mało ważne. Tragiczne wydarzenia ostatnich kilku dni sprawiły, że ujrzała wszystko we właściwej perspektywie. Liczyła się tylko miłość Wolfa.

Molly nie miała pojęcia, która to godzina. Zapewne dobrze po północy. Nie czuła lęku: w swoim czarnym żakiecie była prawie niewidoczna, za to sama z pewnością dostrzeże innych. Jeżeli uda się jej odnaleźć Wolfa, poprosi go o przebaczenie i o to, by wrócił z nią do domu. Wątpiła jednak, czy mąż jej wybaczy. Bolesnie go zraniła rano tym głupim podziękowaniem. Jakże to dziwne! Wolf nie mógł się powstrzymać od mówienia jej o swej miłości, a ona nie mogła wykrztusić tego słowa!

Nieukończony dom wznosił się przed nią jak wiel-

ki szkielet. Przez chwilę Molly stała w ciemności i wpatrywała się w swój sklep, dziwiąc się, jak wielkie miał dla niej znaczenie jeszcze przed miesiącem.

Z okien warsztatu, w którym Miller produkował swe meble i trumny, bił żółty blask, oświetlając frontową część odbudowywanej przez niego drogerii. Zgodnie z obietnicą Miller pracował przy niej zawzięcie.

Molly zbliżyła się do oświetlonych okien. Chyba niemożliwe, by stolarz harował o tak późnej porze? Jak mógłby pracować cały dzień na budowie i przez całą noc w swoim sklepie? Był łasy na pieniądze, ale przecież nie tak głupi, by zamęczać się robotą!

Zasłony były zaciągnięte, ale Molly mogła dostrzec poruszające się wewnątrz cienie. Może zmarło kilka osób i Miller zbija dla nich trumny? Bez pomocy Charliego praca mogła rzeczywiście przeciągnąć się długo w noc.

Molly przypomniała sobie jednak, że stukanie młotka przy takiej robocie docierało nawet do wnętrza jej sklepu. Teraz stała pod samym oknem warsztatu i nie słyszała nic. Zresztą stolarz nie mógł uprawiać swego hałaśliwego zawodu późną nocą!

Molly zbliżyła się do bocznej ściany domu Millera i nadstawiła uszu. Nie pora teraz na takie subtelności, jak „niewtykanie nosa w cudze sprawy"! Coś tu było nie w porządku i Molly postanowiła zbadać sprawę.

Z wnętrza sklepu dolatywały głosy. Molly weszła w głęboki cień między domami, chcąc podejść jak najbliżej.

Zaskrzypiała pod jej nogą deska chodnika. Molly znieruchomiała i dopiero upewniwszy się, że wokół panuje cisza, przysunęła się jeszcze w stronę budynku.

- Długo to jeszcze potrwa? - huknął gniewny męski głos z wnętrza sklepu. - O świcie musimy ruszać!

Nagły wrzask sprawił, że Molly aż podskoczyła. Po-



tem jednak przyczała się w ciemności, by usłyszeć jak najwięcej.

Miller wymamrotał coś, czego Molly nie zrozumiała. Przyłożyła ucho do drewnianej ściany.

- Nie mamy tyle czasu! Muszę stąd wywieźć czym prędzej tego dzieciaka; nie będę ryzykował własnego tyłka! Obiecałeś, że to zrobisz, Miller! Płacimy ci podwójną cenę. Jeśli teraz się wycofasz, trumna nada się w sam raz dla ciebie!

Molly powędrowała na paluszkach ku plamie jeszcze głębszej czerni za oknem, gdzie z pewnością nikt jej nie dostrzeże z ulicy. Musi koniecznie dowiedzieć się czegoś więcej!

Zagłębiła się w mrok, ale nim zdążyła zaczerpnąć tchu, jakaś ręka spadła jej na usta, a druga ścisnęła ją boleśnie w talii. Paniczny strach poraził Molly jak piorun. Walczyła jak szalona, ale bolesny chwyt tylko się zacieśnił, uniemożliwiając jej ruchy.

Smród bijący *od* brudnej Japy przyprawił Molly o mdłości. Zorientowała się, że napastnik jest wysoki i chudy, ale bardzo silny.

- Jazda! - syknął jej do ucha. - I ani pary z gęby, jeśli chcesz dotrzeć żywa do tej małej!

Molly skinęła głową na znak, że nie będzie się opierać. Napastnik jednak nie rozluźnił chwytu, wlokąc ją w ciemności do tylnych drzwi warsztatu. Tu z całej siły popchnął ją na ścianę. Otworzył drzwi i znów ją chwycił, nim zdążyła zaczerpnąć tchu i pomyśleć o ucieczce.

Gdy wepchnął ją na oświetlone zaplecze sklepu, Molly zrobiła krok naprzód, ale chwycił ją za włosy i omotał je sobie wokół ręki.

- Jazda! - burknął znowu i pociągnął ją wąskim korytarzem pełnym desek. - Diggerowie chętnie cię zobaczą!

Molly zetknęła się przelotnie z Francisem Diggerem, gdy wpadł do jej sklepu przez rozbite okno, ale jego obecny wygląd ją zaskoczył. Wówczas był w kajdanach i nieuzbrojony. Teraz wyglądał jak chodzący arsenał. Na jego piersi krzyżowały się pasy z bronią. Do nóg miał przytroczone długie colty, trzymany w rękę karabinek wydawał się przedłużeniem ramienia. A jednak, choć widok tej broni był przerażający, krew zamarzała w żyłach Molly dopiero wówczas, gdy spojrzała w jego oczy. Zimne, bezlitosne, szare oczy - tej samej barwy co granitowe nagrobki.

Stojący obok niego mężczyzna mógłby być jego bliźniakiem, ale budził jeszcze większą trwogę.

- Skądś ją wytrzasnął? - spytał Francis chudego zbira, który ciągnął za sobą Molly, i uśmiechnął się szeroko na jej widok.

- Znalazłem ją w bocznej alejce - odparł chudzielec, popychając Molly w stronę Carrella. - Schowała się między domami i próbowała wyniuchać, co się tu dzieje.

Starszy z Diggerów schwycił Molly za żakiet i pociągnął ją ku sobie tak, że znalazła się o cal od niego. Poczowała na twarzy jego cuchnący oddech. Smród zepsutych zębów i podłej whisky sprawił, że omal nie wymiotowała.

Puścił ją równie nieoczekiwanie jak chwycił i pchnął na środek pokoju.

- Wiesz, co to za jedna, Fran?

Francis zaśmiał się.

- To baba naszego kapitana! Utłuc tego drania to jeszcze za mało... może tak weźmiemy ją ze sobą? Od lat stawał nam na drodze. Najwyższa pora, żeby mu odpłacić, nie?

Molly nie zemdlała tylko dlatego, że ogarnął ją nie-

pohamowany gniew. Była idiotką, decydując się na samotny spacer! W dodatku bez broni! Nie mogła stawić oporu, a gdyby krzyknęła, w mgnieniu oka położyliby ją trupem. Wszyscy trzej wpatrywali się w nią jak kojoty w królika, który złapał się w sidła.

Nie mając innego wyjścia, zdecydowała się na atak.

- Gdzie dziecko? - spytała takim tonem, jakby miała za plecami stu zbrojnych obrońców. - Nie ważcie się krzywdzić Callie Ann!

Francis wydawał się zaskoczony jej wybuchem. Chwilę trwało, nim oprzytomniał i walnął Carrella w plecy z taką siłą, że omal nie upadł na nos.

- Zabierz ją do dzieciaka! - Machnął karabinkiem. - I przywiąż mocno! Powiem Millerowi, że potrzebna nam jeszcze jedna skrzynka.

Ręka Carrella Diggera zacisnęła się bezlitośnie na ramieniu Molly. Szarpnął ją brutalnie najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Chciał się widocznie upewnić, że zrozumiała, kto tu jest panem, i pójdzie pokornie.

Molly nie zamierzała stawiać oporu. Bandyta miał ją zaprowadzić dokładnie tam, gdzie chciała: do Callie Ann.

Jednak uległość Molly nie wpłynęła na zachowanie Diggera. Popychał ją brutalnie, gdy szli wąskim korytarzem. Kilka razy omal nie upadła. Poza tym dwukrotnie rzucił nią o ścianę, śmiejąc się w głos, gdy Molly jęknęła z bólu. Gdy dotarli wreszcie do drzwi na końcu korytarza, ledwie się trzymała na nogach.

Bandyta otworzył drzwi i cisnął Molly na stos zmiętego płótna; mogła to być niegdyś płachta osłaniająca wóz.

- Nie masz ochoty na brewerie, paniusiu? - spytał, podnosząc rękę jak do ciosu. - Ale bym się ucieszył!

Molly wiedziała, że każdy jej ruch będzie dla niego pretekstem do brutalnej napaści. Słyszała kiedyś od Wol-

fa, że Carrell jest starszy i jeszcze podlejszy od Francisa.

Kiedy nic nie odpowiedziała, Digger był wyraźnie rozczarowany.

- Siadaj i podnieś obie ręce razem, w moją stronę.

Molly posłuchała rozkazu.

Związał jej nadgarstki jednym końcem sznura, a drugi zaczepił o belkę stropową.

- Tylko tym szarpnij, a wszystko ci runie na łeb! To robota Millera: dziw, że jeszcze stoi! - Sprawdził węzły. - Jak tu wrócę i zobaczę, że majstrowałaś przy sznurze, to ci gnaty połamię. Będziesz skamląta, żeby cię dobić! Zrozumiano?

Molly skinęła głową.

- Gdzie dziecko?

Digger trzasnął ją bokiem ręki w twarz z taką siłą, że Molly przewróciła się na plecy. Sznur wpił się jej boleśnie w przeguby, gdy padała.

- Pozwoliłem ci otworzyć gębę?! - Carrell roześmiał się. - Naucz się lepiej grzeczności, bo zabieramy cię ze sobą. Jesteś teraz nasza, tak samo jak dzieciak. Haywarda szlag trafi, jak się dowie, że mamy ciebie i dzieciaka, a on nic nie może zrobić! Jak nie będziesz grzeczna, tak cię przenicujemy, że choćby cię zobaczył, to nie pozna!

Z rozciętej wargi Molly spływała krew, ale dziewczyna nawet nie drgnęła.

Digger podszedł do drzwi.

- Nie trap się: mała jest tu, razem z tobą. Ryczała i ryczała aż usnęła, może godzinę temu.

Skoro tylko wyszedł, Molly opadła na kolana i zaczęła czołgać się w poszukiwaniu Callie Ann. Przekonała się, że z tej samej belki zwisa jeszcze jedna linka. Po niej dotarła do śpiącej pod stertą zakurzonego płótna, zwiniętej w kłębuszek dziewczynki.

Molly starała się opanować strach. Sznur, który doprowadził ją do Callie Ann, kończył się pętlą na szyi malej. Pragnęła wziąć Callie Ann w ramiona, ale miała związane ręce. Bała się zresztą ją obudzić. Lepiej niech śpi, podczas gdy ona obmyśli jakiś plan ucieczki.

Wolf stał ukryty w cieniu dokładnie na wprost sklepu Millera, po przeciwnej stronie ulicy. Zaszył się tam jeszcze przed zapadnięciem nocy. Przed kilkoma godzinami słyszał jakieś kroki w bocznej alejce i widział cienie poruszające się za zasłoniętymi oknami. Ktoś wszedł do sklepu, Wolf nie miał jednak pojęcia, czy to przyjaciel, czy wróg. O ile mógł się zorientować, w domu znajdowało się trzech, może czterech mężczyzn. Dwaj z nich to z pewnością Diggerowie.

Wolf nie ośmielił się opuścić swego stanowiska. W każdej chwili bracia mogli wykonać swój ruch, więc musiał być w pogotowiu. Starał się odgadnąć plany bandytów. Miller przez całą noc szykował trumny. Bandyci zamierzali się w nich ukryć i w ten sposób wymknąć się z miasta. Plan - choć prościutki - miał szanse powodzenia; Wolf bardzo wątpił, by jego ludzie patrolujący drogi zaglądali do trumien.

Przed sklep zajechał jakiś wóz. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna z chudą gębą. Stuknął dwa razy w drzwi i Miller wpuścił go do środka. Kilka minut później zaczęto wnosić z warsztatu trumny; wieka nie były zabite. Diggerowie najwyraźniej zamierzali wleźć do trumien już na wozie. Załadowano jedną trumnę, potem drugą.

Wolf mógł tylko obserwować, nic więcej. Gdyby wystrzelił na alarm, pomoc oczywiście by przybyła. Zanim jednak ktoś by się zjawił, Diggerowie zwałiby przez tylne drzwi warsztatu Millera i szukaj wiatru

w polu! Wolf zaś nie ośmieliłby się sam zaatakować ich z bronią w ręku, bo to zagrażałoby życiu Callie Ann.

Wobec tego czekał.

Tuż przed świtem na ulicy pojawił się Josh. Zgodnie z przewidywaniami Wolfa zmierzał na posterunek strażników. Kapitan przywołał go cichutkim gwizdaniem i wciągnął do swej kryjówki.

Ujrzawszy go, Josh nie tracił czasu na powitania, tylko od razu przekazał mu wiadomość o liście od szeryfa z Savannah i czekał na rozkazy. Plan Wolfa był prosty: Josh wyruszy po pomoc i sprowadzi kogo się da. Potrzebowali dwóch ludzi do pilnowania tylnych drzwi i po trzech na początku i końcu ulicy, gdyby Diggerowie chcieli zwiać. Każdy ze strażników miał wziąć ze sobą zwój sznura. Im mniej strzelaniny, tym większe szanse ocalenia Callie Ann. Większość strażników znała się na zaganianiu bydła. Powinni bez trudu złapać Diggerów na łąso albo unieruchomić koło wozu.

Josh zniknął, Wolf sprawdził broń. Wiedział, że wszystko jest na swoim miejscu, ale od czasu do czasu musiał to zrobić: siła przyzwyczajenia. Rozejrzał się dokoła; na ulicy było pusto.

Miller wynurzył się z warsztatu z trzecią trumną, o połowę mniejszą od poprzednich. Rzucił ją na wóz. Wolf wzdrygnął się: odgadł, dla kogo jest przeznaczona.

Wszystkie światła w domu Millera pogasły, oprócz jednego. Drzwi otwarły się powoli. Wolf spodziewał się, że ujrzy Diggerów, ale zamiast tego Miller i chudogęby wytaszczyli jeszcze jedną trumnę.

Czwarta? Po co im aż cztery trumny? - pomyślał Wolf i poczuł nieokreślony lęk.

Ładowanie wozu na ulicy, przed frontowym wejściem - choćby nawet po ciemku - było bardzo ryzy-

kowne. Ale Diggerowie kochali ryzyko! Wolf słyszał, że rabowali dyliżanse tuż pod miastem, skąd można było usłyszeć krzyki napadniętych, choć równie do-  
brze mogli to uczynić pięć mil dalej, na pustej drodze.

Francis Digger wybiegł z domu, niosąc na rękę uśpioną Callie Ann. Mimo ciemności Wolf dostrzegł sznur na szyjce dziecka. Idący tuż za bratem Carrell Digger włókł jakąś kobietę.

W ciągu sekundy Wolf rozpoznał ją. To Molly! Zapominając o swoim planie, Wolf wyszedł z kryjówki na ulicę.

- Stać! - Podniósł ręce w górę; miał nadzieję, że Diggerowie będą chcieli pogadać, nim zaczną strzelać.

Francis wyciągnął broń i wycelował ją w Wolfa; równocześnie obrócił się tak, by dziecko stało się jego żywą tarczą. Carrell przytknął rewolwer do boku Molly i popchnął ją przed siebie.

Wolf podszedł bliżej. Nawet w ciemności mógł się zorientować, że Molly cierpi; nie wyrzekła jednak ani słowa i nie zawołała do niego.

- Czego chcesz, kapitanie? - roześmiał się Francis pewny, że ma w rękę wszystkie asy. - Tylko nie próbuj nas zatrzymać, bo zaczniemy strzelać!

Carrell trącił Molly lufą swego colta tak mocno, że krzyknęła.

- Twoja baba ma cię już dosyć i wybiera się razem z nami!

- Poddajcie się, chłopaki. Jesteście otoczeni - łągał Wolf w żywe oczy. - Jeśli złożycie broń, osobiście dopilnuję, żeby nic się wam nie stało przed powieszeniem.

- To mi dopiero okazja! - wrzasnął Francis. - Może to raczej ty się odsuniesz i przepuścisz nas, co? Jak będziesz grzeczny, to zostawimy gdzieś po drodze

twoją kobietę, i to jeszcze żywą. Będiesz ją mógł sobie zabrać!

- A dziecko? - Wolf postąpił jeszcze o krok.

- Dzieciak się nam przyda!

- Nie sądzę. Jeśli pojedziecie z nią do Savannah, ręczę głową, że będzie już tam na was czekał szeryf. Puśćcie ją! Jeśli chcecie ocalić tyłki, musicie zmiatać szybko i bez bagażu.

Diggerowie popatrzyli jeden na drugiego. Wolf poznał po ich oczach, że rozwiewa się sen braci o rodzinnym spadku. Pozostał tylko instynkt samozachowawczy: przetrwać za wszelką cenę!

Francis potrząsnął głową z rozczarowaniem.

- Możeś nam popsuł szanse na forszę tego dzieciaka, ale i tak potrzebne są nam obie: mała i twoja żona, żebyśmy mogli bezpiecznie wyjechać z Teksasu. Nikt nawet nie strzeli za nami, żeby przypadkiem nie trafić kapitanowej!

- Weźcie mnie zamiast nich! - nieoczekiwanie wrzasnął Wolf. - Pójdę bez broni.

Bracia przysunęli się do siebie i zaczęli naradzać. Tylko jedno mogło być lepsze od zabrania żony Haywarda: dostać w łapy jego samego!

- Kapitanie... - szepnął Josh, znajdujący się w odległości kilku stóp od Wolfa. - Proszę nie robić głupstw! Te bydlaki będą cię torturować aż do granicy, a jak tylko znajdą się na swobodzie, zatłuką!

Wolf nie tracił czasu na sprzeczki. Dobrze wiedział, że Josh ma rację.

- Jeśli pójda na wymianę, otwórz ogień, jak tylko Molly i dziecko znajdą się poza zasięgiem strażaków. Nie pozwól bydlakom wywieźć mnie z Austin!

- Ale...



- Otwórz ogień, mówię! - burknął Wolf tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Kapitanie! - wrzasnął Francis. Nie zdołał się oprzeć pokusie. Co za gratka: Wolf Hayward zdany na ich łaskę i niełaskę! Wolf mógł się założyć o wszystko, że tak właśnie się stanie. - Odrzuć broń i idź powoli w naszą stronę. Dobiłeś targu!

Wolf pozostawił pas z bronią, wiedząc, że Josh zrobi z niej dobry użytek.

- Puśćcie moją żonę i dziecko! - zawołał i wyszedł na środek ulicy.

- Tylko bez żadnych sztuczek, Hayward, bo będzie po was wszystkich! - Francis podał dziewczynkę Molly. - Możecie się pożegnać z żoną w pół drogi.

Popchnął Molly tak, że się potknęła i omal nie upuściła Callie Ann.

- Kiedy już będziesz obok nas na schodkach - krzyknął Francis - Carrell puści końce sznurów. Gdyby ta twoja albo ten dzieciak chciały zwiać, zanim dojdiesz do nas, sam pociągnę za linki. Twoja baba tylko się przejedzie po bruku, ale smarkuła się udusi, zanim ktoś do niej podbiegnie.

Wolf skinął głową i zrobił następny krok; równocześnie Molly ruszyła z frontowego ganku na ulicę. Szła bardzo wolno, związanymi rękami przyciskając do siebie dziecko i starając się nie potknąć.

Kiedy się spotkali, Molly spojrzała na Wolfa zielonymi oczyma, pełnymi uczucia.

- Nie zapomnij: płacisz za nie własnym życiem! - rzucił szyderczo Francis, trzymając broń w pogotowiu, na wypadek gdyby Wolf wykonał jakiś fałszywy ruch.

Wolf uniósł powoli rękę i dotknął loczków Callie Ann.

- Nic ci się nie stało, księżniczko?

Uśmiechnęła się do niego.

- Wiedziałam, że przyjdiesz!

Musnął palcami policzek Molly.

- Sprawili ci ból?

Potrząsnęła głową. Wolf wiedział, że żona kłamie: siniaki koło brody były widoczne nawet w mroku przedświt.

Pochylił się i pocałował leciutko jej zakrwawioną wargę.

- Uważaj na księżniczkę! - szepnął takim tonem, jakby wybierał się rano na służbę, a nie szedł na śmierć. - Czekaj na mnie, Molly. Będę cię kochał, póki mi serce bije!

Przełknęła łzy.

- Kocham cię! - wyszeptała.

- Wiem - uśmiechnął się. - Zawsze mnie kochałaś.

Ruszył ku Diggerom. Molly czekała, aż Carrell puści drugi koniec sznura wiążącego jej ręce i linki zakończonej pętlą na gardle Callie Ann, by uciec z dzieckiem w bezpieczne miejsce. Nagle uświadomiła sobie, że Wolf pożegnał ją tymi samymi słowami, co Benjamin przed wielu laty.

- Nie martw się, Molly! Nic Wolfowi nie będzie. - Callie Ann ucałowała ją w oba policzki. - Stryjek Orson został, żeby mu pomóc!

## 28

Wolf spoglądał z nienawiścią na Carrella Diggera. Morderca trzymał w garści końce obu linek, którymi były związane Molly i Callie Ann.

- Puść je! - powiedział Wolf, wstępując na chodnik przed frontowym wejściem do sklepu Millera.

Carrell bawił się sznurami, prowokując strażnika.

- Najpierw włącz do środka! - warknął Francis. - Myślę, że warto trochę pogawędzić, nim ruszymy w drogę. Rozładuj wóz, Miller! Te pudła nie będą nam już potrzebne. Podróżujemy przecież ze sławnym kapitanem Haywardem. On nas przeprowadzi przez każdą blokadę!

Wolf zauważył kryjącego się za drzwiami Millera. Stolarz trząsał się tak, że Wolf niemal poczuł dla niego litość. Domyślał się, że Diggerowie omotali Millera stopniowo. Zaczęło się pewnie od drobnych przysług, może nie całkiem zgodnych z prawem, ale dalekich od zbrodni. Teraz zaś wpadł w bagno po same uszy, a strach czynił go bezwolnym sługą tych drani.

- Miller! Ściągaj trumny z wozu! - Francis popchnął Wolfa lufą karabinka do wnętrza sklepu. - Poznaczymy tu i tam naszego kapitana przed odjazdem. Jak mu upuścimy trochę krwi, nie będzie podskakiwał! A jego ludzie zobaczą, że z nami nie ma żartów!

Carrell Digger uśmiechnął się jak dziecko na widok gwiazdkowych prezentów.

- Pomacam go majchrem! Dobrze, Fran? Schowam sobie jego ucho na pamiątkę! - Rzucił sznury i pospieszył za bratem do wnętrza domu.

Gdy tylko Molly poczuła, że linki opadły, objęła Callie Ann jeszcze mocniej i puściła się pędem.

Josh wybiegł z ukrycia z otwartymi ramionami. Objął obie mocnym uściskiem i pociągnął w bezpieczne miejsce. Potem cofnął się, zażenowany swą zbytnią poufałością.

- Nic się paniom nie stało? - spytał, siląc się na oficjalny ton.

- Proszę, niech pan zdejmie z nas te sznury - powiedziała Molly. - A gdzie reszta strażników?

Josh wzruszył ramionami.

- Nie ma nikogo oprócz mnie. Przesłałem im wiadomość, ale chwilę potrwa, nim się tu zjawią.

- Przecież Wolf powiedział Diggerom, że są otoczeni!

Josh uwolnił jej nadgarstki.

- Troszkę kapitan przesadził.

Molly była bliska paniki.

- Troszkę przesadził?! To znaczy, że on naprawdę oddał się im w łapy, poświęcił za nas swoje życie? Nie mając żadnej osłony?!

Josh był wyraźnie urażony.

- Przecież tu jestem.

Molly niewiele to pocieszyło.

- Co teraz zrobimy? Ja też mogę pomóc! Umiem strzelać. Zaatakujemy ich z bronią w rękę? - Wiedziała, że plecie trzy po trzy, ale życie Wolfa wisiało na włosku, więc jak mogła zachować zimną krew?

Josh potrząsnął głową.

- Zaczekamy tutaj. Kapitan sam sobie z nimi poradzi. A jeśli spróbują uciec wozem, otworzę do nich ogień.

- Ależ Wolfowi może stać się coś złego! - Gdyby wiedziała, że on naprawdę zamierza oddać za nie swoje życie, nigdy by mu na to nie pozwoliła. - Jeśli chcieli zrobić żywe tarcze z nas, tym bardziej zasłonią się Wolfem!

Josh nawet okiem nie mrugnął.

- To rozkaz kapitana.

Molly przerzuciła sobie pas Wolfa przez ramię i zamarła w oczekiwaniu. Callie Ann stała przy niej, obserwując bieg wydarzeń z bezpiecznej kryjówki w fałdach spódnicy Molly.

Wstawał świt; na ulicy robiło się coraz widniej. Mil-

ler wybiegł ze swego warsztatu i zaczął ściągać z wozu pospiesznie sklecone trumny. Zrzucał je po prostu na ziemię, nie próbując nawet wnieść do sklepu.

Rozładowawszy wóz, rzucił trwożne spojrzenie w kierunku domu. W nagłym ataku paniki chciał uciec.

- Miller! - wrzasnął jeden z Diggerów. W szparze niedomkniętych drzwi pojawiła się lufa karabinka.

Miller ani się obejrzał. Zdażył wybiec na środek ulicy, nim padł strzał. Ugodzony kulą zatrzymał się i uniósł ręce w górę.

Molly pomyślała, że chce się poddać, ale w następnej sekundzie zwałił się na ziemię. Z rany pośrodku pleców buchnęła krew.

Molly przygarnęła mocniej Callie Ann, ukrytą pod jej spódnicą. Odgłos wystrzału zwabił kilku wczesnych przechodniów. We wnętrzu sklepu huknął jeszcze jeden strzał. Molly krzyknęła:

- Wolf jest sam, bez broni! Z trzema zbrodniarzami! Josh ani drgnął.

Przez okno wypadło jakieś bezwładne ciało. Wypchnięto je z taką siłą, że przeleciało dobrych kilka stóp, nim gruchnęło na ulicę.

Josh i Molly popatrzyli na chudzielca, który leżał w kurzu jak połamana zabawka.

- Teraz już z dwoma - skomentował Josh.

Słyszeli wyraźnie odgłosy walki. Sprawiły wrażenie, jakby w warsztacie Millera zmagало się co najmniej dziesięciu zapaśników. Tępe uderzenia pięści. Przerażliwe wrzaski. I kolejne ciosy. Łoskot ciał uderzających o ściany.

- Musimy mu pomóc! - Molly usiłowała wyminąć Josha. Nie będzie przecież stać bezczynnie, kiedy tam mordują Wolfa!

Młody strażnik odciągnął ją do tyłu.

- Nie ma mowy! Jeszcze by się pani co stało, a wtedy kapitan łeb by mi urwał. I nie będę go obrażał: sam sobie z nimi poradzi!

Molly spojrzała na Josha tak, jakby stracił rozum.

Carrell Digger wytoczył się na zewnątrz, jęcząc Z bólu. Usiłował wdrapać się na wóz, ale zanim to mu się udało, runął na ziemię. Konie spłoszyły się i pociąg-nęły go dobrych kilka jardów po kamieniach; w koń-  
cu ktoś je zatrzymał.

Kiedy Molly zwróciła znów oczy na otwarte drzwi sklepu Millera, uświadomiła sobie, że panuje w nim śmiertelna cisza. Ze strachu przestała oddychać. Prze-  
cież Wolf nie mógł zginąć! powtarzała sobie w duchu.  
*Nie mógł zginąć!*

Mnóstwo osób zerkało zza swoich drzwi lub zza węgła domu. Wszyscy wlepiali oczy w sklep Millera. Wszyscy czekali w napięciu.

Z wnętrza w świetle poranka wyłonił się ogromny mężczyzna. Przez chwilę Molly stała bez ruchu i wpa-trywała się w Wolfa, który wychodził na ulicę, ciągnąc za sobą bezwładnego Francisca Diggera.

Zanim Molly odzyskała władzę w nogach, podbiegł do kapitana Josh i wiele innych osób. Ona stała bez ruchu, nie mogąc oderwać wzroku od człowieka, któ-  
rego kochała. Dostrzegła, że zmrużył oczy, wypatru-  
jąc czegoś w ciżbie.

Ich spojrzenia spotkały się. Wolf znalazł to, czego szukał. Choć otaczał go tłum, widział jedynie Molly. Uśmiechnął się do niej i skinął leciutko głową na znak, że wszystko w porządku.

Molly wzięła na ręce Callie Ann i wolnym krokiem ruszyła w stronę męża.

Ludzie tłoczyli się ze wszystkich stron, zasypując ich pytaniami, chcąc na nich popatrzeć, gędząc o tym, co musiało się wydarzyć w sklepie. Wolf nie odezwał się ani słowem. Kiedy Molly dotarła do niego, objął ją ramionami i przyciągnął do siebie.

Molly nie mogła się powstrzymać: powiodła ręką po jego piersi, sprawdzając, czy nie doznał jakichś obrażeń.

- Ranili cię? - spytała cichutko.

Dosłyszał ją mimo panującego gwaru.

- Nie - odparł. - To niesamowite, że miałem takie szczęście: Francis wypalił do mnie z odległości pięciu stóp i spudłował! Był taki zaskoczony, że musiałem mu dać dwa razy w łeb, nim się połapał, że jeszcze żyję.

Callie Ann przeniosła się z ramion Molly w objęcia Wolfa. Swoim zwyczajem pogładziła go po brodzie, jakby głaskała kota.

- Stryjek Orson kazał ci powtórzyć: „Zawsze możesz na mnie liczyć” - szepnęła Wolfowi na ucho i oparła główkę na jego ramieniu.

Wolf spojrział na Molly i uniósł pytająco brew. Potrząsnął głową.

- Idziemy, moje panie! Odprowadzę was do domu!

Minęło kilka godzin. Molly zdążyła się wykąpać i przedrzemać. Callie Ann spała głębokim snem w jednej z wolnych sypialni. Schodząc na dół, Molly spotkała się z doktorem Harleyem, który zjawił się właśnie na swój dyżur.

- Jak się miewają dziś pacjenci? - spytał ze zwykłym spokojem.

- Właśnie u nich byłam. Mam wrażenie, że lepiej. Charlie wypił pół kubka rosołu, a na opatrunku Early nie było prawie krwi, gdy go zmieniałam.

Harley uśmiechnął się.

- Wygrzebią się z tego dzięki pani doktor!

- Ależ ja tylko trochę pomagałam!

Doktor Harley zaprotełstował, kładąc rękę na ramieniu Molly.

- Jest pani znakomitym lekarzem, choć uważa się pani za farmaceutę. Rozmawialiśmy na pani temat. Gdyby zechciała pani pracować w szpitalu stanowym, czeka tam na panią miejsce.

Ta propozycja bardzo pochlebiła Molly.

- Serdecznie dziękuję, panie doktorze. Zastanowię się nad tym.

Harley przyjął jej odpowiedź bez sprzeciwu.

- Już wiem, co wydarzyło się o świcie. Dzielna z pani niewiasta, pani doktor! Godna partnerka kapitana Haywarda. Wie pani, co o nim słyzałem? Był podobno podczas wojny dowódcą grupy zwiadowczej Południa. Uratował życie setkom rebeliantów, pomagając im przenieść się w bezpieczne miejsce, nim nastąpił zwycięski atak Jankesów.

- Nigdy mi o tym nie wspominał. - Molly czuła, że na podobne informacje od Wolfa mogłaby czekać do skończenia świata.

Harley pokiwał głową.

- No pewnie! Ktoś mi kiedyś mówił, że z tego Wolfa był istny kameleon: przekradał się między liniami wojsk, nie istniały dla niego żadne przeszkody. Czuł się jak u siebie w domu w każdym obozie, czy to Jankesów, czy Konfederatów. Nic dziwnego, że nie lubi o tym mówić. Jak większość dawnych żołnierzy pragnie zapomnieć o wojnie.

Molly podziękowała doktorowi, że zgodził się zastąpić ją przy chorych, i przeszła na werandę.

- Przekradał się między liniami frontu... - szeptała



do siebie, siadając na huśtawce. - W każdym obozie... Jankesów czy Konfederatów...

Siedziała tam nadal, kiedy godzinę później Wolf powrócił do domu.

Wchodził po stopniach werandy bardzo powoli.

Każdy jego ruch świadczył o skrajnym wyczerpaniu.

Uśmiechnął się na widok siedzącej na huśtawce żony.

- Nareszcie w domu! - powiedział po prostu.

Molly była pewna, że te słowa nie mają nic wspólnego ani z miastem, ani z budynkiem.

Opadł na zawieszoną na sznurach ławeczkę obok żony i przyciągnął ją do siebie.

Molly milczała. Nie wiedziała, od czego zacząć to, co miała mu do powiedzenia. Poddawała się ruchowi rozkołysanej przez Wolfa ławeczki. W końcu huśtawka znieruchomiała. Molly popatrzyła na siedzącego obok niej męża: spał głębokim snem.

Usłyszawszy wołanie Callie Ann, Molly ostrożnie wysunęła się z jego objęć i pospieszyła do domu.

Kilkakrotnie zaglądała do Wolfa, ale nawet się nie poruszył przez całe popołudnie. Molly martwiła się, że pewnie mu niewygodnie, ale w żaden sposób nie zdołałaby przenieść tego kolosa na górę, a budzić go nie miała serca.

Callie Ann nie odstępowała swej opiekunki ani na krok. Jeśli Molly przeniosła się do innego pokoju - choćby na minutkę - Callie dreptała za nią. Kiedy trzeba było położyć dziewczynkę do łóżka, mała księżniczka uparła się spać w swoim dawnym pokoju. Ponieważ oba łóżka były zajęte, obrała sobie wyściełaną ławeczkę we wnęce okiennej. Mieściła się tam wygodnie i mogła stamtąd przyglądać się Early i Charliemu.

Pielęgniarka nie była zachwycona tym pomysłem,

ale Molly wyraziła zgodę. Callie Ann chciała się czuć bezpiecznie, być wśród swoich bliskich, a Charlie i Early z pewnością do nich należeli.

Wreszcie Charlie przestał odczuwać hol. Ilekroć Callie Ann podchodziła do niego, sprawiło mu to przyjemność. Gotów był z nią gawędzić jak długo chciała, ale ani na chwilę nie puszczał ramienia Early.

Kiedy Callie Ann spytała go, czy Early wyzdrowieje, Charlie odparł:

- Jasne, dzieciaku! Trzymam ją i nie pozwolę jej odejść.

I rzeczywiście, tego dnia Early spała znacznie spokojniej. Był to głęboki, życiodajny sen.

Kiedy wszyscy w domu już zasnęli. Molly zeszała na dół, by obudzić Wolfa. Ku jej zdumieniu siedział już przy kuchennym stole, niszcząc systematycznie *zapasy* żywności. Dwie brytfanki po plackach były już puste; pożarł także prawie wszystko, co zostało z kurczaka.

- Dobrze ci się spało? - spytała z uśmiechem Molly, podchodząc do męża.

Nie podniósł głowy.

- Pytałam...

Przyciągnął ją na kolana.

- Powiedz mi to jeszcze raz! - zażądał.

- Pytałam, czy dobrze ci się...

- Nie to! - przerwał jej Wolf. - Powiedz, że mnie kochasz.

Powiedziała bez wahania:

- Kocham cię.

- Jeszcze raz!

- Kocham cię.

- Jeszcze!

- Jak często mam ci to powtarzać?

- Codziennie przez resztę życia - odparł,

- W porządku. Będę ci to powtarzać codziennie przez resztę życia. A teraz, jeśli się już pożywiłeś, idziemy na górę. Przygotowałam ci kąpiel.

Wolf poszedł za nią do ich wspólnej sypialni. Bez najmniejszego zażenowania Molly siadła na łóżku i patrzyła, jak mąż się rozbiera. Rozmawiali o tym i owym, składali z kawałków pełny obraz wydarzeń poprzedniej nocy. Carrell Digger nie żył, podobnie jak Miller. Mężczyzna o chudej twarzy zapewne dożyje do procesu. Francisa czekała szubienica. Sędzia oficjalnie powierzył Wolfowi i Molly opiekę nad Callie Ann aż do pełnoletności dziewczynki. Jeśli potem zechce wrócić do domu swej babki, wszystko będzie tam na nią czekało.

- Szkoda mi dziecka - zauważyła Molly. - Teraz, gdy jest posażną panną, nigdy już nie znajdzie prawdziwej miłości!

- Bzdura! - Wolf uniósł w górę brew. - Jeśli Callie Ann sobie kogoś upatrzy, przeprowadzę z nim męską rozmowę! Trzeba być ostatnim durniem, żeby zrezygnować z ukochanej kobiety tylko dlatego, że odziedziczyła parę groszy!

- Zapamiętam to sobie - powiedziała Molly, kiwając głową.

Wolf spytał o Charliego i Early i wysłuchał uważnie szczegółowej relacji.

Molly z uśmiechem przyglądała się, jak mąż wyciera mokre włosy ręcznikiem. Jakie to cudowne, że są razem! Czuła się szczęśliwa, bezpieczna i kochana. Zauważyła również, że Wolf zalał wodą pół pokoju i zostawił na podłodze nieporządną stertę brudnego ubrania.

Roześmiała się: to był prawdziwy, żywy mężczyzna. Co do tego nie mogła mieć wątpliwości! Kochanek ze snu nigdy się nie brudził ani nie chlapał wodą... i nigdy

jej nie kochał z takim zapamiętaniem, jakby świat miał się za chwilę skończyć i liczyła się tylko ich miłość.

Wolf ściągnął ręcznik z głowy i popatrzył na żonę.

- Z czego się śmiejesz, kochanie?

- Z niczego - odpowiedziała. - Zastanawiałam się tylko, czy ogolisz się przed pójściem do łóżka, Benjaminie.

Wolf skamieniał.

- Jak mnie nazwałaś?

- Powiedziałam „Benjaminie” - odparła Molly; wstała i zaczęła się rozbierać.

- Zapomniałaś, kim jestem? - spytał burkliwie Wolf i wlepił wzrok w rozchylającą się coraz bardziej bluzkę Molly. Była zawsze taka przyzwoita, zapięta na ostatni guzik... a teraz rozbierała się przy nim do pasa, jakby robiła to setki razy!

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Będzie musiała to powtórzyć jeszcze kilkaset razy, nim mu się to na tyle opatrzy, że będzie w stanie mrugnąć choćby okiem!

Bluzka spadła na ziemię, a Molly zaczęła odpinać spódnicę.

- Ależ wiem, wiem! Jesteś Wolf, mój mąż. Mój ukochany. Jedyne mężczyzna, którego kochałam w życiu.

Wolf przejechał ręką po włosach.

- Zdawało mi się, że nazwałaś mnie inaczej. - Doszedł do wniosku, że ma jakieś kłopoty ze słuchem.

- Owszem - odparła i w tej samej chwili jej spódnicę ześlizgnęła się na podłogę, odsłaniając cienką bawełnianą bieliznę. Molly zbliżyła się nieco do męża, pozostając jednak poza zasięgiem jego ramion. - Użyłam twego pierwszego imienia... Benjamin. - Mówiąc to, pociągnęła za wstążeczkę przy koszuli. Zastaniająca pierśi koronka rozchyliła się, ukazując miłe wypukłości.

Wolf starał się panować nad swymi zmysłami, ale

wyraźnie się buntowały. Czuł zapach różanej wody bijący od włosów Molly i leciutką woń lawendy, którą przesiąknięta była jej bielizna. Widział też wyraźnie przez bawełnianą koszulkę zarys jej ciała.

- Nie jestem... - Dobry Boże, przecież nie będzie jej kłamał w żywe oczy! Nie teraz! Nie w tej chwili, gdy stała tak blisko niego, bawiąc się wstążeczką koszuli... w każdej chwili mogła pociągnąć trochę mocniej, a wtedy ujrzy ją całą!

- Nie od razu się w tym połapałam. Tamtej nocy po pożarze, kiedy położyłeś się obok mnie, to było coś całkiem nowego... Coś, o czym nigdy dotąd nie marzyłam... W snach obaj mieszaście mi się ze sobą. A kiedy poklepałeś bok dyliżansu, przypomniało mi się, że to samo zrobiłeś z pociągiem! I twoje słowa: „Będę cię kochał, póki mi serce bije!” Nikt inny tak się nie wyraził. - Molly uśmiechnęła się. - Miałam ochotę włamać się do twego blaszanego pudła! Przeczuwałam, że na świadectwie ślubu podpisałeś się imieniem „Benjamin”.

- Czemu tego nie zrobiłaś?

- Nie musiałam. Wiem i tak!

- No więc kogo w końcu kochasz?! - Wolf wyżył z całej siły ręcznik, żeby nie porwać żony w ramiona.

- Kocham *ciebie*. Zawsze cię kochałam, ale nigdy tak bardzo jak teraz. - Molly pociągnęła za wstążeczkę. Koronka opadła, odsłaniając całe piersi.

Wolfowi odebrało mowę. Jednym susem przebył dzielącą ich przestrzeń. Całował Molly jak szalony, a jego ręce pieściły jej piękne ciało. Kochali się dokładnie tak, jak Molly sobie wyobrażała. Jakby w każdej chwili miał nastąpić koniec świata i Wolf nie pragnął już ani nie potrzebował niczego oprócz niej. To był drapieżny i podniecający, to znowu tak czuły, że omal

się nie rozpłakała, gdy ją pieścił. Ale taki czy inny - należał do niej całkowicie, tak samo jak ona do niego.

Kiedy na koniec leżeli obok siebie tak wyczerpani, że z trudem mogli oddychać, Wolf szepnął:

- Myślałem, że przestaniesz mnie kochać, kiedy się dowiesz, kim jestem. - Nie usprawiedliwiał się przed nią ani nie tłumaczył; wyjawiał jej po prostu swoje myśli.

Molly powoli przesunęła ręką po jego piersi.

- Pokochałam cię w dwóch różnych epokach: w czasie minionym i w terażniejszości. Moja miłość kwitła w dwóch odrębnych światach: w krainie moich marzeń i w świecie realnym. Zostałam stworzona po to, żeby cię kochać, mój Wolfie-Benjaminie!

Nakrył dłonią jej rękę, spoczywającą na jego sercu.

- A ja będę cię kochał, póki mi serce bije, moja Molly!

## Epilog

Zima srożyła się w Austin, nękając stolicę Teksasu podmuchami zimnego wiatru i strugami lodowatego deszczu. Wolf z podniesionym kołnierzem i naciśniętym na czoło kapeluszem zmierzał do domu. Wracał ze swej ostatniej wyprawy. Jutro obejmie urząd szeryfa i opuści szeregi strażników Teksasu... przynajmniej na jakiś czas. Taką robotę ma się we krwi! Wiedział, że jeśli kiedyś poproszą go o pomoc, nie będzie się wymigiwał, tyle że nie wpakuje się w to już z głową i na amen. Wkrótce Molly będzie go potrzebowała; powinien trzymać się domu.

Wolf roześmiał się. Koledzy pokpiwali sobie z niego, że się starzeje i chciałby co noc sypiać we własnym łóżku. Wcale nie przeczył: nie wyobrażał sobie lepszego miejsca do spania! Ostrzegali, że się zanudzi, że brak mu będzie emocji... ale co oni mogli wiedzieć o takiej żonie jak Molly!

Wolf szedł ulicami Austin w zapadającym zmierzchu. Nikt się go nie spodziewał. Miał przyjechać dopiero jutro, ale pędził jak szalony. Nie zamierzał spędzić jeszcze jednej nocy bez Molly!

Na posterunku zastał tylko jednego strażnika. Pospiesznie sporządził raport i sprawdził, czy nie ma dla niego jakiejś poczty. W skrzynce Wolfa leżał tylko jeden list. Nie musiał się zastanawiać, od kogo: od razu poznał na kopercie zamaszyste pismo Wesa McLaina.

Wolf oparł się o biurko i otworzył list, przygotowany na jak najgorsze wieści. Wes nie należał do tych, co korespondują dla zabicia czasu. Jednak w miarę czytania twarz Wolfa coraz bardziej się rozjaśniała. Wes pisał o postępach, jakie uczynił ostatnio John Catlin. Dziaki chłopak spędził kilka miesięcy na ranchu swojej babki. I - o dziwo! - szerokie, otwarte przestrzenie uleczyły duszę tego dzieciaka. Posługiwał się teraz językiem angielskim, którego dotąd nienawidził i nie chciał rozumieć, z taką swobodą, jakby używał go przez całe życie. Allie i Wes byli zdania, że chłopiec powinien iść do szkoły, może do jednego z tych nowo założonych w Teksasie college'ów. Jednakże babka opowiedziała się po stronie wnuka, którego uparcie nazywała Jonathanem. Uznała, że jest już całkiem dorosły i powinien podróżować, poznać świat. Takim sposobem nauczy się najwięcej. Obiecała pokryć koszt tej wyprawy.

Wolf złożył list. Jonathan. Niezbyt chyba stosowne imię dla tego dzikiego chłopaka... Ale ludzie się zmieniają. Wystarczy spojrzeć na niego: jeszcze przed rokiem zamarudziłby dłużej na posterunku, napiłby się czegoś i planowałby już następną wyprawę. A teraz myśli tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu. Razem z Molly.

Skinieniem głowy pożegnał strażnika i wyszedł. Nagle poczuł, że nie może już czekać ani chwili dłużej!

Gdy dotarł do domu, dostrzegł Molly i Callie Ann przez okno kuchni; było zamknięte z powodu deszczu, więc nie wyczuł nosem, jakie niejadalne danie właśnie im się przypala. Skierował się do nowo wybudowanej za domem stajni i rozsiodłał konia. Udała się Charliemu ta stajnia! Dach nie przeciekał, a w środku



była nawet specjalna izba dla stryjka Orsona, który ostatnio znacznie rzadziej się pojawiał.

Wszedłszy na tylny ganek, Wolf stał przez chwilę na progu, zaglądając do środka. Przy stole siedziała Early, otulona w jedną z pikowanych kołder ciotki *Alviny*. *Early* widać znacznie *lepiej* się czuta, *jeśli* zdecydowała się służyć swą radą w kuchni. Wracała do zdrowia bardzo powoli, ale rekonwalescencja jej się nie dłużyła, bo Charlie rozpieszczał ją do obrzydliwości. Urządzono dla niej pokój w gabinecie na parterze, by Early nie męczyła się wchodzeniem na schody. Na wiosnę powinna być już całkiem zdrowa.

Na Charliego w dalszym ciągu przykro było patrzeć, ale dzięki przeprowadzonej po wypadku operacji jego twarz miała bardziej normalny wygląd. Przejął po Millerze jego warsztat i solidnie pracował. Włóczenie się po knajpach należało już do przeszłości; był za to regularnym stołownikiem w domu Molly.

Callie Ann pierwsza dostrzegła Wolfa. Z radosnym piskiem „tatuś!” pobiegła ku drzwiom i rzuciła mu się na szyję.

Wolf przytulił ją mocno. Serce w nim topniało, ilekroć dziewczynka tak go nazwała. Księżniczka sama podjęła tę decyzję, dowiedziawszy się, że Molly oczekuje dziecka. Ktoś powinien je nauczyć, jak należy się do wszystkich zwracać! I Callie Ann postanowiła dać maleństwu dobry przykład.

Molly podeszła również do drzwi i czekała na swoją kolej. Ucałowała twarz męża i jak zawsze szepnęła mu „kocham cię”.

Wolf położył rozpostartą dłoń na wypukłym brzuszku żony; ubóstwiał czuć, jak rośnie w niej jego dziecko. Wiedział, że dziś w nocy, gdy Molly zaśnie, otoczy

ją rękoma... i będzie miał wrażenie, iż obejmuje również swego synka lub córeczkę.

Early spojrzała na niego z zafrasowaną miną.

- Upiekłam tylko jeden placek - powiedziała. - Nie wiedziałam, że wrócisz już dzisiaj, kapitanie!

Wolf mrugnął do niej żartobliwie.

-Jakoś to przeżyję. Obiecay tylko, że jutro lepiej się postarasz!

Ale Early nadal nie wyglądała zbyt promiennie.

Wolf wszedł do kuchni, zdjął kurtkę i odpiął pas z bronią.

- O co chodzi? Gorzej się czujesz?

Spojrzał na Molly. Miała podobną minę. Coś było wyraźnie nie w porządku!

- Co się stało? - Spoglądał to na jedną, to na drugą.

- Znów mamy w domu ciotki - odparła Molly takim tonem, jakby obwieszczała koniec świata.

- Doprawdy? - roześmiał się Wolf. - Włosiane, czy zwykłe miotły?

Nie miał już żadnych wątpliwości, że wrócił do domu!